

20

278

2.008,022

24761

$\frac{56}{893.}$



24761

SĄSIEDZI.





# SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

przez

J. I. Kraszewskiego.

---

---

**TOM I.**

---

---

WARSZAWA.

Nakładem MICHAŁA GLÜCKSBERGA księgarza  
ulica Nowy Świat Nr. 55.

1878.

24761



Дозволено Цензурою.

Варшава, 8 Мая 1878 года.

12.008.022





Był to dzień czerwcowy, wieczór spokojny a powietrze parne. Słońce zachodziło, jakby na słotę i burzę, bo pod niem widać było ciemne chmury, wychylające się już znad widnokregu, pozarysowywane ostro, wspinające się do góry, światłem jaskrawem, jakby złotemi galonami, obramowane.

Wśród ciszy wieczoru drzewa stały jakby uspio-  
ne i zmęczone skwarem, tylko niekiedy przebiegał je jakiś dreszcz dziwny. Liście szeleściły żywo, i wnet wracały do dawnego spoczynku. W tej porze dnia zwykle i po dworach cicho jest a głucho, mało się co porusza. Ale tego wieczora niezwykły, gorączkowy ruch panował w Sierhinie u p. Strukczaszyca Hojskiego.

Zdala nawet przechodzący mógł poznać, iż się tu coś nadzwyczajnego wydarzyć musiało. Z folwarku do dworu, ze dworu na folwark biegali ciągle ludzie, jakby potraciwszy głowy, spotykając się i niewidząc, potrącając w drodze, zarzucając pytaniami, na które nie czekali odpowiedzi.

W ganku czasem ukazywali się: to ogromnego wzrostu mężczyzna w białym kitlu, podpasany

skórzanym pasem, w którym łatwo było poznać Struczaszycę—rzucił kilka wyrazów tonem nakazującym i zniknął; to, w czepcu białym, jejmość, machająca rękami, załamująca dłonie i nawołująca sługi, poczem zniknęła natychmiast w głębi domu.

Kupka ludzi stała przy stajni, rozpowiadając coś żywo, ruchami okazując jakby niedawno odbytą bitwę. To głosy się ożywiały i podnosiły z wrzawą, to znowu spojrzenie na dwór i obawa jakaś, a dawne znaki zmuszały do uciszenia i rozmowy na ucho. Całkiem jednak zaprzestać nie mogli ludzie wypytywać i rozpowiadać—bo widocznie jakaś, ich gorączka opanowała. Starsi chodzili, mrucząc i ściszkając pięści; młodszy niemal porywali się do siebie, sprzeczki wiodąc.

Tymczasem ruch około starego dworu nie ustawał. Wyszedł z niego wąsaty ekonom z czapką pod pachą, jakby pijany, ocierając pot z czoła; westchnął i niemogąc iść dalej, przypadł zaraz w ganku na ławie, w postawie tak znękanego człowieka, jakby mu się największe nieszczęście trafiło. Siadłszy, patrzył przed się oczyma osłupiałemi, i raz poraz ciężko wdychał, jęczał prawie.

Od stajni oczy kupki ludzi zwróciły się ku niemu; łokciami dawano sobie znaki, spoglądając na niego.

Chłopakowi kredensowemu z podgoloną głową

ekonom kazał sobie wody podać, a gdy ten mu szklankę przyniósł, wychylił ją jak naparstek.

— Daj-bo karafkę!—mruknął.

Chłopiec, posłuszny, wyniósł spory kufel, który ekonom nalewając sobie chciwie, szklanka po szklance, wychylił prawie cały. Teraz dopiero zdawał się przychodzić do siebie, obejrzał się po odzieży, nieco pomiętej, ale całej, ręką powiódł po głowie i twarzy, przypatrując się dłoni, jakby na niej krwi szukał. Tej nie było; ale sińców kilka miał na czole ekonom, które mu znać dolegały, bo je pocierał.

Potem, oburącz na ławie się oparłszy, zapatrzony w podłogę, czas jakiś nieruchomy pozostał.

Nie widział nawet przesuwających się ciągle mężczyzn i kobiet, które zukosa, wymijając ławę, przypatrywały mu się.

Dobra chwila upłynęła tak, gdy, wprzód już widziana w ganku kilkakrotnie, jejmość w białym czepcu znowu się w progu ukazała.

Była to kobieta lat średnich, słusznego dosyć wzrostu, silna, nie chuda ani otyła, twarzy ogorzałej i zarumienionej, której policzki czerwone żyłki jakby siatką okrywały—z nosem rzymskim, z oczyma bystremi czarnymi, — niegdyś pewnie piękna; dziś tylko odznaczająca się wyrazem energii i żywością wielką. Ubiór jej, acz bardzo staranny i czysty, niewykwintny był i starą skrojony modą. U pa-

sa miała klucze, a u boku wielką kieszeń, w jaką czasem troskliwe gospodynie opatrywały się na kłębki, napałek, nożyczki i niezbędne narzędzia do rozmaitych zajęć dnia powszedniego.

Kobieta wysunęła się ze drzwi, z oczyma zwróconemi ku folwarkowi, z widocznym zamiarem zawołania kogoś, gdy zobaczywszy pogrążonego w myślach ekonoma, zwróciła się, ręce załamując, ku niemu.

— Panie Morawiec! panie Morawiec, na rany Chrystusowe! — zawołała porywczó — jak waćpan mogłeś na to pozwolić?

Ekonom, który nadchodzącej ani postrzegł ani posłyszał, zerwał się jak ze snu przebudzony.

Ruch jego był tak gwałtowny, że ława zadygotała pod nim i opadła z hukiem. Osowiato oczy zwrócił na pytającą.

Ręce złożył obie na piersiach i oczy zaczerwienione wzniosł ku oczekującej odpowiedzi.

— Niech mnie Bóg sądzi! zawołał głosem schrypłym i jęczącym, w którym czuć było, że się wprzód zmógł krzykiem nad siły — niech mnie Bóg sądzi! Co było począć? jak wpadły na nas te chamy, jak się to zważyło, panicz chciał rozzbrajać i uspakając, puścił się między bijących. — Ja, trzymając go za poły, zaklinając, biegłem z nim, kroku nie ustępując. Chłopstwo się rozjadło, że już nikogo nie respektowało. Co się mnie dostało, i po łbie i po ple-

each, niech to będzie na chwałę Bożą, ja tego nie liczę. Wszak prawie na rękach, zasłaniając sobą, wyniosłem panicza.

Tu na chwilę umilkł, bo mu głosu zabrakło, zakaszlał się, ręką czoło osłonił.

— Paniczowi—bo w głowie było, że racyami chłmów zreflektuje! Gdzie to kto słyszał! A prosiłem, a zaklinałem.—Nie nie pomogło, jak się uparł!

Wszakże to nie pierwszy raz na Osowcu do bójki przychodzi. Powtarza się to co roku, jak ludzie zapamiętają. Skosim my—napadają na nas Łopatycy chłopi, skoszą oni—my musimy iść na nich, aby prejudykatu nie było.

Co ta dyferencja już krwi ludzkiej i zdrowia kosztuje,—na wołowej—by skórze nie spisał.

Słuchająca westchnęła silnie.

— Brat mój tego nie daruje!—odezwała się, nogą uderzając w podłogę.

Ekonom z głębi piersi jęk wydał stłumiony.

— Tak, bąknął—hm! obdukcję sprowadzić! tak! i przyznać się, że chamy syna jegomościwego śmiały kijmi tłuc! Hm!

Mówili jeszcze, gdy, w białym kitlu, z podgoloną głową, z wąsem siwym sumiastym, z twarzą ogromną, surowego wyrazu, na progu ukazał się Strukczaszyce. Jejmość dała znak ekonomowi, który ku ławie się cofając, wyprostował się i przybrał minę smutną.

Strukezaszyc, w tej chwili wyglądający w istocie straszny jak sędzia, z brwiami namarszczonemi, z ustami zaciśniętymi, nigdy pono nie miał fizyognomii łagodnej. Na posepnem tem obliczu, po-fałdowanem brózdy głębokimi, trudno sobie wesołość wyobrazić było. Natomiast straszny, groźny jakiś spokój, oznaka niezmiernej siły panowała na niej. Nawet gwałtowne wzruszenie, jakiego teraz doznawać musiał, nie zdołało zachwiać męż-twem żelaznem tego człowieka.

Zbliżył się krokiem poważnym do Morawca, nie patrząc na siostrę, która się nieco wycofywała— i po chwilec namysłu, począł mówić głosem stłumionym, napozór spokojnym.

— Słuchaj, Morawiec—jak to było? mów świętą prawdę?—jak?

— Jaśnie wielmożny panie, wybuchnął ekonom. Panie Boże bądź świadkiem duszy mojej, ja, — ja nawet powiedzieć nie umiem jak to było. Chłopi Łopatycy wpadli z kijmi, grabiami, kosami na naszych: nie pierwsza to i nie ostatnia bójka na Osowcu. Chamy, bywało, się poczubią, pokrwawią i— tyle. Panicz koniecznie chciał ich rozrywać i wstrzymywać. Gdzie to kto widział, jak się chłopstwo rozjuszy! Prosiłem, błagałem, uczepiłem się za poły—gdzie! ani słuchał. No—wpadliśmy wśród tych bestyi—a co mnie się dostało — co nieszczęśliwemu paniczowi, albo ja wiem! Dopiero gdy się

p. Erazmowi noga powinęła na kępinie i padł, a te juchy z kijmi na niego sięść chciały, tom go sobą osłonił i prawie na rękach wyniósł.

Morawiec, któremu łzy z oczu ciekły, rozplakał się na prawdę. Strukezaszyc słuchał blady, tylko mu usta coraz głębiej zapadały i pot z czoła ciekł. Nie odpowiadał nic.

— Był kto ze dworu? — spytał.

— A pewnie, że byli! Ekonoma Śliwkę sam widziałem jak rękami machając, poduszczał i żgał, a ten nikezemnik, smarkacz pisarz Bracki, chłopów prowadził.

Strukezaszycowi oczy błysnęły: nie powiedział nic; stał jak wkuty czas jakiś.

— Proszę jaśnie pana, wyrwał się Morawiec — ma być obdukeya. to niech będzie na mnie. Plecy mam całe zbite, sińce i guzy na głowie, a panicza do obdukeyi stawić, żeby ludzie gadali, iż go chłopci kijmi bili — to nie może być! to nie może być!

Strukezaszyc jeszcze stał niemy.

— Ja obdukeyi żadnej nie potrzebuję — rzekł powoli cedząc wyrazy. Erazm wpadł niepotrzebnie: jak człeka pies pokąsa, a pijany chłop pobije, nikt się nie skarży. To sprawa między mną a Łopatyczami, wpiszę się Czemeryńskim na rejestr. Odsłużemy inną porą — odsłu-że-my.

Siostra, słuchająca, na boku i ekonom — zadrżeli, gdy ich uszu doszło to — odsłu-że-my, bo stary pan

wypowiedział ten wyraz z flegmą jakąś, tak straszliwą, tak groźną, iż krew się zdawała tryskać z każdej sylaby.

— Żadnej obdukeyi nie będzie — to domowa sprawa, ciszej dodał Strukezaszyc.

I spytał: poczekawszy nieco:

— Siano zabrali?

— Przeciągnęli na swój hrud, poza dyferencyę— rzekł cicho Morawiec.

— Wiele tam było ludzi?— badał dalej spokoju nie Strukezaszyc.

— Kat ich policzy. Tam musieli być chyba nie sami Łopatycy, ale z Wólki, z Kostużyna i Zabłocia, zamruczał Morawiec.

Strukezaszyc się zamyślił i obejrzał ku słońcu, które już było spuściło się za czarną chmur ławę. Gdzieniedzie tylko, przez rozszarpane jej strzępy, blask się dobywał jaskrawy. U góry obłok siny piętrzył się zaokrąglonemi jakby pagórkami, których kształty szybko się mieniły. Popatrzawszy na chmurę, rzekł Strukezaszyc powolnie:

— Niéma co, trzeba na swoim postawić.— Hm? mocno się czujesz pobitym? możesz na koń sięść? Morawiec się ruszył żwawo.

— A czemu nie. Co tam, pobity czy nie pobity. Jak trzeba to trzeba.— Niéma rady.

— Weź acan baryłkę wódki ze śpichrza — rozumiesz— rzekł spokojnie Strukezaszyc.



— Rozumiem.

— Ludzi zwołać do karczmy, co żyje. Co żyje, ciągnął dalej stary. Grabie, cepy, kosy niechaj zabiorą, kto ma. Ale żeby mi wyszli do nogi. Dać po kieliszku, dać po dwa, niechaj baryłkę wypiją. Zanosić się na burzę, tem lepiej; siano trzeba zabrać, bodaj w błoto je wmieścić, zniszczyć, ale dać im się nien cieszyć — nigdy w świecie! Cicho iść lasem i zaroślami, juści oni całą noc tam na straży stać nie będą. Jeśli stróże jacy się znajdują, powiązać, pokneblować i rzucić na błocie.

Morawiec ręką machnął, dając znać, że on to wszystko wie i rozumie.

— Toć to nie pierwszyczna — zamruczał.

Ruszył się natychmiast, spełniając rozkaz pana.

Strukezaszyc zadumał się i dodał w półgłośnie:

— Jak którego pobijecie — niema co — żałować ich nie będziesz.

Morawiec pięść podniósł do góry, pokłonił się, i choć ruch dał mu uczuć ból w kościach, nie syknąwszy nawet, zwawo dosyć ku folwarkowi się posunął. Przed końcem rozmowy, panna Strukezaszanka weszła już była do pokoi. Na prawo z sieni, w obszernej izbie, którą zwykle zajmował syn gospodarza, pan Erazm, świecy jeszcze nie było. Dwoma oknami od dziedzińca wpadające światło oblewało ją szarym półmrokiem, który po kątach już się w zupełną ciemność zamienił. Pokój

to był kawalerski, z łóżkiem skromnem bez pawilonu, naprzeciw okien, z szafą i kilku stołami, ze strzelbami i przyborami myśliwskimi. rozwieszonymi na ścianach. Nad łóżkiem wisiała owalna blacha, z wizerunkiem Matki Bożkiej, z gromnicą wstążką przepasaną i palmą Kwietnej Niedzieli. Pod nią maleńki krucyfix rozciągał ramiona nad głowami. Na łóżku okrytem skórą łosią i koldrą welnianą, leżał, z rękami pod głowę podłożonemi, młody panicz, w którym się jeszcze widać burzyło wszystko, bo się rzucał niespokojnie.

Pocichu na palcach poczęła się zbliżać ku niemu jejność, jakby go posądzała, że mógł usnąć.

Postrzegłszy, że się poruszał, zapytała:

— Nie śpisz.

— Ale, gdzie mnie tam do snu, — zawołał leżący — we mnie jeszcze wszystko kipi.

— A boli cię?

— E! to tam i mówić niema o czem — odparł leżący. — Sam-em winien, a ludzie nie, bo im się bić mnie pewnie ani śniło, ani chciało — ałem wpadł. — Nawet nie jestem pewnym czy rana na ręku kosą przecięta, od endzego człeka czy od swoich. Chciałem ich przywieść do rozumu.

— Ale także-boś się wdał — poczęła Strukezaszanka. — Po co ci się było w to mieszać? — Chłopy się coroku tam tłuką, to ich rzecz.

— No, co ciocia chce, nie mogłem wytrzymać, —

żywo mówił leżący. Taką mam naturę, że na bójkę patrzeć z zimną krwią nie mogę. Po co się bić, na co, przecież gdzieś jest prawo, sąd, sprawiedliwość.

Tych wyrazów domawiał, gdy niespodzianie ojca stojącego z rękami w tył założonemi spostrzegł przed sobą. Zamilkł nagle.

Strukezaszyc zdawał się chcieć słuchać dalej. Ciotka cofnęła się zaraz do stolika, na którym leżały płatki w kilkoro poskładane i jakieś medykamentu.

Moment długi dosyć panowało milczenie.

Wtem stary, jakby na ostatnie wyrazy syna, dłużnym był odpowiedź, zaczął zeicha, ze zwykłą sobie flegmą i udanym spokojem.

— A tak—tak, jest gdzieś prawo, sąd i sprawiedliwość. Musi gdzieś być. Niewątpliwie — tylko nie u nas. U nas zeszło na pięści i na to—kto kogo zmoże.

A juści sprawiedliwość gdzieś musi być, ale się pod te czasy schowała. Do sądu iść z panem sędzią Czemyryńskim, który ma i wiosek dużo i przyjaciół wielu, i kolligatów i potentatów za sobą, to jakby pieniądze w błoto wrzucać.

Ja z nim nie wygram nigdy, a dokuczać mu mogę zawsze i muszę. A no, muszę, wziąłby mi Osowicz, dalej zabrałby Gordziszczę i Kuliki i las,

i wlaźby mi pod stodołę—na to niema rady! Broń się muszę!

— Ja-tam na te rzeczy, proszę ojca dobrodzieja, rzekł cicho Erazm, rozumu nie mam—ale....

— I, póki ja żyję, mieszać się też do tych spraw cale nie masz potrzeby. Po co? na co ci było leżć, palce kłaść między drzwi,—mówił Strukeczasyc—jak mnie na świecie nie stanie, rób sobie co zechcesz, lecz póki ja żyję, zostaw to mnie.

— Kiedyż-bo się tłukli, aż strach! począł Erazm.

— A tobie to co szkodziło że się oni tłukli? odparł zimno stary. — Niech się świat poleruje, niech się chamy za łeb wodzą, ażebyś ty miał pocziwą krew szlachecką rozlewać....

Zzymnął ramionami stary.

— Przecież to ludzie—rzekł pocichu Erazm.

— Jacy ludzie? — przerwał Strukeczasyc nieco goręcej i splunął.

Odszedł kilka kroków zamyślony ku oknu. Korzystając z tego, ciotka się zbliżyła z namoczonym w winie płatkem.

— Krew z rany nie płynie?—zapytała pocichu.

— Zdaje się, że nie—szepnął leżący.

— Ale na stłuczeniu trzeba płatek odmienić.

Zabierała się do tej operacyi, gdy, od okna się odwróciwszy, Strukeczasyc zapytał:

— Nie widziałeś, nie poznasz który cię-to kosa smagnał?

— Proszę ojca kochanego, począł ranny, ja-bo nawet nie wiem czy Łopatycki który, czy nasz. Rana nie głęboka; niema o czem i mówić.

— Zawsze krew — odparł Strukezaszyc — a za krew i to jeszcze szlachecką, musi popłynąć krew. To nic nie pomoże.

Mówił to z flegmą, ale z taką stanowczością, że się nawet opierać mu nikt nie śmiał.

— O tem-bo niema co i mówić—powtórzył cicho p. Erazm.

— Tak—ale ludzie widzieli i gadać będą—rzekł Strukezaszyc. Dziś tam w Łopatyeczach wielki tryumf nad nami zapijać będą. Hm! hm! Śliwka dostanie konika w podarku, a Bracki pasik i sukno na kontusz. Ludzi popoją. Niech się cieszą—póki my za swoje nie oddamy.

Bo — oddamy, jak Bóg na niebie. Oddamy—rzekł Strukezaszyc.

Mrok był coraz gęstszy w izbie, lecz z dalekiej chmury na zachodzie poczynało błyskać i kiedy-niekiedy blade światelko błyskawicy rozświecało izdebkę.

Panna Strukezaszauka, która i nie lubiła burzy i obawiała się jej, zażegnywała ją. pocichu coś szepcząc.

— Tego jeszcze brakło — odezwała się, żeby na noc burza przyszła.



— A, niech idzie! niech idzie. Ja jej rad jestem — rzekł, patrząc w okno Strukezaszyc.

— Co-bo panu bratu się stało! zdumiona prze-  
rwała, panna Strukezaszanka. Siano i na pokosach  
i w kopach.

— Niech je lichy porwie — zawołał gospodarz.  
Co mi siano!

Było to tak niezrozumiałem dla siostry, że aż ra-  
mionami ruszyła.

— Dałbyś-bo brat pokój, lichy wyzywać. To się  
nie godzi.

W tej chwili zagrzmiało w dali, Strukezaszyc  
ręce zatarł, a panna przeżegnała się.

— Ot lepiejbyś asińdzka poszła i kazała kadzie  
pod rynny popodstawiać na wodę deszczową, bo  
po tem będzie kweres o miękką wodę, a dziś ulewę  
nam Pan Bóg da, co się zowie.

— Co-bo pan brat prorokuje takie rzeczy. Może  
chmura przejść bokiem.

— Ja nie chcę żeby bokiem przechodziła, za-  
kończył stary.

Wtem błyskawica jaśniejsza niż poprzednie  
rozświeciła nagle pokój cały, i prawie natych-  
miast rozległ się potężny łoskot piorunu.

W szyby okien poczynaly bić ogromne krople  
deszczu, — ciężkie, zwiastujące nadchodzącą już ule-  
wę, wichur i gromy.



Panna Strukezaszanka wychyliła się przez drzwi, wołając:

— Okiennice zamykać!

Strukezaszyc stał wprost zwrócony twarzą do okna i zdawał się lubować nadciągającą flagą, czego siostra zrozumieć nie mogła.

W podwórzu słyhać już było, nagle szumieć poczynające, drzewa; wiatr się zerwał gwałtowny, okiennice stukwały, krople spadały gęstsze coraz. Błysk za błyskiem gonił i grzmot za grzmotem.

W domu biegali wszyscy, zamykając drzwi, szrubując okiennice, znosząc pod dach co stało na dworze. Strukezaszanka modliła się; pan Erazm leżał ze spuszczoną głową; Strukezaszyc, dopóki okiennic nie pozamykano, wpatrywał się, z jakimś ukontentowaniem, w nadciągającą szybko chmurę, z której już zaczynały lać deszczu potoki, pomieszanego z gradem. Na dachu słyhać było stukot kulek lodowych, które w gonty uderzały.

Wniesiono światło i zadumany gospodarz od okna zwrócił się ku synowi. wejrzenie pełne czułości topiąc w milejącym chłopaku.

Pan Erazm zdawał się na łóżku spoczywać więcej przez posłuszeństwo niż z dobrej woli. Rękę miał jedną, wprawdzie obwiązaną, na płachtach trochę krwi przeciekającej widać było, był może potłuczony, — lecz w twarzy więcej niepokoju pawało niż cierpienia.

Chłopak był śliczny, trochę do ojca podobny, lecz twarz surowa Strukczaszyca w tej nowej transfiguracyi zyskała, wyszlachetniała, myślą jaśniejszą świeciła. Rysy też same delikatniejsze były, wyraz ich odmienny. Na twarzy ojca ponura i zamknięta w sobie energia pokrywała wszystko twardą jakąś, nieprzenikliwą zasłoną; u syna życie wewnętrzne tryskało oczyma, chciało się dobywać wargami, drgało we wszystkich mięśniach ruchomego lica. Oprócz tego, że był pięknym, pan Erazm, miał w sobie coś szlachetnego, rycerskiego, i — cały kwitł młodością.

Można mieć lat dwadzieścia kilka i być starym, albo nie umieć nosić młodości; pan Erazm jeszcze miał jej tyle w sobie, iż ani mógł, ani-by potrafił ukryć życia które w nim wrzało.

Widocznie — przymusowy spokój terazniejszy był sprawą ojca i skutkiem nakazu jego a prośb ciotki; gdyby nie to, Erazm-by był dawno zerwał się, i choć ruchem żywszym dogodził niepokoju i niecierpliwości. Ale panna Blandyna, gdyż takie było imię Strukczaszanki, urodzonej w sam dzień tej patronki, dnia 21 Maja. — przymusiła siostrzeńca do leżenia, będąc pewną, iż to ranie było potrzebnem.

Strukczaszy też, niespokojny o syna, spoczynku tego wymagał.

Szcześnie owa rana w zamieszaniu kosą zada-



na, wcale ciężką nie była; trochę z niej krwi uszło, lecz skóra tylko była przecięta.

W pierwszej chwili chciano posłać po felezera do Kobrynia, na gubernię, ale pan Hojski, który z szablami miał nieraz do czynienia i ran się napatrzył, uznał, że się bez felezera obejść było można w wymienienie. I jakkolwiek mu szło wiele o zdrowie syna, nie radby był felezera wzywał, aby historia owej bójki z chłopami się nie rozchodziła.

Postanowiono więc domowemi środkami dawać radę, a panua Bładyna upewniała, iż byle jej słuchano, przy pomocy plastra, który miała po nieboszczyku Strukezaszym, rana się przeciechno zagoi.

Burza szalała na dworze; gospodarz, na chwilę tylko wyszedłszy popatrzeć na nią z ganku, powrócił i siadł przy synu, a Strukezaszanka odprawiała modlitwy. Z wieczerzą się musiano wstrzymać, gdyż w taką ulewę półmisków z kuchni do dworu nie było sposobu przenosić. Nikomu się też jeść nie chciało, oprócz może pana Erazma, a tego ciotka życzyła sobie skazać na dyetę.

Ulewa, w pierwszej chwili nadzwyczaj gwałtowna, zaczynała się już zmieniać w deszcz spokojny, ale nadzwyczaj rześisty. Pioruny, które zrazu jeden po drugim były gdzieś w otaczające drzewa, kiedyniekiedy tylko padały i to coraz się oddalając. Chłopak z podgoloną głową przyszedł zapytać: czyby nie podawać wieczerzy? Strukezaszyc

go zbył milezeniem, lecz konieckonców przynieść ją kazano na przeciwek do izby stołowej.

Wzburzony jeszcze Hojski jeść nie chciał, napił się wódki, chlebem zakąsił i nie tknął nic więcej. Strukczaszanka zjadła trochę kaszki na mleku i chciała nią nakarmić chorego, ale ten się dopominał mięsa i na łóżku je zjadł z apetytem.

Po wieczerzy zwykle Strukczaszyc, chodząc po izbie jadalnej i bawialni, odmawiał pacierze. I tego dnia nie opuścił ich, lecz kończyły się one regularnie najpóźniej o jedenastej godzinie, poczem wołał chłopca, kazał sobie buty ściągać i szedł na spoczynek.

Tego dnia już blisko było dwunastej, a nieśpiąca panna Blandyna, która dla odmiany kompres nad drzemiącym siostrzeńcem czuwała, słyszała jeszcze brata chodzącego ciągle po pokojach.

Deszcz i burza już były zupełnie ustały, na podwórzu zaczynało się wyjaśniać i czarne tylko, porwane obłoki za chmurą uciekały na lasy; Strukczaszyc wyglądał oknami, wychodził na ganek, a spać się nie kładł.

Niecierpliwiło to siostrę, a choć wiedziała, że ze Strukczaszycem, gdy co wziął do serca, niepodobna było wygrać sprawy, postanowiła choć spróbować namówienia go do spoczynku.

Wyszła więc.

— Ale co-bo pan brat drepcze, drepcze! Kiedy już po północy, toż czas dawno spać.

— No, to asińdzka śpij! odparł stary — śpij! Czyż i nademną będziesz komenderować i przewodzić.

— Dajże mi pokój!—

Odwrócił się i na tem rozmowa i próba się skończyła.

Wistocie nie mógł położyć się pan Hojski dopóty, dopóki-by się z powrotem Morawca nie doczekał, bo na wychodnem mu szepnął, że o którejkolwiek porze powróci, żeby mu się natychmiast meldował.

Prawda, że od dworu w Sierhinie na łąkę Osowiecką, był dobry kawał drogi, a i siana też, tam gdzie wozy, konie ani woły, dla grzęzawicy, nie mogły wleźć, samotuzkiem je ściągając, nie można było tak rychło zabrać.

Że noce w Czerweu krótkie, już dobrze dzień zaczynało i ptactwo się budziło, gdy nareszcie wśród ciszy wyteżone ucho Strukezaszycy pochwyciło tentent konia zbliżającego się ku dworowi.

Ani chybi—musiał to być Morawiec. Gospodarz wyszedł z pościechem na ganek. U bramy już stary ekonom z konia zsiadał, a w brzasku dnia spostrzegłszy biały kitel pański, żwawo ku niemu śpieszył. Sama ta rzeźwość ekonomy dobrym była znakiem.

Strukezaszyc, mimo stojących od deszczu kałuży, zeszedł do połowy dziedzińca.

— A co? spytał.

— Wedle rozkazania! począł, kłaniając się Morawiec, od którego mocno wódkę czuć było.

Pan Hojski przystąpił bliżej.

— Była straż?

— A jakże i trzech stało, z których dwu leży: dostali dobrą pamiątkę i w kij ich powiązać kazalemu. Trzeci, bestya, uciekł, com się bał, żeby gromady nie naprowadził; ale jak się burza rozpostarła—strach jak szalała; sądny dzień był na błocie; pioruny waliły tylko patrzeć kto żyw! Musiał gdzieś przyczepnąć. A my czasu nie marnowali, het siano zgarnęli i do wody, do prudu, w trzęsawicę.

— Już my z Osowca schodziliśny, gdy gromada od Łopatycz poczęła biedz—a no, po harapie. Siana i źdźbła nie zostało.

— Ani im, ani nam! mruknął pan Hojski. A ludziom się dobrze dostało?

Morawiec głową pokiwał.

— Aby się wylizali—rzekł krótko.

— Weź sobie asińdziej kasztanowatą—co zpod Sapieżanki—dodał pan Hojski.

Morawiec się do nóg pokłonił.

— O tem, co się z panem Erazmem stało, ani mrumru—rzekł Strukezaszyc. Będą gadać.—po-

wiedzieć—jakożywo, pisarz był Ilryniewicz. Co to dziś?

Morawiec, który, w lepszym będąc humorze, przysłowia „niby“ używał—dodał żwawo:

— Niby czwartek.

— Czwartek — powtórzył Strukezaszyc. Już bądźcobądź, ja w tem, że pan Erazm w niedzielę się pokaże w kościele, zdrów i rumiany. Tem im gęb / zamaluje. Choćby trochę i pokawęczał, co robić Zresztą zechcą pleść, niech plotą.

Dzień się już robił na dobre, Morawiec miał prawo do spoczynku, który się też i staremu panu należał, rozeszli się więc po cichu, właśnie gdy na folwarku dziewczęta do roboty już budzono.

Panna Blandyna, nie rozbierając się, z różańcem w ręku, spała w krześle, na najmniejszy szelest się zrywając i przysłuchując czy Erazm zasypia.

Ranny spał młodym snem, lecz niespokojnym, rzucając się, mówiąc przez sen, pokrzykując i wcale na rękę chorą niemając względu.

Po kilkakroć usiłowała dla kompres i przewiązania rany dobudzić się go ciotka, ale na próżno. Zaledwie na pół otworzywszy oczy, pan Erazm natychmiast je zamykał znowu i głośne chrapanie dowodziło, iż snu nadewszystko potrzebował.

---

W pomroce wieków zaginęła pamięć o tym kto

dwór w Łopatyczach fundował; ale że to był niegłupi człowiek, na to się zgadzali wszyscy. Na kilkadziesiąt mil w koło nic nigdzie podobnego nie było. Wśród tych równin i moczarów, kto sobie dawniej wyższy nieco i suchszy hrud upatrzył, a przyparł się do lasku, już się mógł bardzo szczęśliwym nazwać. Przeworniejszy nierównie fundator anonimus Łopatycz, wynalazł sobie wodociąg, zwaną Prudnikiem. a kędyś z głębi starej Puszczy Kobryńskiej płynącą.

Czy natura w tem miejscu sama tak rzeczulką zakręciła, czy jej rydel i łopata dopomogły, dosyć że Prudnik dzielił się tu na dwa koryta, obejmował niemi rodzaj wysepki, i nieco opodal, znowu się łącząc w jedno, biegł gdzieś dalej ku Muchawcowi, zwanemu w dawnych czasach Muchą.

Wyspa, dosyć spora, a co lepiej, wyniesiona tak, że jej na wiosnę wody wezbrane nie zalewały, chyba gdzieś trochę, zasadzona była przed laty olchami, wierzbami, sosnami i świerkami, tak, że wyglądała gdyby koszyk zielony. Olchy szczególnie, co to lubią żyć na moczarach i nad wodą, tak tu bujały, że miło na nie patrzeć było, a świerki też zdawały się z niemi iść na wypródkę, choć i starym wierzbom nieobcynanym nie zarzucić nie było można. Pięły się do góry, jakby do tego miały prawo.

Jedna część wyspy, niby laszek gęsty, bardzo pię-

knie zarastała, a i nareszcie jej porozrzucane stare drzewa pozostawiano między budowlami, i po brzegach jakby obszycie z olch zostało dokoluteńka.

Z pośrodku tej gęstwiny i zieleni wyglądał dwór stary, co się zowie okazały, choć w znaczniejszej części drewniany; dalej, to tu, to owdzie, stały lamusy, serniki, kaplica, skarbiec—wszystko porządne, na podmurowaniach kamiennych, a że się tam ludzie kochali w tem, żeby to pięknie wyglądało, wyspa niemal cała była poobwodzona płotami z polnych kamieni, o które nietrudno w okolicy. Te szare głązy, przybłądy z zamorza, gdy się do nich poczepiają rozchodniki, chmiel, perestupy, białe polne powoje, co migdałami pachną—rozkosz patrzeć, jak to śliczne.

Od gościńca kobryńskiego do dworu, przez Prudnik prowadził most fundamentalny, bo i szeroki tak, aby pańska kolasa wygodnie po nim przejść mogła, i na palach dębowych, gęsto pobitych oparty, że się nie ugiął pod największym ciężarem.

Mówiono o Łopatyczach, że tam jak u Pana Boga za piecem się siedziało, a uchowaj Panie, zawieruchy jakiej, można się było nawet jakiś czas i bronić.

Rzeczka, choć niepokazna, głęboka była i grzęzka. Ludzie w niej łapali piskorze, raki, a kaczki i gęsi miały prawdziwą rozkosz, bo mogły odbywać podróże daleko poza dwór, najczęściej też dopiero na noc wracały. Była i sadzawka, w które

trzymano i karmiono ryby na stół pański, choć się ludzie skarżyli, że mułem je czuć było.

Do Łopatycz, jak-eśmy mówili, wsi i przysiółków należało jeszcze dosyć, i dobra były znaczne. Niedys one do książęcego zamku w Kobryniu należały i służby odprawiały; potem, jak wiele innych dóbr podobnych, oderwało je jakieś książątko, i w dziedziczne obróciło. Czemeryńscy już od kilku pokoleń Łopatycze trzymali — od kilku też pokoleń, Łopatycy dziedzice o sporą sianożęć, zwaną Osowcem, spierali się z właścicielami sąsiedniego Sierhina. Łopatycze oprócz tego, miały pretensję bodaj, że na ich gruntach nawet dwór stał Sierhiński, a w Sierhinie było podanie i tradycya, że ogromny szmat lasu przytykający do Osowca, trzymany już zdawna przez Łopatyekich dziedziców, należał niegdyś do Sierhina.

Toczyły się o to procesy, ciągnęły się, wlokły i końca im nie było, a tymczasem coroku powtarzały się krwawe boje na Osowieckiej sianożęci. Odgrażał się p. sędzia Czemeryński; milcząc swoje robił, niedając się w kaszy zjeść, uparty Strukezaszyc Hojski; a dwie rodziny od wielu już pokoleń nienawidząc się, omijały się wzajemnie. Przy nienawiści, jaka je dzieliła i zajściach nieustannych, które ją rozżarzały, to omijanie się z niemaleni było połączone trudnościami. Obie wioski *in primis* do jednej należały parafii, a choć p. sędzia Czemeryń-



ski kaplicę własną miał u siebie, nie mógł się wyrzec zupełnie parafialnego kościoła, do którego kilka razy w rok na wielkie uroczystości stawieć się musiał. Spotykano się więc w kościele, a bywało, że się trafiło zjechać i u sąsiada. Najczęściej wówczas jeden się wynosił jak mógł najrychlej, niekiedy jednak nie wypadało uciekać. Bokiem więc chodzili, nie chcąc się znać, Czemeryński i Hojski.

Pierwszy z nich na pana chorował, a tamtego na jednej, choć dużej, wsi, miał za hetkę pętelkę. Hojski znowu na Czemeryńskich wydziwiał, dowodząc, że choć od kilku pokoleń szlachtę udawali, jakoby żywo nią nie byli. Żartował sobie z nich, zowiąc ich mieszczanami Czarnawczyckimi.

Tymczasem Czemeryńscy już i książęce i senatorskie mieli kolligacye i pieli się tak, że na Hojskich patrzeć nie chcieli, nazywając ich hołotą.

Że pomiędzy często okrutnie rozwścieczonemi na siebie rodzinami, do starcia, napadu i krwi rozlewu nie przyszło, przyznać to było potrzeba wyraźnej łasce Bożej. Strukczaszye też Hojski, żelazny człek, był milczący i nieporywczy, a Czemeryńskiego rodzina i blizcy chronili i zabiegali, aby burdy nie poczynął. Ciągnęło się to tak już od niepamiętnych czasów, ale ludzie ciągle prorokowali, że kiedyś jednak będzie nieszczęście z tego. Tymcza-

sem, prawie równolatki, Czemeryński i Hojski postarzeli, zdala na się patrzac i fukając.

Tego dnia gdy do Sierhina raunego p. Erazma przywieziono, w Łopatyczach byli goście, a że sędzia Czemeryński lubił przyjmować i zabawiać się, występować po pańsku, i pana grać rolę, nikt ani pomyślał o tem, że na Osowieckiej dyferencyi tragedya się odegrywała. Skład dworu w Łopatyczach cale nie był podobnym do szlacheckiego, skromnego, acz zamożnego, domu p. Strukezaszyca.

Pan Bonifacy Czemeryński, częstogęsto w stolicy bawił, w polityczne i sejmikowe sprawy rad się mieszał, stosunkami wysokimi się chlubił, korespondował z królewską kancelaryą. z dygnitarzami, miewał sobie powierzane funkcye różne publiczne i sekretne: wysoko też głowę nosił.

Ludzie utrzymywali, że niepospolite miał zdolności, zwano go statystą i on sam sądził się pewno zdolnym do najwyższych funkcyj. Dotąd jednak, choć się nim z Warszawy chętnie posługiwano, do wyższych godności, mimo zabiegów, nie dopuścili go ci, co lepiej nad niego starać się o nie umieli.

Czemeryński był niegdyś bardzo pięknym mężczyzną, co na nim dziś jeszcze widzieć było, stroił się zawsze bardzo starannie, i w domu, choć gości nie miał, nigdy się nie zaniedbywał. Lubiał mówić i wyrażał się z pewnym doborem wyrazów nieco wyszukany, trochę rozwlekle, głos podnosząc i

zniżając, jakgdyby przed kratkami stał. Z domowymi nawet i w prywatnem życiu nie schodził z tego stanowiska oratorskiego: słynał też z wymowy i nikt mu jej nie zaprzeczał. Może dlatego lubił się otaczać słuchaczami, gości witał chętnie, a gdy nieznanomego schwytał, który go nigdy jeszcze nie słyszał, występował natchniony przed nim, wyszukując przedmiotu do opowiadania, któryby z całą elokwencyą dozwolił się popisać.

Domowi uważali, że się często powtarzał w swych oratorskich wystąpieniach, lecz za każdym razem podziwiano piękny talent jego.

Z powierzchności Czemeryński nikomu z magnatów nie ustąpił: wzrost miał piękny, postawę kształtną, rysy twarzy szlachetne, choć wyrazu pozbawione, uśmiech przyjemny, układ całe dworski. Niebieskie oczy mocno wypukłe, wdzięczne choć nieco wystające wargi, czoło wspaniałe, fizyognomii jego nadawały rodzaj majestatyczności imponującej.

Sama pani sędzina Kassylida z Horbowskiich Czemeryńska, z którą się jegomość ożenił z przywiązania, choć była ubogą panią, kobiecina prostoduszna, dobra, męża uwielbiająca, posłuszna mu. uśmiechnięta zawsze, wykształceniem nie równała się z mężem, sercem go przewyższała. Widać na niej było, mimo wieku, ślady owej miniaturowej piękności, którą sobie serce małżonka pozyskała.

Była blondynką, maleńkiego wzrostu, ale ślicznych rysów twarzy, drobnych; a rączki pulchnotkie, lilipuciej maleńkości, starannie pielęgnowane i nóżki zawsze w maluśkie trzewiczki na korkach obute, wielbili wszyscy przyjaciele domu prozą i rymami.

Najlepsza w świecie istota, kochała męża, przepadała za córką jedyną, rada była sobie zjednać serca wszystkich i prawie gniewać się nie umiała. Gdy ją co bardzo oburzyło, popłakiwała w kątku. Było to pięćdziesięcioletnie dziecko, a nawet ruchy, uśmiechy, mowę, mimo wieku, miała jakąś dziecianną. Sama jedna w domu, gdyby nie jegomość, nigdy-by w świecie sobie rady nie dała. W najmniejszej też rzeczy po radę musiała iść do jegomości i po rozkazy, za nic niechęcąc na siebie brać odpowiedzialności.

Wychowania najdroższej obu państwu, jedynej córeczki, teraz już lat dwudziestu dochodzącej, sędzianki Leonilli, matka także na siebie wziąć ani mogła ani chciała. Czemeryński, który ją jedną miał a wysoko nader patrzył, umyślił jej dać wychowanie jaknajświeńsze, marząc o tem, że conajmniej mitrą księżącą piękną jej główkę nwieńczy.

Pieszczone, chuchane, pierwsze w domu dziecię jedyne, sędzianka Leonilla była tak śliczną jak oboje rodzice. Wyrosła tylko, znacznie wzrostem

przechodząc matkę, a rysami twarzy i ją i pana sędziego przypominała. Miała jego piękne, lazurowe oczy wypukłe; matusi—nosek marmurowy, usta cudnego kroju, rączki i nóżki maleńkie i arystokratyczne. Tej piękności dodawały uroku włosy, jakich, zdaniem matki i bony Francuzki, drugich podobnych nie było na świecie. Koloru blond popielatego, jak jedwab' delikatne, rozpuszczone, okrywały ją płaszczem po kolana. Ciężko jej było nosić bujne warkocze; ale któżby śmiał dotknąć ich świętokradzkimi nożycami?

Leonilka, której zawczasu dano bonę Francuzkę, panią St. Aubin, osobę niegdyś do dobrych towarzystw nawykłą i talentów pełną, rozmarzoną i exaltowaną, wiele od niej skorzystała, lecz skutkiem połączonych pieszczot matusi, ojca, bony i wszystkich domowników, wyrosła na śmiałą i samowolną istotę.

Onego czasu jeszcze o emancypacji kobiet, według naszych pojęć dzisiejszych, mowy nie było; miasto spierać się o nią w teorii kobiety większego świata za Augusta II-go i jego następcy,— w praktyce do wyswobodzenia się zupełnego dążyły. Uznaniem zostało powszechnie, bez wchodzenia w rozumowanie nad tym przedmiotem, że piękne panie miały prawo czynić co im się podobało, zwłaszcza gdy sentymenta i serdeczne porywy za wymówkę służyły. Rozwodziło się też i pobierano,

nadużywając praw owego sentymentu i afektów, które im gwałtowniej wybuchały, tem krócej trwały.

Pani St. Aubin hołdowała tej teorii postępowej, że serce wyższe miało prawa nad te, które pospolitemu życiu służyły i pospolitymi rządziły ludźmi. Naturalnie, prawa te wyjątkowe tylko klassom wykształconym społeczeństwa przysługiwały i monopol szczęśliwości dla nich był przeznaczony.

Sama sędzina, o której uszy obijały się niekiedy teorye pani St. Aubin, nigdy w życiu nie ośmieliłaby się była zaprzeczać im, lecz słuchając ich przybierała minę zafrasowaną, skłopotaną, milczała i—widać było po niej, iż nie rozumiała całkowicie tej nowej filozofii życia.

Zaprawdę, trudno określić jaką była pauna sędzianka, kończąc wychowanie, z jednej strony religijne i staroświeckimi maxymami przejęte, z drugiej sentymentalnością i światowemi wpływy Francuzki trochę pobalamuczone. Natura, dając jej umysł nadzwyczaj pojętny, rozum przenikliwy, uczucie zarazem gorące i ku szlachetnym podlatujące ideałom, obdarzyła ją przecuciem i instynktem cudownym, który, od przesady w obu kierunkach wstrzymywał, sprzeczność ich wskazywał, a z sądem o życiu i świecie kazał czekać doświadczenia.

Leonilka milczała, słuchała, nie umiała dobrze pogodzić tego, co mówiła matka, z tem, co wychwa-

łała pani bona; nie przechylała się na żadną stronę: ale z wielkiem pragnieniem życia i doświadczenia patrzała na świat i czekała na to, by się przed nią wrota jego otwały.

To, co miała przed sobą na wsi, było dla niej chyba tylko wstępem do życia, obiecywała sobie więcej, szerzej, świetniej.

Tymczasem, mniemając zapewne, iż książki malowały społeczeństwo, czytała wiele i bez wyboru, a opowiadania pani St. Aubin służyły za komentarze i criteria.

Sędzianka w Łopatyczach wśród otoczenia, którego była królową, wszystkich przechodziła bystrością umysłu i czuła się wyższą; pomimo to było to dobre, wesołe, szczęśliwe dziecię, ciekawe, łatwo się zabawić dające i ożywiający dwór swym wdziękiem i dowcipem.

Mówiliśmy już, że Łopatycze częstych miewały gości: sędzia z gościnności słynął. Miano go za bardzo możnego pana: boć wsi różnych i folwarków liczyło się za nim sporo; życie było pańskie, służba liczna — i Czemeryński rad mawiał, że mu tam tysiączek dusiów różnicy nie robił.

Czy to było prawdą, sam Pan Bóg wiedział o tem; na święto-jańskie kontrakty czasami trochę biegano za pieniędzmi, lecz procenta się płaciły regularnie i bez zwłoki. Długi bowiem miał sędzia i to spore. Jedne intabulowane były, drugie za kie-

szonkowemi skryptami i obligami; nie liczył nikt ile razem wynosić mogły—lecz coroku ich, zamiast ubywać, przyrastało.

Miał sędzia talent osobliwy zaciągania długów, tak jakoś zawsze, że nie on o pożyczanie prosił, tylko jego o lokatę błagano. Szlachta do kolan się kłaniała, sędzia wahał się nawet i opierał, a konieckońcem nie mógł poczciwemu szlachecowi odmówić i skrypt wydawał. Ubodzy ichmość z województwa Brzeskiego, ba i z Podlasia, sędziego mieli za tłusty połeć, a że procenta uiszczzał, niekając po nie jeździć kilka razy, kredyt miał wielki.

Czy sam Czemeryński dokładnie miał spisane swe długi i zdawał sobie sprawę ze stanu majątku? za to ręczyć nie można; lecz, że wspaniale pieniądze używał, bez skąpstwa i nierozpadając się nad groszem każdym, wiedzieli wszyscy.

Coroku z Gdańska przychodziły obfite prowizye do domu, wina, bakalij, cukru, kawy, korzennych przypraw, a niekiedy i sprzętu wytworniejszego; z Węgier sprowadzano wino stołowe pospolite i Tokaj-kapkę, który był od wielkiego dzwonu.

Stroje dla pań, szczególniej dla Leonilki, przychodziły też z zagranicy, równie jak farfury, szkła, materya, a nawet sukno dla samego jegomości. Czemeryński gusta miał pańskie, a o czemkolwiek zasłyszał, że w używaniu było u osób dystyngowanych, to zaraz u siebie mieć musiał.



Dnia tego zjechał był właśnie pan Podkomorzy Buchowiecki w gościnę do sędziego, gość ulubiony Czemeryńskiemu, bo z wielu względów charakterem do niego podobny, lecz nierównie czynniejszy. Buchowiecki miał też o mil kilka od Łopatycz dwór na stopie nowoczesnej, sam się już był przebrał po francuzku i życie pędził na politycznych robotach, trzymając się stronnictwa Czartoryskich i Fleminga.

Podkomorzy całe niemal życie z powodu tych zabiegów sejmikowych, processowych, jednania sobie sere obywatelskich i dworowania magnatom, których trzymał stronę, spędzał w podróżach. Stały się one dlań nałogiem, potrzebą, tak, że gdy w domu siedzieć był zmuszonym — tęsknił. Czemeryński, leniwszy daleko, mało się ruszał z domu, był więc dlań Buchowiecki łącznikiem ze światem, przynosił mu wieści oryentujące, stawał się najpożądalszym z gości. Puszczała się oba naówczas w rozprawy nad możliwemi skutkami kroków uczynionych przez Czartoryskich lub zamierzonych przez Fleminga, o czem Podkomorzy zawsze bywał przed innymi uwiadomiony.

Zdawało się Czemeryńskiemu, iż elokwencyą swą wpływał kanałem Podkomorzego na postanowienia, jakie w wyższych sferach czyniono. To go w dumę wbijało. Można więc sobie wystawić jak Buchowieckiego przyjmowano.

Podkomorzy, który od lat kilku dopiero, gwoli swym przyjaciółom politycznym, przebrał się po francuzku, trochę był jeszcze w stroju tym sztywnym, nieco śmiesznym; peruka mu zawadzała, nogi w pończochach marzły, kamizelka nie zastępowała pasa, i z tego powodu zapewne często się w zwierciadłach przeglądał, a zawsze coś na sobie poprawiał. Nie był to nigdy piękny mężczyzna; twarz miał pospolitą, piernikowej barwy, oczy bure maleńkie; lecz nadzwyczajna żywość, ruchawość, gadatliwość i śmiałość w towarzystwie, przyjemnym go czyniły. Jak tylko przybył Buchowiecki, podano śniadanie i panowie zasiedli, rozprawiając *de publicis*, gdy Śliwka ekonom się zameldował.

Był to suchy, mały, ospowaty człeczyna, nie mówiący wiele, lecz nadzwyczaj sprężysty i do utrzymania porządku rygiorem jedyny.

Czemeryński, gdy mu dano znać, że Śliwka czeka w przedpokoju, ponieważ to przerywało rozmowę, niezmiernie się oburzył.

— Na rany Pańskie! niech-że mi da pokój, widząc, że mam w domu tak dostojnego i miłego mi gościa!

To mówiąc, patetycznie ręce wyciągnął. Ale Paweł, kamerdyner, przyglądając włosy, szepnął:

— Sprawa jakaś pilna, extraordynaryjna!

Usłyszawszy to sędzia, pędem wybiegł do przedpokoju, gościa przepraszając. Śliwka stał ponuro,

w ziemię patrząc, w kurtce, butach długich, z bizunem przez plecy.

— Jakże możesz o tej porze, tak niewłaściwej, mój Śliwka, inkomodować mnie drobnostkami! Gdzie się to? przyzwoita-li? potrzebna?

— Jaśnie panie—odparł chrypliwie ekonom— Sierhińscy chłopci het koszą na Osowcu, jak raz bez przeszkody zetną trawę.

— Wiadoma rzecz, że tego się dopuszczać nie godzi!—zawołał żywo Czemeryński. — Po cóż o to pytać! Sankeyonuję zawsze co w tej mierze przez acana jest uczynione.

— Przecież tam się bez bójki i awantury nie obejdzie— rzekł Śliwka. — więc trzeba, żeby jaśnie pan był uwiadomionym.

— Zabijać nie trzeba, ale bić co wlezie! — odezwał się sędzia. gwałt gwałtem odpierać. — Szlachetka sobie pozwala, rozumu nie ma; okaż-że mu acan, iż z nami się mierzyć nie może. Z lada czem nie występujcie, wziąć ludzi z innych wiosek i nauczyć ich, co to zemną wojować.

Trochę rozgrzany tem sędzia, już się miał w wymowne puścić instrukcye ekonomowi, gdy nagle, oczekującego Buchowieckiego przypomniawszy sobie, urwał, kończąc summarycznie:

— Masz acan normę z lat poprzednich — zatem według niej proszę postąpić i zważać, abyśmy szwanku nie ponieśli.

Skłonił się Śliwka i wyszedł.

Tego mu tylko potrzeba było: wyraźnego rozkazu i dyspozycyi, aby w razie jakiego nieszczęścia sam nie odpowiadał. Wszystko zresztą było w gotowości: Bracki pisarz z koniem okulbaczonym stał zabramą; ludzie ze wszystkich włości, co-najzuchowatsi, już byli pościągani. W takich okolicznościach zwykle im wódki obficie dawano, a że oprócz tego Łopatycy zab mieli do Sierhińskich, szli więc z ochotą wielką. Bracki pisarz, hoży chłop, awanturnika kawał, dość jednostajne funkeye swe przy lamusach i gorzelni rad był urozmaicić, dowodząc ludziom przy napadzie.

Śliwka jako hetman i wódz wyprawy, sam osobą swą nigdy się nie narażał, stawał zwykle na hrudku, w błoto się nie puszczał i wołaniem tylko ludzi zagrzewał.

— A wal-że ich! a wal! nie żałujcie kijów! w lesie ich rośnie dość.—Popraw! popraw! i t. p.

Wiemy już jakie były skutki napaści na kosiarzy Sierhińskich i że p. Erazma skaleczonego i potłuczonego, gdy rozzbrając zamierzał, ledwie ztamtąd Morawiec wyrwał. Jednakże Bracki, który się nadto naprzód wysforował, także nie wyszedł cało. Nabito mu guzów, rozplątano skroń do krwi, i odzież na nim poszarpano. Zwycięstwo przeważających sił okupione było drogą. Z Łopatyekich ludzi jeden miał rękę przetrąconą, drugi nogę zwi-

chniętą, nie licząc pomniejszych sińców i bolesnych razów.

Już pod wieczór Śliwka, ludziom kazawszy dać wódki dla zapicia sprawy, sam z Brackim udał się do dworu z raportem, chcąc też pisarza stawić do wizyi pańskiej, bo mu się nagroda należała. Właśnie Buchowiecki był odjechał, i znużony nader żywą rozmową Czemeryński, muchy opędzając chustką, sam jeden w kancelaryi swej odpoczywał, gdy Śliwka wszedł z ukłonem, wiodąc za sobą Brackiego.

Zobaczywszy ich zrazu sędzia, którego myśli były jeszcze w Wólczynie i Terespolu, nierychło się opamiętał i przypomniał sobie o co chodziło. Dopiero rozbita głowa Brackiego pamięć w nim zbudziła. Zerwał się z krzesła.

— Cóż tedy?

— Stało się według rozkazu jaśnie paui—odezwał się Śliwka powolnie i dobitnie.—Szczyściem że ja wyszedłem cało, bo bójka była zajadła, ale oto Brackiego poturbowali dobrze.

Czemeryński spójrzył nań.

— Na czymże się skończyło? jaki rezultat finalny?—zapytał.

— Naturalnie, proszę jaśnie pana, żeśmy ich spędzili precz, nabiwszy.—To się rozumie — odezwał się Bracki— a no—co się bronili zuchwale, to bronili. Ale mają za swoje!

— Jeszcze, proszę jaśnie pana—dodał z ironicznym uśmiechem Śliwka, pana Strukezaszyca syn, chcąc niby rozjemcą być, niepotrzebnie wlaź między ludzi, to i tego raniono szpetnie. Ledwie go ekonom, mało nie na rękach salwował. Plejzyrowany!

Czemeryński szeroko rozwarł usta.

— Co-bo powiadasz?—zawołał.

— Jak mi Bóg miły—powtórzył Śliwka.

— A no, pewno! potwierdził Bracki.

Sędzia stał chwilę zamyślony, kombinując coś.

— Dobrze mu tak! — krzyknął nagle, dobrze. Gdyby samemu Strukezaszycowi się dostało, nie rzekłbym nic—niech w szkodę nie liżą, niech cudzego nie zagarniają! Dobrze! stokroć dobrze!

— Siano-śmy przeciągnęli na naszą stronę—dodał Śliwka.

Sędzia głową dał znak pochwalający, poszedł do kantorka. debył coś z niego, u okna obliczył, i stojących w progu obdarzył za wierne posługi.

Wyszli. Czemeryńskiego twarz, zrazu rozpromieniona, pochmurniała wkrótce; rachował może następstwa. Przeszedł się parę razy po kancelaryi, lecz że do wieczery dano znać, wyszedł na pokoje. Tu nań pani sędzina i Leonilka, pani St. Aubin i ksiądz kapelan z Brześcia, Dominikanin, oczekiwali.

Ksiądz Ambroży, którego nie znamy jeszcze, ex-

definitory, człowiek wiekowy i poważny, zdolny w rozmowie dostać choćby wymownemu sędziemu: posyłanym tu był z klasztoru, dla wygodnego i spokojnego życia, jakie tu pędził, i dla towarzystwa miłego Czemeryńskiemu. Wchodzącego do salki bawialnej powitała pieszczotami córka i spostrzegła zaraz chmurkę na twarzy.

— Podkomorzy tatkę musiał zamęczyć — odezwała się paucienka z politowaniem.

— Ale nie, jako żywo! lubię go — odpowiedział Czemeryński. Rozmowa w tych przedmiotach, które się tyczą spraw publicznych — jest dla mnie prawdziwą rekonfortacją!

— A cóż tatkowi jest? — zapytała córka, za którą matka, wlepiając oczy w ukochanego, szepnęła.

— Jegomość — bo istotnie coś zaturbowany!

— To powszedni chleb, łaska kochanego sąsiada, tego szlachetki Strukeczaszyca, który mi pod bokiem siedzi! no!

— A cóż? co? — podchwyciła córka — cóż nowego?

— Nowego, bo się *idem ibidem* co roku regularnie repetuje, począł Czemeryński, z tą jedną małą różnicą, że w dżdżyste lata wcześniej, w posuchy później przychodzi. Znowu mi ci rozbójnicy Sierhińscy łakę moją na Osowcu kosić próbowali, znowu siłą napaść i wioleńcęgę odpierać musiał; przyczem waleczny rycerz Bracki kontuzyi dostał.

Gdy to mówił, ze smutną jakąś i zakłopotaną minką przypatrywała się ojcu Leonilka. Wcale ją to nie radowało; ksiądz ex-definitor milcząco głową potrząsał, jejmość twarzyczką całą okazywała grozę i oburzenie. Pani St. Aubin nie zdawała się na sprawy te powszednie zwrócić nawet uwagi.

— Tandem, ciągnął dalej wymowny sędzia, zmuszając się nieco do okazania radości, tandem naturalnie wiktorya przy nas; nieprzyjaciół z konfuzyą opuścił pole bitwy, łup siana pokoszonego zabrano, a jw. pan Strukezaszyc, miły sąsiad nasz, jegomości synkowi swojemu, wchodzącemu w jego ślady, plastry teraz przykład. bo się kawaler wmieszał czynnie między walczących. i pono kosą szpetnie został raniony!

Z ust panny Leonilli, której piękne brewki się zmarszczyły, wyrwał się wykrzyknik:

— Cóż znowu! Czyż może być!

— A cóż w tem dziwnego?—odparł Czemeryński, rodem kury ezubate: kawaler czasu nie traci: zamiast się zapisać do chorągwi, wojuje z chłopami! Zawsze to dowodzi rycerskiego ducha!

Jejmość przystąpiła, stukając trzewiczkami na korkach, dotknęła ręką dłoni mężowskiej i podnosząc główkę zwiędłą a dziwnie wyrazem dziecinna, szepnęła:

— Czyż to może być?

— Juścić-bym nie komponował — odezwał się



sędzia. Śliwka z Brackim tylkoco wyszli odemnie. Spodziewam się, że nie kłamią. Bracki paskudnie pobity!

I śmiać się począł sędzia; kobiety, już nie przedłużając rozmowy, cofnęły się nieco ku oknu, a Czemeryński został w posrodku pokoju z ex-definitorem.

Domiukanin głową ciągle potrząsał, nie nie mówiąc.

— Śliwka może powiedziec z Cezarem: *veni, vidi, vici*. Cieszę się z tego, mój mości dobrodzieju. Lecz, z drugiej strony— dodał, spoglądając ku kobietom i głos zniżając — z drugiej strony, nie taję, że z tego poranienia syna Strukeczaszyca nie bardzo rad jestem. Trzeba, jak ja, znać tego człowieka! Mruk zajadły, mściwy, zły, więc mu to żółci dodaje do serca, a jest jej w niem i tak dosyć. Należy się więc mieć na ostrożności. Nie żebym się miał lękać tego szerepetki—bynajmniej, ale na pieczy się mieć muszę bardziej jeszcze, bo na wszystko gotów. Imaginuje sobie pewnie, iż za jego szacowną krew szlachecką — równa jej popłynąć powinna.

Ruszył ramionami ex-definitor.

— Fatalny *casus!*—mruknał.

— Cóż jegomość dobrodziej chcesz—ciągnął dalej, znowu podnosząc głos sędzia, gdy kogo Bóg pokarał taką dokuką, taką *skutą* pod pachą, takim

wrzodem i pestylencyą, jak mnie oto tym sąsiadem! Ani dnia, ani nocy spokojnej nie mam.

— Znasz jegomość Strukczaszyca?

Ex-definitor potrząsł głową.

— Tylko, że go parę razy zdaleka widział.

— Ja też, ale znam to ziółko po zapachu, który do koła siebie rozlewa. Znam! — mówił sędzia — patrząc nań, rzekłbyś, Bogu ducha winien, pokorny, miłujący, trzymający się kąta, pary nie puści z ust, ale z oczów — fraszka wileze wejrzenie, gdy w jamę wpadnie złoczyńca. Nie piśnie, nie poskarży się, nie mruknie, a zmóźd go niema sposobu.

— Jakiż temu koniec będzie? — zapytał ex-definitor.

— Wiekuista wojna, po wszystkim — rzekł Czermeryński. Nie stanie starego — syn już począł, odziedziczy po nim sentymta, chyba, gdy Bóg da zięcia z energią, to szlachetkę zagryzie. Dałem się mu i ja we znaki, ledwie dysze, bo się na processa zrujnował, ale póki koszulę mają na grzbiecie, nie ustąpią.

Ex-definitor, który wiedział dobrze o zamożności Hojskich, bo nieraz w klasztorze znaczne depozyta czasu niepokojów składali, nieznacznie ramionami poruszył.

— Do koszuli to tam jeszcze daleko, szepnął — mają się oni dobrze!

Sędzia wpatrzył się w mówiącego.

— A zkąd-że to jegomość o tem możesz wiedzieć? — spytał. Ludzie twierdzą, że Tadeusza śpiewają. Jedna wieś, niezgorsza prawda, bo się zaborami po całym sąsiedztwie zapomogła; po żonie posagu wielkiego nie wziął.

— Ja tam nie wiem — rzekł zeicha ex-definitor, lecz że kapitały bardzo znaczne w rękach mają, które nieraz u nas deponowali, rzecz to wątpliwości nieulegająca.

Czemeryński zdawał się tą wiadomością mocno uderzony.

— Na prawdę to jegomość twierdzisz! — zapytał.

— Nie śmiałybym na lekko, jaśnie wielmożnemu panu takich rzeczy do ucha kłaść — dodał ex-definitor. Gdy razą ostatnią kufry swe przywiezli, oddając księdzu przeorowi i klasztorowi w opiekę, deklarowanych mieli piętnaście tysięcy czerwonych złotych, oprócz talarów bitych i innych kosztownych przedmiotów.

— Proszę! proszę! — rzekł zadumany Czemeryński. Tem ci gorzej, bo ich znać trybunały nie zrównowały, i dojadać mi będą, póki grosza stanie. Tandem, skazany jestem na wiekuiste borykanie się z nimi!

Westchnął.

— Ludzie-bo się godzą—czasami!—dołożył ex-definitor.

Usłyszawszy to Czemeryński, w głos się rozśmiał.

— Jak świat światem, mój ojcze, nie będzie Hojski Czemeryńskim bratem! Ja z torbami nie pójdę, Bóg łaskaw, a ich z niemi wyprawię! Będzie zgoda, jak tych hołyszów nie stanie!

— Ani ich dukatów, ani ich zajadłości się nie boję. Co Czemeryński, to nie jakiś tam Hojski—ale ale—*usque ad finem!* nie ustąpiemy!

---

Kościół parafialny do którego i Sierhin i Łopatycze należały, jak wszystkie prawie w tych okolicach, z drzewa był wystawiony, drzewem był restaurowany i poczerniawszy a zawiądłszy, trzyma się jeszcze wcale niezle, choć z jednej strony, dla bezpieczeństwa, miasto szkarp, silnemi kłodami go podpierano. Powierzchność miał skromną, i stał re chyba drzewa, otaczające go dokoła, dodawały mu fizygnomii. Jak kościół sam tak dzwonnica bez żadnego względu na piękność zbudowane były. Cmentarzyk, oparkaniony nieładnie ale mocno, opasywał go dokoła.

Pomimo tak zaniedbanej powierzchowności domu Bożego, parafia była wielka, probostwo dobrze wyposażone. Lecz z dawien dawna po sobie następujący proboszczowie, o własne wygody i o pokazność kościoła dbać się nie zdawali. Nie była to

obojętność dla chwały Bożej, lecz tylko pojęcie, że chwala ta wystawnego gmachu, ani nęcących oko ozdób nie potrzebowała.

Kościół był wewnątrz czysty, nie zaciekało nigdzie, ceglami wyłożona podłoga, choć miejscami ponadwerezana, całe jeszcze była znośną. Okna w ołwiu prawie całe. Staroświeckie ołtarze, potroszę złoczone, trochę malowane, pstrzyło ofiar, firaneczek, votów, kwiatów i obrazków mnóstwo, chorągwi przy ławkach stał cały las, ołtarzyk przenośny jeden i drugi stojący był zawsze świeży, organ prawie cały odpowiadał, a na podniesienie huczał pysznie—czegóż było żądać więcej? Elegancyi? a na cóżby się ona ludowi ubogiemu przydała, dla którego i tak domek Boży był aż nadto przyozdobionym?

Czystość w nim utrzymywano jaknajtroskliwiej; do nabożeństwa nie brakowało nic; baldachym nawet nowy z galonami na processyach wspaniale występował, a zakrystya obficie była zaopatrzona w aparata.

Proboszcz miejscowy, ksiądz Dagiel, który już lat kilkanaście parafii przewodniczył, był człowiekiem wielkiego ducha, lecz zarazem wielkiej obyczajów prostoty. Mówiono, że ze znacznej familii, niegdyś zamożnej, ale tak zubożałej pochodził, iż z miłosierdzia był w seminaryum utrzymywany. Pańskich domów nie widywał nigdy zamłodu, obcował

najwięcej z ubogimi, smaku też wykwiutnego nabyć nie miał ni czasu ni sposobności.

Tak samo było u niego w plebanii jak w kościele, czysto, schludnie lecz całe nie elegancko. On też sam wyglądał dziwnie: raczej na żołnierza niż na księdza. Na pierwszy rzut oka ogorzała, długa twarz jego z oczyma piwnemi, które zwyczaj miały wlepić się tak w ludzi, jakgdyby najskrytszych myśli z nich dobyć chciały — nie uderzała wcale. Ale im więcej się w nią było potem wpatrywać, tem też mocniej zastanawiała wyrazem odwagi wyzywającej do walki, choćby świat cały.

W rewerendzie z sukna grubego, w butach koźlowych, w bieliźnie niemal zgrzebnej, w czapce wytartej, ksiądz Dagiel szedł do pałaców tak śmiało jak do chat. Powierzchowność ta, umyślnie zaniedbana, nie znamionowała w nim wcale obyczajów i obejścia się z ludźmi zbyt surowego i ostrego. Zdawało się można było nastraszyć, bo żołniersko i zawadyacko wyglądał, lecz minę tę dawała mu chyba wielka jego nieśmiałość.

Z ludźmi był łagodny bardzo, a jak żyw nikt go nie widział gniewnym. Nie mówił wiele—znacząco kosztowało dobyć z siebie słowo; ale gdy raz usta otworzył, bez ogródki, z dobrocią, łagodnie straszną prawdę wypowiadał każdemu.

Ani dostojność, ani nazwisko, ani stosunki nie powstrzymały go nigdy od strofowania w oczy, gdy

to za obowiązek uważał. Za oczy znowu bronił każdego.

Ksiądz był ze wszech miar przykładny, bogobojny, gorliwy; lecz ze przymiotów towarzyskich nie miał. ludziom się nie akomodował, nie kłaniał nikomu, nie dawał się ująć niczem, nie lubiono go.

Szanować księdza Dagiela musiano, ale unikano stosunków z nim, i duchowieństwo nawet, dla którego był żywym wyrzutem częstokroć, stroniło od niego.

Na probostwie też ani się pożywić, ani zabawić nie było można: przyjmował gościennie bardzo, jednak tem tylko, co dla siebie miał i czego sam używał. On zaś sam spełna nigdy nie wiedział anico pić, ani czem się karmił.

Śniadanie na probostwie składało się prawie zawsze z czarnego chleba, niedobrego masła, prostej wódki, wędliny nieosobliwej i kwaszonych ogórków. Amatorów też na nie wielu nie znajdował ks. Dagiel. Przyjeżdżał doń tylko ten, kto koniecznie go potrzebował.

Choć żył dosyć osamotniony, nigdy się nie poskarżył na to; czynnym był bardzo, a że parafię miał rozległą i z filij pomocy nie wiele, nieustannie z bryczki swej na wóz, z wozu na bryczkę przesiadać się musiał.

Ksiądz Dagiel od objęcia parafii oko miał ciągle na Łopatycze i Sierhin, na waś, która dwa dwory

dzieliła. W Łopatyczach bywał rzadko, gdyż tam dlań za pańsko się noszono, w Sierhinie—częściej i poufalej, lecz zagadać o jakiejś zgodzie nie było sposobu: Hojski natychmiast usta ścisnął, ręce kładł w kieszenie i milczał.

Jak wszystkie drobne przygody po wsiach, tak i bójka na sianożęci Osowieckiej ze wszystkimi szczegółami się po sąsiedztwie roznieśła. Mówiono nawet, iż syn Strukezaszyca tak ciężko był ranny, że z łóżka się nie ruszał.

W nadchodzącą niedzielę przypadało uroczyste święto Apostołów Piotra i Pawła, pod których inwokacją kościół parafialny był poświęcony. Z obowiązku na ten dzień przybywał zwykle sędzia z rodziną, dworem i pewną ostentacją, tem większą, że go w parafii niezawsze widywano. Na ten dzień kollatorska ławka jego zawieszana była wyblakłym suknem paśowem, które zwykle zdejmowano potem dla oszczędności. Spodziewano się go i teraz.

Strukezaszyc z siostrą i synem, jeżeli ten w domu się znajdował, przybywał regularnie w niedzielę każdą. Ławkę miał swoją własną, zamykaną, nie w rzędzie z innymi, ale na boku u ściany stojącą. Nie można jej było na nieszczęście inaczej umieścić tylko nieopodal od kollatorskiej, tak że siedzący naprzeciw uniknąć widzenia siebie nie mogli.



Przez poszanowanie jednak dla domu Bożego, choć blisko siebie umieszczeni, sędzia i Strukezaszyc, nigdy sobie w oczy nie zajrzeli. Jeden i drugi zdawał się nie wiedzieć kogo miał w bliskości.

Nie można tego było powiedzieć o kobietach, które, niby się wcale nieznając, niewidząc niby, nader ciekawemi z ukosa mierzyły się oczyma. Sędziusia, wytrzymać niemogąc, co zerknęła, to przestraszona wracała z pośpiechem do książki. Panna Leonilla patrzyła nawet wyzywająco i śmiało, p. St. Aubin z pogardą i lekceważeniem, których wcale ukrywać nie myślała.

Panna Blandyna umiała, modląc się, tak spojrzeć, że nigdy jej nikt na uczynku nie złapał.

Pan Erazm, syn Strukezaszyca, i z polecenia ojca i z własnej woli, nie patrzył wcale na kollatorską ławkę. Stawał zawsze obok ojca, i raz oczy na wielki ołtarz obróciwszy, już w bok niemi ani strzelił.

Nazajutrz po wypadku wszyscy jeszcze około chorego ciągle siedzieli, a choć on gwałtem się z łóżka wyrывał, wstawać mu nie pozwolono. Wieczorem, gdy sami byli, odezwał się Strukezaszyc:

— Wyleż się i wyliz, do Niedzieli, bo, da Bóg doczekać, w Niedzielę do kościoła musisz pojechać i to ubrany jak zwykle, aby okazać, żeś nie był ranny.

Nie chcę, aby się oni tem cieszyli. Choćby tro-

chę przeboleć przyszło, a choćby odleżeć? to co? przecież warto coś, gdy się ich niepocziwej satysfakcyi pozbawi.

Ciotce o tem nie mówiono nic, ażeby zawczasu nie protestowała. Rana, chociaż się goiła bardzo szybko, jednakże do Niedzieli się zamknąć nie mogła. Pan Erazm z tego bólu, jakiego miał doświadczyć, żartował; ojcu było go żal, ale miał wyższe konsyderacye. Syna kochał mocno, lecz honor swój szlachecki bardziej jeszcze.

Gdy zrana panna Blandyna się dowiedziała, że ojciec Erazma do kościoła chciał brać,\* i to jeszcze bez rozprutego rękawa, rękę załamała z desperacyi. Chciała protestować, prosić i błagać, ale spojrzawszy na brata, którego znała dobrze, z twarzy jego pomiarkowała, że to-by było próżnem. Erazm już się zabierał odziewać; obandażowano chorą jeszcze i trochę nabrzękłą rękę tak, aby na nią rękaw sukni mógł wejść. Ubieraniu ojciec był przytomnym.

— O to idzie, aby włożyć, rzekł chłodno—jeżeli potem zdjąć będzie trudno suknię, to się rozetnie. Niech licho bierze, mniejsza o to.

Ojciec nawet gotów był trochę zbladłego syna, czemkolwiek naróżować, tak mu szło o to, aby z twarzy nie poznać nie było można.

— W kościele się trzymaj junacko, a choćby bolało, miną nadrabiaj: niech się te pyszałki nie

cieszą naszą biedą. Wezmą oni za nią zapłatę, a tymczasem, ani pary puścić się nie godzi.

Z ojcem trzymał syn jaknajzgodniej i zastosował się do jego woli. Przystroił się pięknie, rękaw na rękę obwiązaną naciągnął tak, że znaku nie było, popróbowwał nawet, choć z bólem, ruszać się, i czapeczkę nabakier nałożywszy, do kościoła był gotów.

Strukezaszyc, popatrzywszy nań, uśmiechnął się smutnie i po głowie go pogłaskał.

— Otóż to! lubię—rzekł—człowiek ze swoim bólem na plac nigdy nie powinien wyjeżdżać. Dziecięca rzecz się skarżyć; męstwo—swoje robić i milczeć.

Pannie Blandynie łyzy w oczach stały, ale sprzeciwić się bratu nie miała we zwyczaj; pilnowała tylko, ażeby przy wsiadaniu do kolasy Erazmowi dopomódz, i do worka, na przypadek wszelki, wzięła co było potrzeba do opatrzenia rany i rozcięcia rękawa, jeśli-by dolegał. W istocie rana silnie przewiązana bolała mocno, rękaw i suknia nie były wygodne; lecz pan Erazm, w całym znaczeniu wyrazu męczyzna, uśmiechał się i chwilami tylko zaciął usta.

Do kościoła był spory kawał drogi, grobelki kamienne trzęsące, kolasa niewyśmiewicie niosła: Erazm jednak, zagadując o tem i owem, jechał udając wesołego. W duszy jego co się działo, z tego

ani przed ojcem, ani przed kochaną ciocią spowiadać się nie mógł. W szkołach najpierw u Jezuitów, potem w palestrze lubelskiej, napatrzył się różnego świata, nielepszego może od tego, wśród którego się urodził,—lecz nauka i obcowanie z ludźmi wiele mu dały do myślenia.

Była to chwila, jakie przychodzą czasem w życiu narodów, gdy żło doścignawszy największego stopnia, obudza instynktowo w duszach pragnienie jakiejś zmiany i poprawy. Konarski właśnie był przemówił za reformą wychowania i obrad nad sprawami publicznemi; w powietrzu było czuć potrzebę jakiejś zmiany w życiu, które nikomu znosiem nie było. Społeczność od panowania Augusta II, ciągle była jakby na stopie wojennej; wewnątrz kraju składające go żywioły, nawet żywiołów tych części pojedyncze, na śmierć się zagryzały. Rozkładało się wszystko; gorzał bój, który niekiedy w łono rodzin się wkładał.

Tak samo jak Czemeryński z Hojskim, walczyli Radziwiłłowie, Potoccy, Fleming, Czartoryscy, Sapiehowie z sobą, ucierała się na sejmikach szlachta, zabijały partye na trybunałach, dwór wojował z magnatami, senat z izbą poselską,—wszyscy niemal ze wszystkimi. Z prawa została łupina, kładł w nią każdy co chciał. — w istocie rozstrzygały pięści.

Nadto się tego napatrzył pan Erazm, dodaw-

szy jeszcze zapasy Jezuitów z Pijarami, ażeby mu to smakować mogło. Młodość ma i siły i ochotę do walki, ale do walki rycerskiej, szlachetnej, której cel bierze do serca; młodość, potrzebująca życia w normalnych jego warunkach, brzydzi się zarazem burdą bezmyślną, która zatruwa najpiękniejsze dni żywota. Panu Erazmowi więc i nie nawisć względem Czemeryńskich ojcowska, i ciągle ucieranie się o kawał błotnistej łąki i ten spadkowy spór nieszczęsny, wcale miłym nie był. Ojca niemogąc nawrócić, ani śmiejąc mu się opierać, milcząco musiał poślubić jego sprawę i, choć bez przekonania, iść za jego skazówkami. Na sianozęć Osowiecką wpadł był, zapomniawszy się, wcale nie po myśli ojcowskiej, chcąc przejednywać i godzić. Gdyby mu się to było udało, dostałby od ojca straszliwą burę, szczęściem raniono go, i to zatarło sprawę, zmieniło znaczenie interwencji.

Strukczaszye, z którym syn mało mógł rozprawić, bo stary nie dopuszczał nigdy Erazma do dysput z sobą, znał go tylko z jego posłuszeństwa, przywiązania do siebie i innych przymiotów—do głębi jego duszy i przekonań wcale przystępu nie miał; przed ciocią Blandyną ulubieniec też spowiadać się nie mógł i nie chciał: był więc we własnym domu, powiedzieć można, niemal nieznanym.

Ojciec i ciotka kochali go zarówno, cieszyli się

nim, ale mało go rozumieli. Erazm też ani z nimi, ani z innymi zwolennikami istniejącego porządku rzeczy, w spory nie wchodził. Po ojcu wziął ów charakter milezący i w sobie zamknięty. Od czynu go nie powstrzymać nie mogło,—czego dał dowód na sianożęci; w słowach był skąpy.

W Łopatyczach pierwszy tryumf po zdobyciu siana, przechwałki wesołe Brackiego i Śliwki, nazajutrz się w kwaśne usposobienie zmieniły, gdy się dowiedziano, że nocą, mimo burzy, chłopci Sierhińscy naszli sianożęć, siano zabrali i zniszczyli, a stróżów pobili i powiązali.

Śliwka w początkach ukryć chciał przed sędzią tę swą dekonfiturę, a że kontroli ścisłej siana nie było, udałooby się to może, gdyby zrana służące nie wypaplały przed jejmością historyi całej, i sędzia nie kazał zawołać ekonomą.

Zaprzeczyc nie było można; nagniewał się Czermeryński okrutnie, że te szlachetki na swajem postawiły. Gniew trwał aż do Niedzieli. W wigilię śś. Piotra i Pawła przypomniła jejmość, że do kościoła jechać trzeba było. Choć dosyć pobożny, pan sędzia się skrzywił, bo mu na myśl przyszło, że się może oko w oko spotkać z tym znieawidzonym Strukeczaszycem. Miał na myśli wytknąć się chorobą i kobiety same wyprawić, lecz po głębszem zastanowieniu się uznał, że jechać był powinien.

Wybór do kościoła zawsze bywał pompatyczny. Conajmniej szła karetą, kolasa i bryczka. kilku dworzan jechało konno, towarzyszyła służba w barwie; sędzia stroił się z przepychem i ubierał w klejnoty. Chciał, aby wiedzieli wszyscy, że nie był lada pierwszym z brzegu.

A że Strukezaszyc, choć porządnie, przyjeżdżał po szlachecku i niesadząc się weale, tem mocniej o zakasowanie go dbał Czemyryński.

— Niech znają com zacz!—mruczał sobie pociachu.

Już Hojski z siostrą i synem zasiadł był w swej ławce i zabierał się do modlitwy, gdy z szumem rozpychając ludek boży, wtoczyła się rodzina Czemyryńskich. Jejmość strojna na czele. obok sędzia z ręką na karabeli, panna Leonilla jak anioł piękna, i nasepiona pani St. Aubin. Ex-definitor i rękodajni dworzanie towarzyszyli im. Zdala już postrzegł Czemyryński, stojącego z miną zuchowatą, p. Erazma, o którym był upewnionym, że ranny leżał. Okazało się tedy, że Śliwka śmiał bezwstydnie przed nim kłamać. Rumieniec wystąpił na twarz sędziego i oczy się gniewem zaiskrzyły. Śliwka, który także w kościele był, zobaczywszy p. Erazma. oczom nie chciał wierzyć. Przewidział on co nań spaść miało, i tem gorliwiej tego dnia się modlił.

Strukezaszyc, choć dosyć szumnie obok miejsca

zajmowali Czemeryńscy, ani spojrzal na nich. Oczy trzymał wlepione w ogromną księgę, której karty z flegmą wielką przewracał. Panna Blandyna, niepatrzac przed się, z gorączkowym pośpiechem modliła się, przejęta cała nabożeństwem. Erazm, wyprostowany, z wąsikiem podkręconym do góry, stał niemal się urągając, piękną postawą i twarzą spokojną, wrogom swoim.

Panna Leonilla zobaczyła go, poczęła mu się przypatrywać, według zwyczaju swojego, zuchwale, i zarumieniła się z gniewu, tak go znajdowała impertynencko wyzywającym.

Ksiądz Dagiel, który sam celebrował i kazanie też miał powiedzieć, złożywszy kapę, wstąpił na ambonę, przypadkiem czy z umysłu, z żywota apostołów wybrawszy sobie szczególnie jeden ustęp, owo poryweze ucięcie ucha Malchusowi, które Chrystus naganił. Z tego biorąc assumpt, rozwiódł się kaznodzieja nad nagany godnemi krwi rozlewami płocheni, nad waśniami i niezgodami, nad narodową wadą dobywania miecza lekkomyślnie z obrzążą Bożą. Mimowolnie czy umyślnie ksiądz z wielką siłą wystąpił przeciw braterskim zwadom, naówczas bardzo pospolitym, i zagroził za nie surowym sądem Boga, który krew dał nie na to, aby się dla fraszek rozlewała, i nowych waśni a zemsty była nasieniem. Znalazły się w kazaniu alluzye tak jawne do postępowania sędziego i Struckza-



szycą, że szlachta, słuchając ich, oczyma sobie antagonistów wskazywała i uśmiechała się potroszę. Strukeczaszye, jakby nie do niego pito, z wielkim spokojem, jak w tęczę ciągle patrzył na księdza— ani mrugnął. Nie brał tego wcale do siebie, na twarzy nie widać było najmniejszego śladu wrażenia. Czemeryński, z głową spuszczoną, czerwony z gniewu, ledwie mógł w miejscu dosiedzieć. Oburzał się na zuchwałego klechę, i choć się to działo w kościele—kipiał zemstą.

Skończyło się to wreszcie, i msza nanowo się rozpoczęła, był czas ochłonać; nastąpiły suplikaeye, pieśni, modlitwy, a gdy wreszcie ruszono się z kościoła, Strukeczaszye, który przybył pierwszy, widocznie, chcąc wyjść ostatnim, pozostał jeszcze w ławce z koronką.

Czemeryńscy poczeli wychodzić, słyehać było we wnętrzu uciszonym kościoła zajeżdżające powozy, klaskanie z biczów i odciągającą karetę, kolasę i brykę. Dopiero się upewniwszy, iż Czemeryńskich nie napotka, Strukeczaszye wstał i szepnął synowi na ucho:

— Jeszcze trochę cierpliwości: bo musimy zająć na plebanię.

Powód był dwojaki do tego kroku: chciał Hojski pokazać syna zblizka, iż mu nie było nic, a razem proboszczowi dowieść, iż rzuconych z kazalnicy alluzyj wcale nie brał do siebie.

Panna Blandyna, ciągle niespokojnie spoglądająca na ukochanego jedynaka, radaby go była co najrychlej odwieść do domu, ale Strukczaszyca wola była niezłomną.

Wprost więc z ławy przeszli do zakrystyi, sądząc, że tam jeszcze ks. Dagiela zastaną. Nie było go już tam, bo pośpieszył przyjmować drobną szlachkę, wiadomem śniadaniem, złożonem z wódki, chleba, masła i ogórków.

Biedni ludzie, ubożsi dziedzice, oficjaliści kochali bardzo ks. Dagiela, śpieszyli więc z pokłonem i probostwo było pełne. Ksiądz Dagiel z twarzą rozjaśnioną, wypościwszy się do południa, sam już się posilał i gości zapraszał, gdy wszedł Strukczaszyca.

Uradował mu się tem mocniej, iż miał powód obawiać się, aby kazania do siebie nie wziął, poogieł więc ścisnąć gościa, a Erazma, nie domyślając się rany, tak ujął serdecznie w objęcia, że aż rumieniec mu z bólu na twarz wystąpił.

Jak zwykle p. Hojski był milezący, poważny, przemówił zaledwie kilka słów, dał głos daleko wymowniejszej siostrze, i niegardząc brzydką gorzałką proboszcza, przystąpił do stołu.

Widok Hojskich na probostwie, zaraz po ostrem kazaniu, uczynił na szlachcie dobre wrażenie. Słyszano o zajęciu na Osowcu: skłonni byli teraz wszyscy jego winę zwalić na Czemeryńskiego, któ-

ry i tak popularnością się nie cieszył, rażąc swem państwem i fumami.

Strukczaszyce był napozór w humorze wyśmienitym, co też miało znaczenie swoje, uśmiechał się, bąkał po słówku. Szczególną uwagę na Hojskich zwrócił ksiądz ex-definitor, który, zaproszonym będąc przez ks. Dagiela, właśnie się na probostwie znajdował. Chociaż kapelanem był w Łopatyczach, nie miał żadnej potrzeby poślubić uienawiści tego domu, a że ciekaw był Hojskich i z widzenia ich znał, starał się przybliżyć ku nim.

— A więc, pocziwy Śliwka—rzekł w duchu— albo łgał, albo mu oczy mgłą zasłły. Człowiek kosą raniony, czwartego dnia nie wdzieje obcistego kontusza! Chłopiec wygląda jak ryba.

Ponieważ stali, smarując chleb masłem z jednej masielniczki z Hojskim, Dominikanin, korzystając z tego, rozmowę począł.

— Wszak—rzekł, wskazując na Erazma—godna konsolacya pańska?

— Tak, syn mój.

— Cieszę się, że go w zdrowiu oglądam— dodał śpiesznie ex-definitor—bo mówiono....

— Co? co mówiono? — zapytał dobrze, udając zdumienie Hojski.

— A—to tam ludzie plotą zwyczajnie, koszałki opałki—spuszczając głowę, dodał Dominikanin.

— Czemu sobie nie mają pozwolić, ze łgać, nic nie

kosztuje, rzekł Strukezaszyc. Dzięki Bogu, mój poczeiwy Erazm, jak go widzicie—krew z mlekiem! Mówiono mi, że puszczoneo pogłoskę jakoby na sianożęci był, gdy się tam bójka wszczęła! Cha! cha! To nie jego rzecz.

Dominikanin popatrzył i zaczął jeść chleb z masłem.

— Kazanie było śliczne — dodał po chwili Hojski, prawda, mój ojeze?

Ksiądz Ambroży głową tylko potwierdził.

Tak spełniwszy co miał na myśli Hojski, pomówiwszy o rzeczach obojętnych, skinął na siostrę i syna i nareszcie ulitował się nad nim, żegnając księdza Dagiela, który go aż w dziedziniec wyprowadził. Panna Blandyna oczyma ciągle śledziła wyraz bólu na twarzy jedynaka, i admirowała lacedemońską cierpliwość jego. Ledwie nie krzyknęła gdy skoczył do bryczki, a zaledwie ta odjechała nieco od plebanii, dobyła z torebki nożyczek, proponując rozcięcie rękawa.

Było to w istocie potrzebnem, gdyż, niezgojona a ucisnięta mocno, ręka, nabrzękła i Erazmowi się chwilami słabo robiło.

Strukezaszyc milczał.

— Cóż? jak ci jest? boli?

— Boli!—odparł Erazm—ciśnie.

— No, to tnij asiúdzka rękaw, ale wewnątrz, bo

możemy się z kim spotkać na gościńcu, a niepotrzeba, aby to ludzie widzieli.

Padł tedy nowy sajetowy kontusz ofiarą, bo drżąca ręka panny Blandyny po szwie się skierować nie mogła i kiereszowała go nielitościwie.

Tymczasem powozy sędziego toczyły się ku Łopatyczom. Oddawna jejmość nie widziała kochanego małżonka w takim stanie rozdrażnienia i gniewu. A że wybuchnąć nie mógł z tem, co go dręczyło, przez drogę do woźnicy i sług się czepiał, fukając ciągle.

W kolasce jechały: p. Leonilla. pani St. Aubin i p. respektowa Maruszevska. Lecz, że ta po francuzku nie rozumiała, nauczycielka z uczennicą mogły swobodnie rozinawiać.

— A! ten ksiądz Dagiel — odezwała się pauna — pani zapewne nie uważałaś, bo to było po polsku, co plół.

— Owszem, rozumiałam doskonale, tylko — dodała pani St. Aubin, to się nie stosowało do nas, ale do tego szlachetki, który siedział cały skonfundowany, z głową spuszczoną.

— Tak! za to syn jego miał minę, jakby nami i całym światem gardził, jakby wyzywał. Nienawidzę go.

Pani St. Aubin uśmiechnęła się.

— Ordynaryjnym jest, to prawda, minę ma niezdolnie zuchwałą, ale chłopiec wcale ładny.

Leonilla zakrzyknęła ze zgrozą:

— On! ładny! cóż pani mówisz?

— Trzeba być sprawiedliwą — dodała Francuzka — mówię ci, że ordynaryjny jest, ma minę lokaja może, ale jak Antinous — zbudowany i śliczny. Rysy aż nadto szlachetne. Co za profil! Ciągłe go widziałam z profilu, bo ani drgnął w czasie nabożeństwa, a na naszą ławkę i spojrzeć nie raczył.

I bardzo dobrze zrobił — przerwała p. Leonilla: byłby spotkał wzrok pełen pogardy i nienawiści.

— A mnie to gniewa, że go nie spotkał — rozśmiała się St. Aubin.

Po chwili rozmowa przerwana nanowu się rozpoczęła. Panna Leonilla odezwała się do bony:

— Mówisz, że jest ordynaryjny; ja tego nie powiem, tylko znehwały — a ta duma w biednym szlachcicu, ma coś w sobie irytującego.

Dla nich jakby nas nie było w kościele, siedzieli pod bokiem, i żadne z nich nie raczyło nawet się obejrzeć.

P. St. Aubin, która wszelkiej piękności a szczególnie w młodych mężczyznach była wielką admiraorką, najniewinniej w świecie, po kilkakroć wracała do pochwał tego gbura, który tak posągowo wyglądał.

— Co za szkoda — dodała — że to bez żadnego wychowania, wśród tej brudnej waszej szlachty się sponiewiera!

— A! niech się sobie sponiewiera!—odezwała się Leonilla—my nie mamy powodu rozczulać się nad tymi ludźmi, którzy ojcu pokoju nie dają!

Wśród tych rozmaitych uwag, dojechano do Lopatyecz, a Czemeryński, zaledwie wysiadłszy z karety, cały jeszcze zburzony, natychmiast Sliwkę wołać rozkazał.

Ekonom wiedział już co to znaczyć miało i, zaledwie z konia zsiadłszy, jak winowajca śpieszył do ganku, gdzie nań burza czekała. Nie sam jednak: ciągnął za sobą Brackiego jako świadka.

Zobaczywszy go, zdala idącego, wybuchnął Czemeryński:

— Cóżes mi bezczelnie nakłamał! Jak acam śmiales mi pleść podobne baśnie! Ranny syn Strukezaszyca! ranny kosą; a ten chłystek wyelegantowany stawia mi się do kościoła, zdrów, nie-  
tknięty!

— Jaśnie wielmożny panie—odparł Sliwka. Ja sam oczom nie wierzyłem, zobaczywszy go; lecz oto Bracki, który był zblizka, może poprzysiądz na ewangelię, iż go krwią oblanego Morawiec ledwie wychwycił. To są czary, czy—ja nie wiem co....

— Jakie czary? — podchwycił Czemeryński — acan byles pijany, Bracki też; wzięliście jakiegoś oficyalistę za panicza! A to mi śliczne zwycięztwo, za które ja wam porobiłem prezenta! Siano te roz-

bójniki wychwyciły, i tej nawet nie mam satysfakcyi, żeby zuchwalców nauczyli rozumu.

— Ale—przerwał Śliwka.

— Tu niema żadnego *ale!* — huknął Czemeryński—ja zostałem okłamany—ja! Acan się ośmielitesz oszukiwać mnie! mnie! I ja mam acauu w innych rzeczach dawać wiarę.

Przerażony Śliwka, czując że, miejsce utracić może, jak stał tak kłąkł, ręce podniósł do góry i gotował się do przysięgi.

— Ja przed księdzem, na ewangelię przysięgnę!—dodał Bracki. Jakożywo, pijanyu nie byłem. Kropli w ustach nie miałem.

Przysłuchująca się zdala, strwożona sędzina, widząc męża w pasyi wielkiej, co mu zawsze na zdrowiu szkodziło, przybiegła i odciągać go zaczęła.

Śliwka oprócz własnej przysięgi, ofiarował się dziesięciu chłopów sprowadzić dla poświadczenia. iż pan Erazm w istocie był rannym. Wrzawa i hałas trwały jeszcze czas jakiś. dopóki wreszcie sędzinie się nie udało nienal gwałtem męża odciągnąć. Staęło na tem, że pragnący się oczyścić Śliwka, nazajutrz chłopów Łopatyekich miał przyprowadzić.

I on i Bracki mówili i zaklinali się z taką pewnością siebie, że w końcu Czemeryński sam nie wiedział co myśleć i pomrukując, poszedł do stołu.

Czekano pod wieczór na ks. ex-defiuitora, które-



go na probostwie zostawiono: czy też on jakiej wiadomości nie przyniesie. Przybył dosyć późno ks. Ambroży i oświadczył, że na swe oczy Strukezaszyca z synem zdrowym jak ryba, widział i mówił z nim nawet, a miał ze słów jego najmocniejsze przekonanie, iż Erazm całc rannym nie był.

Nazajutrz nowe zawikłanie. Śliwka ludzi gotowych do przysięgi przyprowadził, świadczących, że Stasiak Worobiej, który się do tego przyznawał, kosą ciął syna Strukezaszyca.

Czemeryński się żegnał i gniewał, niewiedząc co myśleć. Sturbowanym był i ks. ex-definitor, lecz w końcu pierwszy na domysł wpadł, że rana lekka przygojoną być musiała, a chłopak umyślnie do kościoła przybył, aby kłam ludziom zadał.

— Niechże i tak będzie—niech będzie jak chce!—zawołał Czemeryński. Dość! *Satis pro peccatis!* Już mi się w głowie zawraca,—plunąć i nie mówić już o tem.

Zakazał mówić pan sędzia drugim, ale sobie myśleć nie mógł zakazać, i ciągle się z tem nosił.

---

Nie był jeszcze pewnym Strukezaszyc, co z synem pocnie; to go życzył mieć przy sobie i powoli do gospodarstwa wdrażać, to żałował, że się na wsi zakopie. Widział i czuł w synu zdolności, radby był krescytywie, choćby dlatego, ażeby nią Czeme-

ryńskim dokuczyć, lecz się zarazem świata. pokus jego i odrodzenia syna od żywota szlacheckiego, od tego, co się zwało *in quo nati sumus*—obawiał.

W tej niepewności raz go słał do Lublina do palestry, to odwoływał do Sierhina. Tu chłopiec nie miał co robić, gospodarstwo szło dobrze i bez niego; polował potroszę, po lasach jeździł, czasem kogo odwiedził,—próżnował. Wpadło na myśl, opatrzonemu w kapitały, p. Hojskiemu kupić majątność dla syna; ta się jakoś nie trafiała, jakiej-by sobie życzył, a potajemnie (do czego się nie przyznawał nikomu), Strukezaszyc oddawna się pieścił z myślą, która mu do serca przyrosła. Znał on doskonale stan interesów Czemeryńskiego, lepiej może niżeli on sam, nieznacznie spisywał i z akt i z ust szlachty wszystkie summy i sumki, które sędzia ludziom był dłużny; patrzył na jego życie i miał to najgłębsze przekonanie, że prędzej, czy później Czemeryński (jak się wyrażał) beknie.

Naówczas, gdyby majątki iść musiały na wierzycieli, gotował się Hojski stanąć do kupna i zagarnąć je. Myśl ta uśmiechała mu się rajsco, cudownie, nęciła go, karmiła. Nie wydawał się z nią przedwcześnie, lecz miał oko na wierzycieli Czemeryńskiego; nieznacznie obudzał w nich nieufność, czyhając: czy mu się nie uda nabyć co z summ na Łopatyczach opartych?

Do tego jednak nie przychodziło. bo, mimo na-

der nieopatrzności gospodarstwa sędziego, wszyscy w jego zamożność niezachwianie wierzyli. Procenta wypłacał jaknajregularniej.

Nabywając inny jaki majątek dla syna, Strukczaszyce musiałby się był z kapitałem rozstać i wyrzec myśli potajemnej; wreszcie, jak wszyscy, co w pocie czoła grosza się dorabiają, Hojski do swej szkatułki i sepecika nabrał był tego mistycznego jakiegoś przywiązania, które rozstanie się, choćby najkorzystniejsze, z groszem, nader ciężkiem czyni.

Pocieszał się tem, że—a nuż nareszcie beknie?

Znaczniejszą część długów na kluczu Łopatyckim Strukczaszyce miał spisaną, wiedział, że gdyby wierzyciele nacisnęli, nie mógłby sędziego wypłacić, a oprócz tego miał i tę pewność, że dużo innych summ jeszcze ciążyło na tych dobrach.

Ale co tu z synem robić było?

Erazm już kilka miesięcy siedział w Sierhinie; ojciec czuł, że nudzić się musiał, żal mu go było. Jesień się zbliżała, gdy po sąsiedztwie rozeszła się wieść, że p. Podkomorzy Buchowiecki, córkę starszą za grafa niemieckiego wydawał.

Pierwsza dostała ją w kościele panna Blandyna, spotkawszy się z panią Sierzputowską. Chodziła fama, że Buchowiecki, który do stolicy uczęszczał, a córki dwie modnie wychował, i panny były na podziw piękne. Dostał szczęścia tego, iż graf jeden saski rozmiłował się z panną Elizie.

czył się i przyrzeczenie otrzymał. Ponieważ ów graf na dworze Króla Jmości pełnił funkcję jakąś wysoką i do gabinetu pańskiego miał przystęp, Podkomorzy z tego wesela spodziewał się ogromnych dla siebie i rodziny korzyści. Była już obietnica starostwa z *jus communicativum* dla żony, były i inne sperandy.

Zazdroszczono i paunie i ojcu tego szczęścia, choć mówili drudzy, iż graf, mimo swojego położenia na dworze pobożnego króla. lutrem był, co dla katoliczki wcale nie przyjemnem się stawało; drudzy szeptali, że choć wyglądał młodo, przeszedł czterdziestówkę, inni, że okrutnie się w karty puszczał. Na to wszystko niezważając wcale Podkomorzy, szczęśliwą swą kolligacyę z niemieckimi grafami, chciał obchodzić z niezmierną okazałością i przy jak największej frekwencji obywatelstwa. Wesele miało się odbyć wkrótce. Sam Podkomorzy, na listy i na posły się niezdając, objeżdżał od komina do komina najdalsze sąsiedztwo, prosząc i zaklinając serca obywatelskie, aby mu okazały jako jest—kość z kości ich—i tłumnie się na wesele zjechali.

Podkomorzy był z Łopatyczami w stosunkach ścisłych, i samo z siebie się rozumie, iż, jednego z pierwszych p. sędziego zaprosił z córką.

Nie przyszło naówczas na myśl nawet Czemeryńskiemu zapytać: czy Strukezaszyc będzie

też na weselu? Nie suponował, aby się to mogło trafić. Buchowiecki o tem nie wspominał. Sędzia, któremu o to szło, aby córkę światu pokazał, a szczególnie niemieckim grafom, baronom i wszelakiego tytułu matadorom dworskim, ucieszył się weselem, uściskał Podkomorzego i już myślał o tem tylko, jak ma wystąpić.

Zachodziła konieczna potrzeba wydatku znacznego, bo i do cugu parę koni brakło, i barwę odświeżyć wypadało, i trzydniowe, conajmniej, wesele sukien dla panny sędzianki pięciu do sześciu wymagało. Pani St. Aubin utrzymywała, że trzy razy w dzień przebierać się było koniecznością dla osoby przyzwoitej, a dwa razy jedną suknię okazać na świat — o tem ani można było myśleć, bez srogiej kompromitacyi.

Sędzia posłał po szlachcie na zwiady i spodziewał się kilkaset czerwonych złotych ułowić. W najgorszym razie drzewo padłoby ofiarą, a z tem się nie rachowano.

Z Łopatycz jadąc, Podkomorzemu Sierhin był po drodze. Niemając wielkiej z Hojskim zażyłości, Podkomorzy nigdy z nim przecie dla przyjaźni Czerneryńskich nie zrywał. Spotykali się tu i ówdzie, jak dobrzy znajomi. Zapraszając niemal całe dwa powiaty od kołka do kołka, ominąć Hojskiego było srogą obrazą. Tej się dopuścić nie chciał Buchowiecki.

Być może, iż rachował na to, że się Strukezaszyc wymówi i nie przyjedzie, nalegać jednak nań było i przyzwoitem i obowiązkiem.

Zawrócono do Sierhina.

Wyszedł na spotkanie Strukezaszyc, dziękując za łaskę mu uczynioną. wprowadził do pokoju, i w kwadrans potem stała buteleczyna i lampki, a węgrzyn wielką przyjaźń i afekt rozbudzał.

Podkomorzy, gdy się wina napił, stawał się niezmiernie czułym, porywał w objęcia, cisnął, całował i ślinił; wynurzając sentymenta w sposób tak przesadzony, że albo się trzeba było z nich śmiać albo w nie wierzyć.

Przy drugim kieliszku, opowiedziawszy o szczęściu swem, Podkomorzy zagaił, iż nie dla czego innego przybywał, tylko na to, by zakłąć, błagać, prosić, suplikować czcigodnego przyjaciela, aby wesele swą drogą przytomnością, wraz z synem zaszczycić raczył.

Spostrzegłszy na twarzy Strukezaszycy zdumienie pewne, Podkomorzy, niewiele myśląc, przykląkł, pokłękali oba, pili tak całując się, zdrowie swe i konsolacyi, aż gdy kolana zabołały, Strukezaszyc, na krześle gościa posadziwszy, odezwał się w te słowa:

— Za honor-byń to sobie poczytał! Dzień-by to był w annalach familii złotem wypisany głoskami, ale— kochany Podkomorzy — *corde aperto*, po-

zwól niech spytam i uczynię uwagę:—Prosiłeś Czemeryńskich?

Zmieszał się Buchowiecki.

— Co to ma do tego!—zawołał—proszę wszystkich, kto łaskaw na mnie! Takci jest, prosiłem Czemeryńskiego, a nie zapytał mnie czym was, kochany przyjacielu, zapraszał lub nie, pewnym będąc, zaiste, iż ominąć tak godnego obywatela nie mogłem.

Argument był bez repliki.

— Hm! — odezwał się Hojski — zapewne, lecz spotkanie bodaj u jednego stołu, niemiłem być może.

— Stołów będzie dosyć, miejsca podostatkiem, a ludzi tyle, że tam ani się stykać ni spotykać nie będziecie mieli potrzeby. Jeśli nie uczynicie mi honoru tego, uczuję ja, uczuje córka moja,—boleć będziemy, jakoś przyjaciel mój.

Zaklinał tak wciąż, a Hojski mileżał z głową spuszczoną.

— I odmawiać-bym niechciał, i obiecywać nie śmiem!—rzekł wzdychając.

— Co u kata!—krzyknął rozochocony Podkomorzy, pomyślą ludzie, ba i powiedzą, żeś się go zląkł, bo nie pomyśli nikt i injuryi mi tej nie uczyni, aby mnie o pominięcie was posądził. Wiedzą wszyscy żeś tu miał być.

Posądzenie to, że Hojski mógł się ulęknąć, po-

działało najskuteczniej. Drgnął Strukezaszyc i zapłonił się.

— Ja się go bać!—wybąknął—a. niedoczekanie!

— No, to przyjedziesz i z synem, skonkludował Podkomorzy.

— No, to przyjadę!—stanowczo odezwał się Hojski.

— Słowo i ręka!

— Słowo! Podali sobie ręce. Zapito zaraz sporym kielichem.

Prawdę rzekłszy, czy Podkomorzy rad był bardzo, że mu się to tak udało, trudno zgadnąć. Odjechał, w powozie głową potrząsając i mrużąc:— No—stało się!

Po odjeździe jego, Strukezaszyc, zupełnie trzeźwy, bo kilka kieliszków starego wina nie robiły mu różnicy, chodził po pokoju zafrasowany. Erazm dnia tego był na polowaniu. Panna Blandyna stała przy powidłach: ledwie pod wieczór się jej doczekał.

— Wiesz co się święci — rzekł — lichy nadało. Podkomorzy mnie przydusił, obsedował: dałem słowo, że na weselu córki jego będziemy.

— No, to cóż!—zapytała Blandyna.

— Ba! i te Łopatyńce też będą!—zawołał stary.

Aż w ręce uderzyła panna — lecz po krótkiej chwili dorzuciła:

— Niby to zachorować nie można?



— Powiedzą, żeś tchórz, bo mi to już Podkomorzy dał do zrozumienia; nie mogę się absentować.

— Juści awantury nie robi.

— Hm, przy kieliszkach za nic ręczyć nie można—odparł Strukeczasyc—ale słowo się stało.

Pojedziemy.

Stańto na tem. Wieczorem, już nie ojciec, ale ciotka oznajmiła o tem wracającemu z polowania Erazmowi. Jakoś go to nie poruszyło.

— Dlaczegożbyśmy nie mieli pojechać? — odezwał się.

Młodemu uśmiechało się pouo, że się miał trochę rozerwać; rad był ludzi zobaczyć, może nawet poskakać.

Żywa imaginacya ciotki, przedstawiała jej wszystkie możliwe następstwa spotkania się z Czemeryńskimi.

— Proszę ja ciebie, mój Eraziu!—mówiła—bo to wszystko być może—a nuż, czy przy stole, czy przechodząc, się spotkają?

— To się wyminą!

— Nuż się temu pyszałkowi co wypśnie?

— Ojciec pewno odpowie.

— No, tak i do szabel.....

— Ludzie nie dopuszczą.

Panna Blandyna, sama też będąc zaproszoną, choć ochoty nie miała do tego festynu, lecz za nic w świecie nie byłaby go się wyrzekła. Zdawało

się jej, że brata pilnować powinna i dopilnować może. Zajęła się więc rogówką, bez której na weselu nie sposób się było ruszyć, robronem, wstążkami i zakłopotana tem trochę, o niebezpieczeństwie zapomniała.

Erazm miał z łaski ojca na występ tak paradnych parę garniturów całkowitych, iż mu na niczem nie zbywało, Strukezaszyc też zaopatrzony był w garderobę choć nie nową, lecz nadzwyczaj pięknie zachowaną i wytworną.

Co się tyczy zaprzęgów i służby, nie myślał się na nic nadzwyczajnego sadzić, nowa barwa była, uprząż dobra, nie frasował się o nic.

Dniem przed weselem wszyscy się goście zjeżdżać mieli. Do majątku Podkomorzego, położonego w Brzeskiem już, mil było z Sierhina opętanych pięć, droga zła, a że pora jesienna nadeszła, starczyło tego na cały dzień, bo o zagrzęźnięcie spokojnym nikt nie był. Na utrapionych zaś grobelkach inaczej jak noga za nogą, ani myśleć jechać. Ponieważ podróży poubieranym odbywać nie było podobna, musiano myśleć i o tem, gdzieby się przebrać; posłano albo karcznię lub chatę na ten cel zamówić.

Z Łopatycz się wybierano także, ani nawet pomysławszy o Sierhinie i możliwości spotkania się z Hojskiami, gdy ksiądz ex-defnitor, pojechawszy do proboszcza po oleje święte do kaplicy, od niego

przywiózł zarazem wiadomość, że Hojsey też na weselu być mieli.

— A o tem p. sędzia dobrodziej musi wiedzieć— rzekł flegmatycznie — że Strukezaszyc na weselo proszony.

— Co-bo jegomość gadasz?—porwał się sędzia— to nie może być.

— *Relata refero*, mam to od proboszcza — rzekł ex-definitor, naturalna rzecz, że wszystkich prosząc, jednego opuszczać nie mógł, bo-by sobie śmiertelnego nieprzyjaciela uczynił z niego.

Strasliwym sposobem wzburzył się sędzia.

— A to mi piękne weselo, — począł to uczta ewangeliczna czy co? Uzemuż jeszcze Śliwki i Brackiego nie prosił. To fixat ten Podkomorzy; jemu się w głowie wywróciło! Któż Hojskich prosi? Co to za szlachta! Gwałtownicy, pieniacze, nie wiedzieć zkąd to wylazło, z kim to żyje. I posadzą mnie może u jednego z nim stołu. No—to jak-em żyw, obrus przerzucę, awanturę zrobię—nie wytrzymam! Śliczne mi weselo — niech go z nim opanuje słota! Nie pojedę!

Łatwo to było powiedzieć „nie pojedę“ ale panna Leonilla na pierwszą wzmiankę o tem, przybiegła do ojca i zmięczyła go. Dowodziła, że mogli tych ludzi nie widzieć, omijać, że oni się nie będą śmieli zbliżyć, że zresztą, choć zaproszeni, mogą mieć rozum i nie przybędą.

Nie pojechać, przyrzekłszy, i tak kosztowne uczy- niwszy przygotowania—nie było podobna. Wielce odważna p. Leonilla, nie przypuszczała nawet żadnego niebezpieczeństwa, gotowa się była na tatka dąsać, płakać i rozchorować.

Jejmość była między młotem a kowadłem, pomiędzy najdroższą swą jedynaczką a najukochań- szym mężem, którego znała porywczosć, nienawiść ku Hojskim i dumę. — Chociaż i dla niej widzenie grafów niemieckich, odżywienie się towarzystwem, spotkanie ze starymi znajomymi i pokazanie mię- dzy ludźmi było bardzo pożądanem, — sędzina wszystko to z duszy serca poświęciłaby dla „ko- chasia“ to jest dla męża, byle jemu się, uchowaj Boże, nic złego nie stało. Pani St. Aubin trzyma- ła silnie stronę panny, dowodząc gorąco, że gdzie kilkaset może osób jest zaproszonych, tam zawsze tych się tylko widzieć będzie, kogo się zechce. Spór o to: czy jechać czy zostać, czy jechać samym ko- bietom, toczyły się dnia tego do późna; lecz gdy się już rozstawać przyszło, sędzia znacznie zmiękł. Przyczyniało się do tego, że i on życzył sobie bliż- szą zabrać znajomość z grafami niemieckimi, ma- jąc potajemną myśl, za pośrednictwem zięcia Pod- komorzego, starać się o wyrobienie orderu Orła Białego, do którego oddawna wzdychał. W tym celu nawet zamierzał sędzia dać u siebie bal dla państwa młodych, z illuminacją, moździerzami i

fajerwerkiem; ale o tem nie mówił jeszcze nikomu. Zależało to od poznamienia się i przyjęcia, mniej więcej dobrego, przez niemieckiego grafa.

Więc, choć ów festyn podkomorski zatruty był zapowiedzianą bytnością Hojskich, p. Leonilla postawiła na swoim—pojechano.

Stoczona walka o tę wyprawę wzmogła tylko w pięknej sędziance nienawiść ku Hojskim. Nie mogła im tego darować, że według trafnego wyrażenia p. St. Aubin—*c' étaient des trouble-têtes*.

Zamłodu! miły Boże, cóż to jest świetny bal, od któregoby się człowiek na starość najdrożej wykupił? Nowi ludzie, twarze nowe—ten wielki *nieznajomy* świat co się zdala wydaje uroczo, na którym spodziewa się znaleźć tego kogoś, przez los zapowiedzianego, przyrzeczonego! A potem—wejrzenia, uśmiechy, kadzidła, oklaski, zespolenie się duchem z wielkim tłumem, który daje uznanie, który potwierdza to, co się w sobie czuło. Jak się tu tego wyrzec, gdy nadzieja takiego wieczora światła, muzyki, szumu, śmiechu, wesela — już raz do serca przyłgnęła! Panna Leonilla ani sobie mówić o tem nie dawała. W życiu pieszczoszki dotychczasowe tryumfy zdobywały się dotąd w tak ciasnem kółku, ciągle wśród jednych i tych samych osób!

Owi grafowie niemieccy przedstawiali dla niej świat nowy, elegancki, europejski, o którym tyle

od pani St. Aubin słyszała—cywilizacyę wyższą, co było najpiękniejszego na świecie.

Cały czas aż do wigilii wesela. upłynął w prawdziwie gorączkowym zajęciu. Próbowano, przymierzano, krajano, posyłano na wsze strony, przywożono coraz coś nowego. Rozlegały się i śmiechy radości i płacze, a dąsy wielkich zawodów. Pani St. Aubin, mistrzyni w tych sprawach, była niezmierną pomocą córce i matce. Według jej wyroków przystroić się miały obie, i najmniejszy szczegół pod sąd jej poddawano.

Naostatek dzień wyjazdu nadszedł, powozy i konie były zlustrowane, ludzie w barwie przyszli się okazać, dworacy stali w pogotowiu. Ksiądz ex-definitor prorokował pogodę. Śliwka za nią nie ręczył.

Krakowskim targiem Pan Bóg dał do podróży dzień trochę pochmurny, lecz znośny, chociaż deszczyk zrana przekrapiał, lecz wiadomo powszechnie, że ranny deszcz nigdy nie jest tak niebezpiecznym, a bardzo często zwiastuje pogodę.

Jakoż z góry nie lało, ale ponieważ kilka dni (trzydniówka ulewy i kapuśniaczku na przemiany) poprzedziło to wypogodzenie wątpliwe, drogi były okropne. Wiadomo to wszystkim wsi mieszkańcom, że jesienne wiatry suszą bardzo powoli, słońce nie operuje, w polu jeszcze na piaskach jakotako, ale na litewskich grobelkach, których rowy

zdają się na to stworzone, aby odpływ wody tamowały, gdy raz jesienna słońca grzędawicę dobrą zrobi, trwa ona do wiosny.

Woznica i p. Czemeryński znali doskonale drogę do p. Podkomorzego, na pamięć umieli wszystkie grobelki i kałuże; nie trwożyli się też zbyt niecierpliwie, oprócz jednej kałuży o milę od majątku Podkomorzego, którą Czortkiem nazywano.

Na tym Czortku często nawet w Czerweu po deszczu grzęźli ludzie.—cóż dopiero w jesieni! Spodziewano się jednak, że troskliwy Podkomorczy, na którego gruntach owa grobelka położoną była, dla gości ją każe choćby chróstem i faszyną wyłożyć.

Gdy o tem mówiono, p. Leonilla zniecierpliwiona ramionami ruszała i szeptała cicho:

— Czyż-bo się już wszystkiego bać! Jakoś przejdziemy!

Sędziemu szło zawsze o to, ażeby wystąpić szumnym, szła więc przodem karetą w sześć koni, w której jechali państwo oboje, dworzani dwóch przy niej i lokaje. Za nią następowała piękna kolasa w cztery konie, z p. St. Aubin i Leonillą, naostatek bryka z bronzami, konie cztery dla panien służących, tłumoków reszty i podróżnych przyborów.

Kilku konnych poprzedzało i po bokach asystowało państwu. Przez cały dzień nie się tak dalece nie trafiło, coby za złą wróżbę wziąć było można. Owszem, grobelki mające złą reputację zna-

leżono nieskończenie lepszymi niż się spodziewano. Powozy przechylały się, jedną stroną kół zapadając w głębokie koleje, pani sędzina krzyczała i trzymała się za pasy, ale żaden się nie wyrzucił i przebrnięto kałużę bez szwanku. Zostawał Czortek, o którego się sędzia zawczasu dopytywał, trochę będąc niespokojnym. Karetą pierwsza wjechała w niebezpieczne owo miejsce; stary woźnica nader uważnie się pokierował, i chociaż w jednej kałuży głęboko zapadły koła, po kłódki prawie, sześć koni cugowych, zagrzanych batem, wychwyciły z niebezpieczeństwa.

Zdawało się tedy, że stosunkowo lżejsza kolaska przejdzie równie szczęśliwie, i stary furman, przebywszy Czortek, nieoglądając się, zaciął konie, ruszając dalej. Młody woźnica, któremu była powierzona kolaska, widząc jak łatwo się dobył z błota jego poprzednik, lekcewazył sobie zdradliwy Czortek, palnął z bata i, niedobierając miejsca, puścił się w sam środek grzędawicy. Nieszczęście chciało, że natrafił na jedną z owych niezgruntowanych przepaści rozkisłych, co zdają się dna nie mieć. Dwa koła schowały się w nich, i wśród krzyku p. St. Aubin, obawiającej się polskich dróg niezmiernie, kolaska ugrzęzła.

Palnięcie z bata raz i drugi, pociągnęło za sobą to, że młode konie pasy pozrywały i splątały się, a jeden z nich szkaradnie się wyrzucił. Dworzanie



pilnujący szczególnie karety, przodem się za nią puścili, ani się ich było dowołać; powóz, na jeden bok leżący, pozostał na Czortku, w stanie rozpaczliwym. Na dobitkę jeszcze bryka, idąca z tyłu, u której lucznia się była odczepiła, została o pół mili.

Pani bona, nieszczęśliwa pieszczoszka, woźnica i lokaj, z końmi wierzgającymi i bryzgającymi błotem, zostali na łasce Bożej. Deszczyk, w brew przepowiedniom ks. ex-definitora, mrzyć zaczynał jakby na trzydniówkę. Położenie było rozpaczliwe.

Hukanie nie pomogło: kareta uchodziła i już jej za krzakami widać nie było.

W tej chwili lokajczuk, słabe chłopię, spostrzegł podjeżdżającą brykę, przed którą na koniu ktoś kłusował. Był najpewniejszym, że nadjeżdża w sukurs bryka przypóźniona—z pannami. Niestety! gdy się zbliżyła, przekonał się, że jechał ktoś obcy zupełnie.

Grobla była tak wązka, że wyminąć się na niej nie było sposobu, bryka się też przed nią zatrzymała. Wiozła ona Strukezaszycę, a konno, nie chcąc się trząść na wozie, jechał nie kto inny, tylko p. Erazm.

Strukezaszycę wychylił głowę z budy, popatrzał i zawołał:

— Otóż masz, zawałona droga! a żeb-że ich!

— Proszę jaśnie pana — odezwał się woźnica — ta-to Czortek!

I począł się śmiać, bo cudza bieda najlepsze serca nawet pobudza do śmiechu.

— Państwo kazali jechać tędy, tom jechał — do dał Parfen rażno, a można objechać! Co my tu będziemy stali, aż się Pan Bóg nad niemi zmiłuje. ja wezmę na Siny Bród.

— Ta! i tłumoki zamokną! — odparł Strukczaszyca.

— Proszę jaśnie pana, ja w tem: nie zamokną! — zawołał Parfen — nie zamokną.

— No, to jedź — krzyknął Strukczaszyca. A nie wiesz kto tam się szpetnie zawałił?

— Kto jego tam wie! — rozśmiał się Parfen.

Stojący przy bryce na koniu, p. Erazm, słysząc o co szło, odezwał się do Strukczaszyca:

— Proszę ojca, ja pojedę przez groblę. — Juści nie zagręźnę! A bliżej....

Ojciec głową tylko skinął, bo Parfen tryumfująco już zawracał; p. Erazm siwka spał i ruszył na Czortek.

Wyminąć zagręźłego powozu nie można było inaczej na wąskiej grobelce. tylko tuż około niego przejeżdżając. Ciekaw też był p. Erazm: kto się w kolasie znajdował. O pomocy ani podobna było myśleć.

Zbliżywszy się ku rozbitkom, poznał dopiero łopatycznych ludzi, którzy, ujrawszy nieprzyjaciela

rodu swych panów, pospuszczali głowy i oczy. — Pani St. Aubin, wołając ratunku i myśląc, że ktoś im w pomoc śpieszy, wychyliła się z jednej strony, Leonilla zniecierpliwiona i guiewna — z drugiej. Właśnie twarz ku nim zwrócił był p. Erazm, gdy razem i bonę i pannę zobaczył, które, poznavszy go, natychmiast z krzykiem zapadły w głąb kolski. Ani witać, ani się zatrzymać, ni radzić, ni nawet się drugi raz obejrzyć nie mógł syn p. Struczasyca. Lecz pomimo nienawiści dla całego Czemeryńskich rodu, nie mógł się oprzeć wrażeniu, jakie na nim uczyniła piękna nad wyraz wszelki, przestraszona, zapłakana twarzyczka panny sędzianki.

Gdyby był posłusznym pierwszemu natchnieniu, niezważając na nie, rzuciłby się był ratować i pomagać. Lecz, przy najlepszej chęci, ofiara jego mogła być impertynencko odepchniętą, a zresztą — coby na to powiedział ojciec?

W duszy mówił sobie p. Erazm, że te spory nieszczęśne, dla kawałka sianożęci, dzielące familie i niedopuszczające ślicznej panny zapłakanej ratować, — były wielką niedorzecznością. Wyobrażał sobie, jakby ją chętnie pochwycił i na siwego posadził i zawiózł tak — choćby nawet bardzo, bardzo daleko.

Ale do Czemeryńskich się zbliżyć nie było spo-

sobu, a choćby które z nich i tonęło—tknąć się nie godziło.

Wybrnąwszy za grobelkę, dopiero się p. Erazm obejrzał. Zdawało się, że jeszcze było bladą twarz p. St. Aubin i główkę p. Leonilli, której rysy nikły wprawdzie, ale jej pamięć wierna odtwarzała.

— O! ładnyż to buziaczek, ładny! — rzekł w duchu p. Erazm, spoglądając ku powozowi. — Gdyby nie była Czemeryńska!

Panna Leonilla, zobaczywszy nieprzyjaciela, rozgniewała się okrutnie na niego i na los, który go czynił świadkiem katastrofy. Zdawało się jej, że uśmiechniętą złośliwie twarzą urągał jej nieszczęściu, chociaż wcale tak nie było. Rozplakała się biedna. Pani St. Aubin kłęła w sposób nieprzyzwyczajony, zapomniawszy się zupełnie.

Żaden muszkietier francuzki dosadniej-by się od niej nie wyraził. Strach dobył z głębin jej wspomnień, dawno pogrzebionych, w młodości jeszcze zasłyszane klątwy. Panna Leonilla słuchała ich zdumiona, nierozumiejąc.

W tem, zanim jeszcze p. Erazm dalej się puścił w drogę, nadszła bryka z pannami i czeladzią. Ludzie, porzuciwszy je, rzucili się ratować kolosę, porwane pasy powiązano sznurkami, konia podniesiono, drągi, które tu ktoś był porzucił dawniej, podważono pod koła.

— Wio—wiohot! Raz, drugi — kolasa drgnęła,

i po wielkim wysiłku wydobyła się z przepaści. Pan Erazm spał konia i pojechał dalej.

W powozie, gdy wszystko się już skończyło, panowało jeszcze rozdrażnienie wielkie.

Pani St. Aubin po kłótwach skończyła na płaczu i spazmach; p. sędzianka od łez przeszła do gniewu.

— Trzeba było jeszcze tego, ażeby ten młokos był świadkiem. Będzie potem rozpowiadał, śmiał się, szydził! Jestem najnieszczęśliwszą istotą na ziemi.

Zarazem p. Leonilla obiecywała sobie być tak piękną, tak zachwycającą, ażeby ten nikczemny wróg, patrząc na nią w rozpacz wpadł, że się do niej zbliżyć nie może.

Dowodziła bonie, że, przejeżdżając, uśmiechał się złośliwie; niewiedzieć dlaczego p. St. Aubin, na ten raz, naprzekór wychowawicy, upierała się dowodzić, iż twarz miał kondolencyjną.

— Każdy inny kawaler — przerwała sędzianka. — byłby się zatrzymał, pomógł, poradził widząc kobiety same w takim nieszczęściu; ten sobie tryumfująco minął!

— Bo mu nie wypadało się zbliżyć — odparła p. St. Aubin. Nie potrzeba przesadzać, na ten raz nie winien nic.

Panna Leonilla nie chciała się sprzeczać — zamilkła.

Myślała teraz o stroju, o przebraniu się, o wra-

zeniu, jakie uczyni, wchodząc na salę. Podkomorzanki były bardzo piękne, lecz pochlebiała sobie, że ani twarzyczką ani strojem im nie ustąpi.

Gniew na p. Erazma połączył się z gniewem na ludzi ojeowskich, woźnice, sługi, którzy nieobejrzawszy się nawet, niedbając co spotka kolasę, popędzili przodem. Lecz całe te gniewy i niecierpliwosć i fochy ustąpiły, gdy naostatek ukazał się dwór p. Podkomorzego. Panie miały zawczasu w oficyynie zamówiony pokój do przebrania się. Wiedziano, że fryzyer był sprowadzony z Warszawy. Ludzie zapewniali, że tłumok ani pudło żadne nie zamokło.

Zdala już rezydencya prezentowała się nader świetnie, oświecona rzęsiscie, pełna powozów, koni i ludzi. Co kwadrans straszono przybywających, waląc z móżdżerzy nad sadzawką. Serce biło ślicznej panie, gdy podjeżdżali pod oficynę.

Tu ledwo można się było docisnąć, bo z kilku powozów wysiadały także panie, z bryczek wyskakiwały służące, każdy dopytywał o pokoje. Marszałek dworu głowę tracił.

— Pokój dla sędziowstwa Czemeryńskich!

— Pokój dla p. Woroszyły!

— Pokój dla p. Wiślouchowej!

— Pokój dla p. Stolnikowstwa! — rozległo się do koła.

A tu konie się płątały, służba potraçała, i już

z dziedzińca wnosić było można, że na wesele dwa razy tyle gości zaproszono, ile ich stary dwór mógł pomieścić.

Wprawdzie salę jadalną z tarcie i opólków, wyklejaną szpalerami, zbudował był p. Podkomorzy, lecz gościennych izb ani było nastarczyć, a jesień już chłodna przejmowała do kości.

---

Nie żałował sumptu p. Podkomorzy, wiedząc, iż mu się jego magnificencye wynagrodzą; z góry sobie rzekł: Niech wesele kosztuje co chce, a Niemców się nie powstydzę.

Z największym magnatem polskimi nie byłoby tyle zachodów i kłopotu; lecz grafa saskiego i jego rodzinę, nawykłą do splendorów drezdeńskich, przyjmować w staroświeckim domu, którego zbytek na czem innem się zasadzał, inaczej wyglądał: trudność była wielka. Szło o to, ażeby Niemcy nie powiedzieli, że Polska jest barbarzyńską.

Z drugiej strony, sprosiwszy kilkaset szlachty, po niemiecku i ze szwabską ją przyjmować — i to nie uchodziło. Podkomorzy długo się zastanawiał nad tem zadaniem skomplikowanem i rozwiązał je tem, że potroszę do obu obyczajów zastosować się musi.

Szlachty, ciekawej niezmiernie, owego niemieckiego zięcia widzieć. zjechało się bardzo wiele.

W tym tłoku głów wygolonych i czupryń łaszczowych, garstka niemiaszków tonęła. Dwa żywioły trudne do połączenia, mimo ścisłego przymierza jakie z sobą zawrzeć miały, wydzielały się i nie mieszały.

Szlachta stała dokoła ściśnięta, a próżnia jakaś ograniczała ją od kupki towarzyszy pana młodego, grafa Hohenloben. Pan młody, chociaż starannie na ten dzień odmłodzony, choć wspaniale strojny, choć może nawet miał ufarbowane policzki, wyglądał zwiędłym, wyżytym i dosyć poddeptanym, ale minę miał co się zowie pańską, perukę przesłicznie fryzowaną, pierścienie na palcach iskrzące się od brylantów i uśmiech na ustach protekcyjonalny.

On i kilku kawalerów, którzy z nim przybyli, a na krok go nie odstępowali, spoglądali na polskie towarzystwo nieledwie tak, jakby się menażeryi przyglądali; ku pięknym tylko paniom biegały wzroki łaskawsze.

Nawzajem szlachta brzeska i podlaska, choć z pewnym respektem wpatrywała się w Sasów, drwiła z nich pocichu.

— Ale, patrzaj-że no, aśińdziej — mówił pan Sopoiko do Wisłoucha — to bardzo piękny strój: niewiedzieć za co go ogadali. Można się popisać z łytkami kto je ma; na różnie, co u boku, w podró-



ży da się kurcze upiec wysmieniecie; no, i ta szopa na głowie — ciepła rzecz!

— Tak i przez kij skakać wygodnie!— odparł, spluwając, Wisłouch.

— Bardzo szanuję kochanego Podkomorzego, odezwał się Woroszyłło, a no, tak mi Panie Boże dopomóż, gdybym miał siedmnaście córek na wydaniu, żadnej-byłm Niemcowi nie dał powąchać. Co ta nieszczęśliwa pocznie, jak ją będą niemieckim szpekciem karmić?

— A w dodatku luter!—szepnął Sopoiko.

Opozycya pocichu daleko jeszcze straszniejsze zarzuty czyniła.

Dwór Podkomorzego, który zdawna wszyscy znali, teraz wcale nową przybrał fizyognomię, która nie zupełnie się godziła z tem, co dawnego w nim zostało i nie dało się przerobić. Krzeselka i kanapy były białe ze złotem, a mury staremi szpalerami ciemnymi okryte, i na stropie belki się nie utaiły; niektórych odwiecznych sprzętów nie śmiało wyrzucać—były w oczy swą prostotą. Podłoga poprawiona i zawoskowana, miała defektów wiele; a że gości było dużo, obok złożonych krzeselek i ławy kilimkami pokrywane stały.

Wśród towarzystwa też, a szczególnie pań, różne epoki strojami były reprezentowane. Niektóre suknie sięgały pewnie czasów Jana Kazimierza, inne jak z igły, świeżo przybyły z Paryża. Obok

najwykwintniej trefionych i pudrowanych peruczek młodych pań, starsze w ogromnych czepcach, ze wstęgami obfitemi, wydawały się dziwacznie. Młodsze pokolenie całe było w rogówkach, starsze w płaskich sukniach, z których się naśmiewano. Lecz nierzadko obok takiej z grubej materyi jedwabrej, prababczynej roby, klejnoty na szyi i na głowie zazdrość budziły wspaniałością swoją.

W ubiorach mężczyzn też sama różnorodność panowała. począwszy od kusego stroju, co na kozacki zakrawał, do delii fałdzistej i kontusika z węgierska.

Niemieckim panom, dla których moda była królową, mniejwięcej jednako i jednym krojem postrojonych, ten tłum różnobarwny osobliwie się wydawał. Patrząc na niektórych, ledwie się mogli wstrzymać od śmiechu panicze.

Figury też obu narodów całe do siebie podobne nie były. Sasi, choć słusznego dosyć wzrostu—szczupli, płascy, chudzi, chuderlawo wyglądali przy zawistych, otyłych, zażywnych, szerokotwarszych Podlasiakach.

Między Niemcami język ich własny, szczególniej na dworze i między obcemi, wcale nie był w używaniu. Mówili wszysecy po francuzku, boć jeszcze Fryderyk II, język narodowy uważał za niezdolny do wyrażenia delikatnych myśli odcieni.

Pan młody i ci co z nim zjechali, stojący w po-

środku bawialnej sali, zdawali się jakby na pokaz ustawieni, bo wszyscy z kolei przychodzili się im przyglądać. Bawił ich Podkomorzy i kilku młodszych paniczów, co po francuzku umieli; reszta nieufnie i wrogo jakoś trzymała się od nich zdala.

Wiadomo, że dawne obrzędy dziewiczego wieczora, połączone z oracyami, przemówieniami i t. p. były dosyć uroczyste i nużące. Podkomorzy więc za radą p, Osowieckiej, kuzynki swej, która mu, jako wdowcowi, zastępowała gospodynię, do minimum sprowadził owe ceremonie i, obyczajem wielkiego świata drezdeńskiego, ograniczył je na nieznaczających prezentacyach, błogosławieństwie, odbieraniu podarków i t. p.

Mów wcale nie miało być, co niektórym wydało się niemal świętokradzkim lekceważeniem.

Obok panny młodej i jej siostry, postrojonych według najświeższej mody, sędzianka Leouilla mogła najpierwsze zająć miejsce, tak śliczny miała ubiór i tak olśniewającą królowała pięknnością.

Zaledwie weszła i spostrzeżono ją, cudzoziemcy się poruszyli, nie tając admiracyi, i dowiedziawszy się, że panna po francuzku doskonale mówi, otoczyli ją kołem. Młode dziewczę miało tyle śmiałości wrodzonej, iż się tem wcale nie zmieszało. Ci, którzy pragnęli bliższą zrobić znajomość z sędzianką, zostali zmuszeni poznać się też z ojcem i matką.

Jejmość maleńka, choć oddawna się przystuchiwała szwargotaniu z córką p. St. Aubin, do francuszczyzny przyjść nie mogła. Rozumiała ją trochę, a gdy odpowiadać przyszło, uśmiechała się dziecinnie.

Sędzia Czemeryński zamłodu w łacinie ćwiczony, po francuzku się też nie uczył nigdy, lecz był to człowiek zdolny a nadewszystko śmiały. Zdawało mu się, że z ojcem łaciną, będąc w tak blizkich stosunkach, z synem jego rodzonym, francuszczyzną, łatwo przyjdzie do konfidencyi. Z panią St. Aubin więc naprzód puszczać się zaczął w fantastyczną francuszczyznę łataną łaciną, a że mu to szło jakoś, nabył tego przekonania, iż mówi po francuzku *expedite*.

W potrzebie prawil czasem takie rzeczy, że córce i bonie włosy na głowie powstawały, lecz żadna siła ludzka przekonać go nie mogła, że się mylił.

Skłonniejszym był do przypuszczenia, że Francuzka, nieobeznana z łaciną, ducha własnego języka nie znała.

Mając na celu serdeczne poznanie się ze Szwabami, Czemeryński zaraz się im przez Podkomorzego kazał zaprezentować i, z elokwencyą sobie właściwą, począł im prawić androny.

Lecz—był ojcem tak ślicznej córki, że się tylko na boku śmiano; nabierał więc coraz większej śmia-

łości i od ucha rznął co na myśl przyszło. Prawił głośno, a szlachta, zdala stojąca, podziwiała jego zdolności poliglotyczne.

— Ten Czemeryński, powiadam wam, szeptał Sopoiko, chyba już i po turecku umie. Słyszycie jak rżnie z Niemcami, ani się zająknie.

— Wielka sztuka — odparł Woroszyłło, spytaj ile lat bonę trzymają do córki. Skorzystał z jej lekcyi.

Wieczera z pyramidami, cyframi, z kwieciami posypanemi obrusami, nakrytą była w sali przybudowanej i jednym ze starych pokoi. Główny stół zastawiony był w podkowę i miał przy sobie pomieścić niewiasty, Niemców i dostojniejszych gości. Podkomorzy sam i kuzynu jego wice-gospodarz, p. Floryan, którego zwano Krzywoustym, bo miał w istocie wargę z jednej strony nieforemną, rozsadzali łaskawych przyjaciół.

Dla Czemeryńskiego i Strukezaszyca, którzy się dotąd jakoś nie zetknęli, nastąpiła chwila niebezpieczna. Sędzia raz się uczepiwszy grafa i jego kuzynów, mocno się ich trzymał. Kierował też swą nawą tak, aby przy nich być umieszczonym bo go to od Strukezaszyca zabezpieczało, który do Sasów się zbliżać nie miał ochoty.

W istocie, Hojscy, stary i młody, po przywitaniu się z gospodarzem, p. Blandynę umieściwszy pod opieką dawno jej znanej pani Osowieckiej, weszli

w ów tłum gęsty, znaleźli starych druhów i na uboczu się trzymali.

Erazm, wystrojony pięknie i świeżo, choć nie modnie, wszystkich panien ściągnął oczy, tak był urodziwy, zręczny i postawny. Coś szlachetnego, rycerskiego biło z jego oczów i czoła.

Panny, które go nie znały, dopytywały jedne drugich: co to za jegomość, z kąd i jak się zowie?

Jejmoście się też interesowały nim, i mężczyźni nawet chwalili pięknego młodzieńca.

— Żeby-to, mosanie, po husarsku go ubrać, tygrysią skórę mu przez plecy przerzucić, na konia go wsadzić—klękajcie narody, co za wojak—choć malować!—wołał Sopoiko.

Panna Leonilla, chociaż na pierwszym wstępie otoczono ją hołdami, choć Niemcy jej nie odstępowali, choć mogła tym swoim tryumfem być dumną i zaspokojoną—przez dziwną jakąś fantazyę niepojętą, ledwie wszedłszy na salę, poczęła zaraz oczkami szukać tego nieznośnego — wroga. A trafiło się tak, że p. Erazm rozmawiając z młodym Jagmieniem, stał, gdyby na okaz, ręka w bok, głowa do góry, wąsik podkręcony, z uśmiezkim na ustach, jak młody dębezak giętki a krzepki: miło nań było popatrzeć.

Nienawidziła go panna sędzianka; miała jeszcze świeżą urazę, że ją podpatrzył ugrzeżłą na błocie: jednak spojrzawszy nań, w myśli porównawszy go

z Niemcami, nie mogła się wstrzymać od wniosku, że był w istocie—chłopak śliczny.

Traf chciał, że w tejże chwili p. Erazm się jakoś odwrócił, i te dwa wzroki, które się nigdy spotykać nie były powinny ani chciały, zeszyły się, starły.

Pannie na twarzączkę wystąpił rumieniec: Erazmowi dreszcze przeszły po skórze i rzekł w duchu: — A! jakaż bestya piękna!

Tę „bestyę“ dodał już dla osłabienia wyznania, które uczynił.

Panna Leonilla miała ten zwyczaj niedobry, że się nie dawała spłoszyć i nie ustępowała nikomu.

Więc, choć była powinna cofnąć się z wejrzeniem, na złość śmiałkowi, który się ważył patrzeć na nią, nie odwróciła oczów, poczęła mu się przypatrywać zuchwale.

Erazm też nie miał najnniejszego powodu tchórzyc i uciekać: dostał śmiało tym oczom zabójczym. Zrobiło mu się tylko jakoś osobliwie, jakby w istocie postrzał otrzymał. Dreszcze zastąpiło gorąco, serce uderzyło mocno, piersi się poruszyły oddechem żywszym.

— A! jakaż bestyjka piękna!—powtórzył.

Tym razem była już panua sędzianka nie „bestya“, ale „bestyjka.“ co znacznie modyfikowało wyrażenie.

Panna Leonilla patrzyła na upartego, wyzywająco, jakby chciała mu powiedzieć:

— Widzisz aspan, że sobie z tego żartuję, i żeś mnie widział siedzącą w błocie. Nic mi nie jest.

Erazm zdawał się mówić oczyma:

— Nie mam do waćpanny żadnej pretensyi za ojca. Nie gniewaj się na mnie.

Gdy naostatek panna, widząc, że nie zmusi kawalera do odwrotu, wejrzenie ku Niemcom skierowała, zostało jej wrażenie to, że p. Erazm chyba był bardzo chytrym człowiekiem, bo udawał niewiniątko.

W dziesięć minut potem wcale niepotrzebnie czyniła p. Leonilla po dziecinnemu próbę. Chciała się przekonać: czy ten zuchwalec na nią patrzy, strzeliła w bok — osobliwsza rzecz, spotkała jego oczy chciwie skierowane ku sobie, i conajprędzej pierzchnęła, spuszczaając wzrok na rogówkę, na której poprawiać zaczęła fontazie.

I na tem się przed wieczorem skończyło.

Strukczaszyca posadzono tak misternie, po tej samej stronie stołu co sędzię, zasłoniwszy Czerneryńskiego ogromnym brzuchem p. Wisłoucha, iż ani się widzieć, ani o sobie wiedzieć nie mogli. Pan Erazm z młodemi zasiadł w drugim pokoju. Lecz, co komu przeznaczono na utrapienie, to go nigdy nie minie. Przeze drzwi na prost niego siedziała z p. St. Aubin p. Leonilla, i nie mógł głowy pod-



nieść, żeby jej twarzyczki i loków upudrowanych nie widzieć.

Zupełnie go to paraliżowało i odejmowało mu swobodę. Panna miała naprzeciwko siebie niemieckiego barona Fischhausena, który ją zabawiał, mimo to kiedyniekiedy główkę odwróciwszy, spotykała oczy p. Erazma, ale już się ich widzieć nie zdawała.

Uposiadła się tylko tak szyjkę wyginać, tak tą ufryzowaną główką potrząsać, tak się uśmiechać, wdzięczyć, dziecinnie zabawnie, puszyć i trzepotać jak ptaszek, — że p. Erazm się nauczył jej fizyognomii ze wszystkimi odcieniami. Laleczka ta go bawiła. Nie spuszczał z niej później oka, przekonawszy się, że ona tego nie widzi. A — czy nie widziała? trudno zapewnić, bo wszyscy z doświadczenia wiedzą, że kobiety widzą niepatrząc, widzą w bok, poza sobą, po nad sobą, i o czterdzieści mil, gdy się uprą.

Panu Erazmowi, mniej mającemu doświadczenia w tych przedmiotach, było to dotąd niewiadomem.

Przy wieczerzy, ponieważ Sasi nie wymawiali się od kieliszków, zaczęto pić mocno. Zrobiło się gwarno, Niemcy między sobą zaczęli paplać po niemiecku, inni mówili po francuzku, drudzy po polsku, po łacinie i z chłopska po rusińsku niektórzy: jak na wieży Babel pomieszały się języki.

Jeden Strukezaszyc, choć pił, z obyczaju swojego

milczącego nie wychodził, odpowiadał zaczepiany, lecz krótko i zimno. Nie widział on nieprzyjaciela ale go czuł gdzieś, drgał chwilami, burzyło się w nim wszystko, — siedzieli u jednego stołu. Czemeryński zaś zajęty Szwabami i własną francuszczyzną, którą wino czyniło coraz tęższą, zapomniał o wrogu.

Przewrotni Niemcy wyzywali go umyślnie na takie frazesy, że boki po nich zrywali. Lecz śmiech szedł na inny rachunek: Czemeryński ani mógł przypuścić, ażeby kto ważył śmiać się z niego.

Mieszał już teraz do łamanej francuszczyzny, nie tylko łacinę, ale wyrazy domowej fabrykacyi dając im zakończenia gallikańskie; rad był z siebie.

W końcu przecież gwar się stał tak ogólnym, po wypitych kilku zdrowiach, że niewiele go słyszano. Wieczera zakończyła się prędzej, niżby obywatele, którzy rozpoczęli toasty, życzyli sobie, — sala bowiem potrzebna była do tańców, i pan Floryan szeptał pocichu, że *pocula* czekają w osobnej izbie. gdzie do białego dnia nie będzie przeszkody żadnej.

Ruszono się od stołu i tu jeszcze złożyło się szczęśliwie tak, że Strukezaszyc pierwszy się wy dobył i wyszedł, a Czemeryński, barona pod rękę ujawszy, przystał.

Nie spotkali się więc i nie wzięli na oko.

Pan Erazm, uwolniony od nużącego przypatry-

wania się sędziance, wyniósł się także z młodzieżą. Salę musiano conajprędzej opróżnić dla tańców. Ostatni goście wychodzili z niej, gdy stoły już runęły, i muzyka sprowadzona od Dominikanów z Brześcia, wzmocniona przez kilku amatorów, już się do grania stroiła. Tańce, według prawideł, nawet na dworze saskim już przyjętych, zaczynać się miały od polskiego odbijanego, który po wszystkich salach i izbach domu musiał odbyć pielgrzymkę.

Do pierwszych par szykowali się codostojniejsi z paniami starszemi; dalsze już pary kleiły się jak Bóg dał. Brał każdy kogo mu się podobało. Strukczaszy nie chodził w żaden taniec, gdy nie był zmuszonym; cofnął się więc do izby, w której pito, choć do wina ochoty nie miał.

Pan Erazm byłby może został także prostym spektatorem, gdyby niespodzianie pani Rząrzewska, dawna matki jego przyjaciółka, poważna osoba, nie przystąpiła doń, nie zagadała i nie powiedziała mu otwarcie:

— A no, weź-że mnie do tańca, to choć pogadamy.

Odmówić nie było sposobu, a nawet i racyi. Muzyka już zaczynała, i ojciec panny młodej występował z księżną Gedroiciową, gdy p. Erazm znalazł się z panią Rejentową Rząrzewską w szeregu. Na myśl mu nie przyszło, że w odbijanem może

się trafić niespodzianka. Szli tedy po pokojach spokojnie, a wspomnienia matki usposobiły Erazma smutnie, gdy poczęli się mężczyźni mieniać i p. Erazm, pocałowawszy w rękę p. Rzarzewską, znalazł się przy p. Woroszyłowej. Nic mu to nie szkodziło. Tylkoco rozmowę zaczęli, już ktoś odbił, syn Strukczaszyca znalazł się przy paninie Piotrowskiej, której wcale nie znał. Panna była wesoła i figlarna jak myszka; więc choć niby nieznaną i bez żadnego powodu poczęła się uśmiechać do narzuconego jej przez los tancerza. Była bowiem tego wieczora w nadzwyczaj wesołym humorze, z powodu, że ojciec jej na festyn pierwszą kupił rogówkę. Pyszniła się w niej ładna panienska, której-by może bez tej rogówki jeszcze piękniej było, i od uśmiechu przyszłoby wreszcie do rozmowy z Erazmem, gdyby na przedzie, po kieliszkach nie napadła ichmościów fantazyja odbijania co chwila. Ledwie się pan Erazm zaczynał oswajać z panną Piotrowską, gdy— pa! — już go ktoś przy niej zastąpił, i w miejscu jej dostała mu się pani Horbaczevska, niemłoda jejmość, odrobinę garbata, ale wesoła i dowcipna.

Z tą się natychmiast rozpoczęła rozmowa o wymienionej zabawie i wesołem towarzystwie, o Niemcach, których jejmość zabierała się wysmiewać, a Erazm dopomagać był gotów, aż—znowu odbito.

Cofnął się Hojski, niepatrząc zrazu kogo mu los

nadarzył i podając rękę następnej tancerce, gdy postrzegł, że mu ją nagle wychwycono.

Podniósł głowę zdumiony i zobaczył przed sobą w całym majestacie wdzięków, dumy, młodości p. sędziankę Leonillę. Los się spisał — jak to on czasem umie.

Panna, chcąc okazać nieprzyjacielowi domu, że się mu nawet końca swych paluszków dotknąć nie da, rękę podniosła wysoko, a minę nastroiła królewnej. Brwi się jej śliczne namarszczyły okrutnie, usteczka wydeły, niebieskie oczy chciały być straszliwie groźnemi; ale taka była piękna, że się jej p. Erazm nie a nie nie uląkł. Owszem śmiało patrzył i oddychał przedziwną wonią pudru, która z jej fryzury się rozchodziła. Nie zapłacił jej za groźbę i zmarszczenie równą monetą, lecz spokojnie a z rodzajem zdumienia, korzystając ze zbliżenia się, zuchwale pożerał ją oczyma! We wzroku nic złowrogiego nie było. Panna już nie wiedziała co zrobić z sobą, gdy szczęściem dla niej, znowu odbito i p. Erazm znalazł się przy p. St. Aubin.

Tu musimy dla zrozumienia tego, co zaszło, objaśnić czytelnika, że szczególnym trafem p. Erazm Hojski, prawie się, nieucząc tego języka—bo go w szkołach jezuitckich ówczesnych na programacie nie było, a ojciec z niego modnego kawalera robić nie chciał—wybornie mówił po francuzku. Staruszek ojciec Rodryg Renard, Jezuita, który po łąci-

nie wykładał łacinę, polubił chłopaka dla miłej jego powierzchowności i żywego umysłu, ciągle go do siebie wabił, zajmował się nim i prawie go zmusił do mówienia z sobą po francuzku, a potem do czytania. Jemu więc winien był p. Erazm, że ten modny język wcale mu nie był obcym. Nie ręczylibyśmy, że pisał nim ortograficznie, ale mówił łatwo i wybornie.

Pani St. Aubin, ładnego wroga tego zobaczywszy przy sobie, zrobiła minkę pogardliwą wielkiej pani, wachlarzem na pół osłoniła twarz i odezwała się pół-głosem, nie sądząc, żeby zrozumianą być mogła.

— *O! destin, en voilà des tes coups!*

Śmiały Hojski, pokręcił węża, nie miał żadnej potrzeby zbytniego ceremoniowania się z panią boną, i odparł doskonałą francuszczyzną:

— Prawda, że los sobie czasem dziwne wyprawia igraszki z nami, — *mais à la guerre comme à la guerre!*

Francuzica ledwie uszom wierzyć chciała; wachlarz jej odpadł od podbródka, na którym puszczające się samopas włosy, zasłaniać miał posłannictwo. Obróciła się do p. Erazma i zawołała:

— A! pan mówisz po francuzku! Zdumienie było nieco obrażające—ale Hojski na nie odpowiedział uśmiechem i skinieniem głowy. Francuzce,

której się wydawał zawsze bardzo pięknym mężczyzną, teraz się jeszcze zdał przystojniejszym.

— Byłeś pan w Paryżu?—zapytała naiwnie.

— Dotąd nie—rzekł Erazm, chociaż ciekawy-bym był go zobaczyć.

— Spodziewam się—*Vous n'êtes pas degouté!* a ja chciałabym do niego powrócić.

— Pani już dawno bawi w naszym kraju?

— Nie liczę lat, ale mi się wiekami wydały.

— To niepochlebnie dla nas, a szczególnie dla domu, w którym pani zostaje.

Pochwycona tak Francuzka, zagryzła usta, zerknęła ku przodem idącej pannie, czy jej nie usłyszała, i odpowiedziała z innej beczki.

— *A propos:* pan wszak jesteś synem naszego najbliższego sąsiada? Dlaczego się panowie zabijacie i kłócicie?

— Ja, nie—odparł Erazm.

— A ojciec pański?

— To do mnie nie należy.

— To-bo okrutnie rzecz nudna, taka zwada sąsiedzka?

— Nie przeczę.

— I pan-byś jej zaniechał?

— Pani—ja zależę od ojca, a to, co on czyni, do mojego sądu nie należy.

Francuzka spojrzała uważnie, i dała znak głową, że go zrozumiała. W tem nareszcie odbito, i pan

Erazm przeszedł pod panowanie pani Wiśniewskiej, młodej, pięknej, zalotnej, strojnej mężateczki, która mu na powitanie perłowe zębki pokazała.

Musimy tu dodać, że całą rozmowę p. Erazma z p. St. Aubin, p. Leonilla doskonale podsłuchiwała, chociaż ani główki nie zwróciła, ani dała poznać po sobie, że jej słucha. Francuszczyzna i ją zdziwiła niezmiernie. Pilno jej było zaraz po skończeniu polskiego tańca zbliżyć się do St. Aubin i pomówić z nią — o tym zuchwalcu.

Taniec wszakże przeciągnął się dosyć długo. Zaledwie ją posadzono, pod pozorem odpiętej falbany p. Leonilla zbliżyła się do p. St. Aubin i pociągnęła ją do kątku.

— Proszę-ż cię—to historya!—zawołała.

— Której ja bardzo jestem rada,—odparła Francuzka, — chłopiec zblizka jeszcze ładniejszy niż zdaleka. Ma w sobie coś tak szlachetnego, rycerskiego, jakby jaki bohater romansu — a jak mówi po francuzku!

— Ale gdzież się to mogło po francuzku nauczyć! z pewnym rodzajem udanej pogardy i lekceważenia zaczęła Leonilla.

— A, tego ja nie wiem jeszcze — odpowiedziała Francuzka; ale, że będę wiedziała, za to ręczę, bo ja przecie nie mam go powodu unikać! Co mi tam! Panna Leonilla zrobiła minkę dwuznaczną.

— Pięknie-by było, gdyby tatko się dowiedział,



żem ja mu rękę podała w tańcu! Szarpnęłam ją i wyrwałam natychmiast,—mówiła sędzianka.

Pani St. Aubin się uśmiechnęła.

Nachyliła się do uszka różowego panny i zaczęła w nie żywo sypać coś bardzo tajemniczego.

Sędzianka się zarumieniła, ramionami kilka razy wzruszyła pogardliwie; oburzała się niby, ale wśród tej rozmowy powiodła po sali oczyma, spotkała natrętny wzrok syna p. Strukezaszyca, odwróciła się, dając mu poczuć, że na nią patrzeć nie powinien, i--na tem się skończyło.

O odchodzącej Francuzka szepnęła:

— Myśl sobie jak chcesz, ale codo mnie, słowo daję, niema tu ani jednego, któregoby przy nim można postawić — gdyby się tylko przebrał po francuzku!

Tymczasem już „Mazowieckiego“ grano i pary się ustawiały. Baron, któremu wpadła w oko sędzianka, choć w tym tańcu nie był biegłym, ufając temu że barbarzyńskich skoków wnet się nauczy, zaprosił ją. Odmówić nie mogła. W drugim końcu sali, Erazm, nie myśląc tańcować, szedł spokojnie, gdy ładniuchna pani Wiśniewska, znowu mu białe pokazała ząbki i sama mu rączkę podała.

— Jak Boga kocham, chodź pan zemną, tancerza nie mam!

Jak tu takiej ślicznej paniusi odmówić było można, mając lat dwadzieścia?

Gdy w sali sposobiono się do tańca, Czemeryński nie opuszczał na chwilę grafów niemieckich, i coraz mu łatwiej szła z nimi rozmowa francuzka, bo się śmiało ratował polskiemu wyrazami. Ponieważ uważał, że baron przysiadł się do jego córki, chcąc się o jego procedencję rozpytać, jednego z grafów zagadnął z polska po francuzku: *kto go rodzi?*

Przetłómaczył to wcale zgrabnie — *qui le naît?* powtórzył razy kilka; zaczęto się śmiać. Czemeryński po raz pierwszy się jakoś skonfundował; poczuł, że mu w gardle zaschło i postanowił odwilżyć je winem. Poszedł więc do wiadomej izby *ad hoc* przeznaczonej, w której siedział Strukeczaszyce.

Dyabeł, który nigdy nie śpi, zrządził, że w tejże chwili Strukeczaszyceowi zrobiło się niezmiernie gorąco i zapragnął się ochłodzić. Wychodził właśnie, gdy oko w oko, na ciasnej ścieżce, pozostałej wśród tłumu, nieprzyjaciele się spotkali. Strukeczaszyce, który był zawsze panem siebie, usta zacisnął, głowę podniósł i nadał się, ale przystanął.

Czemeryński zachnął się.

Zmierzyli się hardo oczyma.

Z oczów Hojskiego nie można było nic wyczytać, oprócz:

— Czekaj, kochanie—dam ci się ja we znaki.

Czemeryński zdawał się mówić:

— Precz-że mi z drogi, szerepetko.

Ani jeden ani drugi ustąpić nie myślał.

Sędzia, do rozpacz przywiedziony, bo zawracać się wcale nie myślał, na głos dziwacznie prychnął. W tem prychnięciu było coś tak groźnego, że wszyscy oczy zwrócili. Strukeczaszye, usłyszawszy to wyzwanie odprychnął, ale jeszcze dobitniej, z poświstem.

— Pfiu! pf! — sapał Czemeryński.

— Pfiu! pf! — prześladować się go zdając, przedrzeźniał Strukeczaszye.

Dał się sędzia, nadymał się przeciwnik, tupnął nogą jeden, odtupywał drugi.

— Hm!

— Hm!

Któs zwrócił na ten konflikt grożący uwagę Podkomorzego, który, w sam czas nadbiegłszy, Czemeryńskiego za rękę pochwycił, i pod pozorem pilnej sprawy odciągnął go w bok trochę. Korzystając z tego Strukeczaszye, bardzo wolnym krokiem, z rękami w kieszeniach, począł mijać przeciwnika. Wtem Czemeryński się odwrócił groźno; Strukeczaszye stanął.

Podkomorzy, przestraszony, gwałtem prawie za rękę chwyciwszy sędziego, począł mu coś szeptać do ucha, i Hojski dalej spokojnie, flegmatycznie się posunął. Buchowiecki w ciągu tej groźnej kryzys spotniał jak mysz; ale wszystko zostało szczęśliwie przewyciężone i skończone.

Dodano Strukezaszycowi na całą resztę wieczora, przybocznego stróża, obawiając się nowego starcia.

Czego jednak nikt naówczas ani przewidywał, ni się mógł spodziewać, to, że w tym ogromnych rozmiarów mazurze, gdy się poczęły mieniać pary, mężczyznami i paniami, Erazm, tańczący wesoło z p. Wiśniewską, która ze ślicznego tancerza swego niewymownie była szczęśliwą — nagle w wirze skaczących, płaczących się, podających sobie ręce i rzucających, znalazł się przy p. Leonilli. Panna czy się nie postrzegła, czy zapóźno go poznała, podała mu rączkę: Erazm ją chwycił i poszli razem.

Była to najpiękniejsza para na całym weselu; ale gdy ją ujrzała maleńka pani sędzina, zrobiło się jej słabo, krzyknęła:

— Ach—i omdlała.

Rzucono się ją ratować, gdy już Erazm wrócił do swojej p. Wiśniewskiej, która pół-zartem szepnęła mu:

— O! już waćpana teraz nie dam i nie puszczę — proszę mi nie robić—niewierności! (Było to z francuzka, ale pochlebnie).

Po mazurze, St. Aubin, której oka nie uszło, że Leonilla zmuszoną była przetańcować z synem paną Strukezaszyca, przybiegła do wychowanki.

Pierwsze słowo Leonilli było (ale na ucho):

— A! żebyś wiedziała jak tańczuje!

Zdziwiło to p. St. Aubin.

— No—ale cóż-bo było począć, proszę cię—dodała żywo sędzianka. Na środku sali wpada na mnie jak jastrząb, porywa za rękę i niesie. O mało-m nie omdlała. Ale, powiadam ci! jak tańczy!

— Wiesz, że sędzina dostała mdłości!— odparła St. Aubin — zlekła się, aby p. sędzia nie zobaczył, bo-by był wpadł i awanturę zrobił.

— Tatko nic nie widział, — odparła Leonilla— i po cóż mu to mówić! No—przypadek! Cóż tam— ale jak tańczy!—powtórzyła raz jeszcze Leonilla.

— A baron?—zapytała Francuzka z przekąsem.

Śliczna pauna wydeła usta, powiodła oczyma po sali; nie odpowiedziała nic.

---

Wesele u p. Podkomorzego zostawiło po sobie mnogie i rozliczne wspomnienia. Sędziemu nie powiedział nikt o tem, że syn jego wroga dwa razy z sędzianką śmiał tańcować: uczyniono z tego tajemnicę.

Czemeryński tylko opowiadał nadzwyczaj patetycznie owo spotkanie ze Struczczaszycem we drzwiach *Bibotheki*, bo tak zwano pokój, w którym beczka wina stała. Powróciwszy do domu, najpierw opisał to ks. ex-definitorowi, potem dwom sąsiadom, naostatek ekonomowi. Do opowieści tej za każdym razem przybywały nowe i piękne szczegó-

ły; wykończył ją artystycznie autor i podniósł do znaczenia *Mimodramatu*.

Pierwsza wersja, którą żonie w ucho włożył, tak była różną od ostatniej, iż historykowi prawdziwy zaszczyt przynosiła.

Gdy w pięć dni potem przyjechał pan Filemon Kaczor, zwany „Komornikiem“ o którym zaraz szerzej powiemy, w progu go zaczął Czemeryński:

— A słyszałeś-że ty o mojej awanturze z tym samczwańcem Strukezaszycem, na weselu u Podkomorzego? Nie? To ci powiem. Wystaw sobie, rzecz była widać ukartowana: chcieli nas, upoiwszy zbliżyć i zmusić do podania sobie rąk. Ja to wszystko *anticipative* przewidziałem, przeczułem, zbrojny byłem. Wiedziałem, że mnie nie pożyją.

Cóż się dzieje? Gdy już *pocula* mnogie wychylono, gdy w czuprynach szumi, pchają mnie, powiadają ci, umyślnie na ciasne przejście, kędy się minąć nie było można. Miałem się na baczności. Jedną razą, widzę—idzie ów drągał, ręce w kieszeniach, podpiły mocno, głowa do góry zadarta, wprost na mnie.

Zważ, że nam wszystkim wprzód *subversive* szable poodejmowano, bo, tak jak mnie żywym widzisz, natychmiast-bym za szyję moją dobrodziejkę chwycił.

Stałem jak mur. Ten stanął też. On na mnie

patrzy, ja na niego; podniósł ramiona, ja też. Ludzie nas otaczają—co tu będzie?

— Proszę! proszę!—wtrącił Kaczor.

— Ale, nie przeszkadzaj—bo—ofuknął Czemeryński—słuchaj—na czym stanąłem? A—jak mur stoję. Widzę, pobladał antagonistą, chwieje się, i widzę jak mu zboku animuszu dodają.

Dłużej to trwać nie mogło, odezwać się nie chciałem. Słowo za słowo, byłaby powstała uwłaczająca godności mej burda. Więc, panie dobrodzieju, co ja robię! Co myślisz?

— A! dalipan, nie wiem—odezwał się Kaczor.

— Widzisz! politykiem nie jesteś — kończył sędzia—prychnąłem, ale gdybyś był słyszał jak prychnąłem, co było w tem prychu! Żadne słowo tego nie wyrazi. Była w nim pogarda, lekceważenie, oburzenie, duma, groźba.

A wiesz—ten szerepetka, niemogąc się zdobyć na odpowiedź inną—odprychnął.

Ale jak odprychnął?—nędznie! bo to było naśladowanie małpie, słabe, nikiżemne. Jak buchną śmiechem wszyscy!

Wtem Podkomorzy widząc, że nieprzelewki, i że ja mogę wpaść na nowy jaki pomysł, pochwycił mnie na bok, wprowadzając.

Dopiero widzieć trzeba było, jak ta nędzna, ordynaryjna figura, krokiem tchórzliwym, oscyllującym, niepewnym poczęła cofać się i z placu ucho-

dzie; trzeba było widzieć, jakim wzrokiem piorunującym ścigałem zuchwalca.

Nie! powiadam ci, admiirowali mnie wszyscy, winszowali mi, nie mogli się nacieszyć. Strukczaszyc poszedł jak zmyty. Jedno prychnięcie! Tak!

Podajemy tę wersję skróconą nieco, aby dać wyobrażenie: jak sobie ową przygodę wykładał pan Czemeryński.

Komornik Filemon Kaczor, był to biedny człeczyna, który w istocie dawniej zajmował się pomiarami, później, mało co grosza uciuławszy, nabył lichą wioszczynę w błocie, a miał to nieszczęście, że się we własnej pracce, ładnej dziewczynie, zakochał—i ożenił. Następnie pomnożyła się rodzina; żona z owej ładnej, świeżej dziewoi stała się otyłą babusią; bieda zawitała do domu i p. Filemon Kaczor, niemając tak dalece co mierzyć, bo wszystko już było pomierzone w okolicy, biedę klepał.

Był człowiek mały i z krzywemi nogami, które, gdy stał, nigdy do siebie przystać niemogąc, owal nieforemny wpośrodku zarysowywały. Twarz miał dziobatą, nieładną, na której nawet wąs porządnie rosnąć nie chciał.

Ale zpod powiek wychwytywało się spojrzenie kolące jak szpilka, przenikliwe, rozumne. Pan Filemon też choć z miłości szalone popełnił głupstwo, co nieustannie powtarzał, nie był wcale głupim.



Rozmaitego rodzaju usługami starał się sobie pozyskiwać serca obywatelskie; umiał na nasienie dostać owsa u Strukezaszyca, a we dwa dni potem korezyk pszenicy z Łopatycz. Był dobrze ze wszystkimi, a na nikim poczeiwej nitki nie zostawił.

Przed Hojskim wygadywał na Czemeryńskich, w Łopatyczach wydziwiał na pyszałka Strukezaszyca. Potakiwał zawsze gospodarzom, gdziekolwiek był, a plotki nosił i dawał się używać do wszystkiego.

Być bardzo może, iż w domu, dla kupy dzieci zamurzanych i jejmości bardzo krzykliwej, siadywać nie lubił,—bo wrywał się zawsze ze swego Brzozowa, pod różnemi pozorami.

Nie czyniono z nim sobie najmniejszego ambarasu: w pokoju siadał u drzwi, u stołu na szarym końcu; nie obrażał się, gdy mu wino z innej nalewano butelki niż gospodarzowi; znosił, gdy Czemeryński wymawiał mu, że jego buty dziegiem śmierdzą, tłumacząc, że je zawsze odświeża starą słoniną—słowem, człek był gładki i wygodny.

Do posyłek, na zwiady, sam się napraszał. Prawda, że potem za wszystko najlaskawsi dobrodzieje płacić musieli; ale się nie wzdragał brać honoraryów w naturze, co wiele odzyskanie ich ułatwiało. Poczawszy od nadgniłej rzepy, brał wszystko: stę-

chły owies, porośłą pszenicę, hreczkę popsutą i gorzałkę śmierdzącą.

Mówił pokornie:—Zda się i to!

Lubli go za tę usłużność wszyscy, oprócz księdza Dagiela. Proboszcz nie miał zwyczaju na nikogo nie mówić, ale gdy Kaczora chwalono, milczał.

Tu, mimo pobożności swej, bo w kościele był budującym modlitwą swoją, nie miał miru.

Szczególniej na rękę było komornikowi, że się Czemeryński zajadał z Hojskim. Błogosławieństwem dlań była ta wojna dwu sąsiadów, i starał się ją o ile możności utrzymać w całej sile, podsycając bardzo zręcznie z obu stron; chociaż napozór zachęcał do zgody i opiewał nieocenione, błogie jej skutki.

— A co p. Filemonie?—zagadnął go, ukończywszy opowiadanie swe Czemeryński, — nie słychać tam co nowego od tych hultajów?

Kaczor ramionami ruszył.

— Zawsze się jednakowo odgrają — rzekł komornik. Dla jasnie wielmożnego sędziego ten ciągły niepokój, to prawdziwy kołtun.

— Kula u nogi!—zawołał Czemeryński, ale czy myślisz, że ja na włos ustąpię? Nigdy! Tu nie idzie już o dyferencję, o ziemię święcie mi należącą, wydartą, utrzymaną, za którą, gdyby przyszło rewindykować, rekuperować, likwidować, nie star-

czyłoby majątności tych Hojskich, a raczej Hol-  
skich—bo to gołe!

Rozśmiał się.—Nie idzie o to, ale o honor, o punkt  
honoru, o świętą sprawiedliwość. Tu żadne ukła-  
dy i ustępstwa nie są możliwe, rozumiesz, bo-by  
zadały kłam mnie i ś. p. ojcu mojemu.

— Że jaśnie wielmożny sędzia ma po sobie słu-  
szność—dodał komornik, tego mapy dowodzą, du-  
kty, kopce, na drzewach znaki.

— A wiolencją i perfidyą powoli dogarniali,  
przywłaszczali i dziś tych awulsów rekuperować  
prawie niepodobna. Dwór ich stoi na moim grun-  
cie!

— Któż to, proszę jaśnie pana, lepiej wie nade-  
mnie?—rzekł Kaczor. Jednak to się już tyle czasu  
ciągnie, że należałoby się dopilnować.

— Tak! mądryś—zawołał Czemeryński.—Ja je-  
stem człowiek, ty mnie znasz, otwarty — prawy,  
niekryjący w sobie zdrady — a Hojski co? Kto?  
Mruk, zamknięty, faryzeusz, z podełba patrzący,  
wcielony fałsz, inkarnacya obłudy.

Uśmiechnął się Kaczor, aprobując.

— Więc—mówił z zapalem Czemeryński—w są-  
dach ja idę z podniesioną przyłbicą. gościńcem  
szerokim, on na przełaj, przekupstwem, podstępem.  
Kondemnuje się, gdy mu potrzeba, niedopusci reje-  
stru, gdy mu wygodniej; potem *de noviter repertis*,

prosi o kommissyą i dukt nowy. I tak z roku na rok za gardło mnie dusi.

Myśli, że mnie zmoże i że ja wkońcu pójdę do kompromisu, a sąd polubowny, jak to jego obyczaj, krakowskim targiem na pół, przyzna mu choć połowę jego rabunku. Otóż nie! nie—i nie!

Na rękę było przybycie Kaczora sędziemu, gdyż, co mu się często przytrafiało, potrzebował pieniędzy. Była to delikatna materya. W podobnych razach Kaczor *sub rosa* mając sobie powierzonom, iż chwilowo Czemeryńskiemu gotówki brakło, jechał, sznurkował i szlachcica wynajdywał, który sam o lokatę prosił. Operacya odbywała się tak, że honor domu salwowano. Z początku sędzia wzdrygał się brać pieniądze.

— A po co mnie to? ciężar? prowizya duża! Dajcie mi pokój.

Kłaniał się szlachcic, rozmawiano i sędzia, niby zmuszony, przez miłosierdzie zgarniał dukaty i talary.

— Słuchaj-no, Kaczor, komorniku kochany— rzekł mu po obiedzie sędzia.—Hm!

I nie mówiąc więcej, pokazał na dłoni jak się odbywało liczenie pieniędzy.—Hm?

— A wiele?—zapytał komornik.

Sędzia, uśmiechając się, rozszerzył palców pięć: miało to oznaczać pięćset czerwonych złotych.

Komornik potarł czuprynę; Czemeryński go pokiepał po ramieniu.

— Ja ciebie znam! tyś sprawny!—rzekł śmiejąc się. I szepnął mu coś do ucha.—Kaczor się do kolan pokłonił.

Była to właśnie owa pora kontraktowa, gdy mnóstwo ludzi na pieniądze poluje, więc nie łatwo ich gdzie dostać; wszelako spodziewał się komornik—przy pomocy Bożej!—bo był bardzo pobożny.

Przed wieczorem wyruszył z Łopatycz.

Po drodze mu wypadła Sierhin; zmierzchało się już. Zdała dwór, w którym się tego z kominów kurzyło, oświecony, był tak jakos zaciszny, wygodny, aż się zajechać chciało. Czemuż nie?

— Nawracaj do Sierhina! — odezwał się komornik do chłopca i począł:—Pod twoją obronę.....

Modlitewka była na intencję, ażeby mu się w tym domu powiodło.

Właśnie, p. Erazma wysławszy do Lublina, nie tak dla interesów jak dla rozrywki, Strukeczaszye z siostrą Blandyną nudził się trochę. Zimą spory z Łopatyczami przycichały zwyczajnie, chyba w lesie się co przytrafiło. Zobaczywszy przyjeżdżającego Kaczora, którego poznał przez okno Strukeczaszye, uradował mu się — otworzył drzwi i huknął:

— Konie do stajni!

W zachowaniu się komornika u dwu sąsiadów,

była pewna różnica: pokornym był u obu, ale z Hojskim nieco poufalszy, i że tu smutnawo zawsze wyglądało, nabierał wesołości, a gospodarz mówił mało, on czuł się w obowiązku mówić za dwóch.

— Niech-że będzie pochwalony! — odezwał się wchodząc.

Na kominku się paliło w izbie, Hojski właśnie był chodząc, część pacierza dokończył.

— Jak się masz komorniku? a zkąd?

Pytanie było niedyskretne. Zamilczając o Łopatyczach, przyznał się komornik, że z Kobrynia powraca do domu.

— A w Łopatyczach nie byłeś?—zagadnął Strukczaszye.

Po chwili mileżenia komornik bąknął:

— Byłbym minął, ale Czemeryński z gościńca mnie kazał zawrócić.

— O! o! cóż-to?

Zbliżył się do gospodarza Kaczor i, naśladowując mimikę sędziego, pokazał na dłoni jakby pieniądze liczył.

Strukczaszye się rozśmiał.

— A to dobrze!

— Pan mu ich nie da przecie?—odezwał się szydersko komornik.

Hojski włożył ręce w kieszenie, zapatrzył się w komin, podszedł i polanko przyłożył: nie odpowiedział nic.

Po długim przestanku odwrócił się:

— Cóż tam? kuso?

— A kuso! bo państwo, widzę, kosztuje.

— *Czomu ne szatyty, koły prystupaje!* — krzyknął Strukeczasyc, przykładając drugie polano na ognisko.

W tem, o gościu się dowiedziawszy, nadeszła, w białym czepcu z szafranowemi wstęgami, panna Blandyna. Kaczor ją w rękę pocałował.

— Acan dobrodziej na postną wieczerezę trafiłeś—co ja mu dam? hę? u nas dziś mleko i kaszka z grzybami.

— Karaj Boże do wieku! — odezwał się komornik. Chciałbym to w domu codzieln mieć.

Zaczęto zaraz po chwili rozpytywać o Łopatycze. Komornik tak się tu umiał maskować i przybierać postawę przyjacielską, że Strukeczasyc go za swego miał.

Panna Blandyna, pomimo groźby, że wieczerza mlekiem i kaszą się obejdzie, wyszła, aby naprędce dokomponować naleśniki. Mężczyźni zostali znowu sami.

— Gdzież ty im tych pieniędzy będziesz szukał?— spytał Strukeczasyc.

— Albo ja wiem!

— Dziś o to niełatwo.

— I jak!

Hojski żywo chodzić zaczął po pokoju. Widać

było, że walczył z sobą, że się wahał i że myśl jakaś go żywo zajmowała. Nagle stanął.

— Słuchaj ty mnie uważnie.

— A i owszem.

— Widzisz, to tak jest — jam weredyk — mówił Strukezaszyc urywanemi frazesami. Ty jesteś biedny, dosyć mi sprzyjasz.

— O!

— Nie przerywaj! Dosyć mi sprzyjasz, ale ze strachu na dwóch stołkach siedzisz. Nie przerywaj. Ja cię mogę dźwignąć — ale —

Palec położył na ustach, a komornik w zapale obie ręce długie i kościste do piersi przycisnął.

— Rób mnie interesa, nie im, nie tym łajdakom, nie temu czarnaweczykiemu mieszczuchowi, co się dmie darmo.

Komornik wciąż jeszcze ręce cisnął do piersi, na znak szczości afektu.

— Nikt na świecie wiedzieć o tem nie będzie — dodał Strukezaszyc. Poszli razem do okna.

Hojski pocichu, ale szybko począł coś szeptać, wygadał co miał, trzymając za guzik komornika, i, skończywszy, oddalił się ku kominowi.

Kaczor jak wmurowany stał długo przy oknie. Nie mówili nic.

— Chcesz — dobrze — dorzucił Strukezaszyc — nie — to nie.

— Ale chcę! chcę! — wybuchnął zbliżając się ko-



mornik i za ręce chwytając gospodarza. — Chcę—tak mi Boże dopomóż. Ale — chudy pacholek jestem, na prześladowanie się wystawić nie mogę. Jak mnie pan zdradzi, żonę i dzieci mieć będziesz na sumieniu.

Strukeczasyc, milcząc, poszedł do stolika, na którym stał krucyfix, wziął go w ręce i przed Kaczorem, schyliwszy się, w nogi Chrystusa pocałował. Co uczyniwszy, postawił krucyfix na swem miejscu.

Była to przysięga, a kto starego Hojskiego znał, ten wątpić nie mógł, że on jej, gdyby życie dać przyszło, nie zdradzi.

Komornikowi twarz się wyjaśniła.

— Wszystko będzie jak pan nakażesz — powiadam, wszystko.

Dano wieczere; jadł Kaczor tak, jakby w Łopatyeczach na obiedzie nie był. Zamknęli się potem w kancelaryi Strukeczaszyca nad jakimiś papierami, z których gospodarz dyktował a komornik pisał. Trwała ta konferencya do północy blisko, poczem Hojski, resztę pacierzy domówiwszy, spać się położył. Nazajutrz dodnia Kaczora już nie było; ale p. Blandyna oddawna w tak dobrym humorze brata nie widziała. Nadzwyczaj rzadko mu się zdarzało nucić, a nazajutrz wieczorem z drugiego pokoju usłyszała jak podśpiewywał.

— Ale to coś osobliwego! — rzekła w duchu, — chyba Czemeryńskim się co zrobiło.

Nie słyhać jednak było o żadnej biedzie w Łopatyczach; chociaż trochę się tam szyki pokrzyżowały.

Ów baron Niemiec, który się zdawał tak do Leonilli przysiądać, nie dał się zaprosić na projektowany bal dla państwa młodych u Czemeryńskiego. Wszyscy wogóle Niemcy natychmiast po weselu wybrali się do Warszawy i Drezna, pod tym pozorem, że Najjaśniejszy Pan bez nich żyć nie mógł.

Tak więc upadła nadzieja uzyskania za pośrednictwem grafów niebieskiej wstęgi. Podkomorzy Buchowiecki nie odmawiał w tem pomocy swej i zięcia protekcyi, lecz zarazem przyznawał się, że Brühlowi trzeba było za to dać *duser*, conajmniej z tysiąca czerwonych złotych się składający, dlatego, że sędzia senatorem nie był; a król mocno się opierał mnożeniu kawalerów bez odpowiedniej kwalifikacyi. Oprócz tego kontrakt tegoroczne wypadały jakoś niedobrze, pieniądze się nie poławiały.

• Dochody z Łopatycz rozłaziły się, jak mówił sędzia. Niemal cała nadzieja była na Kaczorze, który miał przyobiecane porękawicze wcale ponętne.

Przez dni prawie dziesięć komornika widać nie było, ani o nim słyhać. Gdy już zeicha go łajac poczynał Czemeryński, on razem ze szlachcicem się jakimś przystawił. Szlachciec wysiadł naprzód u Śliwki, a Kaczor przybiegł do dworu.

— Są pieniądze?

— Będą—jaśnie panie — odparł komornik, ale jest klauzula.

— Pfu! klauzula! jaka! żadnej znać nie chcę! Prosty skrypt przy świadkach — i żeby mi go do roku nie intabulował.

— Inna rzecz.

— Cóż innego?

— Szlachciec nie chce kapitału rozrywać, ma całe tysiąc dukatów — rzekł Kaczor.

Czemeryński aż się uśmiechnął i ręką zamachnął.

— To, na waścin młyn woda! — odezwał się — zechcesz porękawicznego podwójnego.

— Jaśnie wielmożny sędzio, po sprawiedliwości — zawołał Kaczor, — o małym karku nie skreślił, a com się nagadał, nakonwinkował! — Chciał jechać do Szpiehów.

Czemeryński wyprawił go po szlacheica. Był nim pan Honory Świerzbński, zamożny i pracowity Brześcianin, człek stateczny, dawny wojskowy; odegrała się z nim komedia zwykła.

Sędzia przyjął przybywającego po pańsku, zaczął *de publicis*, o konjunkturach politycznych *ex re* Brandebureczyka i cesarza rzymskiego. Świerzbński był za aliansem wszelakim przeciw niebezpiecznemu sąsiadowi, czyhającemu na Gdańsk, Toruń i Elbląg. Przybyłego tytułowano porucznikiem.

Zagaik wkrótce komornik, iż nie inny był cel odwiedzin, prócz powinnego respektu panu sędziemu, jak umieszczenie kapitaliku.

— A! proszę cię, komorniku—wybuchnął Czemyryński—znasz przecież interesa moje, iż pieniędzy nie potrzebuję. Proszą mi się państwo Sawicy z pod Drohiczyzna, z dwoma tysiącami czerwonych złotych,—odmówiłem. Nie mogę. Co z temi pieniędzmi robić! Dóbr nabywać nie chcę....

— E! już to tam jasnie wielmożny sędzia znajdziesz sposób na to, aby fruktyfikowały—rzekł komornik, a dla mnie, sługi swego, uczynisz tę łaskę, aby p. porucznik się z pieniędzmi nie woził.

Krzywił się sędzia; prowizya sześć od sta zdała mu się exorbitancyą: koniec końcem jednak po łobiedzie dukaty odliczono i skrypt *manu propria* podpisał sędzia i świadkowie.

Czemyryński dawno tak wesołym nie był; córce na szpilki dał nazajutrz pięćdziesiąt czątych, tyleż żonie i, opędziwszy co pilniejszego, myślał o podróży do Warszawy, dla odnowienia stosunków z grafami, gdy się dowiedział, że król do Drezna wyruszył.

W tym samym czasie ktoby był zajrzał do Sierhina. znalazłby i tam ukontentowanie, które humorowi łopatycyemu nie ustępowało.

Częstszym niż dawniej gościem bywał tu teraz komornik, który do sędziego nie zajeżdżał i nawet

gościeńiec około dworu przechodzący wymijał. Panna Blandyna zauważyła to, że ilekroć Kaczor się zjawił, szedł z nim Strukezaszyc do kancelaryi i godzinami tam przesiadywali nad jakimiś rachunkami.

Niekiedy komornik przywoził z sobą gości, jakich tu dawniej nie widywano, — szlachtę jakąś z okolic bliższych i dalszych.

Gdy ichmoście ci przybywali, traktowano ich obficie, i wprowadzano także do kancelaryi, gdzie p. Blandyna podsłuchiwała razy parę liczenie pieniędzy.

Nadto dobrze znała brata, ażeby go o lekko-myślne lokowanie kapitałów posadzać mogła; wszelako trwoga ją jakąś ogarniała. Strukezaszyc zaś, ani przed siostrą, ani przed synem z interesów swych nie zwykł się być nigdy spowiadać.

Było w tem wszystkim coś tajemniczego.

Pan Erazm, wyprawiony do Lublina, dopiero w wielkim tygodniu na święta Wielkanocne miał powrócić. Było i to utrapieniem wielkiem p. Blandyny, że go nie widziała tak długo.

O to też największy żal do brata miała, iż chłopca za światem gdzieś trzymał.

— Niech się przeciera! — lakonicznie odpowiadał Strukezaszyc.

— W domu też znalazłby i co robić i czem się zabawić, a nam starym tak tęskno-by nie było.

— W domu? co w domu? żeby go znowu Łopatyńcy pokaleczyli?—mruczał Hojski. Kiedy ja nie mam spokoju, niech choć on-go zażyje, póki nań ta bieda nie spadnie.

— Chłopca-by ożenić i na gospodarstwie posadzić—poddawała siostra.

— Nie czas!—sprzeczał się stary.

— A kiedyż będzie czas?—mówiła ciotka,—gdy zęby zaczną tracić? Nie czas! Jegomość—bo nie widziałeś u Podkomorzego, jak za nim panny strzelały oczyma, a i on też! Oto!

— Bałamuctwo!

— A ja mówię, bałamuctwo z tego może być chyba, gdy go wczas nie ożenisz. W tym Lublinie lekkich osób, wdówek, pań duszek zawsze dużo. One na takiego kawalera łase, a z tego obraza Boża.

— Ot—byś nie plotła!—zawołał stanowczo Strukeczaszyca,—Tylko, aby mnie straszyć! Ja mu żonę wybiorę, napatrzę i sam dam—gdy przyjdzie pora. Inaczej jak z mojej ręki mieć jej nie będzie.

— A to już! prawdziwie powiadam! — odezwała się p. Blandyna; ale spójrzawszy na brata, musiała umilknąć: sporu z nim nie było sposobu prowadzić.

Tymczasem komornik i szlachta ciągle Sierhin nawiedzała, a czoło p. Strukezaszyca jak nigdy było pogodne i jasne, choć zpod śniegów na po-

lach oziminy wcale się nieosobliwie pokazywały. Żyta były mizerne, pszenicy ani znaku. Wiosna choć wczesna, zwiastowała się zimną i słotną.

W wielkim tygodniu,—właśnie gdy p. Blandyna rozpoczynała przygotowania do pieczenia ciast wielkanoenych, gdy mąkę, siano, migdały i rodzenki przebierano i płukano; korzenne przyprawy ucierano w moździerzach; liczone zebrane jaja, oglądając je naprzeciw światła, czy nie były popsute, rachowano się ze świeżem masłem, i klejono formy do bab — dawno oczekiwany p. Erazm nadjechał. Strukczaszye, milczący, uściskał go ze łzami w oczach, ale wzruszenia nie dał poznać po sobie; ciotka mało go nie udusiła, i natychmiast rozpoczęła odkarmianie zgłodzonego. Miała bowiem to najmocniejsze przekonanie, że nigdzie się do syta najęść nie było można, tylko w Sierhinie, i że wszędzie indziej ludzie z głodu marli.

Erazm, czy to, że w istocie miło mu było wracać do rodzicielskiego domu, czy też, że młodość w nim grała, przyjechał wesół, śmiejący się, szczęśliwy, wszystkiemu rad, roztrzpiotany jakiś, aż ojciec, który rzadko go takim widywał, dziwnie mu się przypatrywał. Instynktem czuł, że chłopcu coś być musiało, co go tak ożywionym czyniło, bo nie ma skutku bez przyczyny, a dawniej jakoś bywał cichszym i skromniejszym.

— Ani przed ciotką, ani przed ojcem, którego sza-

nował a razem się obawiał, z niczem się nie wydał p. Erazm. Na prawdę powiedziawszy, wesołości tej i szczęśliwości wewnętrznej była przyczyna tajemna, której się nikt nie mógł domyślić.

Rzecz się tak miała:

Przed wielkim tygodniem w Łopatyczach okazały się mnogie i rozmaite potrzeby domowe, których sprawunkami w Brześciu ani w Kobryniu zaspokoić nie było podobna. Wypadało chyba posłać do Warszawy, ale—kogo? Potrzebowano wiele do spiżarni: na to-by każdy łatwo z rejestrzyku zarządził, lecz i kobiecych fatalaszek do stroju wiele nie dostawało. Do tych potrzeba było i gustu i znajomości wymagań mody. Pani St. Aubin ofiarowała się jechać sama. Miło jej było przewieźć się trochę i w drodze grać rolę pani. Zdecydowano jednak, że dosyć było, zamiast Warszawy, Lublina. Z powodu trybunałów, przybywali tam kupcy, były sklepy; dostać można było, co zapragnęła dusza. Godziła się p. St. Aubin i na Lublin, choć przekładała Warszawę.

Lublin zaś z tego powodu był dogodniejszym p. sędzinie, że u Brygitek przełożoną miała rodzoną siostrę. Przy tej sposobności mogła jej posłać dla klasztoru pewnych łakoci i zapasów spiżarnianych, które zwykle około Wielkiej Nocy, osobna furra, pod nadzorem pisarza, dostawiała do zakonnice.

Już p. St. Aubin miała się wybierać w tę podróż,



gdy—ni z tego ni z owego —p. Leonilli się zachciało nadzwyczaj gorąco jechać także i ciocię Teresę odwiedzić. Oprzeć się pannie Leonilli, gdy czego zapragnęła, nie było sposobu. Umiała tak podpieszczać ojca i matkę, podmawiać sługi, a w ostatecznym razie nadać się i zapłakać, że dziecku pieszczenemu odmówić nikt nie mógł.

Z początku ojciec ofuknął, nie chciał pozwolić, matka wzięła stronę córki, którą oddawna pragnęła matka Teresa zobaczyć. Pani St. Aubin, poparła wychowankę, — i jednego poranku kolasa we cztery konie, z bryką, ciągnęła do Lublina.

Nie mamy obowiązku opisywać, jak się tam dostały nasze panie.

Panna Leonilla, dla rozmaitości, jeden dzień cały spędzała w klasztorze u ciotki, a pani St. Aubin właśnie od rana do wieczora chodziła i jeździła za sprawunkami. Trzeba takiego wypadku, że zaraz zrana, idąc na Krakowskiem-Przedmieściu, spotkały się z p. Erazmem. Chłopak szedł wyelegantowany, ze mszy od Jezuitów. Zobaczywszy Francuzkę, którą poznał, uklonił się i chwilę zatrzymał. Ta, rada, że złapała kogoś do rozmowy i do posługi, zagadnęła go wesoło.

W kwadras p. Erazm ze starą boną w jaknajlepszej komitywie, śmiejąc się, żartując, posługując jej, wyręczając ją, chodził po sklepach. Pani St. Au-

bin tak była z niego szczęśliwa, że ani go puszczać chciała.

Napomknął coś o zajadłej kłótni z Czemeryńskimi, a Francuzka żywo odpowiedziała:

— A mnie tam co do tego, że się starzy dąsają na siebie? Waćpan dlatego, choć życie w takiej rozterce, na moją Leonilkę, u Podkomorzego na weselu, patrzałeś jak w tęczę i aż się oblizywał! Ho! ho! nieprawdaż? Ale-bo co śliczna, to śliczna!

Pan Erazm potwierdził gorąco bardzo.

— A widzisz waćpan — dodała Francuzka, ja mam dobre oko. Ho! ho! Podobała ci się?

— Zapewne, ale cóż z tego? ani do niej przystąpić! — odparł smutnie Erazm.

— Co acan pleciesz! — żwawo poczęła Francuzka — ani przystąpić? Tak to u was; a u nas gdy kogo miłość gorąca opanuje, cale inaczej. Nie zważa się na żadne przeszkody, gruchocze się skały, zabija olbrzymów, podkrada pod okna, przebiega, naraża, wojuje, dopóki miłość nie zostanie uwieńczoną!

Gdybyś waćpan na prawdę się zakochał w Leonille!...

Erazm się moeno zarumienił, bo mu w istocie niewiele już do tego brakło, lecz przerwał zaraz:

— Czy pani nie widzi tego, że panna Leonilla na mnie nawet i spojrzeć nie chce.

Pani St. Aubin się rozśmiała.

— Ale-bo wy o miłości wcale nie macie wyobrażenia i zawołała: U was poprostu, powiedzą: „żeń się,“ zawiozą, zaswatają, zwiążą i na tem koniec. U nas miłość to sztuka; u nas zdobyć serce buntownicze, to cel życia męzkiego. A choćby panna i patrzeć nie chciała! To właśnie tryumf gdy się ją zwycięży, rozkocha, pozyska nareszcie. Taka panna jak moja Leonilka, warta, żeby się trochę pokłopotać o nią i pocierpieć dla niej.

Z kolei rozśmiał się smutnie p. Erazm.

— Czyż pani tego nie widzi—rzekł—że nawet, gdybym (o czem nie śmiem marzyć) zdobył serce, nasi rodzice.....

Francuzka mocno się oburzyła.

— Ale jakież waćpan jesteś prostoduszuy i naiwny! krzyknęła, rękami klaszcząc. Tobys chciał chyba, żeby ci pannę przyniesiono na półmisku. A to mi się podoba! Taka miłość z przeszkodami, z awanturami, sekretna, otoczona mnóstwem niebezpieczeństw, oblana łzami, tragiczna—czy może być na świecie co piękniejszego i ponętniejszego! Cóż to uczucie bez tej przyprawy warto! O! wy Polacy! wy Polacy! wy nigdy tych delikatnych sentymentów, jakiemi my żyjemy, nabyć nie potraficie.

Na tem się skończyła prawie rozmowa, ale poszła do głowy p. Erazmowi, tak, że się nią upił zupełnie. Nazajutrz Francuzka kazała sobie zrana towarzyszyć znowu; zaprzęgała posłusznego chłó-

pea do posług swoich, nadawała mu najrozmaitszych poleceń, i — gdy popołudniu po raz wtóry przyszedł do oberży, w której stały panie z Łopatycz — znalazł tam p. sędziankę Leonillę.

Panna, oburzona niezmiernie zuchwałstwem Hojskiego, o którym jej umyślnie może bona nie powiedziała, wyszła, drzwiami trzasnąwszy, do drugiego pokoju. Pani St. Aubin pobiegła za nią, siedziała z pół godziny i, powróciwszy, gdy Erazm żegnać się miał i odchodzić, dała mu znak, ażeby został.

W kwadrans potem, pod pozorem chustki zostawionej w pokoju, wróciła doń p. Leonilla. Nie patrzała wprawdzie na Hojskiego, ignorowała go zupełnie, robiła pogardliwe minki, wyglądała oknem na ulicę; lecz Francuzka, której intryżka i roman-sik czyniły prawdziwą satysfakcyę, tak jakoś umiała zręcznie pokierować rozmową, że w godzinę potem, chociaż zawsze surowa, groźna, niby kwaśna i nadąsana, p. Leonilla, odpowiadała panu Erazmowi i — pytała go nawet o różne lubelskie informacye.

Nazajutrz się tak jakoś złożyło, że p. Erazm był cały dzień na usługach tych pań. Pani St. Aubin i Leonilla zawczasu zapowiedziały sługom, ażeby o tym gościu nie śmiały w domu ust otworzyć, pod utratą miejsca i łaski.

Znano przewagę jedynaczki nad rodzicami: mo-

zna więc było być pewnym dotrzymania tajemnicy. Erazm służył jak — Murzyn. Latał, jeździł, płacił, szalał i wciągu tego jednego dnia, choć panna się z nim obchodziła jak z Murzynem, zakochał się w niej w najstraszliwszy sposób.

Romantyczne lektury francuzkie, usposobiły tak śliczną sędziankę, że dla niej nic w świecie nie mogło być przyjemiejszem nad zdobycie serca, nad takiego niewolnika-kochanka. co gotów był dać życie za nią! — Cały dramat śnionej miłości poruszał sercem sędzianki.

Pani St. Aubin nie widziała w tem nic a nic zdrożnego.

Jeden dzień dłużej, niż było postanowiono, bawiono w Lublinie, a u ciotki Teresy mniej jakoś gościła piękna Leonilla, niż zamierzała. Tyle-bo miała sprawunków, kłopotów w mieście! Ostatniego dnia, doszło do tego, iż p. Erazm konno przeprowadzał do popasu. Francuzka po obiedzie wyszła jakoś na chwilę, zostawiając samnasam młodych dwoje, i garderobiana Anusia, przysięgała się potem, że widziała przez szparę we drzwiach z alkie-rza, jak Hojski klął przed sędzianką, pochwycił ją za rękę; ona mu ją wrywała. ten ją gwałtem pocałował w paluszki, zerwał się zaczerwieniony jak piwonia, kolana z pyłu otarł i — rozstali się bez gniewu. I owszem.....

Tylko w drodze, w kolasie żywa była nader roz-

mowa i popłakiwanie. W Łopatyczach nikt ani się domyślał, co zaszło w Lublinie.

A p. Erazm wrócił do Sierhina, tak wesół i szczęśliwy, jak nigdy nie był jeszcze; ale język za zębami trzymał.

---

Musimy teraz na chwilę przerwać swoje opowiadanie i bliżej zapoznać czytelnika z topografią Łopatycz i Sierhina, niezbędnie do zrozumienia tego opowiadania potrzebną.

Oba dwory leżały, jakżeśmy już mówili, w niewielkiem od siebie oddaleniu; długim pasem gruntu ich stykały się z sobą.

Wyszedszy przez mostek z Jasuły Łopatyczej (tak ją ks. ex-definitor nazywał), o kilkanaście kroków zaraz spotykało się lasek z sosen, brzoź i olech złożony. Ciągnął się on przez znaczną przestrzeń, prawie nieprzerwanie aż do tak zwanego traktu, który szedł z Sierhina. Tam, gdzie się stykały dwie drogi, niegdyś stała karczma należąca do Łopatycz, prawie tużna granicy od sierhińskiej używalności. Uroczysko zwało się Dziewule. Karczma, już od lat pięciu była zgorzała, sterczał tylko po niej komin okopcony, rozwalony piec, pusty loszek, w którym kuny gospodarowały, a na gruzach bujno porastały pokrzywy, dziewanny, łopuchy,

rdesty i wszelakie ziele, które tylko czeka, żeby się na pustkowiu tłustem rozpostrzeć.

Silne było posądzenie na Strukezaszyca ludzi, jeśli nie na niego samego, że karcznię na Dziewulach podpalili. Czemeryński ciągle się zbierał ją odbudować. W pierwszym roku nawet zwieziono trochę drzewa; ale miało ono czas nadgnić, a do budowy nie przyszło.

Tu dosyć szeroko wyjeżdżony gościniec, trochę piaszczysty, dzielił grunta Łopatyckie od lasu Sierhińskiego, do którego miał pretensją Czemeryński i dlatego inaczej go jak „dyferencyą“ albo „używalnością“ nie nazywał.

Wprost naprzeciwko spalonej karczmy, staraniem sędziego, wzniesiony był ogromny krzyż, malowany czerwono, sumptem wielkim i z okazałością, na jaką się w Kobryńskiem zdobyć tylko było można. Umieszczona u góry na nim figura Zbawiciela, z drzewa rzeźbiona, kolorami naturalnemi, nieco już teraz zblakłemi, była pokryta. Nad nią stał daszek i kogucik połączony na daszku. U dołu znajdowała się symboliczna trupia głowa, dwie kości na krzyż i rok, w którym zbudowano figurę. Dla ochronienia jej od kół wozów wracających z jarmarku—otoczono ją sztachetami, na których też ślady czerwonego malowania widać było. Czemeryński chlubił się tem, że takiej figury na mil dzie-

się w koło nie było. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

W piękne dni wiosny i lata nie było przyjemniejszej przechadzki z Łopatycz, jak wonnym lasem na Dziewule. Zbliżając się ku nim mieszany ów las zmieniał się w brzeźniak, podszyty trochę leszczyną. Nic nie było piękniejszego nad te smukłe, powyginane jak pauienki w tańcu, z długimi warkoczami zielonemi, w białych sukienkach brzozy. Choć gdzieniegdzie którą swawolna ręka odebrała ze zwierzchniej kory, pozostała rana pomarańczowa, czerwona, brunatna, wyglądała jak na białej szacie krasna przepaska.

Było we zwyczaju z Łopatycz chodzić na spacery na Dziewule. Sędzia często odmawiał pacierze wieczorne pod krzyżem; sędzina, z powodu małego wzrostu, trzewiczków na korkach, usposobienia do sedenteryi, nie lubiła przechadzek, — dzierżgała, dryzlowała, robiła pończoszkę i drzemała w swoim krzeselku z wygodnym podnóżkiem: wychodziła więc bona z sędzianką, czasem sędzia w towarzystwie ex-definitora, niekiedy sam jeden.

Wielka Noc tego roku była spóźniona, i po tych słotach i chłodach, o których wspominaliśmy, nastąpiły dni prześliczne. Brzozy się były zupełnie rozwinęły, i choć je uszkodzono wielce, obrywając mnóstwo pączków nierozwiniętych, dla namoczenia w spirytusie, choć i soku z nich natoczono dosyć



ukradkiem—bujały w tym roku cudnie i woń liści świeżych rozlewała się dokoła, balsamiczna, orzeźwiająca—tak, że według słów ks. ex-definitora, gdy człowiek godzinę tam oddychał tą ambrozyą, rok życia mu przybywał.

Wszyscy też jakoś na Dziewule pielgrzymowali, a p. Leonilla z Francuzką przynosiły ztamtąd bukiety dzikich kwiatów tak osobliwych, że się im p. sędzina nie mogła wydziwić.

Święta Wielkanocne szczęśliwie jakoś już były przeszły, ostatnie święcone, złożone z okruszyn i pozostałości, zjedzono na przewody, i do Zielonych Świątek wrócił spokój domowy. (Na świątki sędzina miała zwyczaj piec drugie święcone). We Wtorek po przewodach, wieczorem, gdy nikogo w Łopatyczach nie było, a dzień ciepły i śliczny z domu wyprasał, p. sędzia Czemeryński, który od niejakiego czasu był frasobliwy i smutny, wzięwszy kij i czapkę, wyszedł, pacierze odmawiając, lasem na Dziewule.

Ciężko mu było czegoś na sercu,—Wiele rzeczy, o których milczał, nie powiodło mu się. Baron ów niemiecki nie wrócił wcale, a po bliższem badaniu doszedł sędzia, że to był hołysz, przybłąda, Meklemburczyk, który z tego tylko żył, co na dworze króla jako podkoniuszy zarobił.

Starania o wstęgę utrudnione były tym tysiącem dukatów, którego chciwy Bruhl wymagał. W do-

mu z pieniędzmi i interesami nie szło lepiej; szczęściem jeszcze, że Czemeryński nie wglądał w ścisłe rachunki. Mówił sobie: — „A po co się to zdało? gryźć się będę tylko. Co się wyexpensowało, nie powróci.“ Wszystkie te zawody, strapienia, kłopoty, do Pięciu ran Pańskich zaofiarowawszy, tem się pocieszał—że ludziom gorzej bywa.

Szedł z myślami temi i pacierzem na ustach, aż do lasku brzozowego. Tu, balsamiczna woń go orzeźwiła; począł ją w siebie wciągać pełnemi piersiami.

— Delicye! — powtarzał, skończywszy ostatnią modlitewkę.

Zdała już się czerwony krzyż pokazywał. Cichuteńko było w lesie; tylko dziecięcy kuły pracowicie w drzewach i głupia kukułka, przedrzwiewać się ich zdając, odzywała się gdzieś w brzeźniaku! Wolnym krokiem sędzia ze spuszczoną głową począł się przybliżać ku krzyżowi i miał już czapkę zdjąć przed nim, gdy usłyszał kroki, podniósł oczy— i stanął jak wryty.

Z drugiej strony od Sierhina, w białym kitlu, w wysokiej letniej czapce na bok przewieszonej, podpasany rzemieniem, opierając się na grubym kij, szedł krokiem mierzonym pan Strukezaszyc Hojski.

Spojrzeni na siebie—stanęli oba. Kroków może pięć ich dzieliło od siebie.

Czemeryński ramiona podniósł, głowę zadarł, w bok się jedną ręką wziął, sparł na kiju i nie ruszał z miejsca.

Strukczaszyce, jakby się go uwziął przedrzeźniać, prawie podobną, ale butniejszą jeszcze, przybrał postawę; obu im usta drgały, a oczy ciskały pioruny. Na laskach oparte ręce konwulsyjnie dygotały.

Parę minut upłynęło w tem przykrem położeniu.

— Gdy się zawrócę — myślał Czemeryński, będzie sądził, że się go boję i uciekam.

— Nie ustąpię kroku! — mówił w duchu Strukczaszyce. — Stójmy kto kogo przestoi!

Czemeryński sapał. Hojski poświstywał.

— A długoż-to tego będzie! — he! — krzyknął narazcie unosząc się sędzia. — Ja tu jestem na moim gruncie.

— Ta! ta! ta! a ja na publicznym gościńcu — rozśmiał się Hojski.

— Myślisz, że ja się ciebie zleknię? — zawołał sędzia.

— Sądzisz, że ja się ciebie boję? he? — rzekł flegmatycznie Strukczaszyce.

— Coś-to ty mi za jeden?

— A ty?

Rzucili na się oczyma, jakby się pozjadać chcieli.

— Patrzcie go! tyka! tyka! — zawołał Czeme-

ryński w passyi.—Szerepetka jakiś! mnie.—Wiesz ty coś za jeden, a co ja!

I w piersi się stuknął kułakiem.

Strukezaszyc śmiał się drwiąco.

— Coś ty za jeden, to ja wiem! hę. Hojsey kniaziami tu byli, gdy twój pradziadek jeszcze w Czarnaweczycach obwarzanki przedawał!

Posłyszawszy to horrendum, sędzia zrobił się czerwony, siny, o mało go nie zabiła apoplexya; rzucił się cały. W tem jakoś na krzyż spojrzął i to go pohamowało. Zabełkotał tylko:

— Grabieżcy! rozbójniki, napastniki!

— A wy co?—odparł, niechcąc pozostać dłużnym, Strukezaszyc. — Dmiecie się jak pęcherze, państwo w głowie a dziury w kieszeni! Fanaberye! wielki mi pan! fiu! fiu!

Czemeryński do takiej był doprowadzony passyi, iż kontenans zupełnie straciwszy, kij, który trzymał w ręce, do góry podniósł.

W tej-że chwili Strukezaszyc, pilnie go mający na oku, sękatą pałką, machnął w powietrzu.

Lecz nie ruszyli kroku, stali jak wryci.

— Ty! ty! jakiś!—bełkotał sędzia.

— Cóż ty mi kijem będziesz wywijał?—odezwał się Strukezaszyc — chłopska natura się odzywa: radby się bić na kije. A no! ja-bo na ciebie mam dawno apetyt. Jeżeli nie jesteś tchórz, to i owszem,

owszem, przyjdź tu jutro wieczorkiem, albo o brza-  
sku z szerpetyną spróbujemy się po szlachecku.

Aleś tchórz!

— Słyszysz ty! — wyrwał się Czemeryński—  
milcz! Choć nie jesteś mi równym—tak mi pomóż  
Boże, stanę z szablą i uszy ci poobcinam.—Stanę.

— Kiedy? — podchwycił Strukczaszcyc — służę!  
z miłą chęcią? Kiedy?

— Jutro wieczorem o tej porze!—zawołał Czeme-  
ryński.

— Zgoda! śliczności! — rzekł, kij spuszcżając  
Strukczaszcyc, ale słuchaj-no, ty żółto brzuchu—ja  
ci nie wierzę. Ty mi tu ciżbę naprowadzisz, w to-  
bie chłopska czy mieszczańska natura... sam z sza-  
blą nie zechcesz się stawić.—Zaraz ci będzie dwó-  
ru potrzeba.

— Milcz, nie blużgaj! mówię milcz! — zakrzyczał  
Czemeryński.—Rozprawiemy się.

— Na cztery oczy?

— Na cztery.

— Patrzaj-że—dodał wskazując na figurę Struk-  
czaszcyc—Oto wizerunek Zbawiciela, który nas są-  
dzić będzie: biorę go na świadka tego, coś rzekł.  
Kto zdradzi, tego niech prawica Boża ukarze!

Czemeryński podniósł tylko oczy zaczerwienio-  
ne ku krzyżowi i nie rzekł słowa.

— No — a teraz dobranoc waszeci — dodał szy-

dersko Strukeczasyc. — Jutro—tu, o tej samej porze. Słowo się dało.

Czemeryński odwrócił się plecami.

Strukeczasyc, oddając mu wzajemnością, trochę nawet poły kitla zatoczył, pałką zamachnął i rozszli się, każdy w swoją stronę.

Sędzia był tak zirytowany, że ledwie kroków kilkanaście uszedłszy, musiał stanąć, otrzeć pot z czoła, odetchnąć. Oparł się o drzewo; byłby może przysiadł na ziemi, ale przy jego korpulencji wstawanie stawało się przytłumem. Musiał poprzestać na wytchnieniu.

Noga za nogą włókł się z powrotem ku Łopatyczom. Wśród rozmowy z sąsiadem, nie ważyło się słów, nie było czasu rozmyślać co się rzekło i co usłyszało. Teraz dopiero wszystko na pamięć przychodziło, a szyderstwa Strukeczaszyca piekły jak żelazem gorącym. Szczególniej owo zadanie bezczelne, że dziadek jego w Czarnawczycach obwarzanki przedawał, a razem twierdzenie, że Hojscy kniaziami byli!

W głowie to tak się mąciło sędziemu, iż potrzebując ładu jakiś uczynić w myślach, nimby do domu powrócił, stawał kilka razy.

Dawszy słowo, że się nikogo nie weźmie, nie można też było mówić nikomu o tem, co się stało. Sędzia do jutra wieczora musiał się ukrywać, milczeć, nie dać poznać po sobie, że w nim wnętrzo-

ści kipiały z gniewu. Zwierzyć się nawet *sub rosa*, komukolwiekbaż, było zdradzeniem przysięgi!

Z drugiej strony Hojskiemu cale nie wierzył, sądził go do wszelkiej zdrady zdolnym, na wszelką niepoczywość gotowym.

Naostatek — Czemeryński jak każdy szlachcic owych czasów, z szablą sobie umiał dać rady, ale, nigdy nią tak jak inni rębacze nie władał. Strukczaszye był silniejszy, i — kto mógł wiedzieć, jak się bił?

Gniew mógł dodać siły i impetu, ale losy takich walk niepewne: Hojski na śmierć gotów był zarąbać.

Wszystko to rozważywszy, przyszedł do tego postanowienia sędzia, żeby *sub sigillo confessionis*, wypowiedać się ks. ex-definitorowi. Był-ci i on szlachcic i nic niegodnego stanowi rycerskiemu doradzić nie mógł.

Zbliżając się już do dworu, sędzia, dla zupełnego uspokojenia, odmówił modlitwę, dodał koronkę do Przemienienia Pańskiego, naostatek Anioł Pański; u studni kazał sobie czerpakiem wody świeżej podać, i jakotako po alteracyi tej uspokojony, wszedł do domu, gdy już tylko na niego z wieczeraż oczekiwano.

Mitygował się jak mógł, zagadał o balsamicznem powietrzu, o przyjemnej przechadzce, o pogo-

dzie, o wiosnie; a jednak sędzina spojrzawszy na niego—szepnęła:

— Czegóż jegomość czy zmęczony — czy fraso-  
bliwy—bo coś blade i oczy czerwone!

— Gdzie tam! co ma być! — rzekł Czemeryński.  
Nie mi nie jest, tylko aura wieczorna, to wiadomo,  
działa na człowieka.

Mimo wymówki tej domowi przy wieczerzy, ze sposobu jedzenia, mówienia, zapominania się, zamysłania wnosząc, uważali wszyscy, iż sędzia był—nieswój.

Po wieczerzy z pośpiechem ujął gospodarz pod rękę ks. ex-definitora i zaprowadził go do kancelaryi. I to było niezwyčajnem.

— Mój ojcie—rzekł cicho a pośpiesznie—mam coś do powiedzenia, do poradzenia się, jako dyrektora sumienia—ale—*sub sigillo confessionis*.

Zdumiał się mocno Dominikanin. Po przestanku małym sędzia go odprowadził do okna i bardzo cichym głosem opowiedział całą scenę, której byliśmy świadkami. Naturalnie tak ją powtórzył, jak mu wypadło, jak ją chciał mieć, a nie tak może jak była! Książd ręce łamał.

Gdy się opowiadanie skończyło, Dominikanin milczał chwilę. Jako książd, wyzwania na rękę nie mógł ani pochwalić, ani dopuścić; lecz jako szlachcic wiedział, że próżnoby było, nawet kłatwą



kościelną chcieć odwozić od stawienia się na placu.

— Ale to fatalna jest rzecz! fatalna!—odezwał się: — Asindziej rękę straciłeś, dawno szabli nie używając, to zajadła sztuka. To się nie godzi. Zresztą spotkanie bez świadków — rzecz niesłychana.

— Słowo! słowo! — zamruczał Czemeryński.

Po długim targu i rozprawach, stanęło wreszcie na tem, że sędzia miał wyniść na plac; ale ks. ex-definitor z brewiarzem mógł nadejść i albo przeskodzić walce, albo ją powstrzymać.

— Kto mnie może zabronić pójść do krzyża! — rzekł Dominikanin. Inaczej nie dopuszczę; a jutro na intencją, aby się to bez krwi rozlewu obeszło, mszyczkę świętą odprawię.

Sędzia przypomniał jeszcze, że tajemnica była powierzona jak na spowiedzi. Nie wątpił zresztą że jej ex-definitor dotrzyma.

Cały dzień następujący wszyscy domownicy znowu uważali, że Czemeryński chodził jak przybity, zamyślony, smutny i powzdychujący.

W Sierhinie nikomu na myśl nie przyszło Strukczaszyca posądzać o krwiożercze zamiary. Powrócił bowiem do domu wesół, ożywiony, pałką machając — i z p. Blandyny podżartowywał, co było zawsze dowodem nadzwyczaj szczęśliwego usposobienia.

Nikt go nie podpatrzył, gdy po obiedzie, w swoim pokoju szablę z kołka zdjął, pocałował ją, przeżegnał, z pochew dobył, otarł, wyostrzył i poprobowował jakim-by sposobem mógł ją tak schować pod kitel, aby jej widać nie było.

Jeszcze do zmierzchu było daleko, gdy już Strukczaszye, jakby w miejscu mu usiedzieć było trudno, z pałką na przechadzkę ku lasowi wyruszył.

Łopatycki pan, także nad wieczór zagadał o tem, że świeżego powietrza potrzebuje, i zaprosiwszy z sobą ex-definitora, ruszył ku figurze.

Dominikanin miał pozostać w zaroślach i nie ukazywać się, aż gdy się ichmość raz i drugi złożą.

Pierwszy na placu znalazł się Strukczaszye; aż tchnął całą piersią, gdy tu stanął.

Spojrzał na figurę.

— Jezusie Nazareński—rzekł w duchu — ty widzisz serce moje, że życia ludzkiego nie pragnę; dajże mi to tylko, abym kropelkę krwi jego utoczył za krew syna mojego, za wszystkie męki i strapienia moje.

Zmówił modlitwę, nastawił ucha — nikt nie przychodził.

— Kto go tam wie. To plemię zradzieckie: gotów bestya nie przyjąć. No — to go opublikuję i do akt podam jako infamisa! Coraz bardziej się już niecierpliwie zaczynał Strukczaszye, i krew już w nim się burzyła, gdy nagle usłyszał kroki.

Ktoś szedł—stanął.

Na ścieżce ukazał się sędzia, szablę dobywający z pod kapoty.

— A no! przecie! ja tu już od godziny czekam.

— Przecież-em się nie spóźnił.

— No, to jam się widać pośpieszył—rzekł Strukeczaszye, już dobywając szabli, a pochwę rzucając na ziemię.—„Gadu, gadu—a psy w krupach,“ my tu gawędzim, a gotów kto nadjechać.

Służę.

I stanął wyzywająco stary.

Czemeryńskiemu też zrobiło się z gniewu gorąco: szablę wychylił z pochwy, położył i zbliżył się.

Spojrzeli sobie w oczy, — drwiąco Hojski, zjadle sędzia.

Pomimo krwi zimnej, którą chciał Strukeczaszye okazać, po twarzy jego przechodziły jakby strumienie tłumionej zażartości.

Złożyli się raz; brzękły żeleźce, a tu już w obu szlachecka krew poczęła grać swoje. Skoczył Hojski i płtnął, ale po szabli, rzucił się Czemeryński i chybił. Strukeczaszye miał obrachowany raz, i natychmiast powtórzył uderzenie, prosto mierząc w głowę. Nim się miał czas zasłonić sędzia, szabla Hojskiego rozcięła mu skórę na czole i krew trysnęła. Rana nie była ani niebezpieczna, ani głęboka, ale oczy krwią zaczynały zapływać. Byłby może Hojski poprawił i gorzej obciął przeciwni-

ka, gdyby naprzeciw niego nie zjawił się w tym momencie ks. ex-definitor z otwartym brewiarzem w ręku i nie krzyknął:

— Na rany Pańskie! a to co jest? Hamujcie się! Cóż to? napaść na gładkiej drodze! Bez świadków bitwa! Słychana rzecz! W imię Pańskie—hola!

Strukezaszyc stanął i krok się cofnął; Czemyryński też, i rękę przyłożywszy do czoła, krew ocierał, niemówiąc nic.

Ksiądz Ambroży tymczasem pośpieszył stanąć pomiędzy walczącymi i powagą swą hamował.

— A że też waćpanu nie wstyd, panie Hojski—zawołał—a godziź się to?

Strukezaszyc stał głową kiwając, jeszcze rozżarty poczętą i tak skoro przerwana bitwą.

— Co? co? — odparł.— Cóż ty wiesz, księżuniu! Kto począł i kto winien, że na mnie napadasz! Gospodaruj w zakrystyi a nie tu! Także—proszę! To nie twoja rzecz.

— A moja! krzyknął gwałtownie oburzony duchowny. Co asindziej mi będziesz nauki dawał! Obraza Boża! śmiech ludzi. Starzy ludzie. Niedosyć, że się zajadacie lat tyle po polach i łąkach, na papierze, po trybunałach—jeszcze—

— Obróć-że się do swojego! — przerwał Strukezaszyc. — Jam kozioł, a ten to baranek niewinny! Ten!

I wskazał ręką na sędziego, który wciąż jeszcze ciekącą krew ocierał.

— Żebyście mieli mnie tu posiekać na drobne kawałki—zawołał Dominikanin — bić się nie dopuszczę—dosyć już i tak krwi.

Słyszając to Hojski, z wielką flegmą szablę, którą jeszcze trzymał w ręku, począł o kitel ocierać, schylił się do pochwy leżącej na ziemi, i w milczeniu żelaziec chował.

Czemeryński stał, niewiedząc co począć.

— Przerwana, nie skończona, nie rozegrana! — mruknął. Spotkamy się może gdzieindziej!

— Kiedy, jak i gdzie się podoba, choć o północy — służę! zaśmiał się Strukezaszyc. Tylko asindziej Dominikanina nie sprowadzaj jak dziś, bo na spowiedź i ostatnie pomazanie ja zawsze dość waści tchu zostawię.

Oburzył się na to Czemeryński.

— Ja nikogo nie sprowadzałem! —zawołał.

Hojski ramionami ruszył, chciał iść.

— Spotkamy się inną razą! spotkamy —powtórzył Sędzia—a no, suplikuję, co dziś między nami było, aby milczeniem pokryć.

— To Dominikanin wyśpiewa!—rzekł Hojski.

— Ja, nie — odezwał się ksiądz,—kapłańskiem słowem ręczę.

— Ja nie rozgłoszę, począł sędzia, a spodziewam się, że jegomość, pan z kniaziów Hojskich,

dziedzie na Sierhinie, nie będzie się chwalił, bo nie ma czem.

— Patrzaj-no — ty z obwarzanków czarnawczyckich hrabio na Łopatyczach, abym ja się kiedyś na twoich wioskach nie pisał!— huknął Strukeczasyc.

— Daj słowo!—dorzucił Dominikanin—po co ludzi śmieszyć.

— Ja i daję słowo i dotrzymuję słowa! odparł Hojski — kłaniam uniżenie — *ad videndum et continuendum*.

Zasmiał się i pałką machając, poszedł drogą ku Sierhinowi.

— Płatnął mnie, jucha!—odezwał się Czemeryński—daj-no księżę chustkę, trzeba krew wycisnąć i czemś zalepić.

— A co we dworze powiemy?

— Idąc, czapkę nacisnę na uszy w kancelaryi mam plaster, zalepię—odezwał się pośpiesznie Czemeryński.

— Ale znak?

— Tom się pociemku o uszak wyciął i po wszystkim!—dodał sędzia. Ani jejmość, ani Leonilka, ani nikt wiedzieć o tem nie powinien. Nie chcę tego.

Honoru mi nie czyni, żem się z lada takim, z pozwoleniem, hołyszem z pod ciemnej gwiazdy, na szable probował—i jeszcze.... oberwał.

Rana, po otarciu i opatrzeniu, okazała się nic nie

znaczącą; jednak skóra była jak brzytwą przecięta: krew utamować było trudno. Wypadkiem, chleba kawałek miał ksiądz w kieszeni i, mięksiz zgniółszy, nim dopiero ranę zalepił. Trzeba jednak było poczekać dobrego zmerzchu do powrotu. Szablę, której o mało nie zapomniano pod krzyżem, już sam ksiądz *ex-definitor* podjął, i z uśmiechem pod swój habit ją skrył, obiecując odnieść do dworu.

Czemeryńskiemu dopiero teraz duch i fantazyja powracała.

— Nie wiem czy asiudziej uważałeś—rzekł—to szczególna rzecz, jakim sposobem on mnie mógł obciąć. Istnym przypadkiem, przeciwko wszelkim prawidłom. Ja go już, już miałem pod ręką i byłbym mu na wieki wieczne na karku znamię krwawe zostawił. Sądzę, że mi noga w piasku się zsunęła, no, nie wiem—ale *extraordynaryjne* cięcie, którego on sam się nie spodziewał.

— Dajmy już temu pokój—rzekł *ex-definitor*—co się stało, to się nie odstanie. Być może, iż ja winienem, że się trochę wprzódy nie stawiał, ale chciałem według dyspozycyi pańskiej dać się złożyć.

Westchnął sędzia. Powoli się tak wlekli do dworu, aby do mroku dociągnąć.

Udało się to im daleko szczęśliwiej niż sądzili, i nikt nie postrzegł wchodzącego Czemeryńskiego z czapką na czoło nasuniętą. W swoim pokoju

obmył się zaraz ze krwi, zapalił świecę, plaster przykroił i nalepił.

Zręcznie potem bardzo, ogromnym głosem klnąc i łajac wołać począł lokaja, aż się po całym domu rozległo. Zbiegli się wszyscy. Czemeryński stał trzymając się za głowę i hałasując, że światła nigdy w porę nie zapalą, że pociemku wszedłszy, głową się szpetnie o uszak wyciął i zakrwawił.

Pani sędzina, przerażona, przybiegła natychmiast, ręce łamiąc i płacząc; o mało nie omdlała.

— Znowu tak okropnego niema nic — pocieszał sędzia.

— Uchowaj Boże w skroń, śmierć! śmierć być mogła—wołała sędzina.

Postanowiono *pro memoria*, lokajowi Stefanowi dać bizunów pięć, lecz wspaniałomyślnie karę tę raczył sędzia zmienić na mlócenie pół dnia w stodole—co, dla lokaja, noszącego barwę i półmiski, było też srogiem i upokarzającym.

Przy wieczerzy Czemeryński z plastrem na głowie siedział, chmurny, nieswój, i zaraz potem udał się na spoczynek, napiwszy się ziółek od alteracyi z odrobiną szafranu, co było wypróbowanem i nader skutecznem.

Pan Strukezszyc do domu wrócił, przez całą drogę się sam do siebie uśmiechając. Na swoim postawił. Pan Bóg mu dopomógł i poprzysiężona krew za krew została przelaną.



— A że kapelana sam nasadził, aby wpadł, niby insperate, za to-bym szyję dał—mówił sobie, idąc Hojski. Bał się nieboraczysko, aby gorzej nie było—odgraża się spotkaniem! Ale! ale! Na Józefatowej dolinie! Na sądzie ostatecznym gdy przyjdzie do porachowania się między nami. Drugi już raz mi się tak nie uda.—Dobra psu i mucha!—zakończył Strukezaszyc.

Szablę na kołku udało się tak powiesić Hojskiemu, iż nikt tego nie postrzegł.

Z apetytem napił się potem wódki przed wieczorzą, i dalej ciągnął prześladowanie p. Blandyny.

— A już mi asińdzka nie mów, bo że Kaczor się rozwiedzie z żoną i będzie o jej rękę konkurował, ręczę—takie do asińdzki oczy robi!

— Mój bracie—odstrzeliła p. Blandyna—mnie się zdaje, że on do twojego sepecika, co w głowach stoi, większe niż do mnie ma nabożeństwo.

Śmieli się przez całą wieczerzę.

---

Spotkanie u figury na Dziewulach nie polepszyło stosunków dwu sąsiadów. Strukezaszyc spędził trochę swej zajadłości, naznaczywszy sędziego po łbie; Czemeryński czuł się upokorzonym i tem większą zemstą dyszał. Częściej niż kiedykolwiek na pokojach, u obiadu i wieczerzy, wspominał Strukezaszyca, dając mu zawsze epitety jaknajwyszu-

kańsze; nawet w rozmowie ze Sliwką napominał, ażeby Sierhinowi nie folgowano i dokuczano na każdym kroku.

Włóścianie i oficyaliści w takich razach, gdy wiedzą, że dwór ich poprze i obroni, zawsze są skłonni do płatania figlów. Nie było też prawie tygodnia, ażeby bójki, spotkania, zajmowania bydła, chwywania w lesie ludzi się nie trafiało. Jeżeli Łopatycy zajęli co, poturbowali chłopów Sierhińskich, zrobili burdę, na pewno w kilka dni tamci się zasadzili i oddali we dwójnasób za swoje.

Wojna zawsze na wiosnę i w lecie ożywiała się, zajadlejszą stawała. Czyhano na siebie wzajemnie. Czasu na to marnowało się wiele, a wyrzec się tego nikt nie chciał.

Sam p. sędzia Czemeryński przemyślał mocno: jakby za rozplataną na czole skórę zapłacił. Nie trafiała się sposobność żadna. W trybunale sprawa graniczna, trwająca od niepamiętnych czasów, tyle miała kategorii, w tylu była pozapisywana regestrach, tak z obu stron jej pilnowano, że na niej prawnicy tylko zyskiwali. Obie strony musiały czekać końca, którego przewidzieć nie było można.

Strukczaszycowi między innemi przydomkami, dawano i przezwisko „pieniacza;“ Hojski Czemeryńskiego zwał „wykrętnym jurem.“

Od niejakiego czasu, dawny w Łopatyczach

gość częsty, Kaczor, jakoś się nie pokazywał. Sędzia do niego był nawykły, i prawie zanim tęsknił.

Kazał raz nawet Śliwce się dowiedzieć: czy nie chory. Posłaniec przywiózł wiadomość, że wyjechał gdzieś i dawno go w domu nie było. Tymczasem zaszła okoliczność, która bytność komornika czyniła koniecznie potrzebną. Po Wielkiej Nocy, ni ztąd ni z owąd, poczęły się sypać listy do sędziego, żądające wypłaty kapitałów.

Pierwszych dwa nie zmartwiły go wcale, lecz gdy jak z rogu obfitości, jedne po drugich lecieć poczęły owe wypowiedzenia stanowcze, — Czemyryński, który długów liczyć nie lubił, a o wielu nie pamiętał, przestraszył się mnóstwem tych obligów i skryptów. Raz potajemnie siadł sobie, począł konotować i doszedł do summy tak znacznej, że się aż przeraził.

Jawną rzeczą było, że kredyt jego zachwiany musiał być mocno, skoro naraz wszyscy dotąd cierpliwi wierzyciele go oblegli.

Wstydził się nawet przyznać do tego przed kim obcym. Ze zwykłą większej części ówczesnej szlachty nieogłędnością, robił długi, pewien będąc, że się to jakoś połata. I łatało się to tym sposobem, że pożyczając u jednego, oddawało się drugiemu. Teraz, gdy zastukali wszyscy, urwało się nagle.

Czemyryński chodził niespokojny, oczekując na Kaczora, chcąc mu powierzyć traktowanie z wie-

rzycielami, aby nie nalegali. Zdawało się to możliwem. Regenta tymczasem nigdzie pochwycić nie było można. Goniono zanim do Kobrynia, Brześcia, wywiadywano się wszędzie: jak w wodę wpadł. Sędzia, rozgniewany, kazał w końcu Brackiemu jechać, dobyć go, choćby z pod ziemi i— „za uszy“ przyprowadzić.

Z wielkim trudem dało się wysledzić nareszcie, że regent często przesiadywał w Sierhinie, a tam ani Bracki, ani Śliwka, ani żaden posłaniec Łopatycki nie mógł się ważyć, bo życia nie byłby pewien.

Najęto żydka i posłano z listem. Przebiegły chłopak wytropił komornika, list mu wręczył i otrzymał ustną odpowiedź, że nazajutrz obżałowany się stawi.

Ubodło niezmiernie sędziego, że Kaczor tak wyśiadywał u przeciwnika jego; postanowił mu wytrzeć kapitułę co się zowie.

Gdy rano nazajutrz wysiadł z kałamażki Kaczor, zaraz go do kancelaryi poprowadzono. Czemeryński, chodząc, czekał na niego. Blizna na czole już się była zaciągnęła, ale znak czerwony po niej pozostał.

— Cóż to się u licha ma znaczyć?—począł Czemeryński,—acan mnie zdradzasz? knujesz coś przeciw mnie! Nigdy go znaleźć teraz nie można, ni-

gdzie dopytać, gdy ja potrzebuje; a w tym przeklętym Sierhinie siedzisz jak w domu!

— Ja?—zawołał Kaczor,—jako żywo, a któż to powiedział? Jeździłem w powiat Piński do familii, a dopiero zawczoraj ledwie żem z bryczki wysiadł, przysłał do mnie Strukczaszc, iż potrzebuje. Juścić nie mogłem odpowiedzieć: nie pojadę! Ja z tego żyję, a teraz ciężkie czasy.

— Cóż ten hołysz, skąpiec, matacz, ten jakiś piniacz, — zawołał sędzia — co on wacanu może dać? Co od niego skorzystasz? Hm! Czy go nie znasz? Każe sobie służyć, a potem czem zgnojonem i stęchłem wykwituje!

— Ja też tam na niego nie rachuję wiele,—rzekł Kaczor z pokorą—ale chudy pacholina, jaśnie panie, opuszczać nie mogę nic, nikogo zrażać ani się nikomu narażać.

— Ja acana kilka miesięcy w żywe oczy nie widziałem!—wymawiał sędzia—hę? godzi się to?

— Miałem własne interesa—tłómaczył się Kaczor żałośliwie—pięcioro dziątek, szóstego tylkoco patrzyć.

Tu Czeremyński poszedł do kantorka i, przerywając rekryminacye,—rzekł—papierów wiążkę dobywając.

— Wiesz co się święci!

Komornik osłupiałą twarz zrobił i głową potrząsł.

— Nie nie wiem, jaśnie panie.

— Pięknych mi naraiłeś kapitalistów — patrzajże, Dziecheński upomina się, Sroczyński żąda zwrotu. Terajewicz, Wakulski. Wróbel. Pacyna.....

Komornik się pochwyił za głowę.

— Nie może być!—krzyknął.

— Co nie może być! Oto ich listy! Czarno na białem! Spisek jakiś, czy co? Razem się spiknęli na mnie. Niema na świecie człowieka, któryby temu podołał. Nawet skarb królewski żąda w takich razach prolongaty.

Kaczor stał pogrążony w myślach i przybity, niewiniątko udając wcale dobrze.

— Ja wiem, proszę jaśnie wielmożnego sędziego—rzekł—ja wiem co to jest.

— Cóż to jest?

— Sapiehowie potrzebują pieniędzy,—kodeńscy; rozesłali między szlachtę, obiecując ośm prowizyi—wszyscy ściągają!

Czemeryński się przeszedł po pokoju.

— To lichwa!— rzekł — ale *necessitas frangit legem*—jedź waćpan po tych ludziach chciwych a bez sumienia, powiedz, że ośm dam. Kaczor ręką jakos i palcami kręcił dziwnie.

— Kiedy oni pewnie poprzyrzekali już—bąknął.

— Niech się wytłómaczą!—odparł Czemeryński. Ja pieniędzy teraz tak nagle nie dostanę, a kiedy Sapiehom o nie trudno, cóż mnie? Mennicy u sie-

bie nie mam! To są czasy extraordinaryjne. Wówczas, kiedy ja prawie nie potrzebowałem, to mi się kłaniali i prosili, nalegali, żebym brał. Klęli się że chyba ich dzieci podniosą, a tu nagle — fiut! i, dawaj pieniędzy.—I to nie jednemu, nie dwóm, ale wszystkim.

To mówiąc, wiązką listów trzymaną w ręku, Czemyński uderzył po biurku i rzucił ją z gniewem.

Komornik, w progu ciągle stojący, patrzył, słuchał, lecz nie okazywał tego na usługi pośpiechu, tej żywości i gotowości jak dawniej.

— A to, w istocie, proszę jaśnie pana — zaczął mruzczyć, głowę trąc—co tu robić!

— Co robić! jechać, gadać i żądać nieodzownie prolongaty—powtórzył Czemyński.

— A jak nie otrzymam?—rzekł komornik.

— Niech pozywają! — krzyknął sędzia — niech pozywają! Nie wskórają na tem nic, oprócz kosztów.

Komornik w milczeniu parę razy oczyma zmierzzył sędziego, jakby grunt chciał rozpoznać. gotując się coś zagaić, co mu nie łatwym było do wypowiedzenia.

— Ja, wracając z Pińska, proszę jaśnie wielmożnego sędziego, po drodze spotkałem Wakulskiego i Wróbla, i coś zasłyszałem, ale mi się wierzyć nie chciało—rzekł zcicha: Myślałem, że żarty stroją.

— Cóż oni ci mówili?—spytał sędzia zbliżając się.

— To może strachy na Lachy — szepnął komornik, mierząc wciąż oczyma Czemeryńskiego.

— Ale cóż?

— Wakulski mnie zaczepił. — Pisałem do p. sędziego, aby mi zapłacił. — Nie da pieniędzy, to pojedę do Sierhina, Strukczaszyce mi zaraz obrączkowemi wyliczy, bo on na to łasy.

Czemeryński podskoczył.

— Łotry! rozbójniki!—krzyknął—oni już to myśla.

— Licho ich wie—rzekł komornik—a jak jeden to robi, pójdą i inni, jak w dym, do Sierhina.

Błady i przełękły, sędzia przez chwilę mówić nie mógł.

— Cóż-to on ma mieć tyle pieniędzy! —mruknął głosem, w którym się przestraszył malował.

Komornik mileżał długo.

— Albo ja mogę wiedzieć co on ma!—rzekł obojętnie.

Tu na myśl przyszło nagle Czemeryńskiemu, co od Dominikanina słyszał o depozycie, i—mocno się zadumał.

— Któż to im tę głupią myśl takiego sęgowania mnie mógł poddać?—odezwał się. Czy to po obywatelsku? po bratersku? po ludzku? he?

— Że to jest szelmowstwo, to słowa niemasz—



przebaknął komornik—ale, proszę jaśnie pana, świat na tem stoi.

— Niechże taki świat, wszyscy razem porwą!— krzyknął sędzia—to abominacya!

W czasie tej rozmowy niewiele miało wagi to, co mówił komornik; lecz wpatrzywszy się w jego umyślnie na niewinno-głupowatą przerobioną twarz, można było poznać, że pilno badał sędziego, i do głębi go usiłował przeniknąć. Nie uszedł mu żaden ruch, drgnięcie, skinienie; zdawał się sobie notować wszystkie oznaki niecierpliwości, niepokoju, trwogi.

— Mam go już tu!—na gardło wskazując, odezwał się Czemeryński, który padł na krzesło.—Mam go tu! Dnia ani nocy spokojnej od niego. Żmija zajadła, pełza, sunie się niewidocznie, ryje podemną, ten łotr niegodziwy. Nie zaręczyłbym, że i to wypowiedzenie jego sztuka! Grosza-był nie dał za to! To do niego podobne. To mi nim pachnie. Popatrzał na komornika, który ani potwierdzał ui przeczył.

— Hm? a ty co sądzisz?—spytał.

— A cóż ja wiedzieć mogę?—odezwał się z naiwnością Kaczor.

— Mógłbyś to spenetrować, kiedy tam bywasz—dodał sędzia.

— Do czegoż się to zda, choćbym i spenetrował! westchnął komornik.

— Tak! prawda! tu trzeba myśleć i radzić — wtrącił, ożywiając się, Czemeryński. Mówiłem aca-nu, to niesłychana rzecz — skarb koronny żąda delaty, gdy ze wszystkich stron go opadną. Nieraz wojsko czeka lenungu. Zkąd-że ja im wezmę. Zkąd?

Komornik, patrząc w ziemię, rękami tylko okazywał, że w istocie nie było zkąd wziąć.

Znowu z pół kwadransa trwała zaduma.

— Słuchaj—rzekł, zbliżając się do Kaczora na-gle sędzieja. Masz pozór powrócenia do Sierhina?

— Pewnie, bo jeszcze mi nie mówił Hojski, po co mnie wzywał.

— No, to jedź-że, jedź zaraz, i penetruj go, czy— rozumiesz! (nie poddając mu tej myśli!) czy gotów moje skrypta nabywać. Jeżeli się okaże do tego skłonnym, miejże rozum, objaśnij go, że na tem nie wskóra nic. Pozwie mnie?— w przyszłym trybunale mój siostrzeniec, spodziewam się, będzie miał vice-marszałkowstwo. Marszałek nie przybędzie.— ja w tem—obronię się, i—figa! Niechajże następnych roczków czeka.

Rozumiesz?

Komornik głową okazywał, że pojął rzecz do-skonale.

— Jedź zaraz — dodał Czemeryński — wyrozu-miej, i z raportem powracaj. Nie pożałujesz tego.

Skłonił się Kaczor i w kilka minut był już w staj-ni przy kałamażce, gdzie chłopca się doszukać nie

mógł, aby zaprzągl. Konie z pospuszczanemi łbami przy pustych żłobach Pana Boga chwaliły. Ledwieniele dwie dobyto woźnicę z piekarni.

Ruszył tedy napowrót do Sierhina Kaczor, gdzie się go tak dalece spodziewano, iż na grobli do dworu wiodącej, spotkał Strukezaszyca. Kałamażka poszła do stajni.

— A cóż? a cóż? uśmiechając się zwycięzko, począł Hojski. — Jakże tam koło mojego kochanego przyjaciela? gadaj?

Komornik, który teraz duszą już i ciałem służył Strukezaszycowi, począł pocichu opowiadać, ostrożnie jednak oglądając się, jakby się lękał, żeby go wierzby stojące na gościńcu nie podsłuchały.

Cheiwie nastawiał ucha Strukezaszyc, a że mówić nie lubił, radość swoją wyrażał mimiką, bardzo zabawną. Bił się po biodrach, przysiadał w kuczki, okręcał się do koła, ręce składał i rozkładał, Kaczora chwycił i odpychał, i zdala patrząc na tak poważnego człowieka, wyprawiającego takie krygi i hece, sądziłby było można, że mu się w głowie pomieszało.

— A ha! otóż niech wie co to jest z Hojskim sprawa — czarnawczycki mieszczuch, co się jak pęcherz wydał!

Straszy mnie siostrzeńcem na trybunale: powiedzże mu, że ja sobie z niego....

Nie dokończył już, — szli do dworu.

Niedochodząc do ganku, milczącemu Strukezaszycowi wezbrało w piersi: stanął i począł, chwyciwszy Kaczora za ramię.

— Czemeryńscy mi swą prepotencyą dojedli do żywego. — Cierpiałem! do ran Pańskich to ofiarowałem! Zbierałem grosz nie z chciwości, ale abym się nim pomścił na nich. Czekałem długo na sposobną godzinę: otóż nadeszła. Smakuję teraz! Używam!

Wpaść na niego i odebrać mu folwarki najlepsze, spracosawszy, juścić-bym mógł. Ale co to potem? Siekierą w łeb i rzecz skończona.

Nie! teraz naprzód strachu mu napędziłem, im się on przeciągnie dłużej, tem lepiej. Potem mu odbiorę — wyrwę zęby trzonowe, no, a naostatku, jak go to nie zabije, zobaczymy!

Komornik, nawykły do obcowania z różnymi ludźmi, w sumieniu nie nazbyt delikatny, na różne sprawy wyrozumiały do zbytku, słuchając mściwej tej mowy Hojskiego, gdy wyrzekł ostatnie: „zobaczymy!“ pobladł ze strachu.

— No! temu człowiekowi się na zęby dostać, nie zyczyłbym sobie! — rzekł w duchu.

Postanowionem zostało na naradzie potajemnej, ażeby komornik nazajutrz dopiero wrócił do Łopatycz i tam oświadczył, że, o ile się dało wyrozumieć, znalazł Strukezaszyca bardzo skłonnym do

nabywania wiarygodności opartych na dobrach sędzięgo.

— Niech tymczasem zębami dzwoni ze strachu— rzekł Strukczaszye — dopóki nie zaczną śpiewać Tadeusza, pan graf na Łopatyczach!

Po śniadaniu drugiego dnia pojechał komornik.

Wcześniej sobie zasępioną minę urobił. Przybył tak rano, że wszyscy jeszcze na mszy świętej byli w kaplicy; poszedł i on, bo miło mu zawsze było popisać się z wielką dewocją swoją. Sędzia, obejrzawszy się ku niemu, zaraz poznał z twarzy, iż nie z dobrymi nowinami przybywał.

Ledwie ks. ex-definitor od ołtarza odszedł, wziął gościa z sobą na przechadzkę Czemeryński.

— Gadaj, co tam?

— A cóż? zachodziłem go z różnych stron, żeby z niego coś dobyć—odezwał się komornik—ale to frant na wielki kamień. Ho! ho! dopytać u niego czego nie chce powiedzieć, trudno! Przecież naprowadziłem rozmowę na wlewki, na nabywanie summ, uchowaj Boże, imienia pańskiego w to nie mieszając—a ten mi na to:— „Ja kiepskich papierków za moje dobre pieniądze kupować nie myślę. Jedne tylko skrypta, gdyby się trafiły, chętniebym zapłacił—to na Czemeryńskim!

— Powiedział to?—zawołał sędzia gwałtownie.

— Jak mnie pan żywego widzi!—powiedział.

— Łotr! bestya, z piekła rodem! — zamruczał Czemeryński.

Komornik ze spuszczoną głową stał i wzdychał.

— Żadnych jednak dotąd nie nabył. Spodziewam się! — rzekł sędzia.

— Nie, o tem nie mówię, a ja nie chciałem, przez respekt dla imienia pańskiego, nic o tem więcej rozprawiać. Zobaczywszy to, dodał tylko: — Ja ciebie znam, komorniku, ty tam jesteś dobrze położony i im zaprzędany. Tyś — ich! Ja to wiem!

W ogródku zaczęła się narada. Kaczor miał ze spichrza wziąć dwa korce owsa, strawnego pod tytułem dyety, dostał trzy talary bite, i po śniadaniu i popasie, obowiązał się ruszyć zaraz do wierzycieli z ofiarą prowizyi — ośm od sta.

Zdawało się, że to burzę zażegna.

Przed żoną, córką, gośćmi Czemeryński wcale się nie wydawał z ciężkim niepokojem, jaki go dręczył. Udawał wesołego, barszkował, snuł projekta dalekie; a jednak, ani biedna, lękliwa sędzina, ani Leonilla, ani nawet pani St. Aubin nie dały się złudzić tej komedyi niezręcznie odegrywanej: czuli i widzieli wszyscy, iż sędzia był nie-swój, że coś mu dolegało.

Ponieważ jawnej przyczyny nie umiano odkryć, sędzina poła męża ziółkami z szafranem, okadzała go i leczyła swoją metodą domową. Ale to nie pomogło.

Panna Leonilla czasem pieściami, wesoloscia swą, szczebiotaniem, ojca zasępionego starała się rozruszać i rozweselić; lecz nie widziała w tem groźnego nic, i mówiła p. St. Aubin, iż nieraz tak bywało, iż to przejdzie. A że wiosna była bardzo piękna, bona i jej wychowanica częstych używały przechadzek.

Ze wszystkich drożyn najprzyjemniejszą była ta, która wiodła na Dziewule, do krzyża. Tu się jednak nigdy nie zatrzymywały, bo Francuzka nie mogła znieść widoku spalonej karczmy, utrzymując, że w takich gruzach i ruinach, niebezpieczne się zawsze gady gnieźdzą. Żab zaś i węzów obawiała się niezmiernie, i widziała je nawet pod stopami często, choć to były suche gałęzie tylko, z czego się p. Leonilla śmiała.

Zaraz za krzyżem, jak mówiliśmy, poczynał się las, używalność do Sierhina należąca. Tu rosły pokrzywione dęby, lipy, sosny, brzozy, osiczyny i leszczyna—a razem wszystko piękną gąszcz składało, w której i ptactwa było mnóstwo, i dużo kwiatów. Drożyna chłopskimi wozami, po susz do lasu jeżdżącemi, wyłobiona, wiła się wśród tej zieleni, a że nieco była piaszczysta, więc sucha i do przechadzki bardzo przyjemna.

O kilkaset dobrych kroków od krzyża, nad drożyną samą leżał jeden z tych głazów błędnych, niegdyś z północy tu przyniesionych, które Li-

twa jest cała zasiana. — Trafiają się między niemi wielkie bardzo kamienie, lecz rzadko tak olbrzymi, jak ten na w pół już w ziemię zapadły, różowo-szary granitowy przybłęda, który spoczął w Sierhińskim lesie.

Był on osobistością znaną w okolicy, i przed laty zapewne otrzymał nawet nazwisko, które i na mappach oznaczono, i w ustach ludu się je spotykało. Zwano go „Dziwem“ i uroczysko Dziewule poszło niegdyś od niego.

Olbrzymie dwie sosny przyparte do niego z dwóch stron, zdawały się stać na straży, podkopywały się pod niego korzeniami, osłaniały go gałęzmi, a poniżej leszczyua, łoży i różna gawiedź leśna, jak wiankiem go otaczała. Tylko od strony drogi, od której leżał blisko, nie rosło nic oprócz czernie wydeptanych.

Dziw z jednej strony podnosił się trochę wyżej, z drugiej, przyplaszczony, opuszczał się w ziemię, tak że wygodnie na nim sięść było można. Drożyną rzadko bardzo kto jeździł; czasem tylko, uszy nastawiwszy do góry, przemknął zając, lub grzybów szukająca przesunęła się baba. Cicho tu było, spokojnie i miło jakoś a samotnie. Głosy lasu niezrozumiałe, zagadkowe, szum gałęzi, nawoływania ptasząt — czyniły ten kątek po przechadzce odpoczynkiem bardzo przyjemnym.

Pierwsza odkryła go pono p. St. Aubin, upatrzy-



ła w nim podobieństwo jakieś do lasu w Fontainebleau, pokochała go nadzwyczajnie, zaprowadziła Leonillę—i odtąd obie najczęściej chodziły z książką i robótką do ulubionego kamienia, przesiadując tu godzinami całemi.

Jednego razu, gdy przyszły, niezmiernie zdziwiona, ale zarazem uradowana St. Aubin, znalazła dwa bukiety, i tam, gdzie siadywały, ponieważ kamień był trochę wysoki, rodzaj podnózka mięciuchnym mchem wyłożonego.

Ten tajemniczy dar, to staranie o ich wygodę, nadewszystko ta okoliczność, że pochodzenie bukietów było mgłą tajemnicy okryte,—uszcześliwiły St. Aubin. Leonilla się śmiała, ale rada też była tej niespodziance.

Dowodziła jednak, że chłopka jakaś musiała się zdobyć na nią, aby potem upomnieć się o zapłatę.

Na wszystkie świętości zaklęła Francuzka wychowanicę, ażeby o tem nie mówić we dworze. Miała przeczucie jakiejś awantury romantycznej, której była godną. Sędzia mógł zabronić przechadzki i t. p. Leonilla przyrzekła, że dochowa tajemnicy.

Drugim razem, gdy wiśnie już i poziomki dojrzały, znalazła się zgrabna z kory brzozonej kosałeczka, pełna dojrzałych i pięknych owoców.

St. Aubin cieszyła się jak dziecko, dodając tyl-

ko, że piękny niezajomy, który składał te ofiary, powinien się ukazać nareszcie.

Zdaje się, iż p. Leonilla, choć nie dawała tego poznać po sobie, domyśliła się odrazu, kto był niespodzianek sprawcą.

Jednego dnia, gdy się tam znajdowały, postęszwały szczekanie psa i nawoływanie na niego. Wybiegł naprzód bardzo piękny wyżeł pstrokaty, a w chwilę po nim, w myśliwskim ubraniu, z torbą przez plecy, strzelbą na ramieniu, zgrabny młodzieniec. Leonilla się zarumieniła mocno, p. St. Aubin krzyknęła; pan Erazm się uklonił, a że znajomość zrobiona w Lublinie wcale nie została zapomnianą, żywa się rozpoczęła rozmowa.

Z początku była ona powszechną, ale wkrótce złożyło się dziwnie, bo pani St. Aubin zaczęła rozmawiać z psem p. Erazma (niejakim Tyrasem), który jej odpowiadał szczekaniem, a p. Erazm mówił z p. Leonillą, odpowiadającą mu uśmiechami.

Pierwsze owo przypadkowe spotkanie, nie musiało być przykrem dla stron obu, gdyż w dniu pogodnym, p. St. Aubin przychodziła z Leonillą regularnie do kamienia, i p. Erazm nigdy nie chybiał.

Zważywszy, jak nudne i jednostajne życie prowadzono w Łopatyczach, jak tam zbywało na gościach, na rozrywce wszelkiej, dziwić się nawet nie można, iż p. St. Aubin wychowanicę w ten sposób zabawić się starała.

Nie mogła zaś o tem mówić sędzinie, gdyż wiadomo było, jak się dwie rodziny nienawidziły. Francuzka miała na uniewinnienie swe wzniosłą tę ideę, iż pracowała nad pojednaniem zwaśnionych wrogów. Nie było w tem zresztą nic złego, i Francuzka stała na straży, pilnując bacznie, ażeby konwersacya była przyzwoitą i delikatną.

Toczyła się ona po większej części w języku francuzkim, w którym, jak wiadomo, sentymenta się daleko łatwiej, gotowemi już frazesami tłómaczą, tak że nad wyrażeniem ich wcale sobie głowy łamać nie trzeba.

Od spotkania się pierwszego w Lublinie, gdy panna sędzianka miała sposobność lepiej się przypatrzeć i ocenić Erazma Hojskiego, wstąpił jej początkowy do niego, ustępował powoli i zmieniał się, jeżeli nie wafekt, z którym dumna pieszczoszka wydać-by się była nie chciała, to we wcale znośną i przyjemną poufałość.

Pan Erazm, rozkochany jak dwudziestoletni chłopiec, który nigdy do ziemskiego anioła zbliżyć się nie miał sposobności, był prawdziwie politowania godnym. Miłość jego, pełna trwogi, bo się co chwila lękał, aby go z raję nie wygnano, na twarz padająca, rozmodlona, rozklęczona, niewolnicza, posłuszna,—była właśnie taką, jaka serce sędzianki pozyskać mogła.

Pieszczoszka potrzebowała być wielbioną: Erazm ją uwielbiał.

Żartując, robiła z nim co chciała, zadawała mu najdziwaczniejsze pensa na próbę, zakazywała, rozkazywała, kaprysiła, a chłopak, nie mówiąc słowa, jak niewolnik słuchał.

Raz zażądała pary rękawiczek, których miała tuzinami, chcąc aby je Hojski sam przywiózł na daną godzinę z Lublina! Koń padł, ale rękawiczki przyszły, i Leonilla je w oczach kawalera na kawałki podarła.

Posłuszeństwo tym kaprysom pięknej pauny, było tem trudniejsze, że p. Erazm się przed Strukezacyem ukrywać i wyklamywać musiał.

Sędzianka, gdy go bardzo wymęczyła, nagradzała potem jednym słodkim wejrzeniem. Niekiedy, litościwsza, Francuzka wymogła na niej, że mu rączkę dała pocałować.

Romans to był zupełnie w duchu tego wieku, w którym wykwitał: kobieta stała na ołtarzu, kochanek klęczał na jego stopniach i obwiewał ją obłokiem kadzideł. W tej czci trwożnej, cierplivej potęgowało się uczucie, najdrobniejszy dowód łaski zmieniał się i wyrastał na rozkosz niebiańską. Dotknięcie ręki stawało się extazą, wejrzenie doprowadzało do szału, zwiędły kwiatek był relikwią.

Pani St. Aubin według wszelkich prawideł kierowała stopniowem rozwijaniem się i nadewszystko

objawami sentymentu. Pannie czasem żal nawet było umęczonego młodzieńca; doświadczona Francuzka dowodziła i przekonywała, że miłość powinna być wystawioną na długie, liczne, męczeńskie próby, aby dowiodła, że była w istocie tem, czem się zwała.

Była to więc sielanka dramatyczna, a główni aktorowie, ilekroć pomyśleli, że nielitościwa jesień i zima przerwie i skaże ich na rozłąkę, czuli się nieszczęśliwymi.

Pan Erazm poprzysiągł był sobie, a sądzę, że i pannie, iż gotów jest walczyć ze wszystkiem, co mu na drodze stanie — dopóki ręki p. Leonilli nie pozyska; sędzianka, choć się nie przyznawała do tego nikomu (oprócz Francuzki), kochała tego ślicznego, a tak dziwnie dobrego chłopaka z całej duszy. Znając swą przewagę nad rodzicami, mniemała, że potrafi, choćby łzami — ich zezwolenie i błogosławieństwo uzyskać.

Oboje może wśród tego upojenia, nie chcieli wiedzieć wszystkich trudności, jakie ich spotkać miały. Erazmowi zdawało się, że padłszy do nóg ojcu, zmięczy go. Przychodziło mu nawet na myśl, pod sekretem przyznać się do wszystkiego cioci Blandynie; lecz, gdy już, już do tego przychodziło — strach go porywał i — na później to odkładał.

Pocóż się śpieszyć mieli? tak im było dobrze w tym cichym lesie, u tego omszonego kamienia,

taki raj czuli do koła, iż najmniejsza zmiana—była groźbą.

Panna Leonilla, zawsze równie po królewsku sobie postępując z kawalerem, trzymając go w pewnej odległości, za największą łaskę dając mu czasem rączkę, lub raczej końce paluszków do ucałowania, stawała się jednak czulszą coraz. Zostały tylko te formy dawne, nakazane przez p. St. Aubin; lecz serce uderzyło, zmiękło, łza zwilżyła oczy—i p. Erazm czuł, że był kochanym.

Zamiast wystawiać go na próby niebezpieczne, Leonilla trwożyła się, gdy się opóźniał, i zadawała mu za to pokutę. Na pamiątkę dostał nareszcie pierścioneczek ze czterema turkusikami, składającymi niezabudkę, i wymógł, że i od niego przyjęto węża z brylantową głową. Oprócz tego miał zwiedły bukiet i rękawiczkę.

Francuzka w zasadzie nie była przeciwną korespondencyi, gdyż młodzi powinni byli wprawiać się w styl i nabierali szczęśliwych mowy obrotów. Na zimę nawet stawała się ona nieuchronną, ażeby tę, pięknie rozkwitającą, miłość utrzymać do wiosny i nie dać jej zastygnąć.

Widywać się nie mogli już, chyba w kościele, i to z tak daleka, tak ostrożnie, aby nikt ich nie mógł posądzić o bliższe stosunki, bo-by je natychmiast nielitościwie zerwały ręce.

Ale do zimy, bardzo jeszcze było daleko!

W czasie niebytności p. Erazma, który teraz namiętnie bardzo polował i codziennie do lasu chodził, p. Strukezaszyc zapotrzebował laku, rzeczy, której podówczas mało używano i nie zaopatrywano się w nią zbyt wiele. Kawałeczek ostatni, osadzony na piórze, został do szczętu wypieczętowanym, Hojski był pewien, że znajdzie laskę u syna.

Poszedł więc do jego pokoju, przeszukał na stole, przewrócił wszystko i zajrzał do szufladki.

Nie było i w niej laku, ale stary zdumiał się mocno, znajdując jak relikwią zawiniętą, śliczną damską rękawiczkę.

Wziął ją do rąk, poniósł do okna, opatrzył ze wszech stron, powąchał: pachniała bardzo pięknie — zadumał się mocno, brew mu się namarszczyła. Ponieważ obok był pokój p. Blandyny, zastukał w ścianę, i Strukezaszanka, trochę nastraszona, nadbiegła.

— Patrzaj-no — co-to to jest? — zapytał — rękawiczkę podnosząc do góry stary.

Panna Blandyna zbladła, zaczerwieniła się: odgadła wszystko, ale powiedziała sobie zaraz, że będzie się starała obronić ukochanego siostrzeńca.

— No, cóż ma być? — rękawiczka?

— Tak, widzę, ale czyja?

— Ja nie wiem, może moja?

— Twoja! ale-ba! kiedyżeś ty takie rękawiczki .

nosiła? To także! Co ona tu robi zawinięta w atlasy jak *sacrosanctum*, w stoliku Erazma? he?

— A! dałbyś pokój! on sam pewno nie wie po co ją tam włożył! No — pewnie znalazł na weselu u Podkomorzego.

— A! ba! — rzekł Strukezaszyc — patrz asińdzka, atlas uwinięty we dwa papiery! — tyle popsutego papieru! Na wierzchu stoi data. Czytaj: „dnia 9 Lipca“ i rok.

— Ale cóż ma data do rękawiczki! śmieszny-bo jesteś! — odparła p. Blandyna.

— Asińdzka jesteś sama śmieszna. jeśli sobie wyobrażasz, że ja dam sobie wmówić co zechcesz.

— Ale cóż ci się śni z tą rękawiczką?

Strukezaszyc rzucił *corpus delicti* napowrót do szufladki.

— Oto, że Erazm czuje wolę Bożą, hm! — rzekł Strukezaszyc. Pachną mu rękawiczki i ręce kobiece. Chłopak się bałamuci. Gdzie? co? jak?

— Po cóż ci to dochodzić, kiedy milczy? — odezwała się Blandyna łagodniej. Proszę ciebie, daj mu z tem pokój. Nie pytaj, nie gadaj. Zrób, jak na ojca rozumnego przystało: widzisz, że pora potemu, staraj go się ożenić.

Hojski nie odpowiedział już nic.

— Proszę cię — odezwał się zimno, posuwając się ku drzwiom — niema u ciebie kawalka laku?



— U mnie laku? — i ruszyła ramionami Blandyna. — Strukeczasyc wyszedł.

Troskliwa ciocia, posłyszawszy zamykające się za nim drzwi, pośpieszyła do szufadki, przypatrzyła się rękawiczce, obwinęła ją starannie, włożyła napowrót i, okrutnie zafrasowana następstwami tego odkrycia, namyśliła się: czyby nie wypadło wyjść naprzeciw siostrzeńca, ażeby go o wypadku uprzędzić?

Trwożyła się, znając gwałtowność i despotyczny charakter brata. Niechcąc być postrzeżoną, tylną furtką wysunęła się z ogródka, i, ponieważ Erazm zawsze wracał od lasu, skierowała się ku niemu. Złożyło się bardzo szczęśliwie, gdyż, nim doszła do zarosli, postrzegła Erazma ze strzelbą i Tyrasa, który do niej skomląc, przybiegł, a na twarzy siostrzeńca takie rozpromienienie wyczytała, taką jakąś szczęśliwość, że się jej straszno zrobiło.

— O! kocha się! — rzekła w duchu. — Erazm zbliżał się — śmiejąc.

— Cóż to się cioci stało? Na spacerze? sama jedna!

Panna Blandyna nie mogła wytrzymać — ani pół minuty.

— Eraziu! — umyślnie wyszłam naprzeciw ciębie, aby cię ostrzedz. Spojrzała mu w oczy bystro.

— Ojciec w stoliku znalazł rękawiczkę!

Siostrzeniec pobladł i drgnął: więc czuł się winnym—nie umiał nawet naprędce odpowiedzieć.

— Mów—co to za rękawiczka?

Chociaż Erazm miał dawno ochotę przyznać się do wszystkiego przed najlepszą z ciotek, ale zaskoczony tak, zląkł się i zaniemiał.

— Ale, powiedz-że mi! ja cię nie wydam! Ty się kochasz?

— Moja ciociu? a gdyby tak było? czy to tak wielki grzech?

— Spodziewam się, że nie w żadnej mężatce.

— A, niech Bóg uchowa!—podchwycił Erazm.

— Któż to jest?

— Nie mogę jeszcze ciociu powiedzieć— odezwał się siostrzeniec — zaręczam tylko, że panna, że to anioł! że....

Panna Blandyna niecierpliwie rękami strzepnęła.

— Jak się kochacie, to wam wszystkie anioły!— wyrwało się jej mimowolnie.

— Cóż będzie z ojcem?— spytała żywo.

— Z ojcem— a ja nie wiem.

— Jeżeli spyta?

— Ja ojcu nie mogę nic powiedzieć.

— A to pięknie! Kochasz się! Anioł! chcesz się żenić i nie śmiesz powiedzieć ojcu! Panna *na niezabudź* daje rękawiczki.

No— to cóż z tego będzie?

Westchnął młodzieniec; p. Blandynie żal się go zrobiło.

— Tego nam jeszcze w domu brakło! — szepnęła zeicha. Przygotuj-że się przynajmniej zgrabnie wytłómaczyć.

Właśnie nad tem się Erazm musiał namyśleć, gdyż stał z głową spuszczoną, patrząc na Tyrasa, a że temu się zdawało, iż pan od niego coś żądał, czekał więc i rzucał się ku niemu. Panna Blandyna, widząc, że jej przysługa nie na wiele się przydała, łzy miała w oczach.

— Jeżeli mi się przyznać nie chcesz, odezwała się, ja cię zmuszać nie będę. Rozważ tylko zawczasu co ojcu powiesz, gdy cię zapyta.

Erazm nie odpowiedział nic, bo w istocie sam jeszcze nie rozstrzygnął w sobie co pocznie. Przyznać się ojcu nie mógł na żaden sposób, kłamać nie chciał—postanowił zamilczeć.

Zawracali ku dworowi.

— No? namyśliłeś-że się?—spytała p. Blandyna.

— Jeżeli ojciec spyta—rzekł Erazm—przepraszę go, ale się mu z cudzego sekretu spowiadać nie będę—nie mogę.

— Ale cóż to za romans taki osobliwy, że się z nim tać koniecznie potrzebujesz?—poczęła ciotka. Ojciec twojemu szczęściu i postanowieniu nie będzie przeciwnym, jeżeli partya stosowna.

Erazm nie odpowiedział na pytanie; szedł jak winowajca na stracenie.

— Coś mi to tak wygląda—zakończyła ciotka— jakby nieczysta sprawa. Ty wiesz, że ja ciebie kocham jakby własne dziecko—no, to ci powiedzieć muszę z góry, jeżeli, uchowaj Panie Boże, mężatka, znać ani wiedzieć o tem nie chcę.

Uśmiech Erazma uspokoił ciotkę.

— No—jeżeli niezamężna, dodała, to choćby i uboga była — ojciec się da nakłonić. Spojrzała na siostrzeńca, który znowu dziwnie się jakos uśmiechnął.

— Rób-że sobie co chcesz, kiedy z ciebie nie wyciągnąć nie można. Chyba chłopka! a no one rękawiczek nie noszą, bo juści nie żydówka.

To uparte odgadywanie pobudziło do pustego śmiechu p. Erazma, aż ciotka się w końcu pogniewała trochę.

— Nie masz we mnie zaufania!—rzekła ostro— wola twoja; ale pamiętaj, że gdy mnie potem potrzebować będziesz, ja od wszystkiego ręce umyję.

Już stali pod furtką ogrodową—Erazm pochwycił rękę ciotki i pocałował ją.

— No, to powiem cioci wszystko,—odezwał się, ale proszę mi dać najświętsze słowo, że w żadnym razie, ciotka mnie przed ojcem nie wyda.

Panna Blandyna oburzyła się na samo posądzenie o zdradę. Erazm zbliżył się, i jakby przed spo-

wiednikiem począł *per extensum* opowiadać całą historję miłości swej, od spotkania na grobli do mazura, Lublina, i—aż do kamienia.

Co się działo z cicią w czasie tych wyznań, tego żaden język nie wypowie, żadne nie opisze pióro. Łamała ręce, zakrywała sobie oczy, wydawała jęki bolesne, bladła, płakała, po kilkakroć uściśnęła nieszczęśliwego, a raczej szczęśliwego chłopca—lecz w ciągu opowiadania, obawiając się jedno słówko stracić, nie odzywała się prawie, nie objawiła nic oprócz litości nad nim.

Ciągle żyjąc ze Strukczaszycem, w ogniu tej walki utrapionej Łopatycz z Sierlinem, p. Blandyna musiała naturalnie przejąć uczucia brata, poślubić nienawiść jego i wstręt do Czemeryńskich. Nie pojmowała nawet jak mógł się Hojski zakochać w sędziance; było to dla niej zagadnienie takie, jakby, uczciwszy uszy, Tyras rozmiłował się w Milusi, kotce faworycie p. Blandyny, która mu za każdym spotkaniem pluła w oczy.

Lecz, jako osoba pobożna, ciocia wpadła zaraz na myśl, że mogła w tem być ręka Opatrzności, która gotowała w ten sposób święty spokój i zgodę.

Erazm skończył już opowiadanie, a p. Blandyna jeszcze i do siebie i do słowa przyjsć nie mogła.

— Głowę tracę — szepnęła nareszcie,—na to ja poradzić nie potrafię! A! nic! Znasz ojca zajadłość na nich! To nie może być! Strukczaszyce

nigdy w świecie nie pozwoli! Nigdy! a może też i ty sobie z głowy wybijesz.

— Nigdy w świecie! Do śmierci ją kochać będę! Krzyknął Erazm — nie wyrzeknę się za nic!

Panna Blandyna usta mu zamknęła i była przybita tak niespodzianą wiadomością, że potrzebowała z nią uciec gdzieś na osobność i pomyśleć co czynić.

Erazm przez ogród dostał się do swojego pokoju. Pobiegł naprzód do szufladki zobaczyć czy skarb był na miejscu: rękawiczkę znalazł, pocałował i ukrył dla bezpieczeństwa gdzieindziej. — Jak zbrodniarz teraz czekał strasznego ojca sądu i godziny indagacyi.

Daliśmy już nieco poznać czytelnikom Strukezasyca: był to człowiek milczący, rozważny, zamknięty w sobie, nie lubiący próżnych utareczek na słowa.

Wyszedłszy z pokoju syna, po rozmowie z siostrą, najpierw list, który miał wyprawić, odrobina laku, jaka mu pozostała, zalepił, wyprawił, a dopiero począł myśleć o rękawicze.

Rozwahał: czy mu się z synem należało rozmówić otwarcie, czy nie? Gdyby rzecz była seryo, syn go sam powinien był zaczepić.

Nadawać płochemu bałamuctwu może, nazbyt wielkie znaczenie ani wypadło, ani godziło się.

Zachowanie rękawiczki wielkiem grzechem nie było.

Ciekaw jednak był: z kąd się mogła wziąć taka wspaniała rękawiczka? Z balu u Podkomorzego? Z Lublina? bo już ciż nie z sąsiedztwa, gdzie panny chodziły pospolicie z rękami, jakie im Pan Bóg dał, conajwięcej czasem w czarne ustrojone mitenki.

Podjęzrenie na Lublin padło.

W czasie trybunałów zjeżdżały się tam osoby niekoniecznie przykładowego życia, dla bałamucenia deputatów i pomagania w interesach. A nuż pan Erazm, śliczny chłopak, wpadł w sidła której z tych bogiń, dla Strukezaszyca będących przedmiotem zgrozy i wstrętu?

Być to mogło, ale Erazm się do Lublina nie wyrywał, nie tęsknił za nim, w domu siedział chętnie, i codziennie się absentował! Czasem go po kilkanaście godzin nie było. Hm! Strukezaszyc sam młodym był; wiedział, że wiek ten podległy jest ułomnościom, serce ma miękkie, myśli bujne, i krew nie wodę.

W sąsiedztwie zaś nie było panny na wydaniu ani jednej, dla syna Strukezaszyca przypadającej urodzeniem, majątkiem i wiekiem. Wypadkiem baczne oko ojca w czasie balu u Podkomorzego znienacka padło na Erazma, gdy tańcował z ową bardzo piękną panią Wiśniewską, która mu się śmiała białemi ząbkami. Ojciec się już wówczas

namarszczył na to. Owa piękna pani, której mąż był gamoniem niezgrabnym, mieszkała o półtorej mili od Sierhina. Strukezaszyc posadził syna o romans z męzatką, a jako człek bogobojny, aż się wstrząsnął na samo przypuszczenie takiej okropności. Nie mogło mu z głowy wyjść, że syn się niezawodnie kocha w tej jejmości.

Żle! źle! kara Boża, niebłogosławieństwo, srom, ohyda! Tego cierpieć nie można!—rzekł w duchu. Wziąć go na konfessatę? — żełże i duszę zgubi, bo juścić kobiety nie wyda. Trzeba szukać innej rady na to.

Tak wszystko rozważywszy, p. Strukezaszyc, przeżegnał się, zamruczał coś, rękami twarz otarł, jakby z niej ślady myśli i frasunku chciał zmazać. i gdy dano znać do wieczerzy, wyszedł tak na pozór spokojny, że nie po nim poznać nie było można.

Spojrzał na niego syn; przywitali się jak zwykle.

— Ubiłeś-że co na polowaniu?—zapytał ojciec.

— Parę kuropatw i cyrankę—rzekł Erazm.

Przy wieczerzy mowy nie było o niczem, tylko o Kaczorze i o powszednich sprawach.

Erazm się obawiał, aby, gdy sami zostaną potem, nie zaczepił go ojciec. Panna Blandyna, także mając to na myśli, dosiadywała i nie oddalała się; lecz stary, według zwyczaju, wkrótce chodząc pacierze zaczął odmawiać—i rozeszli się.

Nazajutrz też same były obawy. Erazm chciał



w domu pozostać cały dzień, aby unikać podejrzeń i śledzenia; rozmyślił się jednak, że na wszelki wypadek lepiejby było zawczasu uprzedzić panią St. Aubin. Miał przeczucie, że ojciec coś przedsięwzię. Do kamienia jednak wprost nie poszedł p. Erazm; udał się w zupełnie przeciwną stronę i to tak, aby ojciec go widział. Była to, na nieszczęście, strona właśnie w której leżała wioska pięknej pani Wiśniewskiej.

Odbiwszy się od domu i dopadłszy zarośli, zwrócił się zaraz Hojski ku kamieniowi.

Tak mu było pilno, że stanął bardzo zawczasu, i długo siedząc, czekać musiał, nim panie obie przybyły. Leonilla, niechęć przestraszać, wziął na stronę Francuzkę i opowiedział czego i z jakiego powodu się lęka.

Pani St. Aubin, której już jeduostajny bieg tego romansu, żadnemi przeciwnościami niezaostrzanego, zaczął się nieco nudnym wydawać, jeśli nie z radością, to z ożywieniem nadzwyczajnem przyjęła wiadomość o grożącym im interdykcie. Zajął się gorąco nim.

Leonilla, z postawy, wzroku, ze smutku wrytego na twarzy kawalera domyśliła się, że coś stało. Niepokój ją ogarnął. Chciała wiedzieć co się stało; domagała się koniecznie, groziła strasznym gniewem swoim. Naostatek stała się na-

pastliwą i natrętną, czułą, nalegającą — łzy miała w oczach.

Erazm milczał jeszcze, napawając się tylko podbudzoną jej czułością dla siebie, bo mu obie ręce dawała całować, i niemal raz — piękną główkę na ramię jego pochyliła. Francuzka za niego podjęła się opowiedzenia na swój sposób tego, co się stało.

— Nie należy kryć przed tobą — odezwała się patetycznie, iż miłości waszej grozi niebezpieczeństwo, rozłączenie—srogie próby! Prawdziwa miłość zrazać się niemi nie daje; rośnie wśród cierni jak róża, jak Salamandra w płomieniach żyje! Tyran ojciec, mający już podejrzenia, odkrył jedną z pamiątek, którą p. Erazm zachowuje! Może go uwięzić, kazać mu się oddalić, szpiegować. Nasze najmiłsze wieczory przerwać się mogą na długo. Serca wasze nie wytrwają bez pokarmu, bez związku; potrzeba już dziś obmyśleć jak z sobą macie korrespondować.

Francuzka mówiła prędko, gorączkowo, chwytając to p. Erazma za rękaw, to p. Leonillę za suknię, spoglądając to na nią, to na niego—zapalając się, jakby chodziło o nią samą.

Oni spokojnie sobie w oczy patrzali, a że dziewczęciu w nich łzy stanęły. Erazm ukląkł i chciał jej nóżki całować; ale ona pierchnęła, uciekła, schowała się za drzewo i zawstydzona, zagniewana się sama na siebie.

Tymczasem p. St. Aubin, trzymając Erazma, szeptała mu do ucha:

— Nie powinienes jej czynić nieszczęśliwą—wołała—ona nie wyżyje bez wiadomości! Ona się może rozchorować! Mówmy i radźmy, dopóki pora.

Narady zaczęły się tak nieporządne jakoś, przerywane, coraz-to nowemi, nowo-poddawanemi myślami macone, że z pół godziny upłynęło — a nic nie uradzono.

Nikomus się zwierzyć nie było podobna. Erazm więc spytał nareszcie: czy może się zwierzyć przywiązanej do siebie cioci Blandynie i jej użyć w razie, gdyby mu się oddalić kazano? Pauna Struczaszanka, nieobudzając podejrzeń żadnych, mogła się spotkać w potrzebie z p. St. Aubin na probostwie u ks. Dagiela.

Z początku zaprotestowano przeciwko cioci, obawiano się jej; ale na ostatku, p. St. Aubin, dla której intryżka każda była nader miłym zajęciem, pierwsza się zgodziła na nią—a Leonilla już nie protestowała.

Ponieważ czas jakoś nieznacznie upłynął wśród tych uzaleń, zapewnień i narad, oddalić i rozejść się było potrzeba, w ostatniej chwili ponowiono przysięgi, a Erazm dodał, że dopóki coś nadzwyczajnego na przeszkodzie nie stanie, do kamienia będzie przychodził. Umówiono się o znaki na ko-

rze sosen, w razie gdyby Hojski albo panie miały nie przybyć lub nie zastać Erazma.

Po raz pierwszy Hojski odważył się powracające odprowadzić aż prawie do krzyża, do którego często Czemeryński odbywał przechadzki, wskutek czego ostrożnym być należało.

Na samej granicy stanawszy, długo jeszcze oczyma gonił Erazm zwolna oddalającą się Leonillę, która po kilkakroć główkę zwróciła ku niemu; a gdy znikły mu z oczów, smutny ale szczęśliwy, pobiegł do domu, bo już lękał się opóźnić na wieczerzę, co podejrzenia ojca nanowo mogło rozbudzić.

Spóźnił się też w istocie, mimo pośpiechu i zadychania; ale ojciec nie powiedział mu nic, zapytał tylko znowu: co ubił na polowaniu? Nie było się czem pochwalić.

W ciągłej obawie i niespokojnych wejrzeniach na Strukczaszyca upływały dnie następane. Stary Hojski tak się nie zmienił, tak po sobie nie poznać nie dawał, że i ciocia Blandyna i Erazm się uspokoiли zupełnie. Podawnemu chodził do kamienia bez najmniejszej przeszkody, zawsze się jednak oglądając ostrożnie. Trwoga Leonilli i p. St. Aubin powoli też ustępować zaczęła. Francuzka nawet utrzymywała, że niepotrzebnie im napędził strachu, i—że do zimy zapewne żadna zmiana nie zajdzie.—Z chwili tej jednak, która obawę wznieciła, skorzystał Erazm, bo ona go bardziej, poufale

zbliżyła do Leonilli, a łzy jej oczów były pośredniczkami. Codziennie oczekiwała nań niecierpliwiej, witała go otwartą radością.

W Sierhinie wszystko szło postaremu; w Strukczaszycu najmniejszej zmiany oko p. Blandyny nie dostrzegało. O rękawicze ani wspominał, ani o nią syna zapytał, a czulszym był dlań może niż dawniej.

Mimo to, niepostrzeżenie, Hojski na chwilę z oka nie spuszczał Erazma. W czasie niebytności jego, gdy siostra była zajęta gospodarstwem, stary kilka razy przetrząsnął cały pokój syna i wszystkie kryjówki w jego sprzętach. Nie znalazł tam nic oprócz bukietu zwiędłego, i na papierze jakichś cyfr, porysowanych serc i pozaczynanych wierszy polskich i francuzkich. Mimowolnie zapewne ręka zdradziecka powtórzyła razy kilka rozmaicie związane litery L. C. E. H. Strukeczaszyce głęboko się nad niemi namyślał, dumal, ale tego L. C. odgadnąć nie umiał. Potwierdzały się tylko podejrzenia, i mimo że cyfra do pięknej mężatki nie przystawała, na nią padały głównie.

Strukeczaszyce postanowił już był syna wyprawić z domu; ale dokąd i po co? pod jakim pozorem?— nad tem namyślał się jeszcze.

Jednego wieczora, gdy już Erazm, uspokojony, ani myślał o zmianie położenia, w porze niezwykłej, Strukeczaszyce zawezwał go do kancelaryi.

Stał przed oknem stary, gdy syn nadszedł—spokojny jak zwykle i obojętny.

— Bardzo mi to nie na rękę — odezwał się powoli, zwracając głowę, ale będę musiał ciebie wyśłać, i to na czas dłuższy.

— Do Lublina?—podechwycił Erazm.

— Gdzie tam! W Lublinie nie masz co robić, tam interesów dopilnuje Szawarski; ale o to pani z Hojskich Widulińska, Kasztelanowa Smoleńska, moja stryjeczna, bezdzietna jak wiesz, pisze mi.....

To mówiąc list dobył zza kapoty i podał go synowi.

— Przeczytaj sam.

Posłuszny Erazm podszedł do okna. List był niełatwy do odczytania, bo prababki nasze nie siły się naówczas ani na kaligrafię, ani na wymysły ortograficzne; krew pisały przez *f*, a ból przez *u*. Kasztelanowej oprócz tego ręka się trzęsła, pióro miała rozszczepione, i wiersze biegły ku dołowi, ciężąc niektóre, inne nagle zrywając się do góry, następując sobie na pięty, tak, że połapać je było trudno. Doszedł jednak z listu, do miłościwego brata pisanego, p. Erazm, z wielkiem strapieniem swoim, iż stryjenka domagała się przyjazdu jego i posługi, mając sprawy, w których na nikogo się spuścić nie mogła, bo ją wszyscy niegodziwie darli i oszuki wali.

— Widzisz—dodał Strukeczasyc —Kasztelanowa

jest bezdzietna, a choć majątek nadszastany, zawsze po niej coś nam kapnąć może. Nie trzeba tem gardzić. Nie masz tak dalece tu co robić, bo ja tu wszystkiemu radę dam. Trzeba swoim usłużyć. Osoba dobra, zacna, choć zamłodu trochę płochną była, ale to dawno się zatarło. Stosunki ma pono i na dworze, ludzi dużo zna,—tobie się to przydać może.

Mówiąc powoli i chłodno, spoglądał na syna Strukeczaszyce, a choć Erazm starał się pokryć wzruszenie, nie uszło ono ojcowskiego oka.

Sprzeciwiać się woli ojca,—nie było sposobu. Erazm milczał.

— Bardzo mi cię żal, bo mi tu za tobą tęskno będzie—a no, co robić! co robić!—dodał Hojski.

— Ale to może nie tak pilno — odezwał się wreszcie Erazm nieśmiało.

— Owszem, pilno bardzo, Kasztelanowa czeka i prosi (przeczytaj w przypisku), ażebyś jaknajrychlej się stawił.

— Trzeba się wybrać w drogę—mruknął Erazm.

— Cóż to tam za straszny wybór!—przerwał ojciec. — Tłómczek ułożyć, konie kazać zaprządz, i po wszystkim.

— Kiedyż ojciec każe?—spytał cicho p. Erazm.

— Ja? choćby jutro! — rzekł Strukeczaszyce, spoglądając jakie to uczyni wrażenie.

— Jutro?—z podziwieniem podchwycił syn.

— No— to pojutrze— zakończył stary. — Po co odkładać?

Powiedziawszy to — odszedł. Erazm postawszy chwilę, wprost się udał do ciotki, która, jak się okazało, o niczem nie wiedziała. Posłyszawszy z czem przybył siostrzan, chwyciła się za głowę, potem poczęła płakać i ścisnąć go.

— To są ukartowane rzeczy — szepnęła cicho — kasztelanowa intrygantka jakich mało. Jegomość do niej pisać musiał. Gdzież? co? zawsze się miała kim posługiwać, o nas tak dobrze jak zapomniała zupełnie, tylko tyle, że na Nowy Rok i na imieniny jegomości i jej mieniały się komplementa, a tu nagle zapotrzebowała tak pilno.

Ciotka obiecywała — mimo wstrętu, jaki miała do całego rodu Czemeryńskich, — być pośredniczką w korespondencyi. Przystępowała do tego z trwogą niezmierną, lecz siostrzeńcowi odmówić nie mogła. Nazajutrz, chociaż, jak na złość, chmury chodziły nad wieczór, a burza i deszcz groziły, puścił się p. Erazm do kamienia, słabą bardzo mając nadzieję zastać tam sędziankę. Francuzka, nierozważna, utrzymywała, że się obłoki rozejdą, że nie będzie i przechadzkę doradziła. Tej nieopatrzności jej winien był p. Erazm, że raz jeszcze mógł widzieć Leonillę. Burza się już zrywała, gdy nadbiegł, oznajmiając co go spotkało.

Zaledwie kilka słów mogli do siebie przemówić,



gdy wicher szalony zatrząsł drzewami — i pioruny bić zaczęły jedne po drugich. St. Aubin obawiała się grzmotów i. dawszy ledwie przemówić Erazmowi, napowrót ku Łopatyczom biegła już, co chwila ze strachem przypadając ku ziemi. Niezważając na niebezpieczeństwo spotkania się z kim na drodze, Hojski towarzyszył uchodzącym, niemal do skrajku lasu, pod sam dwór Łopatycy, z kądem się cofnąć musiał, zobaczywszy dworskich, których wysłano na spotkanie panienki.

Wciążu tej ucieczki przed burzą, Leonilla miała czas pocieszającemi słowy uspokoić Erazma. — Nie liczyli się już z wyrazami; nie skąpiono mu spojrzeń, nie wrywano ręki, a Francuzka ani patrzyła na wychowanicę, bo ją pioruny oślepiały.

Już ludzie dworscy nadchodzili, gdy, ścisnąwszy sobie raz jeszcze ręce, spojrzawszy ku sobie łzawemi oczyma — rozstali się szepecząc: — Do zgonu! — Na wieki!

Zmokły do nitki, wrócił wśród ulewy do Sierhina p. Erazm, na którego ojciec, w ganku siedząc, oczekiwiał. Stary się domyślał, że ta wycieczka była nie bez kozery, lecz ani spytał syna o nią.

— Toś się pięknie wybrał na polowanie — rzekł: — Od południa chmury stały, burza była pewna. Mówiłem Morawcowi nawet, żeby się z sianem niebardzo rozkładali i w kopce je zgrabili! Musia-

łeś zmoknąć z kretesem, idź-że zaraz, obuwie zmień, bo jutro droga przed tobą i zdrowym być trzeba.

Jeszcze deszcz lał, gdy kałamażka komornika zatoczyła się przed ganek i Kaczor z niej wyskoczył, jak z wody wyjęty.

— Toś mi gracz, żeś na słotę nie zważał—przywitał go Strukeczasyc. Właśnie czekałem na wacana. Idź się do Morawca przebierz, abyś mi tu kałuży nie zrobił w domu, i powracaj na wódkę.

Choć wyjazd syna powinienby był zasmucać Hojskiego, do wieczery przyszedł w najlepszym humorze, uśmiechnięty. Od tego zaczął, że Erazma uściśkał serdecznie. Był nawet gadatliwszym dnia tego.

Siedli do stołu—po wódce.

— Acan wiesz — odezwał się do Kaczora—pan Erazm jedzie do Wilna, na usługi p. Kasztelanowej, mojej stryjecznej. Mnie się zdaje, że stara kwoka, nie tyle pomocy w interesach, ile rozrywki potrzebuje. Niech się chłopiec przewietrzy.

Kaczor zwykł był wszystko potwierdzać.

— Wilno, bardzo piękne miasto!—rzekł discursive.

— On tam tymczasem sobie będzie baki zbijał—dodał Strukeczasyc, a my tu dla niego zapracujemy coś!—hę?

Ojciec figlarnie spojrzał ku synowi.

— Nim wróci, spodziewam się mieć tę satysfa-

keyę: łotra tego, grafa czarnawczyckiego, uwolnić przynajmniej od połowy jego majątku.

Erazmowi krew na twarz wystąpiła; spojrział ciekawie na ojca.

— Tak! tak—dodał Hojski, gdy powrócisz, znajdziesz łopatyckiego pana, daj Boże już tylko na samych Łopatyeczach, a resztę przy Sierhinie. A jeśli z tego stary nie gęgnie—będzie chwata.

Erazm nie mógł wytrzymać, by nie spytać:

— A, jakimże sposobem, my to, co nie nasze zagarnąć możemy?

Strukezaszyc był w figlarnym humorze.

— Jakim sposobem?—powtórzył. Otóż to sztuka! I my (tu poklepał po ramieniu Kaczora), my z Kaczorem dokażemy tej sztuki. Niech jaśnie wielmożny z Czarnawczyckich mieszczan grafa na Łopatyeczach, długów nie robi, pieniędzy nie puszcza lekko, niechaj się nie dmie, niech się rozumu nauczy!

Córnia, co na baronów niemieckich patrzała—dodał nielitościwy Strukezaszyc,—może pójdzie za possessora, jeżeli ją który wzięć zechce, ale że wielka dama, i *parle franse* — za bonę ją kto weźmie lub garderobiana.

Strukezaszyc, mówiąc to, spojrział na syna i spostrzegł bladość trupa na jego twarzy. Erazm nie śmiał się odzywać; lecz szyderstwo z tej, co mu była najdroższą, wychodzące z ust ojca, było dlań

ciosem bolesnym. Panna Blandyna, uczuwszy to, przerwała bratu.

— Dałbyś asindziej pokój! Cóż to znowu! Z kobiet nieszczęśliwych szydzić! To się nie godzi! Słowo daję, to-bo się nie godzi. Możesz sobie z sędzią robić co się podoba, a co ci kobiety winne?

— He? — odwrócił się Strukezaszyc — acanna bierzesz ich stronę? To mi się podoba!—Co winne kobiety? A, winne, winne. Gdyby nie ich fąfry, elegancye, stroje, francuszczyzna, duma, pycha, sędzia-by nie popadł w długi. Sędzina sama stara gęś—a sędzianka—tę nie wiem jak nazwać!

Kaczor się śmiał; Erazm, przestawszy jeść, siedział z rękami założonemi na piersiach, jak na mękach. Odezwać mu się słowa nie było wolno. Wtem komornik, który lubił pryncypałowi bębienka podbijać, a nie domyślał się jaką innym przykrość uczyni, — odezwał się swym piskliwym, chropawym i fałszywym głosikiem:

— Co-to p. Strukezaszyc dobrodziej mówi o panie sędziance, tylko z tego, że ją w kościele może widywał wypompowaną i wyfiokowaną; a no mnie o nią spytać trzeba, co w tym domu bywam.

Strukezaszyc, uradowany, powołał go oczyma do mówienia. Nie widział komornik jak Erazm cisnął nań wejrzenie zabójcze.

— W Łopatyczach przed p. Leonillą na palcach wszystko chodzić musi — mówił komornik — ona

tam panią i królową. Zachce się jej choćby z pieca kafelka: jak zacznie prosić, płakać, dąsać się, chorować—musi być!

Matka pierwszą sługą, ojciec lokajem — ona jedna pani. A przyjedzie gość pokorny—jak ja—czy pan myśli, że choć mu głowę skinie, albo da dobre słowo! ani spojrzeć nie raczy. Z Francuzką szwargoczą i z ludzi się naśmiewają w żywe oczy.

— Będzie ktoś z niej miał żonkę, mosanie — dodał Strukezaszyc—co się zowie modną! Winszuję mu, ale nie zazdroszczę. Gdyby nie Łopatycze, ale klucz Czarnawczycki, gniazdo przodków swych, miała w posagu, nie starczy takiej jejmości na wstążki. Królewicza jej trzeba, jak...

Ciągnąłby dalej Strukezaszyc, gdyby, serwetę przyłożywszy do twarzy, nie zerwał się ze stoła p. Erazm. Twarz miał siną.

— Ojciec pozwoli—ból zębów.

Panna Blandyna wstała natychmiast pod pozorem lekarstwa i pobiegła za siostrzanem.

Nastąpiło milczenie. Strukezaszyc zamyslił się ponuro, bębnił palcami po stole.

Kaczor tymczasem z półmiska resztę kaczki z buraczkami zmiatał.

Po dość przedłużonem milczeniu, gospodarz się odezwał do żarłocznie jedzącego komornika:

— Jak mówiłeś jej imię?

— Czyje?—zapytał Kaczor.

— A tej córuni naszego grafa?

— Leonilla.

— Leonilla! — powtórzył Strukeczasyc mocno zadumany — Leonilla Czemeryńska.... L. C.

Nagle, stołek z pod siebie wyrwawszy i ciskając go ku ścianie, wstał Strukeczasyc z takim impetem, że komornik o mało nie padł ze strachu. Upuścił widelec, wywrócił szklanę.

— Co panu takiego? — zawołał.

— Mnie? — rzekł Strukeczasyc chmurno.

— Panu?

— Cóż mi ma być! co? Zjadłem i wstałem!

To mówiąc Hojski, poszedł do okna, tyłem stanął do komornika, i zdawał się jakby nieprzytomnym. Trwało to dobry kwadrans.

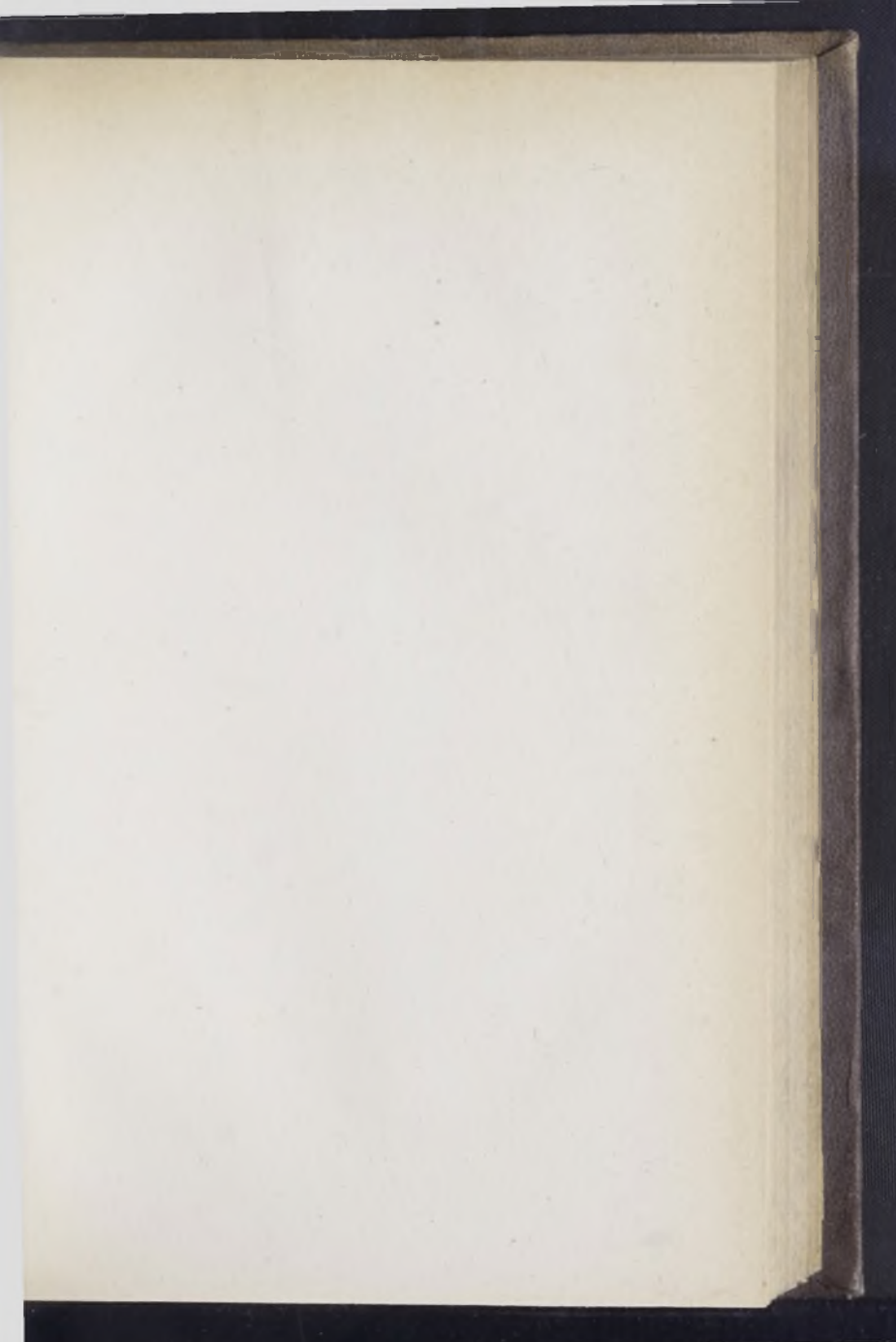
Kaczor nie wiedział co z sobą robić, obawiał się czy go czem nie obraził, a pytać nie śmiał. Postanowił więc dać dobranoc, i udać się na folwark.

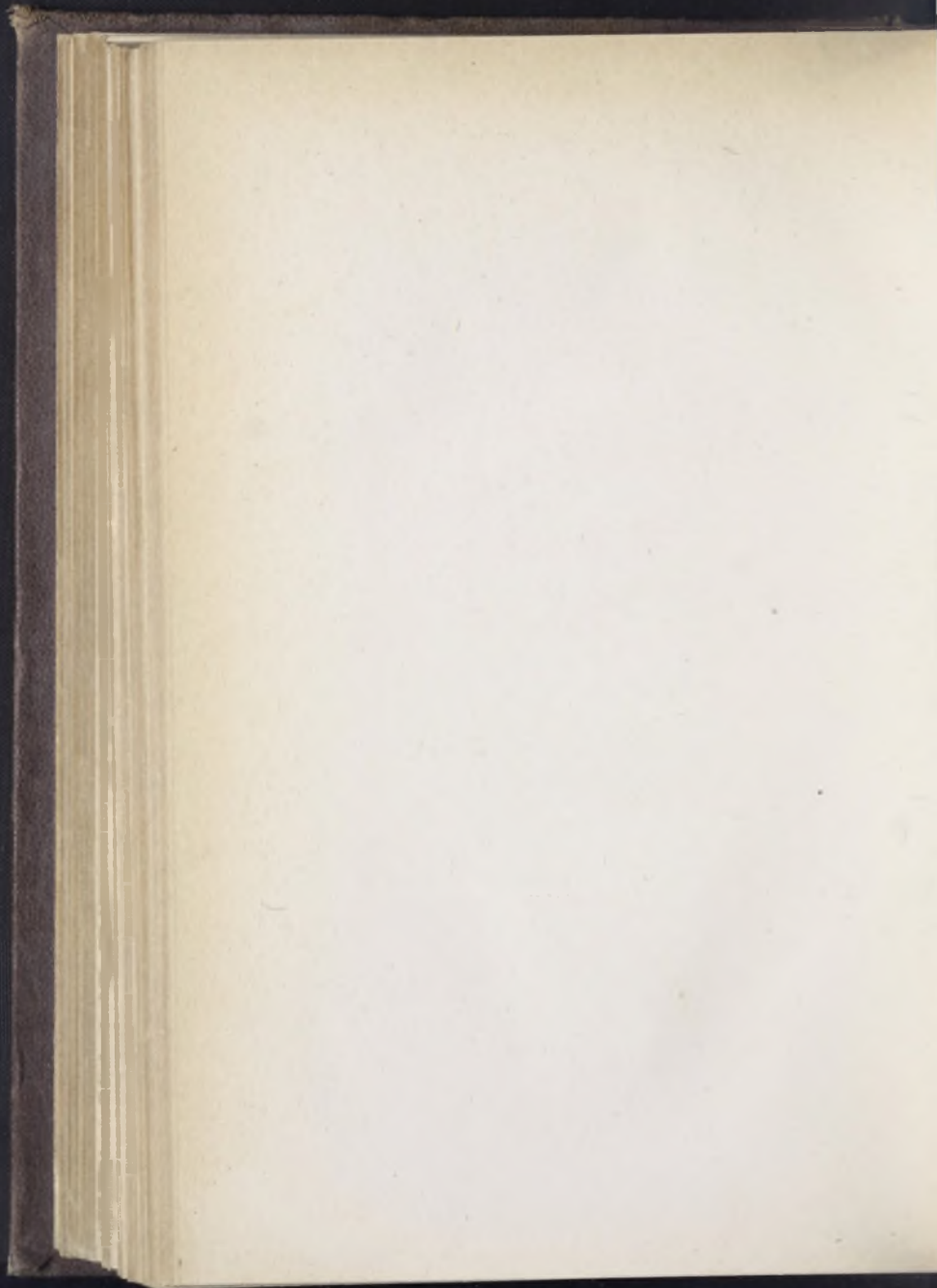
— Dobrej nocy życzę — rzekł pokornie.

Jakiemś mruzeniem tylko mu odpowiedział Hojski, i jak stał w oknie — nieruchomym pozostał.

Koniec tomu pierwszego.

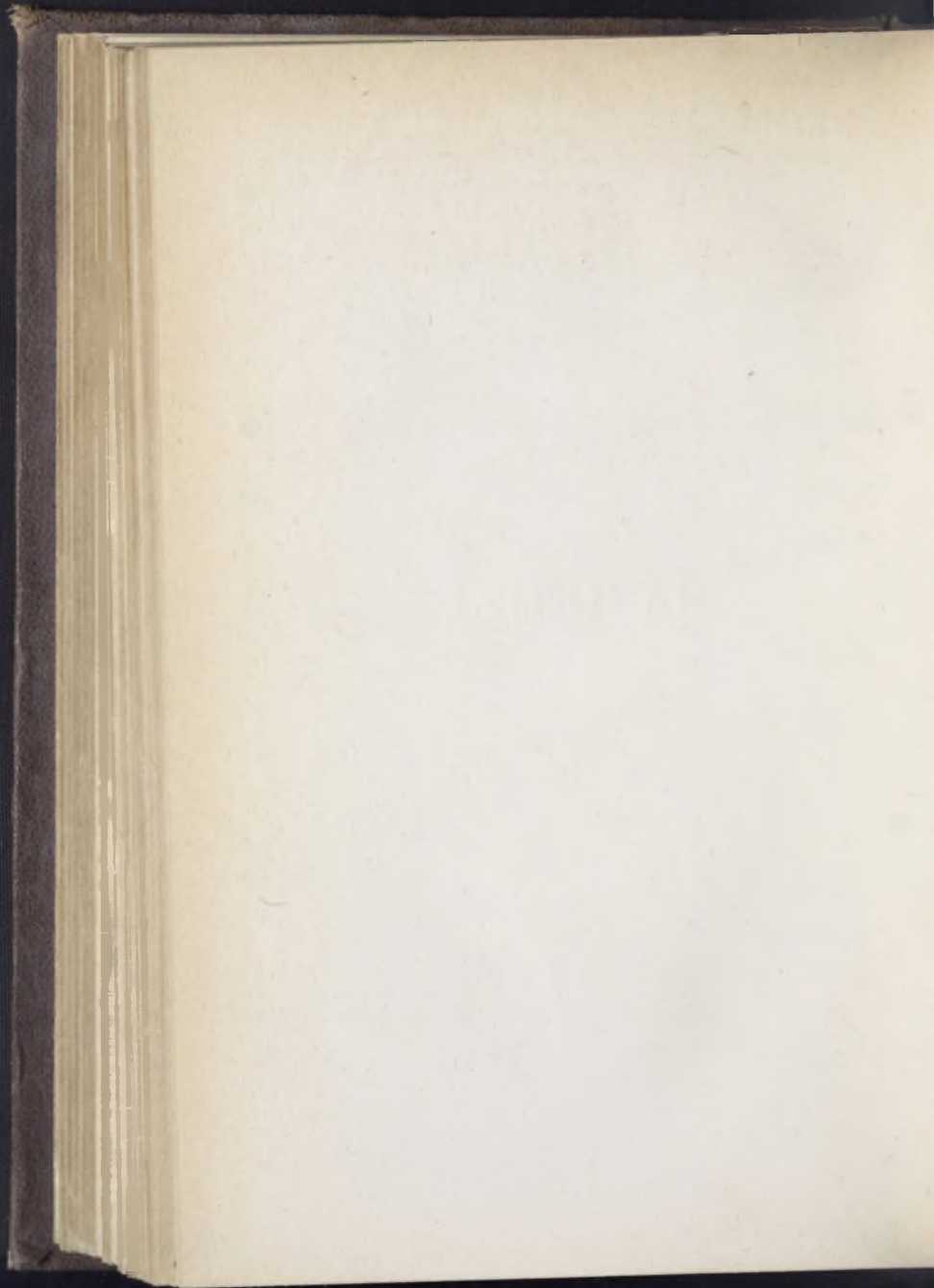








SĄSIEDZI.



# SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

przez

J. I. Kraszewskiego.

---

---

**TOM II.**

---

---

WARSZAWA.

Nakładem MICHAŁA GLÜCKSBERGA księgarza  
ulica Nowy-Świat Nr. 55.

1878.

Дозволено Цензурою.

Варшава 29 Іюня (11 Іюля) 1878 года.



T. 2

12.008.022



Dom, który dożywotnio zajmowała pani Kasztelanowa przy ulicy Trockiej, był niegdyś pałacem; ale dziś po nim trudno poznać było, że się tak mógł nazywać. Miał wprawdzie ogromną bramę wjazdową, z potłuczonymi przed nią dwiema latarniami, i pierwsze piętro pałacowo urządzone było, dziś jednak wyglądał brudno, opuszczono i nieopiecznieniu. U samych wrót dwie kupy błota i śmieci od niepamiętnych czasów czekały, aby się kto zlitował nad niemi, służąc tymczasowo wróblom do poszukiwań gastronomicznych. Prawie zawsze z lewej lub prawej strony wrót stał jeden z odpoczywających stróży ze wsi dla posługi pałacowej sprowadzanych, w podartym kożuchu, łapciach albo bieliźnie czarnej, z rozczochranemi włosami, bawiąc się weale nie ożywioną ulicą.

Przeszedłszy bramę ciemną, z której na prawo i lewo prowadziły wschody, widać było obszerny dziedziniec prostokątny, jak więzienie do koła obwiedziony murami. Strona ulicy przeciwległa była okryta galeryami, na których dzień i noc wi-

siata bielizna, ścierki, odzież i schuące sprzęty do kuchni i pralni. W pośrodku stojąca studnia prawie zawsze gromadziła jakąś część służby pańskiej przy sobie, albo otyłe i zabrukane praczki, które same najpilniej potrzebowały przeprania, lub stróżki i kuchtów, pomywających talerze i łyżki. Śmiechy, kłótnie i krzykliwe rozmowy u studni, wiązały się z wykrzyknikami czeladzi na galeryach, i posługaczy kuchennych.

Drzwi kuchni, w której dzień i noc coś gotowano, smażono i prażono, odznaczały się tem, że z nich, równie jak z okien kuchennych, buchał zawsze dym i na murach okopcone po sobie zostawiał ślady.

W pobliżu tem całe życie pałacowe się ogniskowało. W jednym jego rogu leżały stopy drzewa przygotowanego na zimę, około których coś zawsze ciupał jeden ze stróżów. Z drugiej strony otworem stały drzwi stajni, które zajmowała gawiedź stajenna. Obok z otwartych najczęściej wozowni, wyglądały na pół wytoczone powozy, których powierzchność świadczyła o długim i nielitościwym używaniu. Z innych okien i drzwi wychylały się postacie, głowy i różne akcesorya mnogiej dworni p. Kasztelanowej. Nieład wszędzie widać było straszny, choć na rękach i robotniku nie zbywało. Niezliczona ilość wyrostków, pachokków i siwych głów, dziewcząt, jejmościanek, jejmości,

pań,—zwijala się, krzyczała, wymijała, wchodziła i schodziła po wschodach i galeryach, nieszczędząc głosu i nieznizając go przez poszanowanie dla samej pani.

Kiedyniekiedy, gdy gwar dochodził do tego stopnia, iż się można było spodziewać wzięcia do boju, z jednego okna na pierwszym piętrze, wysuwała się głowa szpakowata i silna ręka z bizunem—ochryply głos nakazywał milczenie, popierając rozkaz żywym wizerunkiem następstw, jakie mogło ściągnąć nieposłuszeństwo. Wówczas rozpierchały się tłumy i szły po kątach kończyć spór publicznie rozpoczęty.

Z wielkiej ilości osób, otaczających p. Kasztelanową, można było wnosić, że musiała prowadzić życie bardzo czynne; jakoż ruch około niej był wielki, ale podobny do jakiegoś wirowania błędnego satelitów, które ni świecą ni grzeją. Kasztelanowa zdawna była nawykła do wielkiego dworu, choć połowy jego nie znała, miałaby się za najnieszczęśliwszą, gdyby jej go zabrakło. W rzeczywistości dwór ten próżniaczy nie jej służył, ale tym, co niby jej posługiwali. Panna starsza rezydentka, nierobiąc sama nic, wyręczała się, młodszą, ta—dziewczyną ze wsi, a ta naostatek stróżką. Jeśli zaś stróżka miała przyjaciół w stróżach, robotą schodziła na nich.

Z mnogiego tego dworu nikt prawie nie nie ro-

bił—dozorowali wszyscy. Kuchmistrz siedział z założonemi rękami, dysponując kucharzowi, który pędzał kuchtę, kuchta kucheika, a ten ostatni nie-szczęsnego stróża. W stajni koniuszy, dysponował furmanowi, który łątał fornala, a ten bił wyrostka, wkońcu spędzającego ciężką robotę na stróża. Tak było wszędzie.

Stary marszałek dworu, którego rękę z bizunem widzieliśmy w oknie, siedział u siebie w stancyi, grając w warecaby i pijąc miód albo piwo; kamerdyner drzemał w przedpokoju, lokaje na korytarzach prowadzili romanse z pannami; a wszyscy jednym głosem narzekali na niezmiernie ciężką służbę, i na hultajstwo swych podwładnych.

Toż samo co z robotą, było z kluczami i zapasami.

Ten, któremu dozór był powierzony, używał kluczy tylko naówczas, gdy ich dla osobistej swej wygody mógł potrzebować; w innych razach klucze też schodziły aż na stróży i kuchtów.

Wiekuiste też było podziwienie wszystkich, iż nie nie trwało, wychodziła każda rzecz niesłychanie prędko. Gdy zapasy nadesłano ze wsi, naówczas luszyk był po wszystkich piętrach na ogromną skalę: jedzono, smażono, zapraszano, rozdawano, aż dopóki w faskach się niespodzianie dno nie ukazało.

Naówczas następowały wyrzekania, śledztwa,



zaprzysięgania niewinności, denuncyacye, plagi i najczęściej krupięło się to — na stróżach.

Na ich barkach w istocie cały ciężar domu tego spoczywał, a jak w rzeczypospolitej anarchia stanowiła rząd pewien, tak tu nieładem stał dom pani kasztelanowej.

Domyślać się łatwo, iż ona sama w nic nie wglądała, nie miała na to nigdy czasu. Od przebudzenia do późnej nocy, nie nierobiąc, była tak niesłychanie zajęta. Śpieszyła się, pędzała wszystkich, iż często przez dwadzieścia cztery godzin ledwie na chwilę przysiadła.

Chociaż, jak widzieliśmy, pisała listy nie twornie i charakterem do odcyfrowania trudnym, wyprawiała ich codziennie takie mnóstwo, odbierała moc tak wielką, iż sama korespondencya póżerała znaczniejszą część czasu.

Potrzeba było koniecznie dawne u dworu, w senacie, na prowincyi znaczenie i stosunki utrzymać. Niezmiernie dbała też o to pani Kasztelanowa; więc czy był jaki interes czy nie, potrzebowała kogo lub był jej beużyteczny, parę razy w rok nawiedzała go listami.

Tym sposobem zachowywało się drogą pamięć nieboszczyka p. Kasztelana, i, na wszelki wypadek, jednało się przyjaciół. Oprócz tego Kasztelanowa miała się i mianą być chciała, za osobę wpływową; używano jej, gdy sejmiki i wybór postów

był zapowiedziany. W tych chwilach stanowczych rozwijała gorliwość i skrzętność prawdziwie zdumiewającą, zamęczała się.

Niemając dzieci, niekochając nikogo, a postarawszy i straciwszy dawnych wielbicieli, Kasztelanowa w tem gorączkowym szamotaniu się znajdowała jakąś rozrywkę i potrzebne zatrudnienie.

Przy takim nieładzie można sobie wystawić, jak szły interesa. Kasztelanowa miała na znacznych dobrach dożywocie, i własny swój majątek. W obu zarząd był taki jak w pałacu.

Pieniędzy nie wystarczało nigdy; pożyczano nieustannie, dla zaspokojenia pilnych długów, i robiono nowe, które na czas jakiś nie były dolegającami. Na tem wszystkiem zarabiali plenipotenci, rządcy, prawnicy, a Kasztelanowa nigdy nad dzień jutrzejszy dalej widzieć i o niczem dalszem myśleć nie chciała. Gdy przychodziło do ścisłych rachunków, była już zawsze śmiertelnie zmęczoną i wypraszała się, aby jej pokój dano.

Pan Strukezaszyc, który równie dobrze znał stan interesów, jak charakter stryjecznej siostry, wiedział dobrze, iż po niej nie weźmie nic oprócz kłopotów i długów; nie mieszał się też do jej spraw, ażeby nie proszono go o kredyt. Zużytkował tylko teraz kuzynkę, gdy mu się syna pozbyć było potrzeba.

Tu mu żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Stryjenka, niegdyś bardzo zalotna i pamiętająca dobre czasy Augusta Mocnego, przyjaciółka Bielińskich i Denhoffowej, miała już lat pod sześćdziesiąt, i, choć się zawsze bielila i różowała, choć jeszcze w twarzy świeciły oczy czarne i piękne, pomarszczona była—kaszląca i straszna.

Prawa jej ręka, pani z Płachciewiczów Ostrogródzka, Podstarościanka witebska, miała też lat z pięćdziesiąt. Starsza panna rezydentka Miłosiewiczówna Olimpia, lat dobrze czterdzieści, a panna przyboczna, Eulalia Woronowiczówna, co najmniej drugie tyle.

Co się mieściło w garderobie, przy haftach, strojach, bieliźnie, to w rachunek żaden nie wchodziło.

Kasztelanowa, prowadząc życie tak czynne, wcale nie myślała w pomoc wzywać do żadnego interesu młodego synowca. Hojski sam napisał do niej z prośbą, aby jakiś czas zatrzymała go przy sobie, co Kasztelanowa znalazła zrazu dziwaczne i niewłaściwe. Wszyscy co ją otaczali, bili w to, że ze strony Strukezaszyca była to, co najmniej dziwna pretensya. Jednak po namyśle zdecydowała się p. Kasztelanowa list według żądania kuzyna napisać i wysłać, wcześniej się frasując: co z tym nieznośnym fantem robić będzie?

Marszałek dworu Płachciewicz, markotny był mocno, gdyż i on i plenipotent Onikszyński, znajdowali, że cała ta sprawa niezem innym nie była,

tylko upozorowanem szpiegowstwem Strukczaszyca, chcącego mieć nad przyszłą sukcesyą Kasztelanowej.

Nikt tu więc nie był rad p. Erazmowi; zawczasu się nań krzywili wszyscy i zapowiadali, że mu tu długo miejsca zagrzać nie dadzą.

Płachciewicz, który udawał, że do pani Ostrogradzkiej czuje skłonność (gdyż w jej ręku była kassa), szepnął na ucho damie swojego serca:

— Niech się państwo spuszcza na mnie; my go ztąd wykurzemy.

Pan Erazm jechał niechętnie, a tu zbierano się już przyjąc go jaknajzimniej, bodaj nieprzyjaźnie. W pałacu zaprowadzony był już od wieków taki porządek, że wszyscy donosili pocichu na wszystkich i wzajem szkodzili sobie. Pan Erazm więc nie mógł unikać losu wszystkich mieszkańców pałacu. Nim jeszcze przybył, Kasztelanowa kazała do siebie zawołać Płachciewicza.

Jak zawsze, śpieszyła się i teraz z czemś i wchodzącego powitała w progu.

— Co chciałam mówić, mój kochany Płachciewicz, bo ja to jestem tak roztargniona, tyle rzeczy na głowie—ale, już wiem, to ten nieszczęsny synowiec, który na mnie spada! W krótkich słowach, bo nie mam czasu, powiem asanu, żebyś mu tam wcześniej jakie mieszkanie wyznaczył i kazał oczyścić.

— A! gdzież tu, proszę jaśnie pani, — odezwał się, kręcąc szpakowatego wąsa, ogromny drab w perłowym kuntuśzu—gdzie tu u nas kąt wolny? My i tak się ledwie mieścimy! Gdzie tu go postawić, ja, słowo daję, ani wiem.

— Rób już sobie jak chcesz! — odparła niecierpliwie p. Kasztelanowa, chodząc z listem po pokoju. Gdzieś się jakiś kąt dla jednego chłopca znajdzie.

— Ciekawym gdzie? — zamruczał Płachciewicz. Broń Boże, jeszcze z końmi najedzie, to dla nich ani kawałka żłobu nie mam. Co to gadać! Od góry do dołu szpilki nie wetknąć.

— No, to dać jeden z pokoi po jegomości! a żeby temu był koniec—odezwała się Kasztelanowa—widzisz, żem zajęta.

— Jeszcze czego! ale! — odparł pod nosem marszałek wychodząc: — Pokój po jegomości! Będzie go widział!

Tegoż dnia, porzuciwszy warcaby, w które z przyjacielem swym Franciszkaninem grywał po całych dniach, Płachciewicz poszedł na drugie piętro, otworzył zabrukana i zatęchłą izbę, w której leżały połamane sprzęty i kazał ją jednemu ze sług wyporządzić. Summarycznym rozkazem, miał się sługa postarać o łóżko, siennik, stół, dwa stołki i—co potrzeba.

— Zkąd-że ja to mam wziąć?— spytał sługa.

Płachciewicz podniósł pięść do góry wyraziście.  
— Weź zkąd cheesz! rozumiesz! co to ja cię będę niańczył!

Sługa popatrzył na izbę stojącą otworem, zawołał stróża i codo słowa mu powtórzywszy rozkaz marszałka, z dodatkiem groźb i demonstracyi kulakowej, więcej się już o to nie troszczył.

Stróż poskrobał się w głowę, plunął, zamruczał, zawołał do pomocy towarzysza. ściągnął stróżkę: stanęli w kurytarzu i gadali do wieczora, nic nie robiąc.

Nazajutrz rozpoczęto od tego, że wszystko z izby wyrzucono i okna otwarto. A że zdawna były pozamykane, szyba jedna pękła przy wstrząśnięciu. Wczasie letnim szyba wybita nie liczy się wcale.

Stróżka wieczorem izbę zamiotła tak, że całe piętro pełne było kurzawy.

Trzeciego dnia, ponieważ łóżka nie było, przyniesiono tapczan bez nogi, zamiast której postawiono polano. Czwartego dnia miano się postarać o resztę, gdy około południa wózek się zatoczył przed pałac—i wysiadł z niego podróżny.

Niewiedząc gdzie i do kogo się obrócić, spytał stróża u bramy; stróż nie mówiący nigdy, palcem pokazał w dziedziniec i poszedł. Skazówka była niedostateczną; p. Erazm czekać musiał aż się kto trafi rozmówniejszy.

Wtem na wschodach posłyszał bieg, śmiech

śpiew i pokazała się dziewczyna bez pończoch, w trzewikach zdeptanych, z głową nieuczesaną — pośpieszył ku niej z zapytaniem:

— Oto także! — odpowiedziała — albo ja tam wiem. I uciekła.

W kilka minut potem, stoczył się z góry lokaj z rękami w kieszeniach. Od tego ledwie się potrafił dowiedzieć p. Erazm, że powinien się być udać do marszałka dworu, Płachciewicza, na piętro. Pokazano mu drzwi.

Na piętrze natrafił naprzód na izbę, w której na śłomie spał stróż pijany czy chory; drugie drzwi otworzywszy, zobaczył stół, na nim pokrajane sukno, żelazko krawieckie, butelkę od piwa i — więcej nie.

W trzecich drzwiach, gdy je otworzył, krzyk się dał słyszeć. Stała naprzeciw nich kobieta dobrej tuszy, w jednej koszuli, właśnie się przyodziewająca.

Krzyknęła: — Jezu! Marya! a idź-że do sto dyabłów!

Pan Erazm drzwi zamknął.

W piątych czy szóstych, minąwszy przedpokoik, znalazł szpakowatego mężczyznę z wąsami, grającego w warcaby z księdzem.

Na stoliku stała faszka, solniczka i resztki chleba. Grający tak byli zatopieni w partyi rozpoczę-

tej, iż p. Erazm chrząknąć musiał, aby ich rozbudzić.

Podniósł głowę p. Płachciewicz.

— A czego to? a z czym?

Pan Erazm w krótkości oświadczył: kto był i z czym przybywał?

Na twarzy marszałka widać było nieukontentowanie; nie czuł potrzeby zbyt grzecznego przyjęcia synowca swej pani.

— Pani Kasztelanowa o tej porze nie ma czasu, nie przyjmuje nikogo. Niech pan sobie każe komu pokazać izbę, co jest dla niego wyznaczona.

Zdziwił się trochę tem przyjęciem Hojski i uśmiechnął. Marszałek widać za złe wziął to ust poruszenie i zecerwienił się.

— U nas tu miejsca niewiele—dodał. Jeżeli pan ma konie, to proszę gdzieindziej postawić, stajni u nas wolnej niema.

Nienawykły był p. Erazm do takiego lekceważenia, — oburzyło go.

— Mój panie—odezwał się głosem trochę podniesionym; ja tu nie przyjechałem jak załoga, ale na żądanie i w gościnę. Jeżeli o miejsce dla mnie i moich koni trudno, łatwo się bez tego obejść i gospodę znajdę.

To mówiąc, odwrócił się, chcąc wyjść.

Dopiero Płachciewicz pomiarkował się, z kim miał do czynienia, i zerwał się z kanapki.



— Niech-no się pan nie gorącuje!—zawołał—bo to znowu trudno, ja się nie rozerwę, a czego niema, toć nie stworzę.

— Zatem nic mi nie trzeba!—powtórzył Hojski, na głowę biorąc czapkę.

Płachciewicz, Franciszkanina porzuciwszy, wybiegł za Erazmem.

— Stancya dla pana przecież jest, tylko nie wiem czy oczyścili, a z kołmi—to trzeba zobaczyć.

— Każ mi waćpan pokazać mieszkanie!—odparł sucho Erazm.

Obejście się trochę pańskie przybyłego zmieniło natychmiast usposobienie marszałka. Po chwili namysłu, nie poprowadził już gościa do izby na drugie piętro, uznawszy ją za zbyt lichą, i chwyciwszy klucze, otworzył mu ów pokój nieboszczyka pana, o którym mówiła Kasztelanowa.

Ten, choć także opuszczony i z główniejszych sprzętów ogołocony, zawsze daleko był wygodniejszym od lichej izby na drugim piętrze. Brakło i tu wiele, lecz Erazm umiał sobie dać radę. Pierwszemu odartemu sługusowi, którego spotkał w sieni, dał półtalara i kazał mu sobie przynieść na czem zbywało. O grosz gotowy było tu zawsze trudno, chłopak więc odrazu przystał na służbę do p. Erazma.

Konie postawiono w jakiejś komórce, do której



miano wstawić koryto, a to obiecywało zastąpić zółb. O drabinę na siano nie było trudności.

Przekupiony chłopak dał znać p. Erazmowi, gdy na pokoje do Kasztelanowej pójść było można. Ta zawczasu już o przybyciu została uwiadomioną. Z powodu gościa, wdziała starą suknię adamaszkową czarną i nową peruczkę. Pani Ostrogradzka ubrała się też paradnie, panny Eulalia i Olimpia przywdziały świąteczne suknie. Wszystkie ciekawe były owego Hojskiego i złe na niego, bo im też był zawadą i niepotrzebnem okiem. Kasztelanowa zawczasu narzekała i niecierpliwiła się.

Dla honoru domu, szczególniej pierwszego dnia, musiała zarządzająca kuchnią, p. Ostrogradzka, pomyśleć o obiedzie, o którym nigdy nie wiedziała. Kasztelanowa nie uważała co jadła, czasami najadała się rzeczy niestrawnych i chorowała, niekiedy wstawiała głodna i musiała się podkarmiać chlebem lub kawą.

Codo obiadów, które miała dysponować Ostrogradzka,—te zwykle dyktował kuchmistrz z pomocą swych podręcznych. Jak tylko się w progu ukazał ów urzędnik, Ostrogradzka zbywała go tem, że nie ma chwili czasu, bo ją już woła Kasztelanowa, dawała z apteczki kieliszek słodkiej wódki i wyprawiała.— Rób acan co chcesz! Kuchmistrz pytał, wróciwszy do kuchni, co tu jest w spiżarni, i zdawał dyspozycję na kucharza. Ostatecznie obiad

się klecił przy pomocy stróży, tak, że jedząc go, kuchmistrz, dziwił mu się. Był dlań niespodzianką.

W czasie preparowania go, najczęściej obaj oni z kucharzem grywali w chapankę.

Tego dnia jednak na niepewne spuścić się nie chciała p. Ostrogradzka, lecz kuchmistrz ją uprzedził i sam dopilnował, aby jedzenie było — po ludzku.

Pokoje pierwszego piętra, niegdyś pałacowo urządzone, miały wysokie stropy, gzemsy potrosze złoczone, ale szpalery spłowiałe i popsute, sprzęty zużyte. Pan Erazm, przeszedłszy jedną pustą salę, znalazł się w mniejszym pokoju, dawniej zielonym zwanym, dziś barwy nieoznaczonej. W pośrodku jego, w towarzystwie panuy Olimpi, czekała nań słusznego wzrostu, chuda, śmiesznie i niestarannie ubrana kobieta, pańskiej postawy, z twarzą której bielidło, róż i muszki pokryć nie mogły kwaśnego humoru.

Stryjenka zapewne wyobrażała sobie, że w tym gościu ze wsi znajdzie niezgrabnego, zadomowionego chłopaka, któremu jej pałac i państwo resztę śmiałości odejmą.

Gdy wesoło i rażno wszedł p. Erazm, piękny, młody, zręczny, obracający się swobodnie, Kasztelanowa w pierwszej chwili zdumienia swego ukryć nie umiała. Gotowała się go przywitać zimno, lecz widok ślicznego chłopaka, który jej może lepsze

przypomniął czasy, wnet pomarszczone lice rozchmurzył.

— Ojciec mój—rzekł całując ją w suchą, kościastą rączkę Hojski — upada do nóżek stryjenki dobrodziejki—i przysyła mnie tu na jej rozkazy.

Podał list, którego zmieszana jejmość nie rozpieczętowała.

— Miło mi tu waćpana powitać—rzekła.

To mówiąc, wciąż mu się przypatrywała pilno, a p. Olimpia też ciekawemi oczyma go mierzyła.

— Nie wiem, czy waćpanu u mnie się podoba—odezwała się Kasztelanowa — bo też życie w tem Wilnie utrapione, a ja nieszczęśliwa wdowa obarczona, skłopotana.

— O! mnie wszędzie dobrze! — rozśmiał się pan Erazm—niech się stryjenka dobrodziejka nie kłopotce o mnie. Dam sobie rady.

Nadeszła w tej chwili p. Ostrogradzka, prowadząc z sobą p. Eulalię, a ta czwórka kobiet podstarzałych, wyfiokowanych, ciekawych, przeszywających go wejrzeniami, choć chwilowo niemiłe wrażenie zrobiła na Hojskim, umiał tego po sobie nie okazać.

Zaczęły się pytania o Strukezaszyca, o wieś, o różne sprawy potoczne; lecz zaledwie słuchając odpowiedzi, jejmość przerywała je ciągle utyskiwaniem na swe życie, prace i kłopoty. — Trzy towarzyszki potakiwały różnemi głosami: p. Ostro-

grodzka chrypliwie, p. Eulalia jękliwie, p. Olimpia piskliwie.

Dano znać do stołu. W sali jadalnej czekał już Płachciewicz, ks. Augustyn Franciszkanin, przyjaciel jego, którego zapraszał często, i niejaki Węgrzynowski, liczący się za prawnika, dopilnowującego interesów Kasztelanowej. Czerwona jego twarz i ogromny purpurowy nos, świadczyły, że służył razem i Bachusowi.—Poza p. Ostrogrodzką dostało się miejsce p. Erazmowi, za którym zaraz siadł Węgrzynowski.

Wszystkich oczy i wyteżona uwaga zwróciły się na natręta, na owego szpiega, którego marszałek wykurzyć obiecywał. Erazm miał już tyle praktyki świata, nabytej w Lublinie, iż go nie zmieszać nie mogło. A w im kłopotliwszem znajdował się położeniu, tem mocniej miną nadrabiał.

Wszyscy, wpatrzywszy się w niego, nabrali tego przekonania, iż wykurzenie będzie trudne, a gość może być niebezpiecznym. Kasztelanowa bowiem, która otwarcie wprzódy się z tem oświadczała, że go z góry będzie traktować, obchodziła się teraz z nim, nietylko grzecznie, ale z wielką słodyczą i atencyami. Erazm był to winien bodaj swej powierzchni sympatycznej i wdziękowi młodości.

Wszystkie trzy towarzyszeki Kasztelanowej w duchu przyznawały, że—chłopiec był śliczny. Z pła-

chciewiczem nieprzyjemnie się już spotkawszy, pan Erazm zdawał mu się tego teraz wcale nie pamiętać.

W rozmowie ani zbyt rozwlekły, ni natarczywy, odzywał się zręcznie i szczególniejszy stryjenki obudził sympatją, gdy się okazało, że pięknie mówi po francuzku.

To go zaraz i w oczach innych osób podniosło. Wszyscy czuli, że się zawiedli, inaczej wcale wystawiając sobie syna p. Strukezaszyca. Twarze się oblokły smutkiem i zadumą.

Po obiedzie, niechcąc być natrętnym, pożegnał się zaraz Hojski, prosząc tylko pani domu o rozkazy, jeżeliby w istocie jej mógł być w czem pomocnym. Kasztelanowa się uśmiechnęła nadzwyczaj dobrotliwie, i odprowadziła go do okna.

— Acan mi się bardzo podobałeś— odezwała się bez ogródki, bo, choć w oczy mu to powiem, pięknie się prezentujesz i kawaler jesteś, widać, światowy. Więc będę z nim szczerą, a proszę nawzajem być zemną otwartym. Cóżżeś to tam asindziej zrobił, że ojciec cię ze wsi chciał się pozbyć? To już pewnie amory jakieś, przyznaj-że mi się! Ja nie wydam i nie zaszkodzę.

Zaczerwienił się p. Erazm, nie myślał wcale przyznawać się do niczego przed stryjenką, i rzecz tę lekko obrócił.

— Słowo stryjence dobrodziejce daję, że nie wiem

dłaczego mnie ojciec wyprawił. Nie zgrzeszyłem tak dalece niczem.

— Ej! ej! zrób-no waszeć rachunek sumienia!— odezwała się Kasztelanowa.

— Doprawdy, że nie umiem odgadnąć, czego się tak ojciec nastraszył—rzekł śmiejąc się. Może tam coś było, co się mnie nie wydawało straszne, a do czego się ja nawet nie poczuwam.

— Oh! o! — przerwała Kasztelanowa — to już z acana taki bałamut, że romanse liczysz na tuziny. Ja się domyślam, że tatko pewnie dopatrzył jakichś zakazanych konszachtów z mężatką. A! to się nie godzi! Jeszcze tak, żeby aż ludzie o tem wiedzieli i gadali!—dodała ciszej.

Erazm się uśmiechał.

— Otóż, koniec końcem, powiem ci, że ja, jako żywo w interesach żadnej pomocy nie potrzebowałam. To wszystko kompozycya twego ojca. Nie masz tu nic do robienia, tytkom rada, że sobie spoczniiesz i romans się rozerwie! Baw się sobie, ale proszę, proszę, żeby skandalów nie było!

Pan Erazm poprzysiągł, że mu umizgi nie na myśli.

—No! no! już my to znamy!—dodała jejmość, zegnając go.

Poszedł więc wyswobodzony Hojski do swego mieszkania.

Miał o czem myśleć. — Od wyjazdu z Sierhina

piękna Leonilla, tak jak go żegnała po raz ostatni, na oczach mu stała.

Siadł zaraz pisać do niej pod kopertą cioci Blandyny. Znając wszakże usposobienie ojca, który pieczęci żadnej nie szanował, wpadł na myśl, ażeby list adresować do ks. Dagiela, z prośbą o oddanie go do rąk Strukezaszanki.

Pisanie do wieczora go zajęło; wyszedł później po mieście się rozpatrzyć, bo go nie znał.

W pałacu przybycie p. Erazma, po obiedzie i rozmowie u okna z Kasztelanową, uczyniło wrażenie nadzwyczajne. Marszałek pędem przybiegł do pani Ostrogradzkiej.

— Pani, a najłaskawsza dobrodziejko moja—odezwał się tajemniczo.—Darmo to już się okłamywać: ten młokos nam tu sadła za skórę zaleje. Uważała pani jak naszą jejmość odrazu skorrumpował? Co to gadać? Chłopak ładny, rezolutny, bystry—i niebezpieczny.

— Komu to asindziej mówisz? — przerwała pani Ostrogradzka—czy to my tego z p. Olimpią już nie pomiarkowały? Frant—jemu z oczów to patrzy— a że nie po co przybył, tylko na szpiegi, na to szyję moją daje. Chcą wszystko za życia jej opanować, wziąć ją w kuratele, a nas—co to gadać!—na cztery wiatry!

Płachciewicz się zamyślił.

— No—otóż rada w radę—co robić?



Ostrogrodzka podumała.

— Nic, tylko dyssymulować.

— Hę?

— Dyssymulować, a jak przyjdzie chwila sposobna—dodała jejmość—buty mu się uszyją.

— Żeby tylko się uszyły.

— Już asindziej bądź spokojny. Ja w tem.

Płachciewicz się przeszedł po pokoju.

— Udaje indyferenta—rzekł—a tykoko nie wi-  
dać jak zacznie go być pełno we wszystkich ką-  
tach.

— O! frant! frant! — powtórzyła Ostrogrodzka—  
ale ja panu jedno mówię, że się sprawdzi przysło-  
wie: „Trafił frant na franta i wyrznął mu kuranta.“

Marszałek ją aż w rękę pocałował za tę miłą  
obietnicę.

— Ja zawsze powiadam—dorzucił—jak nie pani  
Ostrogrodzka, to u nas nikt! Bez pani nas-by on  
tu wszystkich w kaszy zjadł.

— Tylko—sza!—dodała jejmość.—Ja muszę iść  
do Kasztelanowej, bo już dzwoni. Boże miłosier-  
ny, że niéma w dniu chwili spoczynku!

— Pani myśli, że u mnie lepiej?—westchnął mar-  
szałek, żeby człek chciał zdrzemnąć pół kwadransa:  
ledwie siadł, patrz, już drzwi się otwierają, ktoś  
idzie, albo w dziedzińcu harmider.... Leć na złama-  
nie karku, bo już się czubią, albo....

Lecz p. Ostrogrodzka, niedosłuchawszy, musiała

biedz do Kasztelanowej, której dzwonek coraz natarczywiej słyszeć się dawał.

We dworze Łopatyckim smutniej teraz było niż kiedykolwiek. Czemeryńskiego niezem rozerwać i z myśli ponurych nie można było wyprowadzić.

Miał przecucia trwożliwe, a wiadomości przywożone przez Kaczora, który zgodnie z instrukcją swojego pryncypała, straszyl potrosze wywłaszczeniem i to jeszcze na rzecz wroga — wprawiły Czemeryńskiego w rodzaj gorączki.

— Wszystko w świecie! — mówił w duchu — lecz temu łajdakowi nie dam powąchać kawałka mojej ziemi!

Szukając środków wybrnięcia z długów, wpadł wreszcie na myśl sędziego: poradzenia się jedynego człowieka, którego za przyjaciela uważał.

Posłał się dowiedzieć o Podkomorzego; ten był w Warszawie. Spodziewano się jego powrotu, kazał więc arendarzowi dać sobie znać umyślnym, jak tylko przyjedzie.

Po dosyć długiem oczekiwaniu, żydek oklep przybiegł, dając znać, że Podkomorzy przybył do domu. Jednej chwili nietracąc, kazał Czemeryński zaprzęgać.

Nie spodziewał się go Buchowiecki, sam zakło-

potany jakiś i smutny. Poszli zaraz na ustęp do kancelaryi.

Czemeryński nie mógł chwili strzymać z czem przyjechał. Podniósł obie ręce do góry i począł patetycznie:

— Przyjacielu jedyńy, w którego najlepszem sercu zaufanie pokładam, oto przybywam do ciebie, na łono twe wylać strapienia moje. Źle zemną!

— Cóż ci jest? na Boga!

— Ten wróg, ten zajadły nieprzyjaciel, niesyty krwi mojej, ta źmija niegodziwa, ten niepoczciwy Hojski—zarzyna mnie!

Tchnął, pot z czoła ocierając.

— Patrzaj-że co się święci! — wołał sędzia, na jaką się rzucił sztukę, aby mnie zgubić! Kto z nas nie ma dłużników? he?

— Pewnie! — westchnął Podkomorzy. który miał ich bardzo wiele—kto ich nie ma?

— Ten frant, zbójca nabywa moje skrypty! Usadził się na to, ażeby mnie z wiosek wysadzić, bodaj z Łopatycz nawet—rzekł, jęcząc, sędzia.

— A! to nie może być! — odparł zdziwiony Podkomorzy.—Maż on pieniądze?

— Sknera, skąpiec, zdierca, lichwiarz, jakżeby ich nie miał? Tacy tylko ludzie jak on pieniądze mają! Ma! ma!

Westchnęli obaj *unsono*.

— Żebym był wiedział — pomyślał Podkomorzy w duchu—byłbym u niego pożyczył.

— Wiesz co? — dodał Czemeryński, niech się dzieje co chce. Dyabłu duszę zaprzędam—dam ziemię zabezpieczen innemu, byle nie on wzięł. Zagrabi mnie—no, to umrę.

— Ale, co znowu! dajże pokój!—przerwał Podkomorzy—rada się jakaś znajdzie! Co u licha!

Zaczęli radzić. Na żaden sposób skutecznego a zarazem prędkiego środka wynaleźć nie było podobna. — Męczyli się cały dzień; Czemeryński ze złości i aprehensyi płakał.

— Słuchaj-no—rzekł nad wieczorem Podkomorzy — przychodzi mi coś na myśl, ale wstręśliwy środek, do kata.

— Cóż? zlituj się, niech będzie co chce; byle nie Hojski!

— Masz piękną i ślicznie wychowaną córkę; król ze dworem jest w Warszawie. Znam Niemca co mu się gwałtem chce wyjść jak Brühlowi na polskiego szlachcica. Gdyby go z sędzianką ożenić, danoby mu indigenat, ja w tem, a hultaj, bogaty, krezus, opłaci natychmiast długi.

— Jak się zowie?—zapytał Czemeryński.

— Vogt!—rzekł Podkomorzy.

— I krótko i kiepsko!—westchnął sędzia—ale co robić? Co za jeden?

— Niema co taić: ojciec świece sprzedaje, syn był w wojsku.

— Łojowe?— spytał Czemeryński.

— Tego nie wiem!— odparł Podkomorzy.

Po chwili odezwał się sędzia:

— Paskudna rzecz, a najgorsza, że Leonilka, co takiego noska ma, który zdala czuje lada podejrzaną woń — gotowa się tego łoju dowąchać—i—nie pójdzie!

— Syn przyzwoity i ładny chłopiec!— powiadam ci — służył w wojsku, a wychowany jak panicz— i miliony po tatku.

— Żeby choć ten szołdra sklep zamknął, możeby z niego łój wywietrzał— westchnął sędzia.

— Wszystko to być może — a no, probujmy— rzekł Buchowiecki. Ja na wsi nie długo bawię, prawdę rzekłszy, po pieniądze tylko się przywlokłem. Dostanę ich i jadę do Warszawy. Przybywszy pocnę chodzić koło Niemca, a waćpaństwo niezwłocznie zjedźcie.

Córee ani słowa!

— To się rozumie — odparł Czemeryński smutnie.— Ale tobie łatwo powiedzieć, acaństwo zaraz przyjeżdżajcie, a ja bez grosza jak ty — i ten niepocziwy Strukezaszyc, bodaj głową nałożył, kredyt mi popsuł—ani dostać!

Rozprawiali do wieczora; stanęło na tem, że pie-

niędzy, rozstap się ziemio, trzeba było dobyć zkadkolwiek, a do Warszawy jechać.

Czemeryński wpadł na myśl szczęśliwą wycięcia lasu, a że jego las był zniszczony, czemu nie miał rąbać dyferency? Z pięciu wiosek spędziwszy chłopów, Sierhińców się nie było co obawiać. Gdyby nawet śmiał się Strukczaszye opierać, rady mu dać było łatwo.

— Niech potem procesuje! a tymczasem niech się ze złości zaję, niech go zółć zaleje! Dyferencya, ja mówię, że moja, on mówi że jego, ja tnę, on niech dowodzi. Jak do Bugu dostawię drzewo, zje kaduka, żeby mi je odebrał.

Myśl ta, szczęśliwa, nadzwyczaj tak przejęła sędziego, że niepowracając do domu, wprost pojechał do Kobrynia, da starego Arona Zybika, który dawniej u niego drzewo kupował.

Stanąwszy w austeryi, posłał po kupca. Nierychło, w odświętnem ubraniu, w sobolowej czapce, w płaszczu czarnym, podpasany jedwabną chustką, z kijem wsrebro okutym, przybył Aron Zybik, do nóg jaśnie wielmożnemu się kłaniając.

Sędzia tego dnia umyślił go panem Zybikiem nazwać, aby do serca jego przemówić.

Izraelita znał doskonale stan interesów pana na Łopatyczach, a lepiej jeszcze stan jego lasów. Żadnej już w nich towarnej belki oddawna nie było.

Gdy sędzia zagaił o sprzedaży lasu, żyd się uśmiechnął.

— A z kąd jego brać?—zapytał.

— Cóż waćpanu do tego, kiedy ja daję?

Pokręcił głową kupiec.

— Znasz waćpan moją dyferencyę z Sierhinem?

— Dyferencyę? ale ona do Sierhina należy—odparł stary żyd.

— Tak samo jak do mnie!—odparł sędzia.—Mamy o to proces, który już trwa lat dwadzieścia kilka.

— No, i może jeszcze trwać trzydzieści — rzekł Zybik. Pan Strukezaszyc ten las szanuje, a jak ja jego zuam—dodał Aron—broń Boże napaści, go-tów komu w głowę strzelić!

Czemeryński się zamyślił.

— Z nim niema co żartować — mówił dalej Zybik. — Choćby pan sędzia chłopów ze wszystkich wiosek spędził, w jednym dniu nie wytną, a on i sąd sprowadzi i sam się bronić będzie. To wojna!

Z przeproszeniem, jaśnie pana, ja tego nie będę radził, i tego drzewa nie będę kupował. Nie.

— No, to kupi drugi—zawołał Czemeryński.

— Nikt nie odważy się. Na co nam takie drzewo, za które musi ludzka krew się polać? — odparł Aron. I panu sędziemiu ono na szczęście nie pójdzie.

— Ja potrzebuję pieniędzy—odparł Czemeryński—to darmo.

— Pieniądze, to jest inna rzecz—rzekł żyd zwolna—a tego drzewa ja panu tykać nie radzę.

— Zkąd-że naprędce grosza dostać? — zapytał Czemeryński.

Aron podniósł oczy ku niebu, spojrzął na sędziego, w pokorze ducha, zdawał się milczeniem wyznawać także zupełną nieświadomość, gdzie pieniądze szukać należało.

— Ciężkie czasy!—westchnął.

Sędzia przeszedł się po izbie zafrasowany, krew, o której żyd wspomniął, wstręt mu czyniła.

Strukezaszyc w rozpaczy gotów się był nawet na niego porwać.

Wśród tego dumania Aron się odezwał:

— Dużo to jaśnie panu potrzeba?

Sędzia do niego przyskoczył.

— Kilkaset czerwonych złotych byłoby dosyć.

Namyslał się Izraelita.

— Dawniej to było nic—rzekł—ale teraz—to jest summa wielka. Wie pan co? — dodał — mój krewny trzyma arędę w Łopatyczach.

— A tak! — zawołał sędzia—ale ja go wypędzę, bo mi więcej dają.

— Pan jego nie wypędzi, dawna rata zostanie, pan podpisze kontrakt na lat dwanaście, a ja kilkaset dukatów za niego założę. Nie chcę za to nic tylko młynek na Uściu dla siebie na lat dwanaście.

Zachnął się Czemeryński: warunki były zabójcze.



— Ze skóry-bys mnie odark!—krzyknął—to nie może być!

Aron, postawszy chwilę podedrzwiami, skłonił się i chciał odchodzić; sędzia obawiał się go puścić. Począł się targ — i kontrakt stanął o arzędę. Można się więc było obejść bez napaści na las, bez wojny i następstw jej nieprzyjemnych. Odetchnął Czemeryński i, dostawszy oberzniętych dukatów, do domu pośpieszył.

Przez całą drogę rozmyślał: jak miał usprawiedliwić wycieczkę do Warszawy? Zdało mu się, że potrzeba zabawienia i pokazania córki na większym świecie, była pobudką dostateczną.

Zaledwie wysiadłszy i przywitawszy się z żoną, która o Podkomorzego rozpytywała, począł Czemeryński wywodzić żale nad tem, że się na wsi zakopali.

— Wszystkim nam czas-by się przewietrzyć— rzekł do żony — mnie, którego Hojski już w pół śmierci zamęczył, tobie, nareszcie Leonilce, która świata nie widzi i marnuje się tu na parafii. Podkomorzy znowu wyjeżdża do Warszawy; mnie się też chce pójść za jego przykładem i zrobić małą ekskursję z wami!

Sędzina, która każdą myśl męża uwielbionego witała oklaskiem, niewypowiedzianie się uradowała dla siebie i córki.

— A! czyż to może być, kochasiu!

— Musi być—i będzie!—potwierdził sędzina.

Z tą niespodzianą, a jak się jej zdawało, nadzwyczaj szczęśliwą nowiną, sędzina pobiegła do córki, na której twarzyczce od niejakiego czasu czytała niepokojący ją smutek.

— Leonciu! dziecko moje! przychodzę do ciebie od ojca, z taką wiadomością! że — że, podskoczyć powinniś z radości.

Zerwała się od krosien p. St. Aubin, Leonilla stała nieporuszona.

— Ten pocziwy nasz drogi ojczyisko,—poczęła sędzina,—to złote serce, które tylko myśli jak drugich uszczęśliwić — dla rozrywki twej, dla ciebie zrobił projekt podróży do Warszawy.

Leonilla rzuciła okiem na Francuzkę i pobladała.

— Ale ja—ja się wcale na wsi nie nudzę—odezwała się,—mnie tu dobrze.

Wielkie było zdziwienie matki. Córka zamiast radości, prawie lży miała w oczach; to rzecz była niepojęta.

Ona i p. St. Aubin dawały sobie jakieś znaki; podróz spodziewanego wrażenia nie zrobiła.

Sędzina, zakręciwszy się, nieco zmieszana, powróciła do małżonka. Pani St. Aubin skorzystała z tej chwili, by przypaść do wychowanki i wybać ją a nawrócić. Ona sama wcale nie była prze-

ciwną przejażdżce do Warszawy — potrzebowała dystrakeyi.

— A ja — rzekła cicho panna — wcale sobie nie życzę teraz ani wielkiego świata, ani opuszczenia tych miejsc, które mi się stały drogiemi. Podróż mi nie rozerwie; utrudni tylko wiadomości od niego, powiększy niepokój.

Na co mi ta Warszawa?

Wyrażone przez pannę sentymenta, tak były różne od tych, jakich dawniej doznawała, że Francuzka dopiero teraz uwierzyła, iż owa miłość sielankowa, przez nią uważana za zabawkę, była uczuciem, z którem się rachować musiano. Nastraszyło ją to trochę; dotąd nie brała romansu tak na seryo; teraz złąkła się odpowiedzialności — i podróż do Warszawy wydała się jej tem potrzebniejszą.

Leonilla też, choć jej przykro było opuszczać Łopatycze, nie mogła obojętnie myśleć o stolicy i dała się nią skusić. Mówiono o balach, o teatrze królewskim, — a świat wielki dla młodych jest, co najmniej, ciekawym — nawrócić ją więc nie było bardzo trudno. Ojciec nalegał, matka była szczęśliwa, p. St. Aubin trzpiotała się, myśląc o podróży. Leonilla choć smutna, choć wdychająca, poddała się woli otaczających.

Wyruszono według zwyczaju dworowo do Warszawy, przodem wysławszy Brackiego, aby mieszkanie zamówił, opatrzył i przygotował.

W Sierhinie dowiedział się Strukczaszye zarazem przez żydów, że mu las na dyferencyi wyciąć w pień zamierzono i że wróg jego z całą rodziną do stolicy wyruszył.

Hojski, kombinując po swojemu, domyślał się, że podróż bez jakichś planów i kalkulacyj przedsięwziętą być nie mogła.

— Nie pojechałby, zagrożony będąc wywłaszczeniem, niemając grosza, gdyby tam czegoś nie knuł i jakiejs się dywersyi nie spodziewał!

Kocha córkę i daje się jej wodzić za nos—może być—ale nie jest tak ciemny, żeby nie widział co mu grozi.

Posłano po Kaczora, aby dalsze roboty potajemne przyspieszyć. Strukczaszye chciał z niebytności Czemeryńskiego skorzystać.

Tymczasem sędzia przybył do Warszawy, a pierwsze wrażenie, które miasto, dom, mieszkanie i cały ten świat nowy uczynił na Leonilli, było najniekorzystniejsze. Nie podobało się jej tu nic; otwarcie mówiła, że żal jej było Łopatycz; Czemeryński zafrasowany chodził, lecz spodziewał się zmiany. Francuzka mu ją obiecywała pociechu. Sędzia jak tylko się rozpakował, pobiegł do Podkomorzego. Obmyślono środki zbliżenia p. Vogta do sędzianki.

Na intencję, żeby się jej podobał, Czemeryński się modlił, czuł bowiem, że w razie oporu córki, si-

ty do narzucenia jej Niemca mieć nie będzie. Umówiono się naprzód o to, aby owego panicza sędziemu prywatnie pokazać.

Córka Podkomorzego, a dzisiejsza hrabina niemiecka, była właśnie z mężem przy dworze. Zaproszono Czemeryńskiego na wieczerzę do saskiego pałacu, gdzie w skrzydle państwo grafostwo mieli apartamencik, bo sam pan królewskim był szambelanem.

Z bijącym sercem sędzia ustrojony puścił się o wyznaczonej godzinie, szukając mieszkania młodej grafini. Wyobrażał je sobie bardzo wspaniałem i obszernem, zapomniawszy, że król tu był gościem, a ci, co mu służyli, stali niemal jak w gospodzie, w pałacu, który mnóstwo urzędników dworskich mieścić musiał.

Zdumiał się, gdy go w skrzydle wprowadzono przez ciasną sionkę, do przedpokoiku, wprawdzie pięknie obitego, ale nabitego też służbą—a wprost z niego do dużego pokoju, w którym się już ciężko było obrócić.

Szambelani, dygnitarze, powracający właśnie z polowania, wchodzili i wychodzili, mieniając się. Piękna grafini przyjmowała wraz z mężem, a zobaczywszy starego znajomego sędziego, uprzejmie go powitała.

Mówiono więcej po niemiecku niż po francuzku, łamanym językiem, a Czemeryński tak jakoś był

skonfundowany, że sławna jego francuszczyzna, którą się posługiwał, z trudnością mu dziś przychodziła.

Nim jeszcze podano wieczerzę, którą państwo grafowstwo brali z królewskiej kuchni, Podkomorzy, assystujący Czemeryńskiemu, wskazał mu na uboczu u komina, w wojskowo-myśliwskim ubraniu, stojącego, bardzo słusznego wzrostu mężczyznę, twarzy ni pięknej ni brzydkiej, biało kurowatego blondyna, który budową całą i olbrzymiami, a niezbyt zgrabnemi, kształty, zdradzał swe pochodzenie świeże od pracowitego ludu.

Strojnym był błyszcząco i jaskrawo—lecz go to nie czyniło piękniejszym.

— Na hajduka wygląda!—szepnął Czemeryński.

— Ale, co znów—odparł Buchowiecki—nie znasz saskiej szlachty, wszyscy oni tacy drągale.

Pan Vogt, którego tytułowano lejtnantem, był śmiały i mówił wiele, obserwował jednak sędzia, że inni dworacy, wojskowi, szlachta, szambelanowie, lekce go sobie wazyli, niezbyt słuchali, gdy się odzywał, obracali się do niego tyłem—a on też ustępował im z drogi, milkł, i aż nadto się pokornie akomodował. I to mu się w nim nie podobało. Przed wieczerzą zaprezentowano p. Vogta sędziemu i wzajemnie, a że po polsku nie umiał więcej nic, oprócz — „pana topocieja,“ rozpoczęli z sobą konwersacyę ową sławną francuszczyzną.

Oficer mówił wprawnie, ale zamiana ciągła *b* na *p*, *d* na *t*—i odwrotnie, Czemeryńskiego mieszała i nie dawała się im porozumieć. Młodzieniec był grzeczny zarazem i potroszę gburowato wojskowy. Przed szlachtą saską pokorniał, ale z Polakiem nie robił sobie zbytnej ceremonii.

Przez cały wieczór obserwując go Czemeryński, gdy wyszedł westchnął ciężko, niebędąc pewnym wcale, żeby lejtnant od świec łożowych, córce się mógł podobać.

Sas, już zapewne uwiadomiony o co chodziło i jak rzeczy stały z Czemeryńskimi, — przypatrywał się przyszlęmu teściowi z ciekawością, lecz bez zbytnej pożądlivosti przypodobania się mu.

W domu napomknął sędzia, że poznał bardzo miłego niemiaszka, wprawdzie nie grafa, ale niezmiernie bogatego, którego pewnie Podkomorzy do nich przyprowadzi.

Domyślną Leonillę dotknęło to mocno. Gdy razem z p. St. Aubin poszły do swojego pokoju, odezwała się do niej:

— Ja już wszystko wiem! Widzę, że mnie tu myślą swatać. Z tego nie będzie nic. Moje serce już nie należy do mnie!

Z trudnością przychodzi nam tu wytłómaczyć postępowanie Francuzki. Widzieliśmy ją płocho a gorąco zawiązującą intryżkę romansową z panem Erazmem, dopomagającą do niej serdecznie, intere-

sującą się losem kochanków. Moznaby z tego wnieść, że musiała stanąć po stronie wychowawcy i powinna była popierać sprawę jej serca.

Ale—jak tylko znikł p. Erazm, ostygło mocne we Francuzce zajęcie się nim. Chwila obecna i ludzie żywi silniej na nią działali zawsze niż wspomnienia. Miłość stała, z przeszkodami, zachwycała ją w romansie, w opowiadaniu; ale w praktyce gotowa ją była p. St. Aubin zawsze godzić z wymaganiami rzeczywistości.

Czemeryński, znając jej wpływ na córkę, szepnął zawczasu o bardzo bogatym pretendencie, dając przytem do zrozumienia, że gdyby powiodło się z nim, pani St. Aubin mogła na wdzięczność rachować. Zachwiało to jej przekonaniem. Pana Erazma, nie zbyt majątnego szlachcica, choć pięknego chłopca, uważała już za partyę niewłaściwą może, a cierpieć dlań—na to się jej serce wzdrygało.

Gdy p. Leonilla tak stanowczo oświadczyła, że chce ukochanemu wierną pozostać, Francuzka zmilczała znacząco—nie pochwaliała ani ganiła.

W parę dni ukazał się pan lejtnant Vogt z Podkomorzym, ubrany nieco śmiesznie, ale bogato i błyszcząco. Sędzina przyjęła go uśmiechami i migami, sędzia—francuszczyzną. Pani St. Aubin dano znać, ażeby wyszła z Leonillą a przedtem czuwała nad jej ubraniem. Nierychło jednak, dosyć nadaśana,



raczyła się ukazać panna, z miną tak dumną, z humorem tak niepociągającym, że p. Vogt, chociaż musiał nią być zachwycony — trzy razy próbując rozmowy, ledwie dwa słowa pogardliwie rzucone otrzymał.

Sędzia dobrym humorem i uprzejmością starał się za to wynagrodzić.

Gdy po krótkiej wizycie pan lejtnant wyszedł, pierwsze słowo, które się z ust Leonilli wyrwało, było szyderstwem z jego francuszczyzny i stroju.

Ojciec struchlał.

— Moje dziecię—odezwał się—ja już prawdziwie nie wiem, kto ci się podobać może, kiedy tak dystyngowany kawaler w oczach twych nie znalazł łaski.....

— Kochany ojczu—odparła Leonilla—może on jest dystyngowany i dla saskich panien miły—mnie się wydał śmiesznym.

Rodzice zmierzyli się oczyma; ojciec skinął na p. St. Aubin, polecając jej nawrócenie córki, —i dało pokój rozmowie.

Panna Leonilla, jakby na przekór, ciągle ruchy niedźwiedzioвате i mowę saską kawalera naśladowała szydersko.

— Jestto jednak pono najbogatszy panicz na dworze—dodał ojciec.

— Cóż nam tam do jego bogactw!—odezwała się Leonilla,—juściz tatko nie myśli mi go dawać na

konkurenta, bo ja, jak królowa Wanda w piosence, za Niemca nigdy nie pójdę.

Czemeryński prychnął.

— Dlaczego?—zapytał—a podkomorzanka?

— Ja — odparła Leonilla — mam swoje przywidzenia i kaprysy, to trudno. Prawda, że tatko nie jada cielęciny? no—ja tak samo Niemców nie lubię. Rozśmiała się dziwnie, wstała i wyszła. Czemeryński siedział jak przybity.

Pan Vogt właśnie dlatego może, iż panna go z góry traktowała i okazała się tak dumną, może też, że w istocie piękną była, nawet z tą swą dumą i chmurą na czole—wyszedł nią zachwycony, uściśnął Podkomorzego i oświadczył z zapalem nadzwyczajnym, iż nigdy w życiu tak pięknej i dystygowanej osoby nie widział.

Pani St. Aubin pocichu odebrała instrukcye. Gdy wieczorem znalazły się same, zaczęła od pochwał p. Vogta.

— Trzeba mu oddać sprawiedliwość—rzekła—ma wiele fizygnomii, prezentuje się po dworsku i całe jest do rzeczy!

— Ty go chwalisz?—spytała marszcząca się samowolna zawsze sędzianka.

— Zmusza mnie do tego miłość prawdy. Znajduję go bardzo przystojnym.

Z założonemi na piersiach rękoma wysłuchiwała

tłómaczenia Leonilla, potrząsnęła głową, stanęła naprzeciw Francuzki i odezwała się stanowczo:

— Moja St. Aubin, bądź zenną otwartą. Rozumiem, że cię o to proszono, abys go forytowała, a to się na nic nie przyda. Znasz mnie, jestem strasznie uparta. Nie łatwo pokochałam, ale moja miłość wszelkie próby przetrwać gotowa.

Francuzka zmieszała się nieco.

— Widzisz serce moje—dodała—miłość a małżeństwo są to dwie rzeczy odrębne. Miłość czysta najpiękniejszą jest, gdy się w łzy rozpłynie, a—konieczność zmusza oddać rękę innemu—i—ostatecznie można być z tym kim innym prozaicznie szczęśliwą!

— A! rozśmiała się Leonilla—masz zawsze na swe posługi argumenta.

Potrząsnęła piękną główką.

— Zenną się to na nic nie zdało; ja jestem upartą: gdy raz kocham, to silnie i na wieki.

— A któż ci broni go kochać? — odpowiedziała St. Aubin, nosić go w sercu i pamięci, czasem mu nawet łzę poświęcić, a gdybyście się w życiu spotkać mieli.... Tu jakoś zamilkła zaturbowana.

Leonilla dumnie potrząsała główką.

— Wszystko to, wierzaj mi, nie dla mnie — odparła.

Francuzka próbowała nieśmiało z rzeczywistością pogodzić wychowankę, lecz się jej to nie uda-

dało. Leonilla w końcu i słuchać i mówić nie chciała.

— Ma dużo charakteru ta dziewczyna! — szepnęła sobie, głową potrząsając Francuzica — lecz — powoli... ulegnie.

Lejtnant zaczął częściej bywać w domu; panna go zawsze przyjmowała jednakowo.

Sędzia zaklął bonę, aby stanowczy atak przypuściła do córki, poczem sam się z nią mówić wybierał. Tej rozmowy obawiał się i rad był ją odłożyć.

St. Aubin jednego wieczora powróciła do Niemca i jego apologii.

— Proszę cię, moja St. Aubin, na co ty daremnie się męczysz, usiłując mnie nawrócić, gdy wiesz, że z tego nic być nie może?

— Ja właśnie sędzę, że z tego koniecznie coś być powinno — zawołała Francuzka. Mam sobie do wyrzucenia doprawdy, że podałam rękę do tego waszego nieszczęsnego romansu; chciałabym złe naprawić!

— A! a! — uśmiechnęła się słodko Leonilla — tak już mówisz!

— Bom się przekonała, że z tego nic być nie może. Sędzia nienawidzi Hojskich, to są ludzie małej ekstrakcyi, drobna szlachta, podobno niemajątna. Sędzia jest w interesach — potrzebuje bogatego zięcia, któryby mu dopomógł ojczysty majątek

utrzymać. Sas jest ogromnie bogaty i zakochany w tobie.

Leonilla wysłuchiwała cierpliwie.

— Moja St. Aubin — odezwała się obojętnie — czy wolisz, żebym ja przepadła raczej niż majątek?

Francuzka rzuciła się ją ścisnąć, protestując, że nikt nie powinien przepadać, że się do Niemca można przyzwyczaić — a ojca należało ratować.

Sędzianka coś na to odpowiedziała niewyraźnego, lecz w postaci jej i wejrzeniu tyle było energii, iż St. Aubin zwątpiła o siebie.

— Panie sędzio, szepnęła po cichu nazajutrz — niechaj pan sam mówi z córką. Ja już wyczerpałam wszystko.

— I cóż?

— Nie mogę jej ku niemu nakłonić, ma wstręt...

Czemeryński, który córkę kochał, czuł swą słabość dla niej, zawahał się z wystąpieniem, chciał jeszcze przodem wysłać sędzinę. Biedna jejmość pochwyliła go za kolana, potem siebie za głowę, zaczęła się modlić i wymawiać.

— Kochasiu, rybko moja złota, ja nie mogę! Ja nie do tego! Nie — to nad siły, nie potrafię.

Właśnie dnia tego nadbiegł Podkomorzy, nalegając, że Sas gwałtem chce słowa stanowczego i przygotował już do ojca sztafetę, że obiecuje wszystko czego zażądają od niego, byleby mu pannę dano. Czemeryński zwlekać już nie mógł. Po obiedzie uło-

żono tak, że się samnasam został z Leonillą. Panna może się nawet domyślała czegoś, nie skarżyła się jednak i nie uciekała.

— Moje ty najdroższe dziecko — począł ściskając ją ojciec, ty wiesz jak ja cię kocham, jak twojego szczęścia pragnę?

— Wiem, mój drogi tatku! — no o cóż to idzie, bo coś bardzo poczynasz seryo!

— Sprawa też seryo — rzekł sędzia: — Wiesz co mnie zdrowia i życia kosztują ci Hojscy — zbójcy i ujadacze. Strukezaszyc mi na karku siedzi, grożąc zabranie trzech wiosek. Pieniędzy nie mam; on długi nabywa: wypędzi mnie z torbami.

Leonilla słuchała, nieokazując wzruszenia.

— Ty jedna, pocziwie moje dobre, kochane dziecko, ocalić mnie możesz!

— Ja? — szepnęła cicho córka.

— No — ty — ty — rzekł śpiesznie Czemeryński. — P. Lejtnant Vogt oświadcza się natarczywie o rękę twoją, gotów oczyścić majątek. Szaleje, kocha cię.

— A ja go cierpieć nie mogę — odezwała się Leonilla.

Odpowiedź była tak straszliwie stanowczą, że Czemeryński ręce załamał.

— Ja go cierpieć nie mogę! — powtórzyła. — Więc, czy tatko woli mnie stracić czy dwie wioski? Pytanie to usłyszawszy, osłupiał sędzia.

— Mniejsza-by było o wioski, ale patrzajże kto je zagarnie — krzyknął. Niepoczciwy Strukezaszyc będzie tryumfował! On! wróg! a ja upokorzony, zwyciężony będę musiał uleść temu niegodziwcowi i zważ! pomyśl, kalkuluj!

Leonilla nie zdawała się czuć tak silnie tych następstw jak ojciec. Spuściła głowę tylko.

— Za tego Niemca ja wyjść nie mogę — dodała — nie mogę.

— Zgubisz więc mnie! — wołał sędzia.

— Chcesz, ojczu, żebym siebie zgubiła! — podchwyciła Leonilla.

Czemeryński zamilkł; spojrzał kwaśnie na córkę i zdziwił się, niewidząc na jej twarzy poruszenia, trwogi, — nie oprócz energii, której złamać się nie spodziewał.

— Więc o jedno cię proszę — zawołał — nie zrywaj, rozmyśl się, zostaw mnie i jemu nadzieję.

— Która się nie ziści — powtórzyła Leonilla, bo ja ojcu powiadam, że za niego nie pójdę nigdy, ani teraz, ani za lat dziesięć, choćby był dziesięć razy bogatszym, a nam jedne tylko Łopatyńce zostały.

— A może to być, że ci zbóje i ostatnią wieś zabiorą! — krzyknął sędzia.

Córka nic na to nie odpowiedziała; zbliżyła się tylko do ojca, objęła go za szyję — przytuliła się doń.

— Tatu, tak źle nie będzie — ja ci mówię—  
bądź spokojny.

— A z kąże ty możesz wiedzieć jaka się nam  
przyszłość gotuje!

— Ja?—mam przecucia, tatu! Rozśmiała się  
smutnie.

Jeżeli Niemiec się chce przejechać w Kobryń-  
skie? — któż mu broni?

A proszę się nie smuć! — proszę być wesołym!  
Pocałowała ojca raz jeszcze i — znikła.

Czemeryński stał i dumał.

— Płochę to, nierozważne!—sama nie wie co  
plecie, a uparta!!! Dziej się wola Boża! Niemca  
trzeba trzymać w odwodzie. Gwałtu jej zadawać,  
nie podobna.

Chociaż Francuzka, na stronę lejtnanta Vogta na-  
wrócona, pilnowała teraz uczennicy swej, starając  
się o to, ażeby listów nie wysyłała, znalazła ją  
daleko przebieglejszą, niż się spodziewała.

Leonilla, jak tylko odkryła zmianę w swej nau-  
czycielce, cofnęła jej swe zaufanie. O listach mo-  
wy nie było.

Sledząc po nocach, doszła Francuzka, że listy się  
pisywały, ale nie potrzebowano pośrednictwa jej  
do przesyłania.

Strwożyła się tem.

Jednej nocy, gdy sędzianka potajemnie wstała  
dla przygotowania korespondencyi, St. Aubin we-



szła do niej w nocnym przyodziewku, chwytając ją na gorącym uczynku i poczynając wymówki, że już na wiarę nie zasługuje, kiedy się przed nią ukrywa.

Leonilla zasypała piaskiem poczęty list, wstała z uśmiechem od stolika, chowając papier za gors i odezwała się, wcale nie zmieszana tem nocnem najściem.

— Moja St. Aubin — jaka-bo ty jesteś dziwaczna! Wiem, żeś przestała lubić mojego ulubionego, że wolisz Niemca; nie chciałam ci czynić przykrości, a dla miłości twej i dla niczyjej w świecie ja serca zmienić nie mogę.

— Lecz, zlitujże się, co z tego będzie! — mnie uczynisz nieszczęśliwą, — ojca i matkę.

— Czem?

— Twoim uporem, moje dziecko! Sędzianka ruszyła ramionami.

— Kochana St. Aubin — dodała, patrzaj, że już po północy, idź spać, i bądź spokojną.

— Ale ja spokojną być nie mogę! — Leonilla ją uścisnęła:

— Weź kropli na uspokojenie — odezwała się — doprawdy nic ci innego poradzić nie umiem.

Francuzka, napróżno starając się wybadać, jakimi drogami wychodziły listy, straciła jeszcze z pół godziny na rozmowie i odeszła z niczem.

Nie poznawała uczennicy. Leonilla była zawsze dosyć samowolną i obstającą przy swoim, ale zara-

zem kapryśną; tej mocy ducha, ani tej siły uczucia, nie domyślała się w niej nauczycielka.

— Otóż, jak to nigdy z dziećmi nie na żart robić nie można! — mówiła zmartwiona, kładąc się do snu.—Osoby dorosłe, rozumne, nie biorą tak zabawki do serca.—Jej nie można wybić z głowy dziecinnej rozrywki, na którą niepowinnam była pozwolić.—Nie umiałam się oprzeć.... Jakże to było zabawne—ta para zakochanych— a teraz!

Wyznać przed sędzią nie podobna było, srodze się nieobwiniając: p. St. Aubin musiała milczeć i przeklinała nieopatrzność własną.

Po długich namysłach, postanowiła chwycić się jeszcze jednego środka: napisać do pana Erazma, zaklinając go, aby biednego dziecięcia nieszczęśliwym nie czynił i sam dobrowolnie wyrzekł się wszelkich stosunków. W liście niezmiernie długim, poplątanym, wykrzykników i nawiasów pełnym, uwiadamiła go razem, że niezmiernie majątny młodzieniec o pannę się starał, miał rodziców za sobą i, bądźco bądź, Leonilla za niego wyjść musi.

Znając adres wileński pana Erazma, z pierwszej poczty skorzystała Francuzka, aby ten trzykuszowy list wyprawić. Zdawało się jej, że tem wszelkiemu złemu zaradzi.

---

Gdy w Warszawie tak groźne zamachy na szczęście dwojga zakochanych knowano, pan Erazm na wygnaniu wileńskim, daleko mniej cierpiał, niż się zrazu na to zanosilo.

Zaczawszy od Kasztelanowej dnia pierwszego, powoli potrafił sobie najnieprzyjaźniej usposobionych pozyskać. Przekonywano się coraz bardziej że szpiegować nie myślał, że pieniędzy nie potrzebował, na spadek nie rachował wcale, a w domu nie zawadzał nikomu.

Wszystkie trzy towarzyszki pani domu, pani Ostrogrodzka, panna Eulalia i Olimpia — w kilka dni zgodziły się już na to, że miłym był nadzwyczaj, dobrym, grzecznym, a nadewszystko taki był — ładny!

Jak kobiecie tak mężczyźnie, ten dar boży, piękność znikoma, rzecz na pozór mało znacząca, pogardzana, nieraz w życiu więcej niż rozum pomaga.

Gotowano się go prześladować i wykurzać, a teraz pieszczono i nadskakiwano. Kasztelanowa uśmiechała się do niego, a gdy była w bardzo dobrym humorze, szczypała go za twarz, pociągała za ucho, całowała w czoło — jako stryjenka. Pani Ostrogrodzka prześladowała ją tym faworytem. Panny stare, Eulalia i Olympia, w napilniejszym interesie biegnąc z kluczykami, zakrywały się, gdy się do nich uśmiechnął lub zagadał.

Widząc to, rozumny Płachciewicz konie posta-

wił w dużej stajni, otworzył mu drugi pokój, dbał o jego wygodki — i zmienił się, w najniższego sługę.

Cały dwór Kasztelanowej, który Erazm hojnemi dostatkami sobie ujmował, przepadał za nim.

W wiecznych ambarasach ze swą korespondencją, interesami, wizytami, pani domu ośmielała się czasem Erazma prosić o pomoc, z którą on przychodził wesoło, ochoczo, zabawiając staruszkę i z nadzwyczajnym pośpiechem expedyując to, nad czem jejmość całe dnie trawiła.

Nie nadużywano go jednak, bo wszyscy to czuli, że młodzieniec potrzebował powietrza, rozrywki, i swobody: Erazm więc bujał sobie po Wilnie, a że u Jezuitów natrafił na dwóch patrów, których tu przeniesiono z Lublina, chadzał do Collegium i tam z dojrzałą młodzieżą pozawiazywał stosunki. Z nią na Pohulankę, do Zakretu, na Antokol, w okolicę pięknego Wilna robiły się wycieczki.

Erazm nie dręczył się swoją miłością, bo był pewnym i serca sędzianki i swojego.

— Jak Bóg Bogiem, moją być musi — powtarzał.

Korespondencja przez ciotkę Blandynę nawet z Warszawy szła, choć spóźniona, nieco szczęśliwie. Odebrawszy list, Erazm go naprzód wyciskał, potem czytał i pożerał, odczytywał i na sercu nosił. Miłosne pisma, dopóki trwa to uczucie, są

to najstraszniejsi podżegacze, działają na serce i na umysł, pali się od nich głowa, goreją piersi.

Jednego dnia trafiło się tak jakoś szczęśliwie, że dwa naraz listy pan Erazm odebrał. Zdziwiło go, że jeden z nich był nieznaną mu napisany ręką. Rzucił się naprzód na pierwszy, który był od Leonilli — ale czytając go zesmutniał. Pisała z Warszawy, nietając co ją tam spotkało, jak ją zdradzała St. Aubin, a zapewniając krótko i stanowczo Erazma, że jej nie zmienić i woli jej złamać nie potrafi.

Przypisek był jakiś dziwny, bo czytając go podskoczył Chojski, czytał go razy kilka, zarumienił się, zaczął biegać po pokoju i nierychło potrafił się uspokoić. Zapomniał nawet o drugim liście leżącym na stoliku i nierychło go otworzył. Ten był od P. St. Aubin, jak wiemy, zaklinającej go na wszystko, ażeby się wyrzekł marzeń i nie kusił o to, co było niemożliwem.

Rzucił go z niechęcią.

List Leonilli zajął go nadzwyczajnie, wrócił do przypisku jeszcze i zadumał się mocno.

Nazajutrz Kasztelanowa go wezwała w pomoc do siebie, i znalazła zmizerniałym: — smutnym.

— Co ci to jest?

— Mnie? — nic.

— Jakieś ci-tam listy noszą! Słyszę wczoraj dwa odebrałeś; pewnie co złego?

(Policya w domu Kasztelanowej, przez niewiasty utrzymywana, była doskonałą.)

— Może od ojca? — dodała stryjenka.

— Nie — rzekł krótko Erazm.

— No, to mi się przyznaj — nalegała jejmość. — Co będziesz przedemną tajemnice czynił! Już że to sercowe sprawy, — ręczę. Mogłabym ci dopomódz, słowo daję. Jak widzisz, stara jestem, ale mam li-  
tość nad stale się kochającymi.

— Stryjenka dobrodziejka, gdyby nawet chciała i była tak łaskawą, dopomódz mi nie może.

— A to dla czego?

— Ojca nie nie potrafi zmienić, a — ojciec będzie przeciwnym. — rzekł, uśmiechając się Erazm.

— Mów-bo mi od A do Z, mów wszystko, cóż to jest! — zawołała Kasztelanowa — już, choć widzisz jak jestem zajęta, ale wysłucham do końca. Mów!

Zaczęła nalegać stryjenka. Erazm pomyślał — i zwierzył się jej ze wszystkiego.

P. Ostrogozka z poddrzwi tylko podsłuchiwała.

Dla staruszki ten romans, ta sielanka wpleciona do dramatu waśni sąsiedzkiej — urok miała nadzwyczajny. Słuchała, pytała, uśmiechała się i nasycić się nie mogła.

Z piersi Erazma, gdy mówił, ziało uczucie tak gorące, że Kasztelanowa czuła się niem odżywną, odmłodzoną, przejętą.

Z żywością niezmierną natychmiast zajęła się losem dwojga kochanków. Wypłatanie psikusa panu Strukczaszcycowi wchodziło też pewnie w rachunek i sprawiało przyjemność starej damie, bo go nie lubiła.

Aż do obiadu trwała rozmowa, narady, i Erazm wyszedł od stryjenki weselszy, znalazłszy w niej sprzymierzeńca, którego się wcale nie spodziewał.

Kasztelanowa po obiedzie zaraz, mimo najuroczyściej przyrzeczonej tajemnicy, całą tę historję opowiedziała trzem swym towarzyszkom; wszystkie jednogłośnie głosiły zatem, że nieszczęśliwemu młodzieńcowi należało dopomóc; a nazajutrz z twarzy pani Ostrogradzkiej, panien Eulalii i Olimpi, mógł się domyślić Erazm, że o jego tajemnicy wiedziały.

Kasztelanowa przez kilka dni tak była tą nową sprawą niezmiernie przejęta i zakłopotana, iż dla niej o wszystkim zapomniiała.

Czwartego ranka niespodzianie Erazm chłopcu kazał zaprzęgać, upakował się i w pałacu ogłoszono, że Kasztelanowa wysyła synowca na obejrzenie majątku. Jesień już była dosyć późna, ale pora ciepła. Młodzieniec, o ile się to dało zrobić, starannie był na drogę uprowidowany i po tajemnej naradzie z Kasztelanową wyjechał.

Wszystkim po nim było tęskno. Pocieszano się tem, że miał jakoby powrócić. Zaraz za Wilnem

chłopak powożący, przekonał się, że do dóbr pod Witebskiem położonych nie jechali: pan Erazm kazał tak zawrócić — jakby do domu. Chłopakowi, który tam także najukochańszą, Paraskę, porzucił, do której dwór się cały zalecał, nadzwyczaj to było przyjemnem.

Jednego jesiennego poranku, panna Blandyna miała z suszonemi grzybami do czynienia, gdy obdarty żydek, zagadawszy coś o pierzu, które jakoby życzył sobie nabyć, wetknął jej w rękę karteczkę, dając dziwne jakieś znaki. Strwożona mocno ciocia, zdawszy grzyby chwilowo na pomocnicę, poszła do swojego pokoju, włożyła okulary, stanęła w oknie i cała drżąca czytać zaczęła. List był od pana Erazma. Nie zrozumiała go w początku, potem zbladła, zmówiła parę zdrowasiek, kartkę odczytała jeszcze raz i spaliła nakominku, szczypcami ją poprawiając, ażeby spłonęła do szczętu.

Żydek, który pierza potrzebował znikł wkrótce jak kamfora, a gdy do obiadu wyszła panna Blandyna, tak była zmieniona, iż Strukezaszyc spytał ją o zdrowie.

— Fluksya mnie męczy — odparła krótko.

— Na to niema jak figa w mleku gotowana, — odezwał się stary, wszakżeś mnie asińdzka sama tem wyleczyła.

Pomimo tej fluksyi p. Blandyna naparła się — była to sobota — pojechać na nieszpór do kościoła.



Strukezaszyc się oparł; ciocia stała przy swoim.

— A ręczę, że z gębą napuchłą powrócisz — do-  
kończył Hojski—ja nie bronię robić głupstwa, ale  
panu Bogu fluksya asińdzki, ba, i nabożeństwo to,  
nie na wiele się przydadzą.

Kazano zaprządz do bryczki—i ciocia pojechała.  
W istocie kazała furmanowi stanąć przed bramą  
kościółka, weszła do niego, wysliznęła się furtką  
boczną i—bryczka stała tu, choć już było dawno  
po niesporach, niemogąc się doczekać p. Blan-  
dyny.

Ciocia tymczasem w małej izdebce w karczmie  
odbywała jakąś konferencyę, z kimś niewiadomym,  
świeżo tu przybyłym. Słysząc było czasem wy-  
buchający jej głosik, który natychmiast przycichał,  
i jakby płacz i szybką mowę mężką, a gdy mro-  
kiem wyszła panna Blandyna szukać bryczki,  
chwiała się na nogach.—Powróciwszy do Sierhina,  
dostała burę ogromną od brata i poszła się skryć  
do swojego pokoju. Strukezaszyc tryumfował,  
gdyż fluksya tak się zwiększyła, że ciocia na wie-  
czerzę wyjść nie mogła i w łóżko się położyła.  
Minęło dni kilka spokojnie; panna Blandyna wy-  
zdrowiała, lecz choroba zostawiła ślady po sobie.  
Była jak nieswoja, trwożyło ją każde głośniejsze  
stuknięcie. turkot, rozmowa żywsza. Wybiegała  
do sieni, oglądała się oczyma strwożonemi i po-  
wracała do swego pokoju.

Jednego dnia nad wieczór zaturkotało; ciocia wybiegła zobaczyć, poznała Kaczora i uspokojona poszła do siebie, gdy w tejże chwili w pokoju Strukezaszyca rozległ się jakby grzmot, jakby wybuch jakiś, jakby śmiech potężny.—Poznała w nim panna Blandyna głos brata, lecz nie mogła pojąć co mogło go do tak nadzwyczajnego wykrzyku pobudzić.

Drzwi się otwarły i potężnym swym basem Strukezaszyc — zawołał:

— Blandyno!

Biegła już do pokoju.

Tu Kaczor stał u drzwi, czapkę jeszcze w rękę trzymając, a przed nim Strukezaszyc, trzymający się za boki, z ustami otwartymi, z wyrazem takiego osobliwego uszczęśliwienia, jakiego nigdy nie zwykł był okazywać.

— Ale, chodź-że! — posłuchaj! — począł.— Jak Boga kocham, że tak szczęśliwy jestem, jakby mnie kto na sto koni wsadził! Tylko czy to prawda? — czy prawda?

— Jak Boga kocham! — wszyscy bębnią — słowo panu daję najświętsze! — zawołał Kaczor.

— Słyszałeś! — he?—zapytał Strukezaszyc, zapominając, że siostra tykoco weszła.

— Ja o niczem nie wiem!—Cóż się stało!— odezwała się Blandyna.

— Stała się najprzedziwniejsza rzecz, jaka się

stać mogła! — paradna! — przedziwna! — doskonała... *Digitus Dei!* — słyszysz aśińdzka!

Temu niezbożnemu Czemeryńskiemu jego córka, owa lala, co tak z góry patrzała na ludzi, z noclegu w drodze — uciekła!

Panna Blandyna ręce załamała, pobladła i aż się pochyliła, jakby miała osłabnąć.

— Cóż aśińdzce jest? — zaśmiał się Strukezaszyc — ot, to wzięłaś do serca! A też-to rozkosz słuchać! Kara Boża na tych pyszałków, kara Boża — ale gadaj, komorniku, jak się to stało? Z kim uciekła, boć sama nie mogła! Jakim sposobem.

— Nikt nic nie wie, wszyscy jak w rogu! Nikogo tam nie było, z kimby mogła uciec! Niewiadomo jak się to stało, tyle tylko wiem, że nagle im znikła z ostatniego noclegu. Starzy włosy z głowy rwą.

— Pewnie z jakim oficjalistą! — odezwał się Strukezaszyc.

Panna Blandyna, trochę do siebie przyszedłszy, tak jednak była pomieszana, iż brat począł ją strofować.

— Czegóż-bo zaraz tak do serca brać, że się jedna z waszego bractwa paunieńskiego źle popisała! Ochłoń-że już. Ja się raduję, i mam czego, jak Boga kocham, a waćpanna masz minę, jakbyś, na złość mnie, płakać chciała.

Panna Strukezaszanka tyle tylko, że posępniej szą twarz przybrała.

— Ale gadaj, komorniku, co wiesz. Toć ciekawa historia! Jak się to stało?—dołożył Hojski.

— Powiadam panu dobrodziejowi, że ja tyle tylko wiem, iż panny niema. Nikt mi nic więcej powiedzieć nie umiał, głowy wszyscy potracili.

Mówią tylko, że w Warszawie jakiegoś Niemca jej forytowali, którego tak nienawdziła, że z obawy, aby ją za niego nie wydano—drapnęła.

— Znalazłszy towarzysza!—dodał Strukezaszyc. Obejrzał się na siostrę.

— Ale, przyjdź-że asinúdzka do siebie! Co-bo takie miny robisz, jakby nas co ta dziewczyna obchodziła! Dobrze im tak! dobrze—rozgadał się Hojski—wychowywali ją po francuzku, i postąpiła sobie jak Francuzka—bryknęła im z domu!

A ja—rzekł ciszej—i z tego względu Panu Bogu dziękuję, że mnie to wielki kamień z piersi zdjęło.

— Jaki?—spytał komornik.

— Ale, ba,—gładząc się po głowie i jakby zawstydzony, odezwał się Strukezaszyc. Wstyd mi się przyznać. Mam jedynaka, jedyne oko w głowie; z tej troskliwości o niego, to człowiekowi najgłupsze myśli przychodzą. Podpatrzyłem u mego Erazia, kilka cyfer na papierach, wszędzie pisał L. C.—L. C.!—właśnie jakby Leonilla Czemeryńska—a że ją widział u Podkomorzego, przyznaję

się, byłem w strachu. żeby się chłopiec nie zadurzył w tej lalce. Młodość jest głupia, a powiem tylko tyle — energicznie konkludował Strukezaszyc — wolałbym syna widzieć na marach, niż u ołtarza z Czemeryńską!

Panna Blandyna krzyknęła.

— Jak jegomość możesz mówić coś podobnego! Czy to się godzi! czy to po chrześcijańsku! Wstydziliś się.

Strukezaszyc wcale nie nawykły, aby mu siostra śmiała oponować, oczy wielkie na nią wytrzeszczył.

— A to co jest?—krzyknął.

— Co? co?—ofuknęła gniewnie p. Blandyna—to, że ojcu nie przystało wyzywać p. Boga i mówić o własnym dziecku na marach!

Hojski zamilkł.

— Nie ucz-że mnie rozumu! — odparł ponuro i zwrócił się do komornika.

— Gadaj co więcej! toć to przecie historia! gadaj!

— Ja-bo nie wiem nic więcej!—rzekł komornik.

Strukezaszyc, niecierpliwy, chodzić zaczął po izbie.

— No, to napij się wódki, przekąś, siadaj na bryczkę, jedź z kondolencją do sędziego do Łopatycz—i wracaj mi się cożywo. Ja spać nie pójdę, aż się dowiem—co to się stało.

Komornik nie miał widocznie ochoty jechać tak zaraz, — wymówił się.

— Jutro rano.

— Z waści we wszystkim dojutrek!—zawołał.

Ale już się tak był nad miarę wygadał i twarz p. Blandyny mocno skłopotana, tak go męczyła, że zamilkł.

Kaczor postawił na swoim, i resztę dnia poświęciwszy rachunkom jakimś, dopiero nazajutrz ruszył do Łopatycz.

Tymczasem Strukezaszyc tak był niecierpliwy dowiedzieć się czegoś więcej o ucieczce córki sędziego, że na trakt wychodził, w nadziei, iż od przejeżdżających dostanie języka.

Ale nikt jeszcze o niczem tak dalece nie wiedział, tylko to, że w Łopatyczach stało się jakieś nieszczęście i że do gubernii po doktora posłano. Trzymano podobno w tajemnicy wypadek.

Komornik, pojechawszy zrana, jak w wodę wpadł. Spodziewano się go na obiad, nie przyjechał i nie zjawił się aż ku wieczorowi, gdy sędzia przeklinał go na czem świat stoi.

— Myślałem, że cię do czabanki wsadził sędzia!—zawołał, widząc przybywającego—cóż tam robił cały dzień?

— Tak-to łatwo się co dowiedzieć!—odparł komornik.

— Gadajże, coś przywiózł.

— Niewiele — niemożna nic spenetrować — począł Kaczor — Do sędziego ledwie mnie dopuścili na chwilę, we dworze gęby pozamalowywane, jakby nie się nie stało. Tylko po ludziach znać, że im cięży coś na sereu. Z początku ani było co dobyć.

— Więc tają? to może kłamstwo? — przerwał Strukezaszyc.

— A, niechże pau posłucha do końca — odezwał się Kaczor, poważną przybierając minę.

Sędzia mnie przyjął chory — skarżył się tylko, o interesach zagadnął i odprawił. Ludzie gadać też nie chcieli. Musiałem pójść do Śliwki, z którym jestem dobrze. Jego w domu nie było, wyszedł w pole. Siedź i czekaj. Śliwczyną — ani się z nią dogadać: nie wiem i nie wiem. Nareszcie przybył i on. Zakląłem go, do alkierza wzięwszy: Wiesz, że ja przyjaciel domu, nie zdradzę; mów co się stało? jak? — Ten mi na to: — A, myślisz, komorniku, że ja co wiem. — Jak w rogu. — Tyle tylko, że panny niema.

Począłem pytać: z kim uciekła? — Otóż to sęk — rzekł ekonom, że tego i dyabeł nie zgadnie. Panna była harda, na nikogo i patrzeć nie chciała. Supponują, że odjechała do ciotki, do matki Teressy do Lublina. ażeby jej rodzice Niemcem nie persekwowali. Posłano do Lublina, na wszystkie cztery wiatry.

Otóż tyle dobyłem ze Śliwki. Miałem już jechać, gdy około mostu spotkałem Prędkowskiego, ka-

merdynera sędziego, idącego z austeryi, jakby z pogrzebu. Zawsze z nim byłem dobrze. Wziąłem go na bok.

— Co za nieszczęście!—rzekłem.

— A, to komornik wiesz?—zapytał.

— Jakże, proszę waćpana (tu-m skłamał, Boże odpuść), sam sędzia mi mówił, ale pod sekretem.

To skonwinkowało kamerdynera, że mi usta i serce otworzył. Weszliśmy w zarośla.

Powiada, że przez cały czas podróży z Warszawy, po panie nie było widać nadzwyczajnego. Owszem, śmiała się, mówiła wiele, z ojcem i matką była jak najlepiej, a z Francuzki guwernantki drwiła, że miała nos na kwintę. Na popasach i noclegach, tylko miała taki zwyczaj, że się wypraszała na przechadzkę, przebież, że jej od siedzenia w powozie nogi zakłękły. Francuzki nie brała z sobą, tylko pieska Żolcia. Na ostatnim noclegu, choć deszczyk mżył, zapragnęła po lasku się przejść.— A już jak się uparła w czem, nie było na nią sposobu. Poszła. Tymczasem—Prędkowski powiada—kuchta wieczerzę przygotował, nakryli do stołu, czekają pół godziny, godzinę: niema panny. Myśleli, że się w lasku zbłąkała. Posłano służbę szukać, wołać,—na wszystkie strony: panny niema. Już i noc—strach czy się jej co nie stało. Ludzi wyprawiono z latarniami; sam sędzia wyszedł na gościniec, strach, trwoga—panny niema. Co tam



im do głowy przychodziło, Bogu tylko wiadomo; aż któraś ze sług, wszedłszy do pokoiku panny, znalazła na stole kartelusik. Na kartelusiku stały tylko te słowa: „Proszę o mnie być spokojnymi, kochany ojcze i matko: jestem pod dobrą opieką.“

I tyle.

— Hej? jak? jak? — podchwycił ciekawy Strukczaszcyc.

Komornik powtórzył i ciągnął dalej:

— Dopiero się okazało, co się święci. — Pierwsza Francuzka z apprehensyi zemdlała, że ledwie się jej docucili; matka też padła prawie bez zmysłów. Sędzia rozbeczał się jak bóbr.

— Dobrze mu tak! — przerwał Strukeczaszcyc — Pan Bóg za mnie karze, za mnie, ua dziecku! Dojadł mi, dogryzł, życie struł: otóż ma wymiar sprawiedliwości.

Ale, — żadna panna, żeby niewiedzieć jaka była, sama jedna na piechotę nie ucieka, choćby i od Niemca: gdzieś tam kawaler jakiś musiał być. Przysięgam, że był.

— A Prędkowski klnie się — rzekł komornik, iż żadnego, jako żywo, kawalera nie było i być nie mogło.

— Mój mości panie — odezwał się sentencyonalnie Strukeczaszcyc. — Kawalera jej stanu nie było, — może być; ale czyż sobie nie mogła upodobać oficyalisty i mieć z nim romansu? U takich dziewcząt, wycho-

wanych przez Francuzki, nie takie się rzeczy tra-  
fiają.

Pokiwał głową Strukeczasyc.

— A co więcej?—zapytał.

— Toć wszystko—odezwał się komornik. Sędzia  
rozesłał na wszystkie trakty, po okolicy, do Lubli-  
na, kazał po karczmach przepytywać, chłopów ba-  
dać—no....

— I nic?—spytał Hojski.

— Ani śladu—rzekł Kaczor.

— Oczywiście rzecz, iż to było naprzód ułożone,  
napięte, ukartowane, a grosza-był nie dał—począł  
Hojski, że Francuzka do tego należała.

— Leży chora na gorączkę—odparł komornik.

Badanie się na tem skończyło.

Przebiegły Strukeczasyc, w którym nieszczęście  
nieprzyjaciela nie potrafiło obudzić litości, tegoż  
dnia zwierzył się przed komornikiem, iż porę uwa-  
żał za najwłaściwszą do wystąpienia z pozwami  
o nabyte wierzytelności.

Kaczor delikatnym człowiekiem nie był, jednak  
zdawało mu się, iż dobijać tak srodze przez los do-  
tkniętego sędziego, może nie uchodziło.

— A to mi dobre!—zawołał Hojski—acem chcesz  
żebym ja przez głupią delikatność czekał pory nie-  
dogodnej dla mnie! Chybabym oszalał. Właśnie  
kiedy głowę stracił, trzeba korzystać i tego nań  
napaść.

Ja acanu więcej powiem — dodał Strukezaszyc, widząc z miny komornika, iż to nie trafiło do jego przekonania.—Sądź sobie co chcesz, ja to powinieniem uczynić przez miłosierdzie!

— Jak? przez miłosierdzie? — syknął zdziwiony Kaczor.

— A tak! — odparł Hojski z półuśmiechem sardonicznym.—Człowiek już zbolący, zbity, to mu tam więcej jedno szturgnięcie bardzo nie będzie dolegać. Byłoby z mej strony okrucieństwem, gdybym, dawszy mu wytchnąć i wypocząć, dopiero go potem oprymował.

Komornik osłupiał. Spojrzeli sobie w oczy; Kaczor tą argumentacją był przerażony, uląkł się swojego pryncypała.

— Tak, kochany mój — ciągnął Hojski — przez miłosierdzie go dobić trzeba—aby się nie węczył.

A ja też względem tej szui obowiązków żadnych nie mam, tu idzie o moją skórę. Zatem śpiesz mi się waszmość z pozwami, i jak tylko na terminie nie zapłaci—tradować! tradować! tradować!

— Wie pan Strukezaszyc, rzekł cicho Kaczor— to go w istocie może dobić.

— Ha? jeśli w tem jest wola Boża! dodał stary—ja nie mogę się jej przeciwzić. My robimy swoje—kury do indyków nie należą.

Komornik zmilezał.

W kancelaryi przygotowywały się papiery.— Strukezaszyc przyspieszał o ile możności.

Sędzia w terminach nie zapłacił, protesta zostały do akt wniesione, obligi intabulowane; wlewki nabyte wynosiły sumę, za którą conajmniej dwie wioski zatradować było można. W urzędach Strukezaszyc sypał groszem i wszystkich miał po swej stronie.

Z nieubłaganą mściwością i nienawiścią ścigał nieprzyjaciela. Był tego przekonania, jak powiadał, że sam Pan Bóg sprzyjał słusznej jego sprawie i nią się opiekował.

Jakimś milczącym tryumfem jaśniała twarz jego, gdy w niedzielę do kościołka pojechał.

Z Łopatycz, oprócz pisarza prowentowego nie było nikogo, ławka kolatorska stała pusta. Hojski po mszy świętej poszedł z komornikiem na probostwo.

Ks. Dagiel przyjął go chłodno.

— A co, ojezulku — cicho szepnął Strukezaszyc. Doczekałem, ja chudy pacholek, że po tym żółto-brzuchu pojedę! Ha! Pan Bóg pokarał na dziecku, a ja mu i majątku szmat zabiorę. Tryumfowali przemocą—przyszła chwila na mnie.

Zatarł ręce z radości.

Ksiądz stał, jakby patrzył na chorego lub obłąkanego—litościwie.

— Mój Strukezaszycu—rzekł, nigdy się z cudze

go nieszczęścia cieszyć nie należy, choćby dotknięty nieprzyjacielem był. Asindziej go pogněbionego dobijać chcesz?

— Jestem w mojem prawie! zawołał Strukezaszyc

— Ale nie w Chrystusowem! odezwał się ks. Dagiel.—Nie! Ja nad tem boleję; wiesz asindziej dlaczego?

— Hm?— spytał nieco zmieszany stary.

— Oto dla tego,— począł poważnie proboszcz,— bom widział to, nie raz, ale sto razy, na oczy moje, iż kto się z cudzego nieszczęścia cieszy, kto z niego korzysta, ten własnego jest blizkim.

Ten rodzaj proroctwa, wypowiedziany z jakimś przyciskiem, zmieszał Hojskiego.

— Co-bo acan dobrodziej, straszyc mnie chcesz!— zawołał.

— Bynajmniej — odezwał się ks. Dagiel, życzę waćpanu jaknajlepiej; ale się obawiam o niego. Masz waćpan jedynego syna, tak jak sędzia jedną ma córkę, a dobrze-by ci było, gdyby on poszedł nie po twej woli i serce ci zakrwawił?.. Prawo Boże powiada: nie czyń drugiemu co tobie niemiło. W tem „nie czyń“ mieści się zarazem—i—„nie żyć“.

Tak, panie Strukezaszycu, to prawo Boże.

Hojski nic nie odpowiedział. Wspomnienie syna tknęło go mocno.

Zagadał o czem innym, chwycił za czapkę i, pokłoniwszy się proboszczowi, wyszedł, nachmurzony, z probostwa.

— Z tym księdzem pogadać nawet po ludzku nie można — rzekł do siebie. Nigdy komży i stuły nie zrzuca, i przy śniadaniu nawet kazania prawi.

---

Od powrotu z Warszawy Łopatycze stały się najsmutniejszym miejscem w świecie. Choć na pozór nic się w życiu nie zmieniło, bo nazewnątrz nie chciano okazywać boleści, która nękała wszystkich, dnie były nieustanną męczarnią. — Sędzianka biedna leżała chora, puszczo jej krew; niedające się utamować łzy wycieęczały ją. Nie mówiła nic; modliła się i płakała.

Tylko gdy sędzia wszedł do jej pokoju i siadł przy łóżku, biedna męczennica usiłowała przybrać twarz wesołą, szukała w sobie wyrazów, któremiby ukochanego mężusia mogła pocieszyć, uśmiechała się — zapewniała go, że była zdrową, że miała i ma przecucie, iż wszystko się to skończy jaknajlepiej.

— Zobaczysz kochasiu! mówiła głosem osłabłym. Bóg łaskaw! Czyżeśmy my tak wielcy grzesznicy, aby on nas tak strasznie karał, jedyny skarb nam odbierając?

Nie trap się, nie smuć, bądź dobrej myśli — módl

się—zobaczysz. Odzyszczemy Leonkę, odzyszczemy. Ot, tak się jej w główce trochę zakręciło, chciała nas nastraszyć! Ten Niemiec wszystkiemu winien.

Czemeryński słuchał, niesłyszając: i on był ciósem tym śmiertelnie przybity, trzymał się tylko z obowiązku, okazując mężstwo, którego nie miał.

St. Aubin, po pierwszych mdłościach, z których ledwie się ją docucono, zachorowała ciężko.

Trwożyła się, i nie bez przyczyny, aby winy jej nie odkryto, i, chociaż nie wiedziała co się stało z Leonillą, domyślała się, że w tem wszystkim, ów sielankowy kochanek grać musiał jakąś rolę. Ze strachu, aby jakiego śladu stosunków nie odkryto, powróciwszy do Łopatycz, przetrząsnęła wszystkie papiery i gałganki, popaliła cokolwiek znalazła, a mimo to żyła w nieustannej trwodze.

Jak tylko się uczuła lepiej cokolwiek, pierwszą myślą jej było uciec z tego domu. Lecz w ciągu pobytu swojego, wyobrażając sobie, że sędzia był niezmiernie bogatym, pani St. Aubin mało co pobierała ze swej pensyi i lokowała ją ciągle u Czemeryńskiego. Należność ta, rosnąc przez długie lata, do znacznej bardzo summy się podniosła. Sędzia w dzisiejszym stanie majątkowym nie mógł zapłacić. Francuzka przewidywać to zaczęła coś zasłyszawszy o kłopotach pieniężnych, lecz goto-

wa już była zostać przy skrypcie, byle móż ujsć z tych Łopatycz.

Wstała nareszcie, więcej ze strachu niż z sił odzyskanych, zwlokła się do sędziny i zwierzyła się jej, że tęsknota po uczennicy czyniła jej pobyt w tym domu niemożliwym, zdrowie toż wymagało miasta. Zaklinała, aby ją puszczo, — nie czuła się już tu wcale potrzebną.

Sędzina rozplakała się i zaprotestowała, ale przyobiegała powiedzieć mężowi. Czemeryński, któremu na pamięci stały owe z górą tysiąc czerwonych złotych, należące się bonie, aż się wzdrygnął.

— Co-bo jej do głowy przyszło — zawołała — siedzi tu jak u pawa Boga za piecem, a chce biedę gonić po świecie? Po co? na co? Oszalała. Jeszcze się jej tam coś należy, bo pensyi nie chciała brać; jak mnie teraz naciśnie, ja jej grosza dać nie mogę.

A wybij-że jej to, moja jejmościniu z głowy! Co-to jej tu źle?

Francuzce nie było łatwo wyperswadować, — strach ją pędził.

Poszła sama do sędziego, ze łzami domagając się uwolnienia, poprzysięgając, że umrze, jeśli jej nie puszcza. Napróżno całej wymowy swej francuzkiej używał sędzia, by ją uspokoić. W ostatku przebąkuął, że i rachunek należności tak nagły, był niemożliwym. Stanęło na obliżu i choć kilkudziesięciu dukatach na drogę.



Wyrwała się St. Aubin, gotowa na wszelkie ofiary.

Chociaż przez wyjazd jej dom bardziej jeszcze miał opustoszeć, niepodobna było gwałtu jej zadawać. Czemeryński uspokoił ją, że pomyśli o tem.

Na nieszczęśliwego w istocie sędziego spadły teraz wszystkie razem ciężary, smutki i utrapienia. Trzeba było i tego, że w kilkanaście dni po powrocie do Łopatycz. odebrał od Podkomorzego ze wsi oznajmienie, iż p. lejtuant Vogt, korzystając z pozwolenia odwiedzenia na wsi Czemeryńskich, zjechał wraz z zięciem Buchowieckiego na wieś i miał służyć w Łopatyczach.

Widać było z tego, że zachowywana względem obcych tajemnica zniknięcia p. Leonilli, Podkomorzemu zdradzoną nie została. Czemeryński, list odebrawszy, za głowę się chwycił, chciał do żony biedz,—pożałował jej, wpadł do Francuzki. Sam nie wiedział co miał robić. Dyszał, sapał, oczyma obłąkanemi rzucał, wołając, że jest zgubionym.

Francuzka rzuciła się twarzą na łóżko. Nie rychło oprzytomnieli, i St. Aubin doradziła odpisać natychmiast, że panna leżała chora, mocno chora.

Ponieważ szło o odstręczenie kawalera, radziła skomponować ospę.

Choroby tej, zaraźliwej, często śmiertelnej, nie-

zmiernie się naówczas obawiano; zdawało się więc pewnem, że Vogt się tu nie pokaże.

Czemeryński odetchnął, podziwiając niezmierny rozum Francuzki, i przyznając się do tego, że on, mimo całej bystrości swej, nigdyby był nie wpadł na pomysł podobny.

Wystylizował list do Podkomorzego, najlepsze konia kazał dać ze stajni, najzwawszego chłopca wsadzić na konia i pędzić z odpowiedzią, aby wyprzedzić ową wizytę.

Stało się czego nie mógł przewidzieć.

Zakochany Vogt wziął sobie za punkt honoru, okazać, że kochał pannę tak mocno, iż dla niej nawet ospę gotów był brawować. Podkomorzy i zięć jego oświadczyli, że—nie pojedą. Lejtnant kazał zaprzęgać.

Zapowiedziano mu tylko, iż za powrotem w oficynie odbywać będzie kwarantannę.

W chwili, gdy się go jaknajmniej spodziewano w Łopatyczach, Sas przyjechał z kondolencją.—Czemeryński załamał ręce, zbladł, lecz musiał go przyjąć. Co gorzej, musiał opisywać mu chorobę, kłamać i kilka godzin wytrwać na mękach.

Przyjmowano gościa z występem wielkim, co najrychlej spędziwszy sługi, rozdawszy barwę, dobywszy srebra. Vogt siedział kilka godzin, a gdy wreszcie na ganek wyprowadził, żegnając, Czemeryński tak z siłą opadł, że na ławce w ganku

siadłszy, wstać z niej bez pomocy nie mógł. Jedna bieda nie przychodzi nigdy sama. Dobiegały ciągle sędziogo wieści o gotującej się tradycyi i ponabywanych przez Strukezaszyca długach. Na odretwiałym nie czyniło to wielkiego wrażenia.

— Niech się dzieje co chce!—mruczał Czemeryński.

W tem usposobieniu jeszcze obojętnem niemal, gdy po wizycie Vogta wysapać się nie miał czasu, Śliwka przyszedł mu oznajmić, iż Pukszta mecenas przybył do niego, z pilnym interesem.

— Zmiłuj się, Śliwka—rzekł głosem słabym sędzia — zapytaj, czego chce. Jestem śmiertelnie zmęczony.

— Ja go pytałem—odezwał się Śliwka, ale mi odpowiedział, że nie może nikomu z tem się zwierzyć tylko jaśnie panu.

Czemeryński powlókł się do kancelaryi. Jak się to bardzo często trafia, że po apatyi następuje stan gorączkowego rozdrażnienia, stało się tak i z sędzią. Przybycie pana Pukszty wprawiło go w rodzaj tłumionego gniewu. Tego wszystkiego, co go spotkało, miał już zawiele.

— Sprzysięgły się losy i ludzie, aby mnie do wściekłości doprowadzić.

Pukszta, którego Czemeryński mało używał do interesów, znany nieprzyjaciel komornika, któremu darować nie mógł, że się prawniczą fuszerką zaba-

wiał i chleb mu odbierał, był mężczyzną lat średnich, elokwency i zdolności niepospolitych, zbiegłym niezmiernie, lecz nie wiodło mu się w niczem.

Walczył z losem uparcie, los się uwziął nie dać mu się dźwignąć. Im silniej się rzucał, jeździł, starał, tem mu gorzej szło.

Sędzia już zły, patrzył tylko na drzwi, aby wchodzącego wziąć na oko i—byłe pozór zburzyć potężnie.

Przed progiem słyhać było niezmiernie długo, jak się zdawało Czemeryńskiemu, chrząkanie i staranne ocieranie nóg. Puksza, stojąc za drzwiami, poprawiał strój, gładził włosy, sposobił przemówienie.

Ukazał się wreszcie.

Był to słuszny mężczyzna, zdrów, poczynający szpakowacieć, z twarzą długą i oczyma żwawemi. Prezentował się bardzo przyzwoicie i z pewną elegancją.

— Paua sędziego dobrodzieja, nóżki całuję.

— Kłaniam się — rzekł sucho Czemeryński, nie ruszając się z krzesła.

— Pan sędzia daruje, że mu może spoczynek potrzebny przerywam, lecz są sprawy niecierpiące zwłoki.

— Czy i waćpan masz do mnie lub ze mną sprawę jaką?

Kwaśne i z przekąsem odzywianie się sędziego, zamiast zmieszać Puksztę, zdało mu się dodawać śmiałości.

— Ja nie dla żadnej sprawy przybywam — odezwał się prawnik — ale przez tę weneracyę, jaką mam dla domu jaśnie wielmożnych państwa, których chociaż łaską się poszczycić nie mogę, tandem w stałym trwam affekcie i konsyderacyi.

— *Ad rem! ad rem!* — przerwał Czemeryński.

— Przybywam z ostrzeżeniem — ciągnął spokojnie Pukszta. Pan sędzia affekt swój i zaufanie nie zawsze lokuje szczęśliwie. Ja się brzydzę zdradą. Używałeś jaśnie wielmożny pan tego partacza komornika do wielu drobnych interesów — nie jest to dla nikogo sekretem.

— Bo mi się tak podobało — odezwał się Czemeryński.

— A tymczasem ten zdrajca wszystkie tajemnice pańskie nosił i nosi do Sierhina. Tam je, tam śpi, tam mieszka, tam pańskie skrypta rejestruje, a szlachtę ściąga i namawia, aby obliży Strukczaszycowi zbywała.

Świadków na to postawię, że Wolskich i Mościckich i innych woził, oprymował, poił póki ich nie skłonił do sprzedaży skryptów.

Czemeryński słuchał, bledniejąc.

— Pewna to rzecz? — przebąknął.

— Na Ewangelii poprę przysięgą — odezwał się

Pukszta—jak zbawionym być pragnę. Nie idzie mi o pomstę nad tym robakiem mizernym, choć on mi zalazł za skórę—lecz o dobro pańskie.

— Bardzo dziękuję—odpowiedział sędzia, gniew tłumiąc w sobie. Wybuchnąć nie było z czem.

Pukszta stał, czekając jeszcze.

— Dałbyś mi to asindziej na piśmie? — zapytał Czemeryński.

Prawnik nieco się zamyślił.

— Czemuż nie—dam! odparł—a mogę wiedzieć jaki jaśnie pan z mojego świadectwa uczyni użytek?

— Żaden inny, tylko ten, że je sprezentuję temu łajdakowi—odezwał się Czemeryński. Siadaj wacpan i pisz.

Pukszta położył czapkę, siadł za stół, a że do pióra był nawykły, *currente calamo*, napisał świadectwo i *manu propria* je podznaczył.

Sędzia podane sobie świadectwo odczytał i z przekąsem bąknął:

— Co się należy za tę sztukę?

Obraziło to Puksztę: wyprostował się i sięgnął po czapkę.

— Nie należy mi się nic, oprócz „Bóg zapłać.“—Nogi całuję.

Wejrzeniem dumnym zmierzył sędziego i poszedł ku drzwiom. Czemeryński tak był przybity, że go nie odwołał, ani się już odezwał. Świadc-

two położywszy na stoliku, siedział, wręc w sobie i usiłując się uśmiezyć napróżno.

Upłynęło czasu dosyć, godzina może; a sędzia, przechodząc w myśli całe życie i losy swoje, co go spotykało, co przecierpiał, coraz mocniej się rozgorączkował. Zmierzchać się zaczynało, gdy służący otworzył drzwi.

— Pan komornik przyjechał—rzekł.

Czemeryński wstał, jakby go co rzuciło. Zawołał sługę i pocichu mu dał dyspozycję.

— Rozumiesz?—spytał.

— Rozumiem.

— Prosić pana komornika.

Oczekując nań siadł w krzesle.

— A to dzień feralny!—rzekł do siebie.

Kaczor z miną pokorną wsunął się do kancelaryi.

— Nogi całuję, jaśnie wielmożnego sędziego.

— Hm! dawnośmy się nie widzieli. Cóż porabiasz?

— Zwyczajnie, będę klepię—rzekł Kaczor.

— Cóż słyhać w Sierhinie?

— Tak dalece nie wiem.

— Tu się nieco zakrztusił Kaczor i zakaszłał.

Sędzia powoli wstał z krzesła i papier leżący przed sobą schował za suknię. Nie uszło to baczności Kaczora.

Gospodarz poszedł ku oknu.

— Co tam na dworze? wieczór piękny?

— Niczego—potwierdził komornik.

— To możebyśmy się przeszli? zagaił Czemeryński, bo mam do pomówienia z acanem.

— Jak pan każe.

Wdziawszy czapkę, Czemeryński kij wziął z kąta i poszedł przodem. W dziedzińcu cicho było i pusto; gromadka ludzi tylko stała, jakby oczekując u lamusa, pod przewodnictwem Brackiego. Byli to dworacy, fornale i służba różna: jeden z nich ostentacyjnie na ramieniu trzymał kobierezyk. Bracki miał w rękę godło swych funkcj —bizun.

Widok tych przygotowań tajemniczych dziwne uczynił wrażenie na komorniku. Nogi krzywe zgięły się pod nim mocniej jeszcze, odmawiając posługi.

Czemeryński kroczył wprost ku lamusowi; widząc, że Kaczor wlecze się powoli, odwrócił się ku niemu.

Komornik nieco przyspieszył kroku. Robiło mu się mdło.

Wtem sędzia przywołał pisarza.

— Bracki! chodź-no pan tu. Odczytaj to pismo komornikowi. Potem weź pan—już wiesz co masz czynić.

— Tak jest, jaśnie panie!

— Dobranoc—kiwnąwszy głową, zakończył sędzia i z powagą zwrócił się z powrotem ku dworowi.



Przez chwilę słychać było jakąś wrzawę około lamusa, potem śmiechy gawiedzi, lecz wkrótce wszystko ucichło. Za wyspą zaturkotał wózek.

Sędzia siadał do wieczerzy, gdy wszedł Bracki.

— A co tam?—zapytał.

— Wedle rozkazanias, jaśnie pana—rzekł pisarz.

— Napij się asan kieliszek wódki.

Tak dzień ten pamiętny zakończył się w Łopatyczach. Skutki jego nie ograniczyły się wszakże na dniu jednym. Czemeryński, wzburzony, poszedł do łóżka, niespokojnie spał, wstał gniewny. Ludzie w ganku mówili, że do jaśnie pana ani się zbliżać.

Późno już w nocy tego dnia, gdy Strukezaszyc pacierze, chodząc, odmawiał jeszcze, zaturkotało. Domyślił się zaraz, że Kaczor musiał z Łopatycz powrócić. — Czekał nań czekał, pół godziny, trzy kwadranse, a niewidząc przybywającego, chłopca zawołał:

— Komornik przyjechał?

— A jest, proszę pana.

— Cóż? gdzie u licha?

— Położył się zaraz, powiada, że go febra trzęsie!

— Co? febra? Hm.

Strukezaszyc dokończył pacierza i poszedł sam na folwark do komornika.

Świeca już była zgaszona.

— Śpisz?—zapytał Hojski.

Jękliwy głos odpowiedział:

— Chory, chory.

— No, to niech ci p. Blandyna mięty zgotuje. Hę!  
Nie było odpowiedzi.

Strukczaszye, postawszy nieco, widząc, że nie  
nie dopyta, odszedł.

Nazajutrz rano komornik po kawie wstał, lecz  
widać było na nim skutki wczorajszego paroxy-  
zmu. Zzółkł przez noc jak wosk, oczy miał krwią  
zabiegłe i ręce mu się trzęsły.

Zaczął go wypytywać Hojski o przyczynę nagłej  
słabości i dowiedział się, że wieczór był bardzo zi-  
mny i wilgotny.

Około południa Kaczor się miał lepiej, prosił je-  
dnak o folgę, gdyż, jak utrzymywał, siedzieć nie  
mógł dla zawrotów głowy. Przeleżał dzień cały.  
Prawie gwałtem go miętą pojono. Starania panny  
Blandyny i spoczynek wkrótce postawiły go na  
nogi.

O przygodzie swej około lamusa nie pisał ani  
słowa; z niesłychaną tylko gorliwością wziął się  
do sprawy łopatyckiej, tak że Strukczaszye go te-  
raz raczej hamować musiał niż podpędzać. Szło  
też przewybornie i nad podziw szczęśliwie. Spie-  
sznemi krokami zbliżano się do tradycyi, a woźni  
po woźnych zajeżdżali z papierami do Łopatycz.

Czemeryński, czy nie miał nadziei obronienia się,  
czy coś innego knował, przyjmował to niemal obo-

jętnie. Straszno było tylko spojrzeć na niego. Ten, dawniej tak piękny, mężczyzna, wychudł straszliwie. Zmienił się, zapadły mu policzki i oczy, po kilka dni chodził nieogolony, godzinami siadywał jak nieprzytomny, patrząc w ziemię.

Francuzka wybierała się, niemogąc ruszyć bez grosza, a ten jej obiecywano z dnia na dzień. Sędzina z łóżka nie wstawała. we dworze dawała się czuć nadchodząca ruina. Sługi ją czuły, rozpręgało się wszystko. Czemeryński zdawał się nie widzieć.

Papiery prawne gromadziły się na biurku, prawie nietknięte. Czemeryński odbierał je, rzucał na kupę—i, jakby wiedzieć o nich nie chciał.

Tymczasem tradycya już była zapowiedziana; Czemeryński się nie bronił. Nawet w Sierhinie wydawało się to dziwnem.

Śliwka, do którego to bynajmniej nie należało, po długim wahaniu się, gdy już co chwila owej tradycyi spodziewać się było można, niespokojny, przeżegnawszy się, poszedł do kancelaryi Sędziego. Tu on teraz najczęściej całe dnie, w krześle, z rękami skrzyżowanymi i głową spuszczoną, przepędzał jak zdętwiały.

Zobaczywszy Śliwkę, oczy podniósł.

— A co znowu?—zamruczał.

— Jaśnie pan daruje, że ja się tak ośmielam — bąknął ekonom—czuję się w obowiązku.

Dziś, jutro nam dwie wioski, słyszę, Strukczaszyca ma tradować.

— Proszę? — tylko dwie? — odezwał się Czemyryński — a Łopatycz nie?

Ekonom, zbity z tropu, nie wiedział co odpowiedzieć.

Trwało milczenie minut kilka.

Sędzia się zdawał namyślać.

— Co jaśnie pan każe? — zamruczał Śliwka.

— A, nie — rzekł Czemyryński — nie. Tylko, ja, nim oni mnie zatradują, chciałbym im też dać byka za indyka. Dawno o tem myślę.

Ekonom słuchał ciekawie.

— Acan wiesz — mówił sędzia zwolna — że ten las na dyferency, to ukochane dziecko p. Strukczaszyca. Tam chłopom nawet po susz jeździć nie wolno. Śliczny las.

— A już to sosny, choć na maszty! — dorzucił Śliwka. — Co las to las! Pięćdziesiąt lat w nim może nie powstała siekiera!

— Otóż, uważaj, mój Śliwka — dodał powolnie Czemyryński. Ile ty ze wszystkich wiosek, nim je zatradują, możesz mi dać ludzi z siekierami?

— Z siekierami! — powtórzył Śliwka, niedobrze rozumiejąc.

— Tak, z siekierami — mówił sędzia.

Ekonom począł liczyć, pomagając sobie palcami.

— Kilkuset najmniej stanie—rzekł namyśliwszy się.

— A jakby wyszli do dnia i poczęli Strukezszycowi ten las rąbać? Toć-by go do nocy, jeżeli nie położyli na ziemi, przynajmniej-by się przez niego świeciło? Małych drzewek niema co rąbać, same najlepsze tylko — dodał sędzia. Sierhińscy chłopci, gdyby i wystąpili, co oni nam zrobią?

Śliwka stał tak zdumiony, że prawie mówić nie mógł.

— Ależ to, proszę jaśnie wielmożnego pana, to proces okropny.

— Tak, proces okropny—potwierdził Czemeryński, ale ja już ich z tym człowiekiem mam kilka. Jednym mniej, jednym więcej, nie mi już nie dolegnie — a satysfakcyę-bym miał, bo-by się bestya wściekała ze złości.

— A nuż będą bronili?—spytał ekonom.

— A my to rąk nie mamy? — odparł Czemeryński.—Strzelców i leśników ze strzelbami postawić trzeba na przedzie. A nawinie się kto — palić!

— Ale, jaśnie panie.

— Ja odpowiem!—dorzucił sędzia—sprawa moja.

Po małym przestanku Czemeryński począł znów zwolna i jakby pieszcząc się tą myślą.

— Sprawi mi to satysfakcyę.—Naturalna rzecz, że ani acan, ani Bracki nie będziecie darmo komenderowali. Pieniędzy teraz nie mam, więc i nie

obietuję; ale para koni ze stada do wyboru dla waszeczki, kobyła ze źrebięciem dla pisarza. Dla gromad kufa wódki, choćby dwie.

Spojrzał na Śliwkę: ekonom stał z głową trochę spuszczoną, rachować się zdając. Zbytnej w nim ochoty do tej wyprawy nie obudziła nawet para koni ze stada.

— Co acan na to?—spytał sędzia.

— Ciężki orzech do zgryzienia—ośmielił się powiedzieć Śliwka.

— Ja—nie przymuszam—rzekł Czemeryński.— Uchowaj Boże. Nie zechcesz acan.... z Panem Bogiem! Od św. Jana miejsce stracisz, a ja do komenderowania gromadami wezmę innego.

Śliwka się skłonił.

— Ale-bo ja nie mówię! nie odrzekam się—przerwał żywo. Tylko, że człowiek ma żonę i dzieciśka, a nuż—kto ich wie!

— Jak ci się podoba!—powtórzył sędzia. Ja, com sobie obmyślił—zrobię. Dla mnie będzie jedyna satysfakcya, przy tych moich kłopotach. Czy ty, czy kto inny—a las wyciąć muszę, inaczej-byłm źle wyszedł. Na śmiech się nie podam.

Skłonił się ekonom.

— Jak pan każe, niema co! słuchać trzeba — a kiedy to ma być?

— Kiedy? jutro ludzi ściągnąć, i to pocichu, pa-ry nawet z ust nie puścić. Niech się zbierają

do Łopatycz, niewiedząc na co i po co. Pojutrze do dnia na dyferencyę i—walić!

Im prędzej tem lepiej. We dworze powiedzieć że obława.

Czemeryński widząc, że już do skutku doprowadzi dzieło, wstał jakiś rzeźwiejszy; przybyło mu życia, twarz się uśmiechnęła.

— Niech potem traduje — dodał pół głosem — z tradycyi jak z czyścica można wyjść, a gdy mu las położym, już drugiego i syn nie doczeka. A co wart Sierhin bez lasu!

Rozśmiał się.

— Niech mi potem wioski tradują! — mruknął. Zbój ten zdechnie ze złości.

Pierwszy to był wieczór od powrotu z Warszawy, w którym sędzia zdawał się nieco weselszym. Poszedł do żony, a ta, zobaczywszy go nieco rzeźwiejszym, mniej zamyślonym, niezmiernie się uradowała. Odżyła i sama, ukochanego swego zobaczywszy w lepszym humorze.

— Moja duszeczko — rzekła — mnie się dziś nasza Leonilka śniła, taka wesoła jakaś, szczęśliwa, rzuciła mi się na szyję, jak to ona od dziecka zwykła była, i powtarzała mi ciągle: — Nie bój się, mateczko, o mnie.

Wspomnienie córki zamiast pomnożyć wesołość sędziego, znowu go trochę zasępiło; ale się otrząsał

prędko. Żył cały zemstą. Pomścić się srodze na prześladowcy swym — było jedyną myślą jego.

Cały dzień nazajutrz pociechu się dowiadywał od Sliwki, który pokazywał się i znikał: jak tam idzie z gromadami? czy dużo będzie ludzi? czy strzelec są w pogotowiu?

Ekonom krzątał się niesłuchanie, z gorączką ludzi jemu podobnych, powołanych do niezwykłych czynności, obiecujących zarobek. A że gromady trzeba było traktować i samemu do starszyny przepijać, nad wieczorem i on i Bracki, ledwie się na nogach trzymali.

Wyprawa była komenderowana jak świt, gromady więc z dalszych wiosek musiały wyruszyć po nocy. Punkt zborny był na Dziewulach, z kąd ludzie się mieli rozejść na skraj dyferencyi od Sierhina i począć ciąć ulubiony las Strukezaszyca. Ekonom ledwie się na chwilę odziany położył, aby się, broń Boże, nie przypóźnić.

Kilka poprzedzających dni było mglistych; i nazajutrz się spodziewano takiego dnia, bo na noc mgła gęsta padła na pola i lasy.

Dziwny to był zaprawdę widok tej małej polanki i gościńca pod krzyżem, gdzie po północy już część gromad obozowała. Ludzie, małych kilka ognisk położywszy, w cichości brzasku oczekiwali, leżąc na ziemi i stojąc gromadkami. Sliwka nie wyjawiał im całkowicie, po co i na co wezwani



zostali, lecz domyślni włościanie, którym siekiery zabierać kazano, wiedząc, że ich ze wszystkich wsi pędzono, dorozumieli się łatwo, że idzie o wyrządzenie szkody Sierhinowi. A że między nimi a ludźmi Strukezaszyca, tak jak między panami, nienawiść trwała odwieczna, cieszyli się pomstą sędziego i własną.

Znajdowali, że pan ich raz przecie rozum miał, całą siłą chcąc na Sierhin uderzyć i rozumu go nauczyć.

Nadedniem zaczęły się ściągać dalsze gromady, i Śliwka kouno z Brackim nadjechali, wiodąc kufę wódki, którą wielka powitała radość. Ranek był chłodny.

Starszyczna wnet obstała ekonoma, spodziewając się teraz od niego coś stanowczego dowiedzieć. Strzeley też z leśniczym na czele, w borsuczych torbach i lisich czapkach, osobną stanowili gromadkę, zebrawszy się codojednego.

Śliwka, siedząc na koniu, zebrał około siebie dziesiętników; podano czarękę do wódki. Ekonom dla orzeźwienia się, przepił pierwszy, otarł wąsy i odezwał się do uciszonego tłumu:

— Dosyć nasz pan cierpiał od Sierhina; przyszła godzina, żeby oddać za swoje. Niechaj dyferencya padnie! taka wola pańska. Co najpiękniejsze sosny—w pień!

Szmer ze śmiechami pomieszany rozszedł się po gromadach.

— Pijcie z kolei, póki stanie, a żywo — dodał Śliwka, potem na rubież, i na dane hasło, na całej linii w siekiery.

Zjedzą Sierhińce kaduka, żeby się nam obronić mogli; a zechcą napadać, od tego są strzelcy, którzy staną w assekuracyi.

Strzelców więc z leśniczym poczęstowano najpierwej, komenderując, aby natychmiast na granicy stanowiska zajęli. Z ochotą nadzwyczajną, gorączkową, można powiedzieć, śpieszyło wszystko naprzód do półkwaterków, potem w las.

Śliwka jako główno-komenderujący, zalecał ciszę, porządek i subordynację. W każdej gromadzie mianował półkowodzów. Szło wszystko jak z płatka.

Dzień się zaczynał robić, gdy szeregi zbrojnych w siekiery zajęły miejsce na rubieży.

Jak gdyby słońce ciekawe też było się przypatrzyć temu osobliwemu widowisku, nadedniem mgła osiadać zaczęła, i zza oparów jesiennych błada tarcza ukazała się z sinawych zasłon nocy.

Czemeryński spał czy nie, lecz trudno, wiedzieć równo ze dniem się zerwał na nogi i, niemogąc wytrzymać, począł się ubierać, chodząc niespokojny od okna do okna.

Od Śliwki raportu nie miał i spodziewać się go

nawet nie mógł, a ciekawość go piekla. Byłby może sam wyruszył na teatr wojny, gdyby mu Arona przestroga nie przychodziła na pamięć, że Strukeczasycy gotów strzelać. Narazić się na jego kulę nie miał najmniejszej ochoty. Ranek wydał się sędziemu jak wiek długim; mszy świętej księdza ex-definitora doczekać się nie mógł, a chciał jej tego dnia, na intencję „pomsty nad grzeszonymi“ wysłuchać.

We dworze, z powodu, że i wielu dworskich potajemnie się na ochotnika wybrało z ekonomem, cichuteńko było. W kapliczce znalazła się kupka niewielka. Sędzia modlił się, klęcząc; był najmocniej przekonany, iż Bóg powinien mu być dopomóżdź do tak chwalebного dzieła.

Gdy słońce się nad horyzont podniosło i dzień zaświecił wesoły a pogodny, Czemeryński wziął to za dobry prognostyk.

Napiwszy się kawy, w pokoju wytrzymać już nie mógł. Korceiło go, na podwórzu posłuchać czy choć daleki odgłos dzieła sprawiedliwości go nie dojdzie. Obrachował nawet, iż tak niewielka przestrzeń dzieliła go od lasu, taka cisza panowała w okolicy, że pięćset siekier koniecznie tu słyszane być musiały.

Właśnie ksiądz ex-definitor wyszedł był po śniadaniu w dziedziniec i zobaczył sędziego czatującego i przysłuchującego się; ku niemu też pośpieszył.

Miał zagadać, gdy Czemeryński nastawiający ucha, dał mu znać, ażeby zmilczał.

Ksiądz nie mógł zrozumieć o co chodziło.

W tem wśród głuchego milczenia godziny porannej, zdala, z głębin lasu, dał się słyszeć łoskot stłumiony, dziwny, ogromny jakiś, straszliwy, który księdza ex-definitora przeraził.

Tysiące uderzeń jedne po drugich roznosiły echa. Pierwsze z nich były nieśmiałe i słabe; ale wkrótce podniosła się liczba, przyspieszyły razy, las robrzmiął niezrozumiałym hukiem, jakby puszcę jakąś siła niewidzialna szturmowała.

Ksiądz przeżegnał się, zbladł, ręce złożył i spytał słabym głosem:

— Co to jest, panie sędzio? Co to jest?

Czemeryński tryumfująco się uśmiechał:

— A słuchaj-no, acan dobrodziej, — zawołał — czy może być na świecie przyjemniejsza muzyka nad tę! Ha! ha (pięść podniósł w stronę lasów). Niech mnie zna szerepetka! niech zna!

— Ale cóż to jest? na miłosierdzie Pańskie! co to jest, p. sędzio?

— Nic! zabaweczka niewinna! Śmiał się Czemeryński. On mnie traduje, a ja mu las wycinam! Kwita, byka za indyka!

Słyszysz, księżuniu, ośmset, może tysiąc siekier pada na pnie odwieczne! Zaczekaj chwilę, posłyszemy jak sosny runą!

Ale tu to nie! Od Sierhina bliżej, tam to będzie przyjemnie słuchać i patrzeć, niemogąc nic począć.

Posunie się kto, stoją moi strzelcy w odwodzie, ze strzelbami ponabijanemi i mają rozkaz—w łeb!

Dominikanin oczy zakrył ze strachu.

W dali huk ów głuchy coraz rosnął, wzmagał się, olbrzymiał. Niemożna już w nim było rozemnać cięcia siekier, ani padania drzew, ale szumiało ciągle, nieustannie, coraz potężniej, a Czemeryński się uśmiechał.

— A co? księżuniu? he?—odezwał się—czyje na wierzchu?

Zje się kochany Strukeczasyc, pęknie ze złości. Dobrze mu tak! niech nie zaczepia mocniejszego! Pal go dyabli!

Strukeczasyc zwykł był wstawać rano. Tego dnia jakoś zadługo czuwał z Kaczorem nad rachunkami i zaspał.

Jeszcze był powiek nie otworzył, gdy postłyszał, co u niego było rzeczą niepraktykowaną, że drzwi się otworzyły i ktoś wpadł do sypialni.

Ponieważ nikomu to nie było dozwolonem, Hojski z gniewem podniósł głowę z poduszek i ujrzał przed sobą wyrostka, który mu buty czyścił i wodę przynosił, stojącego z takim wyrazem grozy i przestachu na twarzy, że Strukeczasyc, zamiast go zburzyć, co miał już na języku, zawołał:

— A tobie się co stało?

Chłopiec stał drżący, z rękami załamauemi; nie mógł mówić.

— A będziesz-że ty mi gadał? Co z tobą? sfixowałeś?

Szarzało już dobrze w oknach. Hojski się zerwał z łózka. sam już przelektły, na myśl mu przyszło: czy się pali?

Schwycił za ramię chłopca:

— Co tobie!

Ten ledwie mógł mówić, a bąkał tak niewyraźnie, iż zrozumieć go było niepodobna.

— Las! las—gromady! las tuą!

— Jaki las! co tobie! Przeżegnaj się.

Chłopiec ręką wskazał na okno sypialni, które właśnie na las wychodziło.

Hojski, jak stał w koszuli, rzucił się ku oknu, otworzył je a raczej wyłamał, głowę wystawił.— począł słuchać.

Coś niepojętego, niezrozumiałego działo się w niezbyt oddalonym lesie. Las kipiał, mrucał, huczał—siekiry biły o drzewa. Nie dwie, nie dziesięć — ucho wprawne Strukczaszyca nie mogło ich policzyć.

Coś istotnie działo się w lesie. Oslupiał.

Stał jeszcze, gdy nagle nadbiegł Morawiec, bładny, w kożuszynie narzuconym na ramiona, w berlaczach zimowych, bo się jeszcze ubrać nie miał czasu.

— Jaśnie panie! Chomiuk, który był w naszym lesie, ledwie uciekł! Łopatyckie gromady ze wszystkich wiosek, z siekierami. mówią tysiąc ludzi, las nasz w pień tną!

— Tną las! krzyknął, bledniejąc, Hojski—mój las!

Stał jak pół martwy. Nad łóżkiem wisiała strzelba: pochwycił ją machinalnie, choć był w koszuli.

— Konia! Kto żyw za łuzye! pierwszemu, co na cel wpadnie, kulą w łeb.

Krzyczał tak głośno, że wszyscy się w domu zbudzili. Kaczor pierwszy wpadł w płaszczu starym i boso.

— Jezusie miłosierny, co się dzieje! co się dzieje!

— Łopatyńce, rozbójniki—ledwie dysząc, krzyknął Strukezaszyc, —las mój w pień tną!

Komornikowi oczy się zaiskrzyły jak u kota.

—A to napastnikom w łeb strzelać! Prawo pozwała. Statut i korektury nie bronią siły siłą odpierać. Jaśnie pan na swojej używalności jesteś w prawie. W łeb! walić! strzelać! Choćby się sam sędzia nawinął—pa! Za to nie będzie nic.

Rozognił się tak komornik, że mu na ustach piana stanęła.

— Koni! ludzi! wszystkie strzelby, jakie są we dworze, nabijaj! — wołał, biegając, Strukezaszyc i naprędce wciągając odzież na siebie—konia!

Morawiec, dworskich na koń!

Ja jadę! — wszyscy!

Już i panna Blandyna, opierając się o ściany, wylekła, podchodziła, gdy chłop bez czapki, zdyszany, zjawił się w progu.

— Las tną! ledwie uszedł!

Był to już drugi świadek naoczny: — Wszystkie gromady — ani się nam na nich porywać! A! gdzie! chmary! Wszyscy strzeley i leśniczowie i dworscy z ponabijanemi fuzjami. Ledwie żyw uszedłem, mierzyły bestye, za mną.

— A strzelać nie będą śmieli! — przerwał komornik — nie będą! Trzeba jechać i bronić się. Pierwszego sędziego, który tam pewnie jest, kula nie powinna minąć.

Strukczaszcyc już się był odział, rękami dygoczącymi pozapinawszy odzienie krzywo, trzymał drugą fuzyę zdjętą ze ściany i wykręcał z niej srót aby do niej wpuścić duże lofki, coś jakby na grubego zwierza. Torbę leżącą na łóżku rwał i przewracał, niemogąc nic znaleźć. Czapkę już miał na uszach, od czasu do czasu mrucząc: Konia!

Komornik podzegał.

W stajni kulbaczono konie; na dziedzińcu zbiegali się ludzie, kobiety na pół odziane, z fartuchami na plecach, powychodziły patrzeć; dzieci beczaly; parobcy się popychali: nieład panował niewysłowiony.

Prowadzono już stępaka Strukczaszcycowi, gdy



p. Blandyna, cała we łzach, z energią niezwykłą, rzuciła się ku bratu i strzymała go.

— Na rany Pańskie! Co robisz! wstrzymaj-że się! Niepuszczę! Zabiją cię — ty zabić możesz! Nie nie poradzisz, tam przemoc i siła! Co lepszego będzie, gdy zginiesz! Ja cię nie puszczę; to-by było szaleństwo!

Bracie! bracie, opamiętaj się!

Strukczaszye stanął.

— Co to, z pozwoleniem, babskich lamentów słuchać — krzyknął zapalony Kaczor — tu panie wal, a bij, bij a wal. Sędziego w łeb! sędziego w łeb!

— Waćpan oszalałeś — zawołała, zwracając się ku niemu p. Blandyna—na zgubę posyłasz innych! Idź pan sam! idź-że sam! Słyszałeś, że tysiąc ludzi spędzono, że strzelcy czatują z fuzyami. Im tego potrzeba, ażebyśmy się porwali bezsilni. Napadną na dwór! Gotowi zburzyć i spalić!

Nierozum jest rwać się bez siły!

Panna Blandyna osłabła prawie, trzymając brata i usiłując mu zaprzec drogę. Komornik, za nią stojący, dawał mu znaki, ale napróżno. Głos siostry przemówił jakoś do przekonania. Hojski stanął zamyślony:

— Masz acanna słuszność! tak! na kulaki iść nie nasza sprawa. Komornik! słyszysz, na wózek do sądu, po urząd do obdukeyi!—i—*visum repertum*.

Kaczor, który drugich rad pędził, gdy mu przy-

szło pomyśleć, że ma jechać, a na drodze może być zaskoczony przez ludzi Łopatyckich i potraktowany jako wystaniec nieprzyjacielski, znacznie ochłódl.

— Toć nie pilno! — mruknął.

Hojski ochłonał też, strzelbę postawił, popatrzał na ekonoma:

— Głupstwem-by było opierać się z garścią takiej sile. Niema co — niema co....

Rób acan co chcesz! Ja — ścierpię i to. Zobaczemy!

Mówiąc to Strukezaszyc, zaciskał usta strasznie; gniew mu tłumił głos — słabł z niego. Ręką wskazał, aby ludzie szli precz.

— Dać pokój! — skonkludował. Komornik pogardliwie ramionami ruszył; p. Blandyna przystąpiła do brata i w rękę go pocałowała.

— Bóg ci to nagrodzi! — szepnęła.

Wychyliwszy szklanę wody, jak pijany jeszcze, chwiejąc się na nogach, Hojski, o ściany się opierając rękami, wysunął się zwolna w sień i wyszedł na podwórze. Słońce było weszło jasne, ranek był prześliczny, mgły jak senne kotływały się nad ziemią. W dali huczało; trzask drzew, łoskot siekier wyraźniej tu dochodziły niż do Łopatyckiego dworu. Strukezaszyc stanął z rękami załamane; czy mu się znów toczyły.

— Mój las! mój las! — powtarzał. Bolesć wyrzy-

ta na jego twarzy, zniekształcana z gniewem, zmieniła ją prawie do niepoznania. Zdawało mu się, że ludzie wzrok w nim topią i przejęci żalem nad nim, sami ocierają powieki.

Strukezaszyc ten las pielęgnował, kochał jak dziecię swe; była to jego duma, rachuba przyszłości, rzecz dlań może droższa od Sierhina. W jego oczach podźwignęły się te sosny; znał z nich każdą.

— Mój las!—powtarzał pociechu.

Stojący za nim w płaszczu komornik—zły, że mu się cudzemi rękami własnej zemsty nie udało dokonać, spozierał nań prawie z pogardą.—Plunał wreszcie i ubierać się począł.

Zwolna ludzie z dziedzińca zaczęli się oddalać na pole, ażeby się bliżej widowisku temu przyparzeć. Było ono dziwnem jak kataklizm jaki.—W oczach ubywało lasu; znikały wysokie wierzchy, przerzedzała się ściana czarna; las padał, jakby niewidzialną ręką zdruzgotany i obalony na ziemię.

Hojski, który łzawemi oczyma patrzył w początku na to zniszczenie, zwolna odzyskiwał zwyczajną swą chłodną zaciętość. Łzy osychały, zęby się ścięły; namarszczył brwi, zdawał się twardnieć z wewnętrznego bólu. Myśl widać znalazła już jakieś środki wyjścia z tego zakąta, w który go przymoc zagnała; budował coś i obrachowywał. Bładość coraz straszniejsza okrywała pofałdowaną

twarz. Nie miał tylko siły oderwać się od tego widoku — stał jak w kuty. Panna Blandyna, która była odeszła na chwilę, aby się ogarnąć, corychlej powróciła ku niemu.

Ona, co tu nigdy głosu ani władzy żadnej nie miała, po raz pierwszy zdawała się panować nad bratem, na którego zwykle patrzyła z trwogą. Ujęła go z lekka za rękę — drgnął.

— Chodź — rzekła łagodnie — ty po mężku umiałeś zawsze czoło stawić wszystkiemu, co cię spotykało. Co pomoże gryźć się i męczyć? Tegoż on chce — ten, co ci krzywdę wyrządził; najmilsze mu to, że ryczysz z bólu.

Strukczaszyce popatrzał na nią długo: po raz wtóry wyrazy jej trafiły mu do przekonania. Z niepojętem posłuszeństwem dał się tej słabej ręce niewieściej zawrócić ku dworowi.

— Chodź, spocznij — co to pomoże rozpaczać!

Strukczaszyce milezący ruszył się i wolnym krokiem poszedł za siostrą ku domowi.

Nadciągnął właśnie z głową opuszczoną Morawiec, rękami machając rozpaczliwie.

Strukczaszyce stanął.

— Niema co — rzekł wolnym głosem. — Przemoc — słabsi jesteśmy. Powiedz acan ludziom, niech się trzymają spokojnie.

Tną, to tną — dla mnie już oni go wycięli! Zagramy im z innej barwy!

Szkoda ludzi! Niech tu! Będziemy i my eos cięli.

Ostatnie wyrazy zamruczawszy niewyraźnie, wszedł do dworu. Tu rzucił się na krzesło przy stoliku, podparł na łokciu i tak pozostał w niemem osłupieniu. Panna Blandyna sama mu przyniosła kawę, której nie tknął.

— Nie mogę!—rzekł krótko.

Komornik, ubrawszy się, wpelznął do pokoju. Był widocznie gniewny.

Zdala aż tu dochodził huk walącego się drzewa.

— A to panie chwata pan sędzia—począł mruzczyć stając u stolika.

Strukczaszc nic nie odpowiedział. Po chwili odezwał się:

— Kazałeś acan zaprzęgać?

— A po co?

— Po urząd?

— Cóż to las i pnie pouciekają? — rzekł Kaczor. Niema się co śpieszyć. A pan chce, żeby mnie złapali na drodze i jeszcze poczęstowali.—O! nie!

Hojski popatrzał nań pogardliwie i krzyknął na chłopca:

— Morawca wołaj!

Ekonom, który był w ganku, stanął zaraz w progu.

— Co jaśnie pan każe?

— Komornik się boi: jedź acan do urzędu; po wiedz co tu zaszło,—niech zjadą.

— Ja się nie boję — zabełkotał Kaczor — ale nie widzę potrzeby.

— A widziałeś potrzebę, żebyśmy szli się borykać z nimi? — mruknął Strukezaszyc.

Kaczor ręką machnął, siadł i do wystygłej kawy począł się dobierać.

W lesie tymczasem zniszczenie się szerzyło. Wódką zachęceni do pośpiechu, chłopci rąbali śpiwając, śmiejąc się, wyprzedzając, bawiąc tą szkodą z nieostrożnością taką, że dwu ich padające drzewa silnie poraniły. Nie przeszkodziło to reszcie do samego wieczora, dopóki nie ściemniało, rąbać co napadli. Na dobitkę chciano jeszcze pożar zapuścić, ale się Śliwka sprzeciwił temu. rozważywszy, iż ogień mógłby się dostać i na łopatyckie zapusty.

Znaczniejsza część dyferencyi zniszczoną została; całej jednak rady dać nie mogli ludzie, i ku nocy pokładli się obozem na polankach. Śliwka pobiegł do dworu po rozkazy. Czemeryński przez cały niemal dzień przesiedział na dziedzińcu i w ganku, napawając się odgłosem swojego dzieła. Dziwiło go tylko, że ani jejmość, ani ks. ex-definitor, ani Francuzka tryumfu jego nie podzielali, i owszem, byli wszyscy jak przybici tem i zasmuceni.

Gdy Śliwka się ukazał, sędzia wybiegł naprzeciw niemu.

— Udało się?

— A jakże.

— Cały las runął?—zapytał Czemeryński.

— Więcej niż połowa—odparł Śliwka.

— Tylko!—westchnął sędzia.

— Bronili się?

— Chowaj Boże.

— Jakto? nie? wcale? Strukczaszyce strzymał?—  
podchwycił Czemeryński. Czyż to może być?

— Żywej duszy nie widzieliśmy—rzekł Śliwka.  
— Strzelecy stali darmo.

Dlaczego niemilem to było Czemeryńskiemu—  
nie wiadomo; zamruczał. brwi zmarszczył.

— Cóż jaśnie pan każe na jutro? czy dalej ciąć?  
Gromady czekają.

Sędzia potarł ręką po twarzy, przeszedł się,  
stęknął.

— Będzie tego dosyć — odezwał się—ludzi nie  
trzeba męczyć. Dać im wódki i rozpuścić!

Nie okazał zbytnej radości sędzia; niewiedzieć  
dlaczego, zrobiło mu się markotno. Nie czuł, nie  
słyszał, nie nasycił się męką nieprzyjaciela. Zda-  
wało mu się, że jej nie osiągnął.

— Ale jakże to może być, ażeby Sierhińce choć  
nie zerwały się w pierwszym momencie. Nic? nie?

— Gdzież oni mieli się porywać! — rozśmiał się  
Śliwka. — Siła złego dziesięć na jednego. Mieli  
rozum.

Właśnie ten rozum i cierpliwość wprawiały Czemeryúskiego w niepokój jakiś. Znał nadto dobrze Strukczaszyca, ażeby mógł przypuścić, że mu to daruje i zemsty szukać nie będzie. Teraz dopiero, ochłonawszy, obrachowywał, że proces o wiołencę i najazd mógł pretensyami za szkody pokryć resztę klucza Łopatyckiego.

— Cóż mi tam! — powiedział sobie w duchu, wzięli dyabli krowę; niech biorą i ciele! Będzie się mścił, ale com dojadł mu, to dojadłem.

Śliwka jeszcze stał u progu, czekając na należną pochwałę. Czemeryúski stał zadumany.

— I — rzekł pomileczawszy — i niesłyszeliście nic, ze dwora—ani słowa, ani jęku? Nie wiedzieliście nic? nie dali znaku życia?

— A nic, rzekł ekonom, strusili, przycupnęli, albo to, proszę jaśnie pana, mała rzecz ośmset ludzi z toporami? Ta-to potencya, nie żart! Ta-to była, panie, armia... Cóż im się było porywać z motyką na słońce!

Poszedł spać sędzia, dużo mniej zadowolony niż był zrana; jakoż mu się to teraz inaczej zupełnie wydawało. W jego wyobraźni miała to być tragedia krwawa, mógł paść zapamiętały Strukczaszyca! a ten się nawet ani ukazał. Zemsta była nie pełna, nie osmaczona krwią— a teraz następowały po niej prozaiczne jej skutki: pozwy, zjazdy, opatry-



wania na gruncie, kommissye, targanie się przed sądami i—kondemnaty i koszta!

W tych myślach usnął sędzia, a nazajutrz. gdy niecierpliwa Francuzka znowu zaczęła nalegać, grożąc, że umrze, aby ją corychlej wypuszczono, ostatnie trzydzieści czerwonych złotych z własnego i jejmościnego kantorka ściągawszy, Czemyryński nareszcie przyrzekł konie i wyprawę do Lublina. Ztąd już Francuzka miała się dostać do Warszawy.

Nie miała jeszcze może stałego projektu, co pocznie z sobą, tak trwoga ją pędziła z pod tej strzechy, względem której czuła się winną. Jak tylko dostała pieniędzy, natychmiast p. St. Aubin pakować się zaczęła, z gorączkowym pośpiechem. Żadną siłą, nawet na kilka godzin, powstrzymać jej nie było można. Nie miała litości nad sędzią, która ze łzami prosiła ją, aby się zatrzymała; nie dała się uprosić sędziemu i nazajutrz rano była już na gościńcu, oddychając swobodniej.

Odjazd jej miał też w Łopatyczach wielką zmianę wywołać, bo oprócz tego, że zabrakło w istocie jednej z osób, do której wszyscy byli przywykli, ludziom, co się jej obawiali, dopiero teraz rozwiązywać się zaczęły usta. Francuzka przez swą wychowankę pozyskała była wpływ niemały; spełniano jej rozkazy; nikt przeciwko niej słówka nie śmiał pisać. Kobiety, szczególnie dawna rezy-

dentka, która teraz z garderoby się nie ruszała, niemając władzy w jednej nodze, pani Piotruska, dawniej faworyta obojga państwa, zaćmiona przez Francuzkę, skrycie jej nienawidziła. Po odjeździe pani St. Aubin wszystko, co na nią wynaleźć było można, wysypało się ze wszech stron.

— Ci, co milczeli dotąd, poczęli się półgębkiem odzywać..

Ludzie, którym w Lublinie zakazano mówić o odwiedzinach pana Erazma, przebąkiwali coś o nim. Dwie kobiety ze wsi rozповідаły dworskim, że u Dziwu, na kamieniu, widywały często Francuzkę z panną i przychodzącego, a przesiadującego tam, panicza z Sierhina.

Gdy o tem pociechu mówić zaczęto, w początkach Piotruska wierzyć nie chciała. Obudziła się jednak ciekawość, poczęto śledzić, przepytować, baby ze wsi potajemnie sprowadzać i coraz więcej znajdowało się dowodów, że owe codzienne przechadzki na Dziewule były schadzkami z młodym Hojskim.

Kobiety wiejskie, które chodziły po grzyby i jagody, niejeden raz, nieukazując się zza krzaków, szpiegowały młodą parę i powiadały jak się brała za ręce, jak czule spoglądała na siebie, jak się sobie uśmiechała.

Stara Piotruska, zebrawszy fakta, wysłuchawszy świadków, przedewszystkiem zaprosiła do siebie ks. ex-definitora. Dominikanin, przez wzgląd na ułomną

taruszkę, przychodził do niej i tak często grywać w maryasza na zdrowaśki. Piotruska, bez żadnego wykształcenia, prosta sobie kobieta, była przecież rozumną i przebiegłą. Opowiadała też wysmienicie o dawnych czasach i o swoim wychowaniu na dworze Sapiehów.

Ksiądz Ambroży zaproszony przyszedł jak zwykle z dobrym humorem i tabaczką.

Piotruska czekała nań w krześle u stoliczka z kawą.

— Coś dobrodziej o starej dewotce zapomniał, odezwała się żartobliwie— a ja oczy wypatrzyłam, uszy wysłuchałam, czekając miłosierdzia.

— E! jejmościuniu, to nie za mną, ale za tuzem czerwienym zatęskniłaś, — rozśmiał się mnich, siadając.

— Otóż bardzo przepraszam, bo za jegomością dobrodziejem. Pokiwała głową.

— Mam wielki, wielki interes!

— O! ba! do mnie!

— A no, słowo daję.

Westchnęła staruszka i minę nastroiła poważną. Odehrzaknęła.

— Ja dobrodziejowi tajemnicę jedną powierzę— dodała. Noszę się z nią jak z gorącym żelazem w kieszeni, tak mnie piecze.

— A! bo to wy kobiecie! — rzekł Dominikanin. Wam zawsze trudno z językiem. Zbądź-że się

asindzka tej wielkiej tajemnicy. Ksiądz Ambroży żartował sobie, ważności żadnej nieprzypisując temu, z czem mu się zwierzyć miano.

Staruszka pomilczała momencik, pochyliła się, zniżyła głos i, palec przykładając do ust, szepnęła:

— A, gdybym ja wiedziała co się stało z naszą panną i kto ją wykradł?

Cofnął się aż ks. Ambroży.

— Co-bo asińdzka mówisz! nie żartuj!

— Niéma tu z czem żartować,—dokończyła Piotruska. — Dowodnie wiem z kim panienska nasza romans miała, do czego powodem była ta utrapiona Francuzica!

Ksiądz uszom zdawał się nie wierzyć.

— Ale gdzież? jak? Co jejmości w głowie?—ofuknął. Brednie, baśnie. W domu nikogo nie było, z kimby się spoufalić mogła. Myć tu przecie wszyscy żyjemy, patrzmy!

Ruszył ramionami.

— A widzieliżeście z kim się panna, pojechawszy do Lublina, poznałomiła, i z kim potem każdego dnia za Dziewulami na kamieniu schodziła się razem z Francuzką? He?

Ksiądz Ambroży, który kilka razy spotykał powracające z przechadzki od kamienia panie, rzucił się i zaczął słuchać uważniej.

— Któż to taki? kto?

Pomilczała chwilę Piotruska, potem schyliła się znowu; usta rękami otuliła i rzekła cicho:

— Młody Hojski z Sierhina.

Ksiądz Ambroży wstał aż, posłyszawszy to.

— Nie może być!

— Jak mnie, ojeze, żywą widzisz! Ludzie są, świadki.

— Dziwne sądy i wyroki Pańskie! szepnął zci-cha ks. Ambroży.

— Mamyż my to przed państwem taic?—dodała Piotruska. A toż się nie godzi. Niech wiedzą, może co poradzą, może się znajdzie zguba.

Ks. ex-definitor, namyśliwszy się długo, rękami strzepnął.

— Moja dobrodziejko—odezwał się—to materya taka, że ja do niej się mieszać, dotykać nie chcę, ani znać, ani wiedzieć. Ja człowiek spokojny, palca między drzwi kłaść nie myślę. Rób asindzka, jak jej do serca Pan Bóg podda. Ni radzę ni odradzam, — a zlituj się nademną, nie mieszajcie mnie do tego—nie! nie!

Napróżno potem staruszka chciała coś dobyć z ojca duchownego, i wyrozumieć jakby, jego zdaniem, postąpić sobie była powinna.—Dominikanin milczał uparcie.

Nie zyskała więc nic na zwierzeniu mu się. Sekretu zaś takiej wagi długo utrzymać było niepo-

dobieństwem: musiała albo sędzinie albo sędziemu opowiedzieć wszystko.

Biedna sędzinka ciągle jeszcze w łóżku leżała; do Czemeryńskiego odwagi nie miała staruszka. Wahala się jeszcze, gdy Śliwka, zawsze starający się czemś przysłużyć i względy pozyskać u pana, zasłyszawszy na wsi od bab o schadzkach u kamienia, obawiając się, aby go kto nie wyprzedził, pobiegł do jegomości.

Bez przygotowania, nieporządnie, śpiesząc się, płacząc, Śliwka, piąte przez dziesiąte, wypaplał wszystko Czemeryńskiemu, do stóp się ścieląc i zaklinając, że przez adorację dla osoby jego, przynosi tak ważną wiadomość.

Czemeryński z początku nie zrozumiał, potem nie uwierzył i pogniewał się, w furję niemal wpadłszy.

— Co ty mnie masz za dziecko, za człowieka obranego z rozumu! Oszalałeś!

— Niech-że jaśnie pan pofatyguje się do starej Piotruskiej; ona wie wszystko dokumentnie. Jak to się okaże bajką, ja się kładnę, proszę mi dać sto bizunów.

— Fixat! — krzyknął Czemeryński; ale w tejże chwili, jak burza przebiegłszy cały dom, wpadł do Piotruskiej.

— Co to jest? co ten bałwan Śliwka śmie pleść, żeby Leonilla miała jaką potajemną znajomość z synem tego łotra, szubienicznika!

Przestraszona trochę staruszka, gdy przyszła do siebie, odpowiedziała:

— Niech się jegomość nie gniewa. — Co prawda to prawda!

— Zkąd-że ty to wiesz?

Piotruska wywód cały zrobiła. Gdy wspomniała o Lublinie i o tych, co tam byli, Czemeryński natychmiast posłał po służbę. Ledwie mógł z gniewu się utrzymać przytomnie. Zaledwie ludzie pokazali się w progu, wpadł na nich, bizunami grożąc, ażeby mówili prawdę.

Furman i lokaj zeznali, że panicz z Sierhina, którego przecie z kościoła znali dobrze, codzień bywał na kwaterze, sprawunki nosił i pannę przeprowadzał. Lokaj dodał, że ludzie ze wsi widzieli nie mało razy pannę z Fraucuzką na kamieniu godzinami siedzącą z młodym Hojskim.

Niemożna było poznać jakie to zrobiło wrażenie na Czemeryńskim, który wysłuchawszy ludzi, zakazał im pod najsroźszą karą, aby się o tem mówić nie ważyli, i odpędził.

Przysiadł na krześle w izdebce Piotruskiej, podparł się na rękę, zadumał, nieotwierając ust do niej, siedział z pół godziny, wstał i nieżegnając się, wyszedł.

W swoim pokoju znowu siedział i chodził długo, stękał, mruczał; ale gdy wieczerzę podano i wyszedł do niej ksiądz ex-defnitor, który o wszyst-

kciem wiedział, w twarzy jego szukał napróżno śladu do odgadnięcia: co się w nim działo?

Mówił o rzeczach obojętnych, poglądał ostro, ale zdawał się spokojnym.

Poradzić się i poskarżyć nie miał Czemeryński przed kim, oprócz księdza. Sędzinie chorej nie śmiał się zwierzyć. Po wieczery wziął księdza ex-definitora do kancelaryi. Domyślił się ksiądz Ambroży po co.

— Mój ojcie—odezwał się—jesteście mężem do świadectwa i dobrej rady: przyjdźcie mi w pomoc. Cieszyłem się ja zemstą nad wrogiem przedwczesnie a zuchwale; pomścił się wróg na mnie tak, że mi żywcem wyrwał wnętrzności!

Ojcie mój! mam dowody, że ten niecnota na cześć mojego domu sidła zastawił. Przekupili Francuzkę, co była przy Leonilli; Strukczaszyce synowi pomagał do wykradzenia jej. Córkę moją, dziecko najdroższe, jedyne, mają w rękach.

A! teraz rozumiem dlaczego mi lasu ciąć nie broili. Co ich las przy krwi mojej, przy czci mojej, przy sieroctwie mojem?!

Leonilka żoną tego rozbójnika! tego przybłądy, lotra....

Czemeryński zakrył oczy i ryknął z bólu.

— Panie sędzio dobrodzieju! mityguj-że się, na rany Pańskie — zawołał Dominikanin. To uie są może rzeczy pewne, to domysły i gadaniny.



— Nie, to prawda, bo Bóg mnie ukarać chciał i wybrał to, co najstraszniejszym być mogło: upokorzył.

Nie widzisz-że ty w tem ręki tego przewrotnego starca? jego rachuby i roboty? Niepoczeiwa Francuzka była jego narzędziem. To rzecz ukartowana, obrachowana—cios w samo serce!

Straciłem wszystko!

— Pozwól pan sędzia sobie tylko tę refleksję uczynić—odezwał się ks. Ambroży—iż, jak to wiem najpewniej od ks. Dagiela, tego młodego Hojskiego nie było w Sierhinie oddawna, i niema go.

— Ale to wszystko intrygi podłe! On się z nią gdzieś w sąsiedztwie może ukrywa.—Moje dziecko, moja córka, w rękach tych złoczyńców! — wołał Czemeryński. — Nie mi już nie pozostaje tylko umrzeć!

— Nie śmiem ani z pociechą żadną, ani już z uwagą występować,—odezwał się ks. Dominikanin. Trzeba ochłonać i pilno rozważyć co czynić.

— Co czynić?—podchwycił gwałtownie sędzia—ale mi nie pozostaje nic tylko kamień do szyi i w wodę.

Narzekania, przekleństwa, łzy, rozpacze zajęły kilka godzin. Kapelan, widząc ten stan sędziego, odstępować go nie chciał. Udało mu się wreszcie religijnemi uwagami i powagą kapłańską ukoić

nico Czemeryńskiego. Dobrze z północy było, gdy się rozeszli.

Mszy nazajutrz nie mógł już mieć kapelan, a sędzia też z sypialni nie wychodził nawet do żony, posławszy do niej zawiadomienie, że bardzo był zajęty. Pierwsze wrażenie wczorajsze stepił dzień drugi; przyszła rozwaga: jak wyjść z tego położenia, co począć ze Strukczaszycem—gdzie szukać córki?

Sędzia był najmocniejszego przekonania, że wszystko to stary sąsiad naprzód ułożył, osnuł i że w tem była ręka jego.

Nie było innego ratunku dla córki, dla czci domu, jak zezwolić na nienawistny związek. Lecz jakże go pogodzić z podaniem ręki Strukczaszycowi, ku któremu Czemeryński czuł nieprzewyciężony wstręt i ohydę?

— Z nim za nic!

W tym stanie ducha drugiego dnia zastał Czemeryńskiego przybywający w interesie probostwa niby, w istocie zaś, wezwany potajemnie przez ks. ex-definitora, proboszcz ks. Dagiel.

Dominikanin doskonałym był przy konfessyonalu, miłym w towarzystwie, ale kwestye praktyczne życia były mu obce. Nie umiał, ani się kusił ich rozwiązywać. Dla uwolnienia się od nowej napaści sędziego sprowadził ks. Dagiela. Tego mogli się lękać wszyscy; on się nie lękał nikogo i niczego.

Sędzia, mimo, że proboszcz przemówił zaraz o interesie, odgadł, iż go sprowadzono.

— Widzisz przed sobą, księże proboszczu—odezwał się ze zwykłą patetycznością swą — najniešťęśliwszego w świecie człowieka; zbiedzonego, upokorzonego, przywiedzionego do rozpacz.

Mało to, że mi wyrwano córkę jedyną, — wiesz w czyje dostała się ręce?

— Wiem — odparł spokojnie proboszcz.

Czemeryński się cofnął.

— Zkądże to jegomość wiesz? czy już wyszło z mojego domu?

— Wcale nie — rzekł ks. Dągiel — wiedziałem o tem wprzódy niż wy, panie sędzio.

— Wprzódy niż my? — a to jakim sposobem?

Ks. Dągiel się obejrzał.

— Chodźmy się rozmówić na osobności — odparł — dowiesz się pan o wszystkim.

Z pokorą prawie, poszedł, dawniej dumny, Czemyryński za księdzem, który w swej sukni wytartej miał powagę, nakazującą poszanowanie.

Gdy weszli do pokoju, do którego i ks. ex-definitora, jakby za świadka i pomocnika, wprowadził za sobą proboszcz, Czemyryński nie odzywając się już, czekał co mu ks. Dągiel objawi.

— Mieszmamy często Pana Boga — odezwał się proboszcz, tam gdzie On niepotrzebuje się przyczyniać do dokonania sprawiedliwości; ale też czę-

sto jest palec Boży w małych rzeczach i wyraźna ręka Opatrzności. Ja widzę ją w sprawie waszej, panie sędzio, z p. Strukezaszycem. Dawaliście obaj zgorzenie swoją zajadłością względem siebie.

— Ks. proboszczu! — przerwał Czemeryński — jam nie winien! Przecież dać się tak zgubić, nie broniąc, i robak nie może. Ten człowiek dojadł mi, życie zatrul! ja mu nie mogłem i nie mogę przebaczyć.

— I Pan Bóg też waćpanu nie przebaczył — rzekł surowo proboszcz. Doświadczyliście mściwej ręki Jego, gdy wam najmilsze dziecko odebrał.

— Za cóż mnie! za co mnie! — począł sędzia, — albowm to ja jeden winien! Jest-li wina jaka to w obojgu: a to ma być sprawiedliwość, gdy na mnie jednego spadła chłosta!

— Nie na waćpana jednego! — zawołał ks. Dagiel. Bóg jeden tylko wie, który z was ukarany srożej. Wiesz pan com słyszał z własnych ust siostry Strukezaszyca, gdy raz powziął podejrzenie, że syn jego mógł się w córce waszej rozmiłować, — wiesz co naówczas powiedział: — Wolałbym go na marach widzieć niż mężem sędziarki.

Czemeryński podniósł głowę, i dumnie, i gniewnie, i zdziwiony.

— Proszę! — krzyknął szydersko — taki mi wielki człek! Frant jakiś! A któż sprawcą tego wszystkiego! Nie z jego-ż to się naprawy stało!

— Z jego naprawy! — rzekł ks. Dagiel, ramionami ruszając. Co się waćpanu dzieje, panie sędzio? On o tem nie wie, nie domyśla się tego, nie przeczuwa, a gdyby się dowiedział, nie ręczę, czyby się syna wyrzec nie był gotów.

Sędzia prychnął po swojemu i czuba potarł.

— Jesteście tego pewni? — spytał niedowierzająco.

— Jestem tego najpewniejszy — odparł ks. Dagiel.— Miał jakieś podejrzenie na syna, i sama ta myśl skłoniła go do wystania go gdzieś na wygnanie, aż w Witebskie.

— Seryo?— spytał Czemeryński, oddychając jakoś wolniej.— Jegomość dobrodziej nie żartujesz?

Ks. Dagiel potrząsnął swoją starą rewerendą.

— Kto taką suknię nosi, temu się żartować nie godzi—zawołał surowo—i nie godzi mu się rzucać słowy lekkimi!

— Ależ-to, co ja słyszę od waćpana dobrodzieja—poprawił się, głos zniżając sędzia, zmienia zupełnie postać rzeczy. Więc Strukeczaszye tryunfuje!

— Z czego?

— Z tego, że mi córkę porwali!

— On o tem nie wie!—zawołał ks. Dagiel.

Czemeryński zadumał się. Stali dotąd w pośrodku pokoju, a staremu nogi drżały: poprosił siedzieć. Zadumany był, lecz gniew zwolna z twarzy

mu schodził—łagodniał. Ks. Dagieli badał go, spoglądając nań uważnie.

— Słucham, wierzę słowom waćpana dobrodzieja, a razem wszystko to mi się w głowie nie mieści—odezwał się Czemeryński.—Miej waćpan litość nad sercem rodzicielskiem, powiedz mi co wiesz, uspokój mnie. Nie pozostaje mi nic, tylko przebaczyć synowi tego rozbójnika, co tak zbójcecko mi porwał córkę, i co najprędzej ślubem ich połączyć!

— Oni ślub wzięli, tego samego dnia, gdy panna uciekła—odparł ks. Dagieli.

Zerwał się z siedzenia Czemeryński i padł zaraz na nie.

— Gdzie? jak?

— Ja im dałem ślub—ja!—rzekł ks. Dagieli.

Sędzia się przeżegnał.

— Wy? wy?

— Musiałem dać ślub, aby nie dopuścić związku bez błogosławieństwa kościoła.

Ale, słuchaj waćpan, —dodał ks. Dagieli—wszystkiego się dowiesz. Znasz mnie od lat wielu, że do żadnych intryg nie mieszam się. Nie wiedziałem też o niczem w świecie, gdy przyjechała do mnie wieczorem panna Blandyna Strukeczaszanka, ledwie żywa, i wszedłszy do nóg mi upadła.

Ledwiew mógł, uspokoiwszy ją, dowiedzieć się, że—tej nocy pan Erazm Hojski, za zgodą i umową z córką waszą, miał ją uprowadzić z noclegu, i

wprost przywieść do mnie, błagając o ślub. Panna Blandyna, struchlała ze strachu, zalewała się łzami.

Dania ślubu odmówiłem, reflektując, iż nieważny-by był, i że się nie godziło dzieciom bez wiadomości i woli rodziców, bez ich błogosławieństwa, stawać u ołtarza.

Zważywszy jednak, że porwaniu córki waszej, a raczej dobrowolnej jej ucieczce, zapobiedz nie mogłem; że bez ślubu pobyt ich dłuższy z sobą, ściągwał na ich oboje sromotę — dałem się nakłonić.

Czemeryński, za głowę się schwyciwszy, słuchał, ze łzami w oczach.

— Trzeba było pobłogosławić — dodał ks. Dągiel, — gdy tak czy nie, byliby z sobą dalej uciekali! Musiałem! — westchnął proboszcz.

Okolo północy wprost powóz z niemi zatoczył się przed kościółek. Świadkami byli zakrystyan i organista, no, i panna Blandyna, która ich nie odstępowała. Byłbym się może oparł — dokończył proboszcz, gdyby nie ta myśl, że Bóg tym sposobem chce położyć koniec nienawiści i zwadzie dwóch rodzi i przejednać je ślubem dzieci.

— Nigdy w świecie! — wybuchnął, rzucając się Czemeryński. Córka, córka mogła sobie wyjść choć za parobka, ale ojca jego znać ani wiedzieć nie chce! A my, jakośmy byli, tak zostaniemy — na noże!

— Szkoda, że o tem nie wiedziałem wprzód—  
rzekł ks. Dagiel, bo byłbym ślubu nie dawał.

— Ślubu! ślubu!—bąkał Czemeryński—najpierw  
po takim ślubie rozwód jest bardzo łatwy; powtó-  
re, choćbym zięcia akceptował, to jego ojca — ni-  
gdy! nigdy!

Po chwili sędzia zawołał, jakby się budząc:

— A gdzież oni są? gdzie się schowali przed  
nami!

— Daję pannu słowo, że o to ani pytałem, ani  
wiem o tem. Jeśli wie kto — chyba p. Blandyna.

— Oni być muszą w okolicy? — rzekł jakby do  
siebie Czemeryński,—ja ich wyszukam.

Myśli miał roztargnione i dodał nagle:

— A Leonilka, mój ojeze? czy płakała? jakże ją  
znalazłeś?

— Zupełnie spokojną i prawie wesołą — rzekł  
proboszcz.—Była tylko trochę zarumieniona i zmę-  
czona. Pan Erazm miał daleko bardziej strwożoną  
minę.

Namarszczył się sędzia.

— Zatem Strukezaszyc—wolałby go widzieć na  
marach!—odezwał się.

Otóż acan dobrodziej masz z tego miarę człowie-  
ka: o własnem dziecku, o jedynaku, tak się wyraził.  
Cóż to za serce? co za tyran!

— Mógł to powiedzieć w chwili zapomnienia  
się—rzekł proboszcz.



— Więc mu dla syna Czemeryńskiej zamało!—  
mówił sędzia szydersko — cóż? Księżniczki-by  
chciał?

— Gorzej, panie sędzio — wtrącił ks. Dagiel—  
panna Blandyna mi powtarzała, że wolałby prostą  
chłopkę niż waszą córkę, taką grzeszącą ma ku wam  
nienawiść.

— Ja mu ją płacę z nawiązką! — rozśmiał się  
gorzko Czemeryński.—Wierz mi, ojcze—szatanem  
się tak nie brzydzą jak nim. Podły i nikizemny  
jest.

Jednemu się dziwię—dodał—że to nieszczęście,  
którego ja padłem ofiarą, nie on zgotował, że o niem  
nie wiedział,—a z tego się znowu cieszę, że mu ono  
będzie ciosem ciężkim! że posieje między nim a sy-  
nem niezgodę,—że może ich rozłączyć! To dobrze!  
to dobrze!

Wstał proboszcz z krzesła.

— Panie sędzio—zawołał z powagą—mową tą  
bezbożną nie wywołuj sroższej jeszcze kary Bożej  
na siebie! Dotknął cię Bóg! poprawy chciał: nie  
pomogło — patrz, by chłosta nie przyszła stokroć  
cięższa! Ej! ej!

Zamilkł Czemeryński, lecz widać było, że to  
uczynił tylko przez respekt dla proboszcza. Nie  
zmiękł wcale.

Ksiądz ex-definitor, chcąc złagodzić nieco rozmowę,  
wtrącił:

— Pan sędzia kocha swe jedyne dziecię i pewien jestem, dla jego szczęścia i spokoju, wiele poświęci. Wszystko się, da Bóg, ułoży szczęśliwie.

Spojrzał Czemeryński.

— O szczęściu! o szczęściu już mowy niema dla mnie — wykrzyknął — splamiony jestem tem, zem zmuszony dotknąć się tego plugawego rodu. Ratować się muszę od hańby — i dziecko odzyskać — to pierwsze.

— Bąknąłś pan o rozwodzie — przerwał proboszcz — sądzę, że należałoby myśl tę porzucić. Córka pańska przywiązana się zdaje do męża, i widac w niej charakter. Sama mi powiedziała przy examinie, że ona pierwsza chciała być uwiezioną i skłoniła do tego Hojskiego.

Czemeryński poskoczył.

— Mówiła to? — zawołał.

— Mówiła to bardzo wyraźnie, bardzo stanowczo. Hojski-by się był nie ważył na taki krok bez jej przyzwolenia.

— A! to ta podła Francuzica ze swemi romansami — zakrzyczał Czemeryński — głowę jej zawróciła. Gdyby nie ona, nigdyby nie przyszło do tego. Szczęście, że uciekła, czując, że się to wyda. Dałbym jej naukę!

Wśród gniewu na łzy mu się zbierało. Wzruszenie, niepokój, niepewność jak miał postąpić, osłabiły sędziego; zwiesił głowę na ręce.

— Obróć to acan dobrodziej na korzyść duszy swojej — dodał ks. Dagiel — wstąp w siebie, uderz się w piersi!

Na to długo nie było odpowiedzi. Czemeryński czem innym wydawał się być zajęty. Księża obaj milczeli, szanując jego smutek; Czemeryński zerwał się żywo.

— Gdybym wiedział — zawołał — że Strukezaszyca tem dojadę — natychmiast-bym ich oboje do domu wziął — przebaczył i pobłogosławił.

Ksiądz proboszcz, który sądził, że go już nawrócił, spojrzal na ks. ex-definitora: stary grzesznik wracał.

— Jak waćpan dobrodziej sądzisz, gdzie oni mogą być?

— Nic a nie o tem nie wiem — odparł ks. Dagiel — mówiłem już o tem panu, że jedna Strukezaszanka mogłaby wiedzieć coś.

— Strukezaszanka! — skrzywił się Czemeryński i ręką strzepnął.

— Dosyć, że jego siostrą jest, bym z nią wszelkiego unikał stosunku — rzekł sędzia. — Mojem zdaniem, oni daleko być nie mogą. Sponuje, bom coś słyszał, iż Erazm się kręcił koło palestry w Lublinie, że tam się pewnie ukryć pojechali. — Ja ich znajdę.

Niezważając na obu duchowych, cały zajęty my-

śla o córce i zemście, przechadzał się Czemeryński po pokoju, mrużąc. Stawał, biegał, ręce zacierał.

— To ja—zawołał nagle—ja się tu już tyle czasu męczę i piekę, jak święty Wawrzyniec na ruszcie, a Strukezaszyc o Bożym świecie nie wie i swobodnie oddycha!

Więc on nie wie! nie wie!

Mówiąc to, zbliżył się do ks. Dagiela.

— Zdaje mi się, że nie wie; ostatniej niedzieli zapewniła mnie o tem panna Blandyna.

— A to się ma nazywać sprawiedliwością!—krzyknął Czemeryński.—To nie może tak być!

Ruszył ramionami ks. Dagiel.

— Cóż to waćpanu pomoże, gdy się on dowie? Chyba, żeby rozerwał małżeństwo i córkę jego nieszczęśliwą uczynił.

— O! rozerwał! on! tego ja mu uczynić nie dam—zawołał sędzia. Jeżeli on będzie zrywał, ja będę wiązał; a zechce on wiązać, — no, to będę zrywał.

— A córka? a dziecko twoje! — zakrzyknął oburzony proboszcz. Gdzież to ja jestem! ua milego Boga, między pogany czy w domu, pod prawem Chrystusowem!

Nie sromasz-że się pan i czuć tak i mówić, i chcesz, aby Bóg błogosławił domowi, który zemstą tchnie!

Sędzia zwiesił głowę.

— Mówisz pan o przywiązaniu do jedyne go dzie-

cięcia! waćpan stokroć do zemsty swej jesteś więcej przywiązanym niż do niego.

Zarzut ten dobił Czemeryńskiego. Ks. Dagiel pożałował go i złagodniał. Zbliżył się doń, rozposcierając ręce.

— Daruj mi! za gwałtownie mówiłem, ale miłość Chrystusowa i przywiązanie do was dyktowały słowa. Precz z serca ta zemsta paskudna, — niech do niego wróci uczucie ojca dla dziecięcia!

— Cóż-bo chcesz, mój ojcze, — przebąknął Czemeryński — Bóg z niemi, ja zięciowi przebaczę — dalej nie żądajcie — nie mogę! nie!

Uderzył się oburącz w piersi i jęknął: Nie — nie mogę.

Zaczęli go obaj duchowni łagodzić i uspakajać. Czemeryński usiadł i zapłakał.

— Co mam zrobić z żoną? — zapytał — ona o niczem nie wie; ja już siły nie mam oznajmić jej o tem. Ks. Dagiel wstał.

— Ja pójdę.

Zgodził się na to sędzia, a sam pozostał z sobą, starając się do ładu doprowadzić myśli i określić co mu czynić wypadało.

Napróżno byłoby żądać od serca ludzkiego tego, co ono dać nie może; długo przejęte uczuciem jednem, nie pozbywa się go łatwo. Te nagłe zwroty, które widzimy na scenie, z nienawiści do miło-

ści, ze wstrętu do sympaty — w naturze są tak wyjątkowemi, iż prawie do cudownych należą.

Czemeryński też nie mógł przełamać się i nieprzyjacielowi przebaczyć. Pobudki chrześcijańskie rozumem przyjmował: serce nie mogło iść za niemi. Gdy księża wyszli, począł tylko przemyślać nad tem: jakby najlepiej mógł dokuczyć Strukczaszy-cowi?

Niedowierzał jeszcze temu, aby ożenienie mogło dlań być tak dotkliwym ciosem. Miłość własna oburzała się przeciwko temu.

Pomimo wstrętu do całego domu Hojskich, wpadał na myśl potajemnego widzenia się i wybadania p. Blandyny.

Płatały mu się zresztą myśli, ale wśród nich postać Leonilli, tego ukochanego straconego dziecięcia, przesuwiała się jakby wołając o należne sobie miejsce; żal mu się robiło jej, tęskno mu było bez niej.

Ta miłość dla córki zacierała chwilami plany zemsty.

Myśląc, ważąc, klóćąc się sam z sobą — nie postrzegł jak dosyć czasu upłynęło, i ks. Dagiel poruszony mocno wszedł oznajmując mu, że z żoną widzieć się może.

Sędzina siedziała na łóżku, zarumieniona, splekana, ale jakaś szczęśliwa, ręce wyciągnęła do męża.

— Kochanie moje, rybko moja złota! — zawołała. — Już wszystko dobrze! nie gniewaj się! Dziecko nasze Bóg uratował, odzyskamy je wróci do nas.

Czemeryński psuć jej tej radości nie chciał, zamlezał. Co myślał dalej czynić — nie powiedział, rad był tylko, że biedna kobiecina doznała pociechy.

W Sierlinie tymczasem przyśpieszano tradycją i zawiązywano proces kryminalny o wycięcie lasu. Strukezaszyc tak był tem przejęty i rozgorączkowany, iż o wszystkim innem zapominać się zdawał. Erazm-by mu był może tak rychło na myśl nie przyszedł, gdyby nie nawał rozmaitych skryptur, do których mógł być pomocnym.

Kaczor do wycieczek i intryzek był przydatny, w pisaniu i prawie mocnym nie był. Cytował statuta, konstytucye, korektury, excepta, najopaczniej a z bezczelnością niezmierną. Strukezaszyc posługując się nim, zmęczył się i, jak mówił — zdyzgustował.

— Partacz-bo jest! — mówił sobie pocichu — nie ulega wątpliwości.

Siedzieli raz przy wieczerzy, on, panna Blandyna i Kaczor, który się rad na cudzym chlebie przeżywał, gdy Hojski, jakby go co tknęło, zawołał do siostry:

— A czego on tam dłużej ma siedzieć? — nieprawda?

— Kto? — spytała siostra.

— Juścić? kto! Erazm! Wyprawiłem go, aby mu z głowy rękawiczka wywietrzała, a no dosyć już. Kasztelanowa też już sarkać musi, że jej chleb je darmo, a panny Czemeryńskiej, której-em się bał, chwala Bogu niema. Więc—niechby powrócił.

Panna Blandyna popatrzała na brata.

— A czegoż się znowu tak śpieszyć — rzekła. — Chłopiec się przynajmniej rozerwie w mieście; tu z nami niewielka rozrywka.

— E! asińdzka-bo wystawiasz sobie, że Erazm by się tylko bawił a bawił—rzekł Hojski. Ja zaś muszę jej i to dodać, że u kochanej Kasztelanowej, także mu nie musi być wesoło. Same baby i starzy faworyci.

— No—ale miasto.

— Nie zna nikogo—rzekł Strukczaszye.

— Przecież się ludzie poznawają.

Hojski ramionami zachnął.

— Ktoby powiedział — dodał — że asińdzka go nie kochasz i widzieć nie chcesz—a to tylko ta babska natura: strzyżono, golono—golono, strzyżono, aby na przekorę.

Zamilkła panna Blandyna, na talerz spuściwszy oczy.

Kaczor, który wyrąbania lasu, bez oporu, jeszcze nie mógł strawić, westchnął.

— Gdyby tu p. Erazm był — rzekł — onby pe-



wnie nie strzymał, kiedy las rąbano. Czemeryúskiemu-by w łeb wypalił.

— Co waćpan pleciesz?—niecierpliwie przerwała p. Blandyna, jego tam nie było.

— To co! to co! a byłby strzelił— zamruczał, nie mogąc lamusa zapomnieć Kaczor, który na wspomnienie sędziego w passyę wpadał.

Strukczaszye się smutnie rozśmiał.

Właśnie dnia dopiero poprzedzającego przez Morawca się dowiedział o trzymanej w sekrecie przygodzie Kaczora.

— Acan do niego masz coś na wątrobie? — odezwał się szydersko.—Przyznaj się.

— Ja?—prysnął zaczerwieniony komornik. Spojrzał w oczy pryncypałowi, poznał z nich, że tajemnica zdradzona i, oczyma wskazując pannę Blandynę, prosić się zdawał o dyskrecyę.

Nie zdradził go też Strukczaszye i zamilczał. Rozmowa się zwróciła znowu na Erazma.

— Napiszę dziś do niego i do Kasztelanowej, aby jej podziękować. Niechaj powraca—zda mi się.

Panna Blandyna przebierała coś na talerzu, nie podniosła już oczów, wiedząc, że bratu najgorzej się było sprzeciwiać.

Jakoż choć nie tego dnia, bo nie było czasu, a przy świecy Hojski nie pisywał nigdy, ale naza-jutrz rano, siadł do pisania listów.

Syna w krótkich wyrazach wezwał do powrotu;

do Kasztelanowej z respektem, na pół żartobliwe ułożył pismo, dziękując jej za gościnność. Listy na pocztę wyprawiono.

Owczesne poczty, pozał się Boże, nie chodziły zbyt śpiesznie, dlatego też, kto chciał prędkiej odpowiedzi być pewnym, nigdy im nie powierzał nic — wyprawiał umyślnego. Wielcy panowie ślali sztafety i kuryerów.

Strukezaszyc obrachował: ile dni poczta powinna była iść do Wilna, ile czasu potrzebował Erazm dla wybrania się w podróż, ile na podróż samą, i dzień a niemal godzinę miał już wyznaczoną, na którą się syna spodziewał.

— Jutro Erazio będzie — rzekł do p. Blandyny. Każ dla niego na przypadek co zrobić, aby nie był głodny.

— Jakże to można tak wyrachować na pewno? — odparła siostra.

— To mi dobre! Jutro musi być, a uchowaj Boże, by czy oś pękła, czy koło się złamało, no, to dzień frysztu na to, dajmy pojutrze, musi być.

Ciotka jakoś tej pewności nie podzielała.

Dnia oznaczonego Strukezaszyc dwa razy wyszedł na groble, potem dopóźna siedział w ganku, na każdy turkot zrywając się i rękę przykładając do czoła. Po dziesiątej godzinie oświadczył, że chyba nie przyjedzie dnia tego. Oczekiwanie następnego dnia kubek w kubek się powtórzyło, tyl-

ko wieczorem Strukeczasyc już zaciął usta i gniewał się.

— U tej młodzieży pstro zawsze w głowie. Ni-  
gdy się z czasem nie rachują. Błazen z niego!

Następnego dnia zły był także, nie wspominał  
o synu, a we dwa dni potem zaczął być niespokoj-  
nym: czy nie zachorował? Puszczał się w domy-  
sły najrozmaitsze — nie rozumiał. Ojcowski rozkaz  
był rzeczą tak świętą, jak przykazanie Boże, jakże  
syn mógł go lekceważyć?

Tydzień takiego oczekiwania, wyczerpał cierpli-  
wość; gdyby nie proces, byłby sam może Struk-  
czasyc wybrał się do Wilna, ale sprawa z Łopa-  
tyczami za poły go trzymała.

Panna Blandyna milczała.

Miał tedy najroztropniejszy człowiek ze dworu,  
kucharz Felix, być wysłanym po panicza do Wil-  
na, gdy z miasteczka przywieziono listy od—Ka-  
sztelanowej.

Staruszka zwykłym swym stylem i charakterem,  
ułożoną korespondencyę zaczynała od tego, iż nie-  
zmiernie żałuje, że pana Erazma właśnie uprosiła  
o obejrzenie majątku jej w Witebskiem. Nie mo-  
gła ściśle obrachować, kiedy wróci z tej odległej  
krainy, ale zapewniła ojca, że jest zdrow, że się  
dobrze bawić będzie i t. p.

Po podpisie i *manu propria*, następował przypis-  
sek, który brzmiał jak następuje:

„W Witebskiem panien pięknych dużo i posażnych. Erazio pojechał z rekomendacyami; jeżeli go tam pochwyć a ożenią—nie będę winna. Gotuj się zawczasu gdzie synowę pomieścić, bo z Witebszczankami nie żarty.“

Przypisek, żartobliwy, nie znaczący, dał jednak do myślenia Strukezaszycowi.

— Co to ma znaczyć? hm? Taka kobieta jak Kasztelanowa, bez racyi nie napisze nic? Coś tam jest? Żeby zaś błazen miał bez mojego pozwolenia w jakieś amory się wdawać?—to nie może być. Ale to baba stara, a w głowie jak w Pacanowie.

Poskarżył się przed siostrą.

— Sam-em sobie winien, nie powinienem był go tam posyłać, znając starą trzpiotnicę. Gotowa go bezemnie swatać, a jej swaty nie ciekawa rzecz. I pisze, że go wyprawiła w Witebskie! Jak, co? po co? Cóż, na usługach u niej, czy jakie лихо?

Coś w tem jest.

— Sam-żeś go wyprawiał!—rzekła p. Blandyna.

— No! i już mi to asiudźka będziesz wypominała! Sam! No — sam — któż go miał wyprawiać! Bałem się tej Lullimilli Czemerylli.

— A możesz wpaść z deszczu pod rynwę— szepnęła p. Blandyna.

— Nie! — rozśmiał się Strukezaszyc— bo niema rywuy na świecie, któraby mi od Czemerylli była

straszniejsza. Nawet panna Lucyferówna Dya-  
błowska.

— Pleciesz bo acan—przerwała, czerwieniąc się  
siostra.—Obraza Pana Boga!

Strukezaszyc, widząc siostrę zagniewaną, uznał  
się winnym i chciał zatrzeć niemile wrażenie.

— Nie słyszałaś asińdzka: któż to przecie wy-  
kradł tę lalę, kamerdyner czy kuchta? bo tam u nich  
w domu nikt porządny nie bywał. Wątpię, żeby  
ks. ex-definitor, habit zrzuciwszy, z panną ruszył.

Panna Blandyna, na prawdę temi żartami nie-  
wczesnemi oburzona, wybiegła trzaskając drzwiami.

Był to wielki dzień tryumfu dla p. Strukezaszy-  
ca: po wielu staraniach, zabiegach, a z niemałym  
sumptem, tradycją wyrobił na dwie, wprawdzie  
najgorsze, wioski Czemeryńskiego. Proces o wio-  
lencję i wycięcie lasu, jeszcze się ciągnął, tymcza-  
sowo tylko, za nabyte wierzytelności z zaległemi  
prowizyami, sąd oddawał część majątności w ręce  
Strukezaszyca.

Dziwnem było trochę, że Czemeryński mało się  
co bronił.

W dzień naznaczony do zajęcia, Hojski sam oso-  
biście nie pojechał; wysłał z plenipotencją Kaczora  
i Morawca. Lękał się naostatku oporu i swej  
własnej gwałtowności; nie chciał dopuścić krwi  
rozlewu, ani burdy, aby wszystka wina burzenia  
spokoju spadła na Czemeryńskiego.

Jednakże Morawcowi i Kaczorowi, który teżó-  
rzył niepomierne, towarzyszyło kilkunastu ludzi  
ze strzelbami.

Jeden chłopak wykommenderowany był umyślnie,  
aby po wzięciu intromissy i obwołaniu posłuszeń-  
stwa na Strukczaszyca, natychmiast przybiegł na  
przełaj, i dał znać jak się to odbyło.

Hojski niespokojny był trochę; przyczajenie się  
nieprzyjaciela, wydawało mu się podstępem, rze-  
czą podejrzaną.

Komornik też ruszył z duszą na ramieniu, odma-  
wiając zdrowaśki. Cała nadzieja na tem była, że  
urząd zjeżdżał, a w odwodzie kilkunastu zbrojnych  
towarzyszyło. Nadspodziewanie odbyło się wszyst-  
ko spokojnie. Nie opierał się nikt. Dwór stał pu-  
sty; nawet drzwi i okna zawczasu z niego powyj-  
mowano i kawał dachu zdarto; w żadnym śpichrzu  
nie było ani prószynki.

Gromady, powołane do dworu, ściągnęły się zwol-  
na, milczące, ponuro zpod oka patrząc, wysłucha-  
ły obwołania—pokłoniły się i rozeszły.

Tradycya była dokonana, majątek objęty i chło-  
pak pojechał do Sierhina wskok z oznajmieniem od  
Kaczora, że wszystko się odbyło—*sine ulla protesta-  
tione*.

Nad wieczór, odebrawszy wiadomość pocieszają-  
cą, Hojski ucieszył się i zadziwił zarazem. Nie  
rozumiał Czemeryńskiego.

Słotna i chmurna była noc; Strukezaszyc, wysłuchawszy raportu chłopaka, wrócił do dworu i, chodząc po izbach, pacierze mówić zaczął. Ogień był jakoś wygasł na kominie; stary, modląc się, świecy nie zapalał.

Przyciemno więc było w pokoju, gdy od strony ogrodu z drugiej strony okno, jeszcze okiennicą nie zawarte, jakoś się zarumieniło dziwnie. Strukezaszyc poszedł zobaczyć co to było, i ujrzał na niebie ogromną łunę, właśnie w tej stronie, z której wioski zajechane leżały.

Za lasem był pożar. Tknęło to Hojskiego: wybiegł na ganek, wołając:

— Hryćko!

Parobczak wyskoczył ze stajni.

— Siadaj na bułanego i jedź, zobacz, gdzie to się pali.

Posłyszawszy głos brata, wyszła i p. Blandyna. Zdała, na pochmurnem niebie, karmazynowa rozkładała się luna, a że wiatr poruszał obłoki, na których się odbijała, zdawała się poruszać w milczeniu. Wśród nocnej ciszy, ta drżąca zasłona, jakby w krwi zbroczona, chwiejąca się nad głowami, przejmowała trwogą. I Strukezaszyc i siostra przeżegnali łunę.

Długo patrzyli na nią w milczeniu, czekając powrotu posłańca; wreszcie blednąć i przygasać zaczęła, niebo ściemniało—znikła prawie zupełnie.

Nad rankiem wrócił chłopiec ze smutną wiadomością, że we wsi zajętej przez komornika wszystkie zabudowania dworskie spłonęły. Kaczor i Morawiec ledwie uszli z życiem; przyczyna ognia była nie wiadoma.

Hojski, wysłuchawszy raportu, powrócił do dworku, niemówiąc słowa:

— Niewiadoma!—powtórzył w duchu.—O! wiadoma! czuć w tem rękę niepoczciwą Czemeryńskiego!

---

W kamienicy pani Kasztelanowej, przy ulicy Trockiej, mniej teraz jeszcze było ładu niż dawniej. Pan Erazm z żoną zajmował po nieboszczyku Kasztelanie pokoje, a stara jejmość bawiła się młodem małżeństwem, niemogąc się niem nacieszyć.

W samym początku dziwne trochę, śmiałe i samowolne obejście się Leonilli raziło Kasztelanową, ale się z niem oswoiwszy, rada była rozrywce, którą ją los obdarzył—rada zapewne i intryżce, co się z nią wiązała.

Do mnogich korespondencyj przybyło zajęcie się państwem młodem, przypatrywanie się ich szczęściu, narady nad tem, jak się to ma skończyć, i w jaki sposób wszyscy się przejednávają. O tem staruszka nie wątpiła, brała to na siebie, chciała aby to było jej dziełem.

Dlatego tak dzielnie dopomagała synowcowi ja-



dącemu po żonę, dostarczając mu powozu, koni i ludzi. Sama potem dopilnowała przygotowania mieszkania, wyjeżdżała na spotkanie, i nie odstępowała ich—aż do zbytku.

Ci mili goście—była to jej troska nieustanna. Faworyci dawni trochę już byli zazdrośni, pocieszając się tem tylko, że przecie ta załoga długo tu pozostać nie może.

Prawdziwą rozkoszą było dla starej Kasztelanowej jeździć do przyjaciółek w odwiedziny i opowiadać im historią synowca, jego ożenienia się, roli, jaką ona sama odegrała w tym akcie i miała jeszcze odegrać aż do ostatniego obrazu przejeżdżania i zgody.

W wielu swych listach staruszka nie mogła się powstrzymać od napomknięć o miłym ciężarze, jaki spadł na nią. Dotąd wszystko szło jeszcze dobrze; rozwiązanie jednak przedstawiało się uiejasno—nie była pewną od kogo zacząć.

Tymczasem pięknej Leonilli i zakochanemu Erazmowi dni płynęły ozłoczone promieniami młodego raju, w którego blaskach wszystko niknie, wszystko się rozplywa. Znajomość obojga, bardzo niedostateczna, krótka, czyniła ich prawie obcy mi sobie. Widywali się, kochali, patrząc na siebie jakby z pewnej odległości, która dostrzedz nie dawała: czem byli w istocie. Ani jemu, ani jej nie przyszło na myśl, że zbliżenie się zawodem być mogło i rozczarowa-

nien. W tym wieku szczęśliwym, któż-bo wie rzy w zawody? Świat taki piękny, ludzie tak poczciwi, serca takie szlachetne. Bóg taki dobry—a miłość takim szafem ogarnia!

Jeśli jest opatrność co czuwa nad pijanymi, jak mówi francuzkie przysłowie, musi być i anioł opiekuńczy, który zakochanych strzeże, gdy się tak kochają mocno, że są i anioła wari i straży. Leonilla była trochę popsutem dziecięciem i pieszczoszką, trochę dumną i samowolną, ale serce miała poczciwe, które miłość matki i ojca, ogrzewając, wypielegnowała. Przywiązanie jej dla Erazma płynęło z różnych źródeł małemi strumyczkami, niedojrzanemi, z których się w końcu tworzył prąd silny i potok gotów obalać wszystko, co-by znalazł na drodze.

Z nich dwojga, każde kochało inaczej, oboje równie silnie. Leonilla była królową, ale na świecie nie widziała nikogo, oprócz tego ukochanego, co klęcząc u jej kolan, czekał rozkazów, skinienia szpiegował.

Za rodziców swoich ręczyła Erazmowi, że się muszą dać przebłagać — czuła, że się bez niej nie obejdą. Hojski nie śmiał nie mówić o ojcu, milczał; rachował na wpływ ciotki, na—jakąś opiekę Bożą, do której każda miłość rości sobie prawo. Na prawdę, czemżeby opiekowano się z góry, jeśli nie tem uczuciem świętem, którego zadaniem na

ziemi rozwijać się walką z tysiącem trudności, co mu wyrosnąć nie pozwalają?

Leonilla była prawie wesolą. Erazm trochę trwożliwiej patrzył w przyszłość; ale mu się namarszczyć, ani zachmurzyć nie było wolno. Królowa nie pozwalała.

I dnie płynęły — ot, tak jak kradzione płyną — szybko, piorunowo, bez pamięci na jutro.

Któż ma jutro?

Kasztelanowa wymyślała zabawy, które najczęściej się jakoś nie kleiły, a to je czyniło pocieszniejszymi jeszcze. W tym domu nie-bo po ludzku i porządnie iść nie mogło; trybem starym rwało się i płałało wszystko, a Leonilka śmiała się i była szczęśliwa. Jeżdżono kuligami, z których potrzeba było powracać piechotą; dawano obiady, właśnie we dnie, gdy kuchmistrz był chory po wczorajszym puucz; spraszano na wieczory, gdy miało świec do sali zabraknąć.

Dwór cały naówczas rozbiegał się z krzykiem, wołając ratunku; pan Erazm wynajdywał jakiś środek, śmieli się wszyscy — i kończyło się jaknajlepiej.

Kasztelanowa, niedosyć, że ciągle tę parę chciała mieć u siebie; ale gdy ona odeszła spocząć, ciągnęła za nią, aby jej z oczu nie stracić.

Na tem zajęciu się szczęściem niewiele zyskiwał programat przyszłości. Codzień go inaczej obmy-

śliwano, a nazajutrz musiano odmieniać; tymczasem nie się nie robiło. Zdaniem Kasztelanowej, nie potrzeba się było śpieszyć i należało dobrze wszystko rozważyć, aby fałszywego nie postawić kroku.

Nie stawiano więc żadnego.

Zdawało się, że ten stan trwać może wieki, gdy jednego dnia Leonilla, stojąca przed zwierciadłem, postrzegła w niem męża, który u okna list czytał, a twarz miał bladą, bladą jak ściana. Przestraszona, podbiegła ku niemu: chciał list schować,— wyrwała.

List był od ojca, nakazywał powrót do domu.

Erazm, milezący, stał, patrząc na żonę, która nie wiedziała co robić, aby go przywrócić do życia: rzuciła mu się na szyję i całować go zaczęła.

W tem drzwi się otwały i, nieubrana, w czepku nocnym, przelekką, śpiesząc się, wpadła Kasztelanowa, niemogąc mówić tak jej dech zabiło; trzymała i ona list w ręku.

— Na miłość Boga! proszę was — zawołała — Eraziu, krzesło podaj, bo padnę. List! Siadajcie koło mnie wszyscy! trzeba radzić! List od Strukczaszycy. Spadł jak piorun! Myślałam, że zemdleję, a tu dziś muszę być u Szambelanowej, u Hetmanowej, u Biskupa; obiecałam się Siostrom zakonnicom! Dziesięć listów czeka. Koadjutor—wiecznie zapominam, ma być na obiedzie — Eraziu! za-

dzwoń! Trzeba dla niego zrobić z postem. Powiadam wam, dzieci moje, głowa mi pęka.

Wszystko to wyrecytowawszy z pośpiechem, Kasztelanowa do listu wróciła.

Erazm oświadczył, że także list odebrał od ojca.

— Ale wy jechać tak nie możecie!—zawołała.—  
Nie nie przygotowane! Tak wpaść, to wszystko popsuć. To nie może być, ja na to nie pozwolę.—  
Czekajcie.

Cóż ty mówisz, Eraziu?

Erazm milczał, niewiedząc co odpowiedzieć.

— Przecież jesteś głowa domu! mężczyzna! proszę cię.

Wtem odwróciła się do wchodzącej Ostrogrodzkiej.

— Proszę cię—Koadjutor na obiedzie, zlituj się! Szczupak tuczony, czy co? Niech dla niego ostryg przyniosą—i burgundzkie. Ostrogosiu! droga moja, gdzie flakonik?

Erazm i młoda pani mieli czas się namyślać; lecz zamiast tego podali sobie dłonie i spojrzeli w oczy: wstąpiło w nich męztwo.

— Więc co? mów? Nie tajcie nic przedemną!—  
poczęła znowu Kasztelanowa — wymagam od was otwartości, jak przed matką. No—jakże?

— Kochana stryjenko—odezwała się Leonilla—  
ja, ja doprawdy nie nie wiem: Razio coś, coś wymyśli, albo ty.

Erazm, zewsząd zagadywany, zmuszony do wypowiedzenia zdania, wyrwał się, wzdychając, z tem, że dla uspokojenia ojca, mógłby pojechać sam — i powrócić. Kasztelanowa-by zawezwała.

— A! ja ciebie nie puszcę! — zawołała Leonilka. — Stryjenko! my jego samego nie puścimy? — prawda?

— Nigdy w świecie! — odezwała się Kasztelanowa.

— Stryjenko — jabym tu z trwogi i tęsknoty umarła! Co będzie, to będzie — ja z nim razem: nie mogę go odstąpić!

Staruszka uścisnęła Leonilkę.

— Zmiłujcie się — przerwała nagle — która godzina? Ja nie ubrana, a tu wizyty i Koadjutor. Puszczajcie mnie — będziemy radzili wieczorem.

Zegar okazywał godzinę spóźnioną, co u Kasztelanowej zawsze się trafiło. Nie było przykładu, ażeby się pośpieszyła; oskarżano zegary, ale zegary nie były temu winne.

Jak prędko wbiegła, tak pośpiesznie odeszła staruszka, zatrzymywana po drodze tysiącem spraw niezafatwionych. Z brany posłaniec oklep pędził po szczupaka, który miał być tuczony dla ks. Koadjutora.

Erazm z żoną, zostawszy sami, zamiast radzić, siedli pod pozorem wielkiego smutku, jedno przy drugim; Leonilka położyła głowę na jego ramie-

niu,—zadumali się. Erazm ręce jej całował. Siedzieli tak długo, długo, do samego obiadu i przyjścia Koadjutora. Nie uradzili nic, ale zapomnieli o wszystkim. Kasztelanowa też, swoim zwyczajem, gwałtownie biorąc każde wrażenie w pierwszej chwili, po wizytach i ks. Koadjutorze i listach, prawie zapomniała o sprawie, która ją zrana obchodziła tak gorąco. Erazm i Leonilla nie przypominali jej, radzi, że się coś stanowczego zwlekało.

Staruszka miała taki temperament osobliwy: zrana rozpadała się nad swojemi kochanemi dziećmi, śpieszyła się radzić, przerażona chodziła; wieczorem myślała o czem innem, a idąc spać, wyznała przed wierną Ostrogradzką, że miała wiele kłopotu z temi młodem. Tak samo jednak przed Erazmem i żoną jego czasem się na swą kochaną Ostrogradzką uskarżała.

Nazajutrz zrana znowu opanował ją niepokój wielki o—dzieci.

— Co ja tu z niemi pocznę! Ojciec wzywa, a Erazma samego żona nie puszcza — co odpowiedzieć! co robić!

Pobiegła znowu do młodych, którzy, korzystając ze swego nieszczęścia, z egoizmem właściwym miłości, siedzieli przytuleni do siebie, wzajemnie się pocieszając.

Tego dnia, ponieważ ani o szczupaku ani o ks. Koadjutorze nie potrzebowała myśleć, Kasztelano-

wa postanowiła coś stanowczego zdecydować.— Okazało się, że to tak naprędce było niepodobieństwem, i że naprzód należało zyskać na czasie: Kasztelanowa więc wymyśliła, ażeby odpisać Strukczaszycowi, iż Erazma posłała do dóbr witebskich. Tym sposobem, mogła przeciągnąć sprawę — i, obrachować wszystkie następstwa.

Wszyscy to uznali za najwłaściwsze, najlepsze; ucałowano rączki starej jejmości, która natychmiast pobiegła — list pisać do Strukczaszyca. — Erazm i żona jego odetchnęli.

Znowu na jakie parę tygodni mieli niezamącone go szczęścia przed sobą. A potem? potem co Bóg da!

Erazm jednak, choć milczący i na pozór zgadzający się na wszystko, czuł najlepiej, że stan taki wyczekiwania i niepewności nie mógł trwać wiecznie. Trzeba było zebrać się na odwagę, wyznać prawdę i rozwiązać przyszłość. Dla żony ociągał się, aby jej nie zatruwać pierwszych dni swobodnych — lecz postanowił przygotowywać ją powoli do stanowczego kroku.

Oboje nie mieli żadnej z Łopatycz wiadomości. Leonilla tylko, dla uspokojenia matki, słała jej bileciki z różnych miejsc datowane, zapewniając, iż była zdrową i że jej nie zbywało na niczem. Pisała również do Francuzki, niewiedząc o jej ucieczce, a prosząc, aby rodzicom była pociechą.

Listy te przychodziły już po odkryciu tajemnicy,



gdy Czemeryński rozmyślał tylko nad tem: co robić dalej? Dopiekał Strukezaszyc, — trzeba było zadać mu cios śmiertelny.

Przekonawszy się, że Hojski ożenieniu będzie przeciwnym, i że ono go do wściekłości doprowadzi, sędzia pragnął już conajprędzej córkę i zięcia ściągnąć do Łopatycz.

Tymczasem oliwy do ognia dolewał Strukezaszyc, tradując wioski, a sędzia heroicznie pod budynki dworskie ogień kazał podkładać.

Proces zajadły szedł dalej swoją drogą.

Z kartek Leonilli, które z różnych miejsc były nadsełane, Czemeryński nie mógł dojść gdzie się młode małżeństwo ukrywało, a pilno mu było je znaleźć i niem się przeciw nieprzyjacielowi posłużyć.

Ponieważ ks. Dagiel napomknął, że p. Blandyna mogła wiedzieć o miejscu pobytu młodych Hojskich, przewyciężając zatem wstręt jaki miał do całej rodziny, Czemeryński zbliżyć się do ciotki Erazma postanowił. Łatwem to nie było.

Gdzieindziej jak na plebanii widzieć się z nią nie mógł. Kwestya tylko była czy się ona zgodzi na konferencyę i czy przystanie na rozmowę na osobności. Ks. ex-definitor jako parlamentarz musiał sięść na wózek i na plebanię pojechać. Szło niby o zgodę — ksiądz Dagiel nie odmawiał pośrednictwa. Zapraszał na Niedzielę.

Czemeryński, mimo biedy w domu, paradnie wystąpiwszy, na mszę pojechał sam, gdyż sędziauka jeszcze była zbyt osłabioną, aby mogła wyruszyć z domu.

Po nabożeństwie Czemeryński udał się z kapelanem na probostwo. Panna Blandyna już się tam znajdowała; ale trzeba było czekać, aż się od proboszcza goście rozjadą.

Gdy pozostali sami, Czemeryński z wielką propozycją przystąpił do Strukezaszanki. Nadał sobie powagę i smutek człowieka, który zniża się do traktowania z pośledniejszego stanu osobami, przez miłość dla dziecięcia.

— Ksiądz proboszcz — odezwał się patetycznie — mówił zapewne acani dobrodziejce o tem, co mnie tu sprowadza. Jestem ojcem: dla jedyne go dziecka wiele gotów jestem poświęcić. — Chciałbym co najrychlej i córkę odzyskać i wyjść z tej niepewności, jaka mnie dręczy. Pani dobrodziejka musisz być uwiadomioną o tem, gdzie się oni znajdują.

Duma, z jaką wyrażał się Czemeryński, ledwie racząc spojrzeć na p. Blandynę, obudziła w niej trochę męztwa i poczucia godności.

— Bardzo-hym się cieszyła — dodała — gdyby nieprzyjemne spory, dwie rodziny z sobą dzielące, raz się mogły skończyć; lecz, po tylu dowodach zawziętości, trudno mi wierzyć w łagodniejsze pa-na dobrodzieja usposobienie.

— Ja za to jedno uroczyście pani ręczyć mogę — odparł sędzia — że zięcia, choć nie miłego mi, przyjmuję. Chcę mieć córkę i jego w domu. Jak się reszta załatwi, to nie odemnie zależy.

Gdzie oni są? gdzie się oni kryją? — dodał Czemeryński.

Panna Blandyna namyślała się; podniosła oczy pytające na ks. Dagiela.

— Im prędzej się to skończy, tem lepiej — wtrącił proboszcz — jestem przekonany, że intencye sędziego są dobre. Taić się na nic nie przyda.

Z obawą wielką, wahając się, panna Blandyna oświadczyła naostatek, że, ponieważ brat jej syna do Wilna, do Kasztelanowej wyprawił, prawdopodobnie tam się młode małżeństwo znajdować musi. Zaraz jednak dodała, że nie jest tego pewną.

Czemeryński jak tylko nic pochwycił, conajprędzej pożegnał Strukczaszankę, proboszcza i powrócił do domu. Dla niego nie ulegało wątpliwości, iż w Wilnie powinien był szukać córki. Uspokoiwszy żonę, sam conajrychlej wybrał się w drogę do Wilna.

Miłość dla Leonilli, była pewnie jedną z pobudek tego pośpiechu, ale ujemniejszą — pragnienie zemsty nieukojone.

I gdy w Wilnie, wcale nie myślano, aby ich tu kto mógł wyszpiegować, jednego dnia pan sędzia pieszo z gospody przy ulicy Wileńskiej, przepro-

wadzony przez żydka, który mu drogę wskazywał, zjawił się w pałacowej bramie.

Zwykła wrzawa i nieład panowały w siedzibie pani Kasztelanowej. Wypadkiem tylko jakimś, marszałek dworu Płachciewicz, do którego na warcaby dnia tego Franciszkanin przyjsć nie mógł, znajdował się niedaleko wrót, zajmując się gwałtownem robieniem porządku po swojemu. Napadały na niego takie nagłe momenta gorliwości. Przez miesiąc czasem nigdzie nie zająztał; potem jak burza spadał na gawiedź, i — na grzbiecie stróży kończyło się to porządkowanie.

Właśnie z ogromną wrzawą indagował marszałek winowajcę, gdy zoczył w bramie mężczyznę poważnego i, ręką nakazawszy milczenie powołanym przed sąd, sam osobiście zwrócił się ku gościowi, z figury i stroju domyślając się w nim kogoś dostojnego.

— Wszak nie myślę się, jest to pałac pani Kasztelanowej?—zapytał sędzia.

— Tak jest! tak! — odparł Płachciewicz, jasnie pan daruje, że tu wpadł na takie larum, ale to z tem bydłem, z pozwoleniem, inaczej nie można jak siecz, bij i łaj!

Otarł uznojone czoło.

— Wszak młody Hojski z żoną, mieszka także w pałacu?—zapytał sędzia grzecznie, ale dumnie.

Marszałek nie sądził, aby z tego tajemnicę robić było potrzeba.

— Tak jest, schody na prawo, na pierwszym pięttrze — rzekł Płachciewicz — jaśnie pan pozwoli, ja dam przewodnika.

— Hej! Pietruszka! — krzyknął.

Zjawił się w negliżu chłopak, ogryzający kość, którą rzucił.

— Prowadź do państwa młodych.

To mówiąc, marszałek, który czuł, że aż do zbytku spełnił obowiązek gościnności, zlekka się skłonił, i z furją powrócił na dziedziniec, porządkować dalej podwładnych.

Erazm i Leonilla siedzieli najspokojniej na berżerze, szepcząc coś sobie i patrząc w oczy, gdy jak widmo straszne zjawił się przed nimi Czemeryński w progu. Po pierwszym okrzyku, Leonilla zerwała się i zamiast do nóg paść ojcu, który stał z twarzą zagniewaną i bladą, na szyję mu się rzuciła postaremu. Erazm potrzebował nieco czasu aby przyjść do siebie; wstał i za żoną poszedł, ale do nóg Czemeryńskiemu się zniżył.

Sędzia zdawał się nie chcieć go widzieć, ale córka już odzyskała swą odwagę, swe panowanie nad ojcem.

— Tatu — zawołała, klękając przed nim — chcesz mieć mnie, musisz przyjąć tego, którego ja wybrałam. Ja go nie opuszczę, losy jego dzielić będę.

Dopiero zmuszony, sędzia, zwrócił się ku zięciowi, coś mrużąc niewyraźnie.

— On nie nie winien—dodała śmiało młoda pani—winniśmy oboje, a głównie—ja! Gniewaj się na mnie, jeżeli chcesz—ja inaczej nie mogłam być szczęśliwą. Kocham go.

Czemeryński słuchał, to się poddając urokowi głosu odzyskanego dziecka, to jeszcze burząc się na widok Hojskiego.

— Jegomość pan Erazm Hojski nie będzie się dziwował—rzekł Czemeryński--że go odrazu serdecznie witać nie mogę—wie on najlepiej dlaczego. Nadto wiele przykrych wspomnień niesie mi jego nazwisko.

— Które jest mojem teraz —kochany ojciec—przerwała Leonilla. Potrzeba zapomnieć, darować. Wstrząsnął głową sędzia.

— Po to tu przybyłem, abym zapewnił was, że—przebaczyłem, odezwał się — proszę tylko nie za wiele wymagać odemnie, bo i tak czynię wiele.

To mówiąc, córkę uściskał.

— Matka twoja—rzekł, unikając spojrzenia na Hojskiego — chorowała dosyć mocno; teraz się ma lepiej. Mam nadzieję, gdy powrócimy do niej wszyscy, że całkiem ozdrowieje.

— A bona?—spytała Leonilla.

Zmarszczył się mocno sędzia, ręką rzucił.

— Niema jej — rzekł krótko—i dobrze zrobiła, że

pojechała zawczasu precz. Ona była wszystkiego przyczyną, jej to sprawa! jej!

Leonilla poczęła ścisnąć ojca.

— Nie mów tak — odpowiedziała — ja jestem szczęśliwa, niepowinieneś narzekać na to. Przyśięgam ci, poszłam dobrowolnie, wybrałam go — i gdybym jutro miała do wyboru, jego z tysiącabyłam wzięła.

Erazm pochwycił ją za rękę i pocałował. Czemeryński, widząc, jak córka wprost z jego uścisku schyliła się ku mężowi, nie mógł powściągnąć jakiegoś mimowolnego ruchu, w którym się wstręt i niechęć malowały.

Podano krzesło przybyłemu.

Milczeli wszyscy; jedna Leonilla szczebiotała potrosze; położenie było przykre, bo z twarzy Czemeryńskiego czytała córka, że wybuchnąć może cochwila.

Płacheiewicz, który tego dnia był nadzwyczaj czynnym, oznajmił p. Ostrogradzkiej, że jakiś bardzo słuszny pan poszedł z wizytą do młodych; ta oznajmiła o tem Kasztelanowej, a staruszka, ciekawa zawsze i niecierpliwa, narzuciwszy peruczkę, poszła zaraz nareszcie się przekonać, kto tam był taki. Właśnie gdy Czemeryński siedział, walcząc tak z sobą, weszła pani domu. Sędzia powstał. Przygotowanym był na wyszukany komplement.

— Pani kasztelanowa dobrodziejka dozwoli mi

u stóp swych złożyć należny hołd i wdzięczność za łaskawą opiekę nad córką moją.

— Pan sędzia! — krzyknęła staruszka żywo. — O mój Boże! Co za szczęście, zatem z jednej strony wszystko skończone!

Ale, padnijcież mu do nóg! Erazm, natychmiast, do nóg panu sędziemu, Leonciu, ty z nim — pobłogosław!

Zmieszany Czemeryński, który połowę kompletu miał jeszcze w sobie, zbił się z tropu. — Dzieci klęczały, kasztelanowa nalegała — musiał błogosławić.

Staruszka tak naprędce spełniwszy co było najpilniejszego, natychmiast już myślą skoczyła gdzieś indziej.

— Asindziej u mnie na obiedzie! A! zmiłujcież gdzie ta Ostrogradzka, żeby sztuka mięsa była dobra, a może barszcz lubisz?

Czemeryński osłupiał.

— Niech-że Bogu najwyższemu będą dzięki, ciągnęła dalej staruszka. — Ja-bo mówię zawsze, że nigdy desperować nie trzeba w najgorszym położeniu.

A jakżeś się acan dobrodziej dowiedział, że dzieci są u mnie? od kogo? jakim sposobem?

Czemeryński przyznać się nie chciał, wybąknął, że się tego domyślił, przeczuł, dopytawszy się, iż p. Erazm jest w Wilnie.



Nazbyt było pilno Kasztelanowej rozgadać się z Ostrogradzką o wypadku, aby tu długo wytrwać mogła. Przemówiła jeszcze słów kilka, wstała, zakręciła się.

— Zatem, ja czekam z obiadem, jeszcze mam mnóstwo na głowie! Nie uwierzysz acan dobrze, niech dzieci powiedzą, co to ja za nieszczęśliwa z temi interesami. A oto i sejmiki u nas, piszą z Warszawy o posłów—i to na mojej głowie. Wszystko! a tu pani Hetmanowa z Wojewodziną się popstrykały, kto godzi? — ja! Jak Bóg miły! historye! Gdzież Ostrogradzka? Zostawiam pana dzieciom. Pamiętajcież na obiad być gotowemi.

Wysuwała się już śpiesząca pani, którą Czemyryński do drzwi odprowadzić czuł się w obowiązku.

Nagle wtargnięcie gospodyni domu miało ten szczęśliwy skutek, że sędziemu dało ochłonąć i ostygnąć z gniewu, jaki w nim widok zięcia obudził. Wrócił do myśli, z którą tu przybył.

— Ja tu—rzekł obracając się do córki, ku której ciągle unikając Hojskiego, pochylał się—ja tu długo bawić nie mogę. Przybyłem po to, ażeby was zabrać z sobą do Łopatycz.

Leonilla spojrzała na męża.

— Pan sędzia—począł Erazm.

— Mówże ojciec!—poprawiła żona.

Czemyryński się namarszczył, lecz nie zaprzeczył.

— Ojciec — wyjąknął z trudnością Erazm — pozwoli może, ażebym ja uprzedził przybycie nasze wspólne i sam naprzód pojechał. Mój ojciec do-  
tąd zapewne nie wie.

— Nie wie — potwierdził sucho Czemeryński, ale niema potrzeby stawić się waćpanu przed nim osobno. Na miejscu rozważymy co uczynić wypadnie.

— A tak! — potwierdziła Leonilla, przyciągając męża ku sobie — tak — ja cię osobno nie puszczę. Jeżeli stawić się mamy, będę miała odwagę iść z tobą.

— Potem o tem! — przerwał nagle sędzia. — Na miejscu dopiero rzeczy się pokombinują. Nam ztąd należy conajrychlej wracać do domu. To moje żądanie, rozkaz mój.

Młodzi milczeli, patrząc na siebie; Erazm stał zamysłony mocno. Czemeryńskiemu widocznie świadek ten niewygodny zawadzał; rad się go był zbyć. Naostatek pociągnął z sobą córkę do drugiego pokoju. Erazm, — któremu odchodząca oczyma dała znak, ażeby miał mężstwo — pozostał sam. Cała groza położenia przebiegła mu w piersiach ogniem, w głowie błyskawicą. Stawał niejako w obozie przeciwnym ojcu, w przymierzu z jego wrogami. Znał nadto dobrze Strukczaszyca, by sobie łatwem wyobrazić mógł zwycięstwo. W Czemeryńskim czuć było także, nie przejednanie i czułość, ale zawziętość jakąś, na chwilę pohamowaną.

Gdyby nie ona, gdyby nie ta ukochana! Dla niej musiał cierpieć—a tego, co go czekało, ani podobna było przewidzieć. Ale z nią i dla niej gotów był na wszystko. Przed oczyma miał groźną twarz ojca. Zdawało mu się, że leżał u nóg jego i czuł jak go odepchnął od siebie. Dla miłości tej kobiety, w istocie zdradził ojca, czuł się winnym! Zimny pot występował mu na czoło.

Stał jeszcze w tych myślach zatopiony, gdy Leonilla weszła sama. Czemeryński odszedł był do siebie, obiecując na obiad powrócić; ona wprost przybiegła uwiesić mu się na szyi.

— Nie trwóż się!—widzisz!—ojciec mój przebaczył, twój musi uczynić toż samo. — Ja z tobą, ja cię nie odstąpię.—Nie ty, ja go będę prosiła o przebaczenie.

Poczęli szeptać z sobą, Erazm, jeśli się nie uspokoił, musiał udać spokojniejszego. Aż do obiadu siedzieli razem. Leonilla była tak ożywioną, szczęśliwą, pewną siebie i władzy swej nad rodzicami, że mężowi nie dała się ani troszczyć, ani stęknąć. Zatykała mu usta.

Przy obiedzie Kasztelanowa tyle rzeczy opowiadała, Czemeryński był przez nią tak obłączony, iż o młodem małżeństwie mowy wcale nie było. Sędzia tylko zręcznie wtrącił, iż mu dla chorej żony nadzwyczaj było pilno powracać do domu, wraz z córką (nie wymieniał zięcia), i że nazajutrz wie-

czorem, za gościnność złożywszy powinne dzięki, radby wyruszyć w podróż.

Oparła się temu Kasztelanowa, pragnąc sędziego zapoznać, przy drugim obiedzie, z osobami wpływowymi, któreby mu się w przyszłości wielce przydać mogły.—Czemeryński w każdym innym razie nieochybnie-by przyjął z wdzięcznością tak pożądane zaproszenie; ale teraz—teraz jedno miał na myśli: powrót conajrychlejszy do Łopatycz i rozprawę ze Strukezaszycem. Próżne więc było naleganie.

Po obiedzie Kasztelanowa omało się nie rozplakała; przywykła była do tych dzieci przybranych—zabraknąć ich miało w pustym domu. Łamała ręce. Szczęściem ta tęsknota nie mogła trwać długo, bo w naturze Kasztelanowej było z dnia na dzień zmieniać i przywiązania i wstręty — a zapominać wszystko.

Całą resztę dnia tego pakowano się na pierwszym piętrze, sposobiono do drogi. Czemeryński pomimo zabiegów córki, zięcia unikał, nie zwracał się wcale ku niemu, zaledwie mu odpowiadał—nie widział go. Kilka razy Leonilla wymówiła to ojcu na ucho.

— Daj-że mi czas, ażebym się do niego przyzwyczaił—odparł Czemeryński—nie sposób, abym odrazu miał pokochać. Niech na to zastruży.

Pożegnanie z Kasztelanową było jakanajczulsze,

splakała się, ściskając dzieci, a że przewidywała dla Erazma wiele prób ciężkich, i serce miała dobre — choć sama w interesach, zapożyczyła się gdzieś, aby mu weisnąć zasilek na drogę.

Odmówić chciał Hojski.

— Bierz, nie pytaj — rzekła — oddasz mi później. Kto wie co cię czeka; nie trzeba, ażebyś był na łasce. Hojski jesteś.

Nazajutrz wprawdzie mocno żałowała staruszka, że to w pierwszym uczyniła popędzie, Ostrogrodzka też jej to ganiła — ale już było po czasie.

Przez zasy py śnieżne ekwipaż sędziego zwolna się przedzierał ku łopatycom.

---

Podkomorzy Buchowiecki, jak wielu ówczesnych panów i półpanków, życie prowadził bardzo czynne i rzadko go w domu zastać było można. Stosunki przez zięcia ze dworem dały mu teraz znaczenie pośrednika pomiędzy nim a obywatelstwem. Opierały się o niego interesa najrozmaitsze, własne i cudze. Nigdy nie frymarczono tak urzędami, starostwami, dobrami, wpływem, jak pod koniec panowania Augusta III. Pan Podkomorzy należał do najczynniejszych pracowników w tej winnicy.

Ciągle też był na wozie, na saniach, w Warszawie, w Białymstoku, w Dreźnie, w Grodnie na sej-

miku jakimś, zjeździe lub kommissyi; wdomu—gościem prawie.

I nie dziw, że o przyjacielu swym Czemeryńskim dowiadywał się tylko przez ludzi, zwłaszcza od czasu historyi z Vogtem, która go nieco dotknęła. Nie gniewał się na sędziego, ale żał miał do niego.

O ucieczce córki dowiedziawszy się, Buchowiecki, wyjechał zaraz do Warszawy, bawił tam dosyć długo, a gdy był zmuszony w Brześciu zjechać się na moście na Bugu, zetknął się z księdzem ex-definitorem.

Zobaczywszy go, kazał stanąć. Niewiele miał czasu, chciał jednak coś się o Czemeryńskich dowiedzieć.

— Cóż to ojciec nie w Łopatyczach?—zapytał.

— Nie—odpoczywam—rzekł Dominikanin—sędzina trochę chora, a sędzia do Wilna po córkę pojechał.

— Jak to po córkę?—a gdzie ona?

— To pan nie wie!

— O bożym świecie!

— Wyszła za mąż za Hojskiego.

— Co mówisz!—za jakiego!—zlituj się.

— Za młodego Hojskiego z Sierhina.

— Możeż to być!

— Ale tak jest—Czemeryński przebaczył i pojechał po nich.

— A! to cud! tak mi Boże dopomóż! To cud!

Miał się Podkomorzy rozpytywać więcej o tę ciekawą sprawę, gdy nadjechał ktoś i przerwał rozmowę. Ksiądz ex-definitor siadł na sanki i ruszył dalej.

Podkomorzy miał tyle rzeczy na głowie, że, na moście Podstarościego brzeskiego chwyciwszy, strawił z nim jeszcze pół godziny na tergiwersacyjnych sejmikowych. Siadł potem i pojechał dalej. W drodze mu z głowy nie mogło wyjść: jakim sposobem z tej srogiej wojny przyszło do małżeństwa?

Szczegółów nie wiedział żadnych, był najpewniejszym jednak, że Strukeczaszyca na małżeństwo zezwolił, że był z niego szczęśliwym i że wypadało mu tak znamienitego sukcesu powinszować.

Nazajutrz, w sejmikowej wędrownicy po Kobryńskim powiecie, znalazł się Podkomorzy niedaleko Sierhina.

— Wstąpię do Strukeczaszyca—rzekł sobie w duchu—to mu się należy.

Kazał woźnicy nawrócić do dworu.

Hojski, choć z Podkomorzym był niezgorzany, nie lubił go jako jawnego przyjaciela i konfidenta Czerneryńskich. Poznawszy przybywającego, poszedł wdziać nową kapotę, pogładził włosy i wysunął się na spotkanie.

— Kochanego Strukeczaszyca, pana mojego i dobrodzieja! — zawołał Podkomorzy ściskając go. — Będąc w okolicy, miałem to sobie za święty obo-

wiązek nawiedzić progi wasze. Weszli byli właśnie do pokoju, w którym i panna Blandyna w białym czepcu ogromnym, z pończochą, siedziała.

Grzeczny Podkomorzy zbliżył się dla powitania jej, to mu rozpoczętą mowę przerwało.

Natychmiast jednak z rękami rozpostartymi zbliżył się ku stojącemu zimno i poważnie, z zaciętymi usty, Strukezaszycowi.

— Niechże ci powinszuję!—zawołał.

— Czego! — odparł chłodno gospodarz — mnie, czego?

— Jakto?—czego? Właśnie na drodze od księdza Ambrożego się dowiedziałem. Uradowałem się niewymownie, dla was obu! To ślicznie! to cudownie!

Rzucił się w objęcia Hojskiego, który nieco zdumiony, trochę zmieszany i zniecierpliwiony, począł coraz głośniejsz powtarzać.

— Ależ czegoż mi pan Podkomorzy winszujesz? czego? czego? ja o niczem nie wiem?

Buchowiecki stanął, oglądając się dokoła z roz-targnieniem.

— A no! przecież ożenienia syna!

— Co takiego!—krzyknął gwałtownie Strukezaszyc—co? co?

Podkomorzy po głosie dopiero poznał i domyślił się, że—coś w tem było zagadkowego, i że bą-



ka straszego wystrzelić musiał. Jako człowiek zręczny, patrzył tylko którądy i jak się wycofać.

— Cóż to jest? — zawołał — miałażby to być bajka?

Strukczaszye oczy w niego wlepił, jakby go chciał pożreć.

— Od ks. Ambrożego pan słyszałeś? co? jak? mój syn! Mów pan! Żarty czy mistyfikacja? — wołał Strukczaszye.

Oczy p. Blandyny padły na mówiącego, błagające, przelękłe, tak, że Podkomorzy struchlał. Sam nie wiedział co mówić.

— Ale na miłość Boga, ciągnął Hojski głosem przerywanym — jeśli mi pan co dobrego życzysz, mów — cóż to jest znowu!

Podkomorzy począł się śmiać, nadrabiając miną.

— No, nic, nic — rzekł — zażartować chciałem i nastraszyć! Nie gniewaj-że się, kochany przyjacielu. Mówiono mi, żeś syna posłał do Wilna; chciałem ci napędzić Piotra.

To mówiąc, ścisnąć chciał Hojskiego, który nie przyjmował uścisku, — drżał z rozdrażnienia.

— Piękny żart! — przebaknął. — W istocie napędziłeś mi pan nie strachu, ale gniewu. Do naszej młodzieży terazniejszej wszystko to podobne, nawet ożenienie się z pomywaczką bez rodzicielskiego błogosławieństwa! Ale gdyby mi syn choć księżniczkę samowolnie zaślubił — ani-bym go na oczy

puścił! Nie znałeś mnie—nie znam cię! Chciałeś mieć wolę — ruszaj z Bogiem!

Głos się trząsł Strukczaszycomi.

— Nie spodziewam się tego po moim synu—dał—ale choć mi jedynym jest, nieposłuszeństwą bym nie ścierpiął.

Podkomorzy rad, że się jakkolwiek wykręcił, z wejrzenia p. Blandyny zmiarkowawszy, iż coś tu było, czego poruszać się nie godziło, zaledwie przyjąwszy przekąskę, koniom niedając odejść do stajni, zawinął się i umknął.

Po wyjeździe jego, choć niby udobruchany Hojski, ściągwszy usta, chodził po izbie, trutynując żart Podkomorzego. Wydał on mu się podejrzanym. Przypominając wnijscie, zagadanie, minę, głos, pomieszanie, niezgrabne wycofywanie się Buchowieckiego, Strukczaszyce nabierał przekonania, że to nie był żart wcale, ale niewczesne wyrwanie się z czemś, co może przed nim tajono.

Wyjazd Erazma w Witebskie, spóźniony powrót, milczenie—zaniepokoiły go.

Panna Blandyna siedziała z robotą w pokoju. może dlatego, że jeszcze sił nie miała do wyjścia, tak straszliwie się ulękła.

— W tem coś jest! — zawołał stając przed nią nagle brat.—Podkomorzy, jak zając przed hartem, dał kominka przedemną—ale mu z twarzy patrzyło, że kłamie. W tem coś jest!

Jakieś plotki chodzą o Erazmie, a ja o niczem nie wiem.

Kasztelanowa mi pisze, że go gdzieś posłała. — Gdyby go była i do Smoleńska wyprawiła, miał czas powrócić i stawić się. W tem coś jest....

Staął przed siostrą, oczekując odpowiedzi. Nie rychło podniosła głowę, potrząsała nią i niemogąc słowa wymówić, wróciła do swej roboty.

Strukezaszyc chodził po pokoju. Na dziedzińcu pokazały się saneczki komornika, zataczające się na wyslizganej drożynie, tak, że pod gankiem uderzyły o balaski. Strukezaszyc wyjrzał.

— Fraszka sanki — rzekł — ale i Kaczor się coś zatacza, musiał go ktoś po drodze utraktować.

Komornik wchodził właśnie, w samej rzeczy pijany, zarumieniony mocno, ale tem weselszy. Zaczął od tego, że, parę razy się poślizgnąwszy, bo miał śnieg na butach, zbliżył się do ręki p. Blaudyny, potem do kolan Strukezaszyca.

— Siadaj, bo jeszcze się przewrócisz! — zawołał Strukezaszyc. — Gdzie-żeś to pił?

— Pił? ja? pił? — rozśmiał się Kaczor, sadowiąc się u drzwi. — Oprócz co dla mrozu kieliszątko malusienieczkie u Icka, nic w ustach nie miałem.

— Dał ci jakiegoś licha! — mruknął Strukezaszyc. Komornik potarł twarz.

— Ale mróz! — zawołał — choć łysych liczyć.

— Nie słyszałeś i ty po drodze tej nowiny,

ż którą tu Podkomorzy był przed godziną — hę? — mówił Hojski.

— Jakiej?

— Że mój pan Erazm się ożenił! — krzyknął Strukezaszyc.

Z tą nowiną właśnie jechał komornik i, dla dodania sobie meztwa, upił się w drodze. Pałając zemstą przeciw sędziemu spodziewał się ją nasycić, za narzędzie używając Strukezaszyca. Wiedział on już o wszystkim, i o podróży sędziego. Pytanie zadane było mu cudownie na rękę.

— Hę! — to pan już wie! — krzyknął — Hojski zbladł.

— Co pleciesz! co!

— Pan już wie!

— Nic nie wiem, oprócz, że Podkomorzy bałwan, a tyś pijany.

— Kaczor popatrz! dokoła.

— Wszystko to może być — dodał — a mimo to p. Erazm się ożenił — no! i niema co mówić, że się pięknie ożenił.

Ledwie wyrazów tych pomówił Kaczor, gdy Strukezaszyc doń przyskoczył, chwycił go za piersi, strzepnął nim i głosem okropnym wrzasnął:

— Ty, jakiś! Co gadasz? co?

Hojski zrobił to w pierwszym uniesieniu, nie myśląc; gdy zobaczył w rękach swych nieszczęśliwe-

go komornika, opamiętał się i zawstydził.—Rzucił go napowrót na krzesło.

Przestrach Kaczora najpierw go prawie zupełnie wytrzeźwił, potem rozbudził w nim tę chęć bezsilną zemsty, która u słabych rośnie w stosunku ich niemocy.

— Coś to powiedział? — spokojniejszym głosem począł Strukczaszye — powtórz. Wolno takiemu człowiekowi jak Podkomorzy pożartować sobie zemną, ale tobie, trutniu! wara!

Ktoby zajrzał do serca komornika w tej chwili i chciał osądzić: czy większą miał żądzę zemsty nad sędzią czy nad Strukczaszycem? — nie umiałby zaprawdę rozwiązać zadania. Kaczor z czerwonego stał się bladym, a oczyma zdawał się smagać przeciwnika.

— Nie żartowałem — odezwał się — a i p. Podkomorzy pono więcej wiedział niż mówił, bo p. Erazm się ożenił.

Chce pan może wiedzieć z kim? no — to z p. Czemeryńską.

A ha!

Zatoczył oczyma Strukczaszye — przypadła do niego siostra — zachwiał się na nogach, rękę do czoła przyłożył. — Pomiło wielkiego męstwa i siły — o mało nie padł.

— Wody! — krzyknęła p. Blandyna.

Hojski już był oprzytomniał i zlekka ją odtrą-

cił. — Oczy wlepił w siedzącego u drzwi komornika; stał niemy. Łzy ciekły po twarzy p. Blandyny. Milczenie długie panowało w izbie.

— Prawda to? — słabym głosem odezwał się wreszcie Strukczaszye.

Komornik nie śmiał ust otworzyć; siostrze zdawało się, że po przebyciu takiego ciosu, nadaremnie przeczyć, aby on się ponowił, byłoby okrucieństwem. Cichuteńko szepnęła:

— Prawda!

Strukczaszye spojrział na nią.

— Ty wiesz o tem?

Odpowiedziało milczenie.

Siadł Hojski na najbliższem krześle; twarz jego tak się zdała straszna komornikowi, że się wyslizgnął z izby. Strukczaszye milczał uparcie. Panna Blandyna coraz go o coś pytała: czyby mu nie podać wody, kawy, kropli.—Nic—odpowiedział.

W tem skamienieniu człowieka straszniejszego coś było od konwulsyjnych porywów, jęków i narzekania. Był jak zabity.

— Prawda! prawda! szepnął machinalnie.

— Bracie kochany—bracie! chwycić go za rękę począła Blandyna.

Odsunął ją z wolna od siebie.

— Niema ani brata, ani siostry, ani ojca, ani syna — odezwał się — bydlę, nieprzyjaciele, wrogowie. Ludzi niema, nie, niema.... Erazm....

Zaczął głową miotać—Erazm, mnie ojca, sprzedał za paskudną dziewczkę! Zdradził! związał się z nimi!

Nie mam syna!

— Bracie—przerwała p. Blandyna—nie przeklinaj go i nie wyrzekaj się. Zastanów się. Nie wiemy jak się to stało.

— Nie mam syna! — powtórzył silniej Strukezaszyc.—Milcz—idź, zostaw mnie samym.

Panna Blandyna zamilkła, ale nie posłuchała. Lękała się go samym zostawić. Nie patrzył na nią i zdawał się jej nie widzieć. Chodził jak błędny po izbie, to siadając, to wstając, bez wiedzy o tem, co się z nim działo.

Nad wieczorem ochryłym głosem zawołał, by mu przyprowadzono Kaczora. Komornik miał czas się przespać i rozmyśleć; gdy przyszedł, był już trzeźwym, ale tak złym jak rano.

— Mów mi co wiesz!—zamruczał Strukezaszyc.

— Ja nie wiele wiem — odparł, dając się Kaczor. Znał się syn pański z panną sędzianką—gdzie i jak: tego nie wiem. Namówili się do ucieczki, ks. Dagiel ślub dał i pojechali do Wilna. No—a teraz z Wilna ich Czemeryński wiezie, bo on nie przeciw temu nie ma — a i darmo-by po czasie protestować.

Na wspomnienie ks. Dagiela, wstrząsł się Hojski.

— Książd Dagiel?—to nie może być.

— Gdyby nie dał on, znalazłby się inny— rzekł obojętnie Kaczor.— Pan się też nagniewasz, narodziysz, a będziesz musiał tak jak Czemeryński akceptować—to trudno.

Z pod brwi nawisłych spojrzął nań Strukezaszyc, az się przed tem wejrzeniem cofnąć musiał nieco Kaczor. Porównanie go z sędzią ubodło niezmiernie Hojskiego.

— Co Czemeryński to nie ja! — zawołał — rozumiesz!

Podniósł pięść, komornik skulił się i zmilezał.

— Więc to się pod nosem, tu u mnie działo; ks. Dągiel taki łaskaw, że pobłogosławił—a o mnie, ojcu wiedzieć nawet nie chcieli, że żyję—jakby mnie na świecie nie było!—Począł przerywanym głosem Strukezaszyc. Spisek na mnie uknuli. Czemeryńskiemu to na rękę, pewnie: processu chce się zbyć i córki, którą-by mu niełatwo kto wziął. Zapomnieli tylko, że p. Erazm, a ja—to nie jedno.

Ja go znać nie chcę.

Kaczor patrzył i słuchał ciekawie. Panna Blandyna napróżno usiłowała mowę mu przerwać, obawiając się, aby syna nie przeklął.

Po milczeniu długiemi potrzeba wylania się z żalem, otworzyła usta Strukezaszycowi; ale, nienawykły do mówienia, przerywanemi słowy wybuchał i milknął. Oczy mu dziko pały.

Komornik stał ciągle w progach.



— Więc to już po całym sąsiedztwie chodzi, że ze mnie sobie tak zadrwiono! — wołał Hojski:

— Nie wiem czy kto o tem wie, a ja dopiero-m się wczoraj dowiedział, od oficyalisty z Łopatycz, bo się tam państwa młodych dziś jutro spodziewają.

Strukezaszyc zadał krótkich kilka pytań Kaczorowi, potem spójrzał na siostrę, nieustępującą na krok, i rzekł głośno:

— Będę mówił pacierze, idźcie acaństwo każde w swoją stronę.

To powiedziawszy, wziął za różaniec leżący na stole, przeżegnał się i poszedł ku oknu; p. Blandyna, zawahawszy się trochę, wyszła nareszcie z pokoju, dając znak komornikowi.

Głośno oddawszy dobranoc, Kaczor wysunął się za nią. Czekająca go tu zasłużona bura.

— Miałeś acan potrzebę — zawołała gniewnie Strukezaszanka — po pijanemu tu przyjeżdżać z nowiną, o którą cię nikt nie prosił! Kara Boża dla domu, gdzie acan się wciśniesz. Bogdaj cię nasze oczy nie widziały!

Tak ulżywszy zbolątemu sercu, odwróciła się żywo p. Blandyna i, zostawując w sieni komornika, pobiegła i zamknęła się w swoim pokoju.

Przez cały wieczór jednak niepokój o brata ciągle ją wywoływał pod drzwi jego pokoju. Podsluchiwała co robił, odgadywała po ruchach, we-

stehnieniach i modlitwach nawet, jaką boleść miał w sercu. Godzina snu zwyczajna minęła oddawna, a Hojski nie myślał o spoczynku; to się modlił, to wdychał, to milczał. Nie kładła się też spać i siostra, chcąc doczekać, aż znużony w łóżko się położy. Słyszała go chodzącym po izbach do rana prawie; później ucichło, i ona, nierozbierając się, głowę na poduszce złożywszy, usnęła trochę.

Rano sama, słysząc ruch w pokoju brata, zaniósła mu kawę. Zdziwiło ją niezmiernie, gdy, wszedłszy, znalazła w pokoju przygotowania do drogi.— Strukezaszyc był ubrany, buty zimowe stały przy drzwiach, delia lisami podbita, strzelba, torba myśliwska i tłómoczek. Z drugiego pokoju widać było kantorek otwarty, papiery porozrzucane.

Zobaczywszy siostrę Strukezaszyc, bladą i zmienioną, odwrócił się ku niej.

— A to dobrze, żeś przyszła, bo mam niektóre dyspozycye—odezwał się.

— A cóż brat myślisz?—zapytała przestraszona Strukezaszanka,—wybierasz się w jakąś drogę.

— Tak, w drogę! — odparł głosem poruszonym Hojski. — Muszę, muszę. Nie mam tu co robić. Na błazna mnie chcą wystrychnąć oni wszyscy, z pomocą mojego własnego syna. Zapewne projektują mnie tu najechać, urocząście prosić o przebaczenie i wziąć jak głupiego lisa w jamie.

Wiesz asińdzka dlaczego jadę?—dodał głośniej —

wiesz. Oto dlatego, że się sam siebie obawiam, abym go nie przeklął. Nie byłbym panem siebie—nie chcę przeklinać, a czuję, że przekląłbym i jego i ich do dziesiątego pokolenia.

— Bracie kochany—zawołała, płacząc p. Blandyna.

— Bracie! ojeze! ha! — krzyknął unosząc się Hojski—wszystko to piękne słowa, ale na naszym świecie ojców niema, tylko póty, póki są potrzebni, i bracia póty dobrzy, póki się za nos wodzić dają.

— Jesteś niesprawiedliwym!—przerwała siostra.

— Jestem za dobrym — krzyknął Strukezaszyc. Gdybym krwi wzburzonej słuchał, siadłbym tu, czekał aż przyjadą i syna-bym przeklął, i tę narzuconą synową wyszczał psami. Nie chcę tego! Ucieknę, pojedę, patrzeć nie będę na to, co się tu dzieje.

— Ale dokąd-że?—spytała p. Blandyna.

— Albo ja wiem? w świat — odparł Hojski, chodząc po izbie.—Jadę do aktu, asiúdzka masz dożycie na Sierhinie. Syna wydziedziczam; zapiszę po najdłuższem życiu asiúdzki na szpitalu, na ubogich, na klasztoru. Nie pożywią się Czemeryúscy ani złamanym szelągami po mnie.

Z krzykiem przybiegła p. Blandyna. do nóg padając bratu.

— Nie czyń-że tego, na rany Chrystusowe! Nie chcesz przeklinać, a wydziedziczenie nie jest-że to przekleństwo? Majątek-ci to po dziadach.

Strukczaszye zamilkł.

— Zrobię co zechcę — rzekł twardo. — Tymczasem póki ja żyję, Sierhin mój. Asińdzka sobie na nim gospodaruj, rób co chcesz; ale jak mi tu oni, oni — ci (wskazał ku Lopatyczom) jedną noc pod moim dachem przenocują, jak ty mi ich tu puścisz, sprzedam Sierhin,—daruję!

Blandyna zanosila się od płaczu.

— Czegóż beczysz? — zawołał z gniewem Hojski—ustępuję wam, idę precz. Postawili na swoim, niech się cieszą.

— Mój bracie drogi, ale ja ciebie jednego mam na świecie, możesz-że mnie tak porzucić bez wieści, bez litości? Co mi po Sierhinie bez ciebie? Ja się zapłacę o tobie niewiedząc, trwożąc się, aby ci się co nie stało.

— Co mi się ma stać?—ofuknął Hojski, chrześcijanin jestem: co Bóg zesłał zniosę, ani się utopię, ni struję. Krzyż Pański dźwigać będę; ale tu, tu nie chcę i nie mogę zostać! Nie. Pokoju-był nie miał jednej godziny, naposiedliby się na mnie wszyscy. Nie chcę Boga obrażać, przeklinając dziecko własne: niech mu Bóg odpuści, bo nie wiedział co czynił.

Przeszedł się po izbie Strukczaszye.

— Tego łajdaka Kaczora asińdzka precz wygnaj, a weź do interesów Samulskiego. W kantorku jest tysiąc czerwonych złotych od złej godziny, ale mi

asińdzka z nich rachunek zdasz; dla p. Erazma niema tu ani szeląga. Swoje gałgany niech zabierze z izby, bo tu mu mieszkać nie wolno.

Nie dyktuję asińdzece co masz poczynać; żyj z niemi czy nie żyj—serce masz miękkie. Próżno-bym zakazywał.

Znużony pośpiesznem mówieniem, zatrzymał się Strukezaszyc i tchuął ciężko.

— Wołać komornika! — krzyknął, — konie Wicek niech zaprzęga!

Kaczor był podobno podedrzwiami. Zobaczywszy go Hojski, wziął rulonik ze stołu i wyciągnął ku niemu rękę.

— Masz acan więcej niż mu uależy; każ sobie furmankę dać Morawcowi, i żeby mi cię tu za pół godziny nie było. Nie masz tu już co robić, nie jesteś potrzebny—kłaniam.

— Panie Strukezaszycu — zawołał Kaczor, ale cóż ja przewiniłem?

— Acan nic nie przewiniłeś — rzekł Hojski. — Gdy się ma śmiecie albo gnój wyrzucać, bierze się brudne widły: takem ja was wziął, i tak jak widły precz rzucam. Ruszaj sobie!

— Ale!

— Tu niema żadnego *ale*—ruszaj do Czemeryńskiego, który ci raz skórę wytatarował i służy jemu: u mnie niema co robić.—Bywaj zdrów.

Stał chwilę Kaczor, ale Hojski, podniósłszy głowę, zapytał groźnie:

— Czego jeszcze stoisz?

Komornik, zmieszany, wymknął się. Na krześle u stolika płakała, ręce łamiąc, p. Blandyna.

— Rób co chcesz, kochany bracie: masz więcej rozumu odemnie; ale ulituj się, powiedz, gdzie ja cię szukać mam, nie porzucaj mnie sierotą.

— Ja nie wiem sam co zrobię — odezwał się Strukezaszyc.— Widzisz, że syn kochany wypędza mnie z własnego domu. Spokoju-by mi nie dali— a ja przebaczyć nie mogę.

Dam asińdzce znać o sobie, ale z tym warunkiem, ażebyś im—im nie mówiła gdzie jestem. Będą gouili za mną... ja ich znać nie chcę—nie mogę.

Znając charakter brata, p. Blandyna nie nalegała już, żywiąc może w sercu nadzieję, że czas zmiany postanowienia i złagodzi gniewy. Wstrzymać go nie było podobna. Sciskając go i płacząc, wyprowadziła do ganku, a gdy sanki z nim wytoczyły się za bramę, z żalości i strapienia o mało nie omdlała.— Strukezaszyc, odjeżdżając, nikomu nie powiedział nic nad to: — Panna Strukezaszanka tu pani, żeby mi posłuszeństwo było!

Straszliwą pustką, jakby po pogrzebie, stał się dwór w Sierhinie; biedna kobieta osierocona w pustce tej zaledwie wytrwać mogła. Po wyjeź-

dzie Hojskiego zaryglowała wszystko i zamknęła się w swoim pokoiku—spędzała czas na modlitwie.

Kaczor, który próbował tu pozostać i po wyjeździe Hojskiego, chciał teraz ofiarować usługi swoje, ale otrzymał ponownie odprawę.

Dni kilka upłynęło w milczeniu, gdy, po rozejściu się wieści w sąsiedztwie, iż Strukczaszy z domu wyjechał, dla przekonania się co rzeczywiście zaszło, zjechał ks. Dagiel.

Rachował on na to, że małżeństwo musi pojednać dwie rodziny, i zdumiał się a zgryzł, gdy mu panna Blandyna opowiedziała co się stało.

— Żelazny człowiek — rzekł — ale, że dzieck<sup>a</sup> przeklinać nie chciał—chwali mu się. Desperować nie trzeba.

Panna Blandyna nieśmiało zapytała o Czemyr<sup>u</sup>skich.

Pomimo, że się ich wcześniej spodziewano, nie było jeszcze w Łopatyczach ani sędziego, ani młodych państwa. Drogi były złe, podróż długa.

— Jeżeli przyjechali, to chyba dziś w nocy, dał proboszcz, ja ztąd do Łopatycz właśnie jadę, abym sędzinę chorą nawiedził.

Strukczaszanka opowiedziała o wszystkich brata rozporządzeniach i zaciętym gniewie przeciw synowi. Ksiądz Dagiel wysłuchał, niemówiąc słowa.

Nie zabawiwszy długo, pojechał do Łopatycz. Zdała już, po powozach stojących na wyspie przed

gankiem, mógł się proboszcz domysleć, że oczekiwani właśnie przybyć musieli.

Zastał też Czemeryńskiego w ganku, rozporządzającego się żwawo i słuchającego raportu Śliwki.

Leonilla z mężem była przy łóżku rozplakanej i szczęśliwej matki.

Zobaczywszy ks. Dagiela, Czemeryński odprawił ekonoma i powitał kapłana z miną trymfującą.

— Powinieneś jegomość dobrodziej być ze mnie kontent—rzekł—przebaczyłem córce, przywiózłem ją do domu. Daję dobry przykład zgody i przejeżdżania.

Strukczaszy się wściecze! — dodał sędzia z uśmiechem szyderskim. Zażyłem go z mańki.

Proboszcz zmilczał.

— Projekt jest taki, że jutro cztery konie cugowe zaprzęgą; liberya,—dwór wystąpi, i państwo młodzi pojedą do Sierhina.

Pęknie bestya, gdy ich zobaczy! — zaśmiał się sędzia.

— Nie obawiaj się acan dobrodziej tego—odrzekł poważnie proboszcz.

— Albo co?—zapytał Czemeryński.

— Bo Strukczaszy, zawczasu uwiadomiony, siostrze majątek dożywociem oddawszy, wyjechał z domu zupełnie i bez powrotu.

— Co acan dobrodziej mówisz! Dokąd?—krzy-



knął. ręce załamując Czemeryński—a to mi się podobają! Jaki?—uciekł?

Dotknęło to tak sędziego, który zemstą swą chciał się nasycić, iż, niezważając na proboszcza, zdyszany, pobiegł do żony i dzieci.

— A to się wasz ojciec kochany, po swojemu spisał. — krzyknął we drzwiach.— Słyszę majątek cały zahartował, a sam niewiadomo dokąd się wyniósł.

Erazm ręce załamał. Leonilka spojrzała na niego i od matki poszła do męża.

— Na Boga—cierpliwości, szepnęła mu—znajdziemy go—bądź spokojny—proszę!

Wszystkich łatwiej uspokoić było niż sędziego, który nie znał miary w gniewie, nie oszczędzał też Strukezaszyca, mszcząc się na nim za to, że śmiał mu się z rąk wymknąć.

Tegoż dnia, wymógł Erazm na żonie, że mu do ciotki pojechać dozwoliła. Miał jechać sam, ale w ostatniej chwili Leonilka wyszła ubrana i uparła się mu towarzyszyć.

— Gdzie ty, tam i ja—a co ty cierpisz, ja z tobą dzielić powiunam — rzekła. — Wszystko mamy wspólne, a ból nad wszystko.

Czemeryńskiemu nie w smak była ta wyprawa, ale córka panowała nad nim. Nadąsał się i zmilczał.

Panna Blandyna wyglądała siostrzeńcą, chociaż

tego dnia się go nie spodziewała, a zobaczywszy żonę z nim, i pomyślawszy coby się stać mogło, gdyby Strukczaszye był tu jeszcze — przyjęła ich jak nieprzytomna. Zdawało się jej ciągle, jakby ten nieprzebłagany sędzia miał się cochwila ukazać z nielitościwem „precz!“ na ustach.

Erazma też, złamanego tym gniewem ojcowskim, tą ucieczką i wyrokiem, musiała ciotka orzeźwiać i pocieszać.

Leonilla miała mężtwo za wszystkich.

— Jam winna najwięcej—odezwała się po pierwszych uściskach, płaczu i żalach—ja też mam obowiązek Erazma wyprowadzić z tego położenia, w które go wtrąciłam. Cierpi dla mnie, ale ja—cierpię za dwoje!

Przysięgam ci—dodała—choć to może wydawać się śmiesznem, ja twój ojca znajdę i ja go przeblagam. Ja!

Ciocia Blandyna ręce tylko załamywała. Z największemi potem szczegółami zaczęła opowiadać, jak się Strukczaszye o wszystkim przedwczesnie dowiedział i jakie zostawił rozporządzenia.

O wprowadzeniu się do Sierhina mowy być nie mogło, a Leonilla widziała dla męża niepodobieństwo pozostawania w Łopatyczach na łasce i niełasce rodziców. Czemeryński też zawsze zięcia za ledwie znosił i unikał bliższego z nim stosunku. Teraz mogło się to pogorszyć jeszcze.

Nie było więc innego sposobu, jeno ten, żeby, korzystając z niebytności Strukezaszyca i powolności Blandyny, jedną z wiosek zatradowanych od Łopatycz odebrać, i tam w ubogim zamieszkać dworku.

W drugiej wsi dwór i całe zabudowania dworskie spalono zaraz przy zajęciu.

Nawykła do elegancyi, wygod i ojcowskiego przepychu, pani Erazmowa, dosyć tęskną przeszłość swą na małej wioseczce, w lichym domku przyjmowała jakoś z uśmiechem młodości.

— Kiedyś się to poprawi—mówiła— a tymczasem dobrze nam i tak będzie. Chatka jak w romansach—dodała z uśmiechem—mnie się to bardzo podoba!

Z tym projektem, zapewniwszy się, że p. Blandyna bronić nie będzie wioski, odjechała pani Erazmowa. W drodze miała czas zapewnić męża, iż, choćby rodzice czego innego sobie życzyli, ona przy tem będzie obstawać.

— Będzie nam dobrze i w chatce!—powtarzała—byle razem.

W Łopatyczach projekt ten znalazł opór wielki ze strony sędziego.

— Do czego się to zdało?—zawołał.—Cóż to tu acaństwu źle, z nami? Ja wioski odbiorę na siebie, wy możecie mieszkać w Łopatyczach; osobnego domu nie potrzeba!

Czemeryńskiemu uśmiechało się upokorzenie

zięcia i rola, jaką dlań gotował, chcąc go zrobić rodzajem posłusznego oficjalisty. Nazajutrz, gdy przy tem obstawał, Leonilla zaprotestowała.

— Nie—rzekła—Erazm i ja musimy mieć dom własny. Może-by nam tak było wygodniej, ale dla mojego męża nie przystało być rezydentem. Jego dola i upokorzenie spada na mnie.— Ja nie chcę!

Pierwszy może raz Czemeryński się pogniewał na córkę, wybuchnął z wymówkami; Leonilla zniósła to, ale się nie dała przełamać.

— Weźmiemy gdzieindziej dzierżawę—rzekła.— Erazm powinien być panem w domu, nie sługą. On dla mnie znosi wydziedziczenie, zaparcie się ojca.— Jam gotowa na wszystko dla niego. Sędzia sapał i fukał, wkońcu poddał się.

Wieczorem, przyszedłszy do żony, gdy sam z nią został, odezwał się:

— Uważasz, kochanko, że ta Leonilka, wykapany mój charakter. Jak się zatnie, nic jej nie poruszy, gotowa na wszystko, a na swoim postawi. Już kiedy ja nawet a rady jej dać nie mogę. Ot i teraz — za mężem ciągnie, ani ją przywieść do upamiętania.

— Ona go kocha—szepnęła sędzina.

— Więcej już niż nas!—dodał sędzia. Takie-to rodziców losy! — Jak gruszki dojrzałe od drzewa, odrywają się od nich dzieci.— Poodpadają i—rzecz skończona.

Westchnął Czemeryński.

— Gdybym był miał choć tę satysfakcyę, że Strukczaszyca zmożłem i zwyciężyłem, ale i to nie. Na piasku mnie osadził, syna się wyrzekłszy, i gotów jeszcze majątek oddać na ubogich. Takiego łotra świat nie widział!

---

Na tym szmacie lasu, który, choć już może na to nazwanie nie zasługiwał, zwał się jeszcze Puszcza Kobryńska, jakgdyby na równi z niezbyt oddaloną Białowieszką chciał iść o lepsze, różni właściciele się już wówczas rozposażali. Krajał się ten las na kawały, trzebiono go i rąbano nielitościwie, osiadali w nim ludzie, i powoli, co było puszcza stawało się trzebieżami i nowinami, otoczonymi resztką lasów.

Ziemia nie była drogą, nabywała się też prawie za bezcen, bo dopóki nowy właściciel mógł z niej coś zrobić, długich lat pracy było potrzeba.

Niedość było wydrzeć nowinę, drzewo zrąbać, puie mozolnie powydobywać; najczęściej z pod nich wychodziła ziemia jałowa, piaskowata, przejęta od wieków zakisłemi wodami, a że nowe pola otaczał i ocieniał las zewsząd, więc na trzebieżach posiewy tak były nędzne, iż ziarua nie opłacały.

Nowi też osadnicy najczęściej na rolę niewiele rachowali; gospodarstwo ich polegało na wypasie

bydła, owiec i na małych pasiekach, tam, gdzie wilgoć gnilca nie sprowadziła.

Zato w tym zakącie cichym, pustym, siedziło się jak u Pana Boga za piecem, z tarakanami w towarzystwie, słuchając pieśni mnogiego ptactwa i jednostajnego puszczy szumu. Wieczorem na moczarach kumały żaby, górą ciągnęły słomki, niekiedy zabłąkany łoś z łomotem wielkim wypadł na polany, — popatrzył i zniknął.

Zimą o opał biedy nie było, bo i gałęzi i łomu i suszy i powatów było dostatkim. Nie kosztowało nic sklecenie chaty, postawienie płota i oddychanie wonią orzeźwiającą jodeł i sosen. A kto tu raz wżył się w tę ciepłą ustron, podrapał ziemię, przemarzył na niej rok jaki, wcielił się do tego cichego światka leśnego, temu ztąd na gołe pola wyjść się już nie chciało. Las ma to do siebie, że jak pierwotna kulebka, pierwsze ludzi schronienie, macierzyńsko ciągnie ku sobie. Człowiek w nim bezpieczniejszym się czuje — jest w domu.

Prawda, że, pożywszy tu, przybiera nawet jakąś inną postać i obyczaj, coś w nim jest z płochliwego zwierzęcia, które od ludzi ucieka, — dobrze mu w samotności. Przyjaźni się z innymi pustelnikami i znajomi z nimi, kocha ich; zdaje mu się, że głosy ich rozumie.

Tego, co mieszkał w lesie, co żył na górach, nie

oderwać od drzew i przepaści — tylko mieszkaniec równin koczuje chętnie i włóczyć się gotów.

W rok i kilka miesięcy po opisanych wypadkach, w Puszczy Kobryńskiej, na uroczysku „Tłuste“ dawniej zwanem, wznosiła się nowa, obszerna chata z ogrodem, i koło niej coś jakby rozpoczętą trzebież nowiny widać było.

Miejsce to teraz, od wydartych niewielu zagonów, zwano Wyderką. Od jednego z większych właścicieli tych obszarów nabył szlachcic, człek już niemłody, niedrogo, włók kilkanaście, na których nie było nic, oprócz sosen, różnych zarosli, moczarów, błotnistej strumyka i piaskowatego wzgórka.

Że mu się tam osiąść zachciało, dziwili się wszyscy, począwszy od tego, który tę ziemię sprzedał, i śmiał się z tego, co ją kupił. Jednakże w ciągu kilku miesięcy na pagórku piaszczystym, który tylko na tych płaszczyznach mógł się zwać tak wspaniale, wzniosła się duża chata, niby dworek, potem szopek parę z chrustu i ogródek otoczony płotem; studnię wykopano — i Wyderka była gotową.

Mało tam kto zaglądał i wiedział co się we dworoku działo, a było koło niego cicho i pusto. Stara baba gospodyni, parobek nakuliwający, a sam właściciel, — podobno całą ludność składali.

Gościniec główny, idący przez puszcę, od wiekniustych czasów, o kilkanaście staj od Wyderki,

lasem się kręcił, a z niego nawet chatę niebardzo widać było.

Od niego zaledwie dostrzeżona drożyną snuła się pomiędzy drzewami ku nowym zabudowaniom.

Któżby z czytelników naszych nie odgadł, że pułstelnikiem na Wyderce był p. Strukezaszyc? Nie mógł on czy nie chciał uciekać dalej od swojego niegdyś kąta, szukał tu przytułku, a znalazł go umyślnie na pustkowiu, aby miał nad czem pracować i, pracując, o bólu zapomnieć. Z kilku ludźmi najętymi i koźmi kupionemi, sam chodził około budowania chaty, tymczasowo mieszkając z niemi w budzie ładajako skleconej; sam z siekierą do rąbania drzew pomagał. Niewiele pewnie zrobił, ale zmęczenie potrzebnem mu było i trud cielesny, który czasem serce uzdrawia.

Gdy nie było co robić, dawne czasy sobie, ze strzelbą chodząc, przypominał, a chatę zbudowawszy, miał się i w słotę gdzie modlić, chodząc po izbach pustych. Modlił się dużo, opędzał się myślom natrętnym, które do Sierhina latały.

Od najemnych robotników z różnych stron, od przejeżdżających, mógłby się być pewnie czegoś o Lopatyczach i Sierhinie dowiedzieć, ale nie chciał. Pocięchy ztamtąd się nie spodziewał, a smutku miał dosyć.

To zerwanie ze światem, gdyby nie modlitwa, dzikim-by go uczyniło. Czuł, że życie czemś zająć



było potrzeba — ale celu w niem innego nie miał, jeno ten: aby dobić się do końca.

Rok tak przetrwał, gdy zimą go porwała tęsknica wielka, nieprzewyciężona. Nocą śnił mu się dom, syn i ów zawzięty bój z Czemeryńskim. Całe dnie snuła się przed oczyma osierocona siostra. Opędzał się pokusom jak mógł — zmogły go wreszcie: postanowił do Sierhina dojechać.

Zdawszy dom na parobka i gospodynię, zaprzął do małych sanek, któremi po swym lesie jeździł, konika, i puścił się ku Sierhinowi, tak obrachowawszy, aby nad wieczorem tam stanął.

Gdy, wydobywszy się z puszczy i przejechawszy dobry kawał polami, zobaczył wreszcie dach swój stary, sterzące nad nim drzewa i spokojną szarą wioskę, nad którą się dymy wznosiły — łyż mu się niemięzkie zakreśliły w oku. Sądził, że już przy suchych powiekach potrafi spojrzeć na to gniazdo stare; zawstydził się słabości.

Chciał zobaczyć siostrę i być jeszcze raz w Sierhinie, a bał się spotkać z synem lub synową. Tych znać nie chciał, do Erazma żał czuł zawsze, przebaczyć mu nie mógł.

Z ostrożnością więc podjeżdżać począł ku dworowi, rozglądając się dokoła, gdy małe sanki przesunęły się mijając. Siedział w nich drzemiący Morawiec. Zakrzyczał na niego Hojski; ekonom przełkł się, jakby głos usłyszał z grobu — stanął.

Nuż z płaczem ścisnąć pańskie nogi, a gdy zobaczył Strukczaszyca ubogo odzianego, powożąc go się bez woźnicy, stary sługa aż ryknął.

— Niéma nikogo we dworze?—zapytał Hojski.

— A któżby miał być? Jedna panna tylko.

— Jedź dla bezpieczeństwa przodem; z nikim się spotkać nie chcę—rzekł Strukczaszyca.

Pośpieszył posłuszny Morawiec, choć ostrożność ta zdała mu się zbyt dużą, bo p. Blandyna tak wolę brata szanowała, jakby on tam sam był jeszcze.

Na dany znak zajechał Strukczaszyca; wzięto konia i sanki; wszedł do sieni, a z niej wprost do pokoju siostry.

Zobaczywszy brata, p. Blandyna o mało nie omłotała ze strachu i z radości. Lecz jakże ten stary brat był różnym od uciekającego ztąd przed rokiem! Zestarzały, osiwiwały, odziany nędznie, z wyrazem goryczy i bólu na twarzy, obudzał litość więcej niż strach.

— Ot widzisz asindzka—rzekł poruszony—przyjechałem dowiedzieć się do ciebie.

— Sama jesteś?—zapytał.

— Widzisz.

Potoczył oczyma.

— Mów mi—mruknął.

— Boję się—odezwała siostra.

— Gdzie oni są?

Na to pytanie p. Blandyna zrazu szukała odpo-

wiedzi; lękała się przyznać, że folwark zatradowany odjęto.

Nie chciała też skłamać.

— Nie mogłam przed Czemeryńskim tradycyji obronić — rzekła — co ja biedna kobieta poradzę? Zabrali folwarki — tam mieszkają.

Strukezaszycie obojętnie ręką zamachnął.

— Dobrze, że Sierhina nie wzięli — mruknął.

Podparł się na rękach.

— Tyś ich widziała... — rzekł cicho.

— Nie mogłam przecież uniknąć — odpowiedziała siostra. — Erazm jest nad wyraz wszelki nieszczęśliwy.

— Z żoną? — podchwycił Strukezaszycie gorąco. — Dobrze mu tak! Kara Boża! tak być powinno! tak być musi! Za ojca mści się Bóg, bo ojcem też jest, i jak ja, ma niewdzięczne dzieci.

— Ale nie z żoną — uchowaj Boże — odezwała się p. Blandyna — ona go kocha nad życie! Nieszczęśliwy jest ten, żeś ty go odepełnął, że znać go nie chcesz.

— Ojciec? — rozśmiał się Hojski — a cóż ojciec znaczy? Na co komu potrzebny, gdy raz dziecko odhodował?

— Bracie! — zawołała Blandyna.

— Daj-że mi pokój — w tęsknicę za starym ojcem nie wierzę. Rzeka do źródła nie wraca: ku

morzu płynie—odezwał się Strukezaszyc z goryczą coraz wzmagającą się.—Nie kłam, Blandyno.

— Bóg mi świadkiem — przerwała siostra żywo.—On się martwi, a ona! tego wypowiedzieć nie mogę—ona-by w ogień poszła, aby za niego przebłagać.

— O tem mi nie mów, proszę i rozkazuję! — odparł Hojski.— Ja słyszeć nie chcę — dość, lub natychmiast—jadę.

Zakrzątnęła się gospodyni około wieczery; trzeba było w sypialni dawnej Strukezaszyca w piecu napalić.—On siedział milczący i ponury. Był tu jakby gościem.

Gdy po wieczery otworzono mu dawne mieszkanie, ogrzane trochę, wchodząc, zawahał się na progu. — Panna Blandyna, rachując na to, że najskuteczniej będzie samym go tu ze wspomnieniami zostawić, cofnęła się zaraz.

Słyszała jak chodził dawnym swym zwyczajem, pacierze mówiąc i wzdychając; serce jej biło jakąś nadzieją, że może zostanie, że zmięknie, że się da ubłagać. Lecz gdy przyszła rano, znalazła go do drogi gotowym, zasępionym, milczącym. Pożegnał się z nią prędko, nie pytając o nic, kazał sanki przyprowadzić i odjechał.

Na kilkakrotne pytania siostry: gdzieby mieszkał? Strukezaszyc nic nie odpowiedział.

— Co ci potem! — zamruczał — nie chcę, aby o mnie ludzie wiedzieli.

Z wieczora jednak p. Blandyna tak była niespodziewanemi odwiedzinami przejęta i ożywiona, iż się jej na większą niż zwykle odwagę zebrało. Po odjeździe brata mówiła o nim z Morawcem, który nad nędznym koniem, sankami i odzieżą pańską ubolewał. Ekonom z pewnych oznak wnosił, iż Strukczaszcyc nie mógł się ukrywać daleko.

— A! gdyby to dojsć! — wołała, ręce składając siostra. Mój Morawiec, dałabym, Bóg widzi, coby kto odemnie zażądał.

Zamyślił się stary.

— Kiedy-bo to z panem trudna rzecz—rzekł cicho. Broń Boże, się wyda! nieszczęście będzie.

— Żadnego nieszczęścia — zawołała p. Blandyna—dla nas i dla niego potrzeba, byśmy wiedzieli, gdzie on nieszczęśliwy się męczy.

Nic niemówiąc, wziął to Morawiec do serca. Roboty około domu nie było tak dalece, za sankami Strukczaszcycyca w pół godziny powłókł się konno śladem. Stary myśliwy, i sanek i konia trop i koleje dobrze rozpoznawszy, dotarł za nimi aż do Wyderki. Tu jeszcze niewyprężonego konia, którym Strukczaszcyc przyjechał, zobaczył przed szopą. Miał więc pewność, że się nie pomylił.

Zawrócił do domu. Nie oznajmił zrazu o tem panie Blandynie, bo się obawiał—zachował to

przy sobie. Dopiero w tydzień jakoś, gdy mówiąc o bracie, panna Blandyna płakać zaczęła, Morawcowi też serce się poruszyło, wygadał się ze swą tajemnicą. W pierwszej chwili radości wielkiej, parę koni mu darowała ze stada gospodyni. a Morawiec, choć bardzo był z nich szczęśliwy, przestraszył się później tak wspaniałym datkiem, domyślając się, że p. Blandyna pewnie będzie korzystać z wiadomości, a jego podejście się wyda.

Trudno było cały ten wypadek w tajemnicy zachować p. Blandynie. Za pierwszą bytnością państwa Erazmowstwa, którzy ją często odwiedzali, wygadała się ze wszystkim, i z tem nawet, że o miejscu pobytu brata wiedziała — ale tego zdradzić nie chciała.

Leonilla na kolanach ją o to zaklinała — napróżno. Dowiedziała się tylko a raczej domyśliła, że tym, co dośledził kryjówki—był Morawiec.

Jakim sposobem potrafiła pani Erazmowa, w tajemnicy przed mężem, skłonić starego ekonomę, ażeby jej do Wyderki towarzyszył, powiedzieć nie umiemy.

Jednego dnia pod pozorem, że jedzie do Łopatycz do matki, p. Erazmowa wybrała się z domu, czulej niż zwykle uściskawszy męża.

— Proszę cię tylko, gdybym się przypóźniła, nie troszcz się o mnie. Nic mi się nie stanie.

Za dworem czekał Morawiec, jeduokonnemi sau-

kami, mający jechać przodem. Leonilla, ubrana czarno i skromnie, obwinięta chustką, sama jedna, w małych sankach z woźnicą, jechała za nim.

Przed wieczorem Morawiec, odwróciwszy się, wskazał ręką na chatę w lesie, z której komina dym wzbijał się słupem. Leonilka, porzuciwszy sanki na gościńcu, poszła pieszo. Co miała w sercu, Bóg wie jeden, ale twarz i chód nie zdradzały obawy. Szła śmiało, z głową podniesioną.

Strukeczasycy chodził po pustych izbach, zadumany, gdy w progu ukazała się nieznajoma mu postać. Chociaż widywał Leonillę w kościele, na pierwsze wejrzenie wydała mu się obcą. A że wśród tej pustyni nikt nigdy się nie pokazał, nawet zbłąkany podróżny, stary przeto stanął zdziwiony niezmiernie.

Przyszło mu na myśl, że komuś przejeżdżającemu na przypadek trafić się musiał na drodze.

Wtem, zrzuciwszy z siebie chustkę, śmiałym krokiem kobieta zbliżyła się do niego, i w chwili gdy, przerażony, poznał w niej sędziankę, leżała już u nóg jego.

— O litość przyszłam cię prosić — zawołała, składając ręce — nie nademną, — jam winna, ty mi nie możesz przebaczyć, jam ci odebrała syna — ale nad tem nieszczęśliwem dziecieniem twem, które z bólu usycha! Uratuj mi męża! Ulituj się nademną!

Cały drżący Strukeczasycy stał osłupiały — gniew

najpierw nim poruszył wielki i miał wybuchnąć, gdy synowa objęła nogi teścia.

— Przebacz jemu! jam winna! Ja go skusiłam, jam wciągnęła, miałam nadzieję, że dla miłości jego mnie przebacysz. Nie karz nas, zlituj się i bądź miłosiernym!

Strukczaszye bełkotał coś niezrozumiałego, zasłaniając sobie oczy.

— Erazmowi przebacz! Jeślim ci nienawistna, nigdy ci się nie pokażę na oczy, zniosę twój gniew z pokorą. Jemu wróc serce ojcowskie!

Hojski łkał, poruszony mimowoli, chylił się, chcąc podnieść klęczącą.

— Nie wstanę od nóg twoich, aż mu przebacysz!

Głos poruszający, płacz kobiety, przypomnienie syna,—złamały wkońcu Strukczaszyca.

—Gdzie on jest?—zawołał słabym głosem.

—On nie śmiał stanąć przed tobą, nie wie nawet zem tu przybyła! Jeśli litujesz się nademną i nad nim—pozwól, bym cię zabrała z sobą. Przywiozę mu szczęście, a sama do zgonu ci będę wdzięczną.

— Daruję—przebaczam, wyjąknął ręce wyciągając Hojski. Bóg z wami! Niech wszystko będzie zapomniane!

Leonilla porwała się ręce jego całować; starzec osłabły musiał sięść, aby siłę odzyskać.

Ta śmiałość, z jaką synowa goniła za nim, i niezrażona jego surowością, gotowa była znieść na-



wet nielitościwe odtrącenie—zwycięzyła Strukczyca.

Korzystając z tej chwili wzruszenia, lękając się jakiego zwrotu i zmiany w uczuciach, nalegała tak pani Erazmowa na teścia, że się dał tegoż dnia wziąć i zawieźć do ich domu. Morawiec tylko z sankami już się nie pokazał. Stary milczał przez całą drogę; otulała go synowa, a gdy późno w noc przybyli do dworku i starzec wysiadł z nią, a wybiegający naprzeciw Erazm zobaczył ojca—padł, jak stał przed nim, zemdłał.

Wzruszenie było zbyt wielkie. Ostatek żalu, jaki miał w sercu Hojski, ten dowód miłości synowskiej rozproszył.

Wieczór to był szczęśliwy, gdy stary ojciec zasiadł pomiędzy nimi, choć jeszcze nieswój, milczący, upokorzony tem, że go niewiasta zwycięzyła—ale już ściskający syna i niekiedy uśmiechający się do niego. Leonilla umiała mu też się nie narzucać, zostawić go swobodnym, dać mu czas do oswojenia się z sobą, aż Hojski wkońcu i rozmowniejszym się stał i prawie wesołym.

Zaledwie się to stało, posłano umyślnego po pannę Blandynę, i choć noc była, przybiegła uradowana, aby na ten cud patrzeć. I ona też bratu do nóg padła, a razem z nią i syn i synowa powtórnie mu dziękowali. Hojski już się był zrezygnował, jednak widać w nim było niepokój.

Gdy Erazm go do sypialni odprowadził sam, Strukezaszyc jakby zgłodniały, pochwyił go w objęcia i rozplakał się, szlochał a ścisnął syna—nie niemówiąc. Wszystko zdawało się szczęśliwie skończonem. Nazajutrz Hojski zapragnął wrócić do Sierhina, wprzód jednak pannie Blandynie powiedział:

— Niech oni odemnie naraz nie wymagają za wiele! Darowałem winy, przyjmuję synową, bo poczciwa jest i odrodziła się od ojca: nie zmuszajcie mnie tylko z nim się kumać; ani się kłócić nie będę, ani mogę kochać. Jemu i mnie z tem lżej będzie. On—jemu się zdaje, że on pan, ja—prosty szlachcic. Niech każdy u siebie siedzi.

Ja go znać nie potrzebuję, ani on mnie.

Żądanie to było rozkazem: przyjęto je w milczeniu. Tryumfująca Leonilla zaraz po wyjeździe Strukezaszycyca kazała zaprzęgać i pojechała do Łopatycz.

Po wnijsciu jej do domu, Czemeryński poznał, z chodu, głosu i wesołości, że pieszczocha była w dobrym humorze.

Wyszedł naprzeciw niej, radując się też.

— Cóżęś to tam tak nagospodarowała—odezwał się, ściskając ją, że tak ci się oczy świecą i usta śmieją?

— Spodziewam się, że dobrze nagospodarowała—odparła Erazmowa—serce mi w piersi skacze.

— No, czegoż?

— Wie ojciec! Strukezaszyca wyszukałam, wzięłam go szturmem i zawiozłam do Sierhina. Uściśkał mnie i ucałował, przebaczył Erazmowi!

Czemeryński skoczył jak oparzony.

— A to masz się z czem chwalić! — krzyknął. — Ledwieśmy odetchnęli, że się go pozbyła okolica. Tfu! potrzebna rzecz była! Gadaj, jak-że się to stało?

Nadeszła matka; Leonilla, wcale ojcowską burą nie zmieszana, poczęła opowiadać historią całą.

Gdy przyszło do tego, że się Hojskiemu do nóg rzuciła, Czemeryński się za włosy pochwyił.

— Szalona! — krzyknął. — Jemu, do nóg, temu człowiekowi co na moje życie czyhał! Niech-że cię on ma za córkę, a ja cię nie chcę! Wstyd mi zrobiłaś.

Niezważając na to i Leonilla i sędzina rzuciły się na starego, który z wielkiego gniewu prawie przytomność postradał. Kosztowało to wiele, zanim go udobruchano. Widać jednak było z usposobienia, że do przejednania między starymi nieprzyjaciółmi jeszcze bardzo daleko.

Czemeryński zaklął się, że jakożywo do Strukezaszyca nie pojedzie, niewiedząc o tem, że Hojski sobie toż samo warował.

— Mimo mej woli związały się dzieci nasze — zawołał sędzia — ja rozrywać ich nie myślę; ale mnie

to nie zmusza żyć z człowiekiem, którego ja nienawidzę i który mnie nienawidzi.

Cały dzień upłynął na uspakajaniu Czemeryńskiego, który do córki, za to wydobyć Hojskiego z jego pustelni, miał żal srogi.

— Złe ci było? potrzebowałaś go koniecznie? — powtarzał. Niechby sobie był siedział w lesie; przynajmniej-byśmy spokój mieli. Zacznie gospodarować, to się znowu za łby weźmiemy!

Dano czas wyburzyć się Czemeryńskiemu. W kilka dni wyraził obawę, żeby mu czasem Strukczaszyca nie przywieźli, żeby go nie przyjechał przeproszać. Ks. ex-definitor rozśmiał się na to.

— Niech pan sędzia będzie spokojny: on pono pod tym warunkiem z dziećmi się pojednał, aby go to nie zmuszało do żadnych innych kroków.

— A to miał rozum! — odezwał się Czemeryński — ani on mnie, ani ja jego znać nie chcę. Przeszłości się nie zapomina, -- to darmo.

Zostało więc jak było: Łopatycze z Sierhiuem się nie znali, choć państwo Erazmowstwo oboje i tu i tam bywali. Unikali mówienia przed sędzią o Strukczaszyca i nawzajem. Hojskiemu trzeba oddać tę sprawiedliwość, iż on szczerze i statecznie unikał antagonisty; sędzia, przeciwnie, naprowadzał rozmowę na Hojskiego, dopytywał o niego, widać było, iż rad był przywieźć do tego, aby mu się szlachcic upokorzył i pierwszy krok zrobił.

I tak się to ciągnęło aż do Wielkiej Nocy. Zżył się ks. Dagiel, obu otwarciem czyniąc wymówki.

— Do czego to podobne!—mówił—dzieci się pobrały, processa umorzone, a wy ani sobie przebaczyć, ani się znieść nie możecie!

— Cóż? ja pierwszy mam mu głowę do stóp znieść za to, że ta hołota córkę mi wzięła i pięć wiossek po niej w posagu? To mi się podoba!

— Mój panie sędzio — odparł ks. Dagiel, jeżeli szczęście i godność na wioski chcesz mierzyć, pozwól powiedzieć, że Hojskiego Sierhin i kapitały pewnie drugie tyle warte.

— Ale co Czemeryński, to nie Hojski!— mrucał sędzia.

— Panie sędzio — rzekł proboszcz — na sądzie ostatecznym o genealogią pytać nie będą, a kto więcej miał miłości w sercu, ten zwycięży.

— At!—mruknął Czemeryński.

Z nim jednak proboszcz mógł mówić i dysputować, gdy ze Struczaszycem gorzej było. Dawał sobie mówić, nie odpowiadał, nie sprzeczał się,— milczał, a przekonać go, zmiękczyć nie było sposobu.

Ażeby choć pozornie zbliżyć nieprzejednanych, musiał ks. Dagiel,—zdaje się w porozumieniu z sędzią i p. Blandyną. — użyć niewinnego podstępów. Mówiliśmy jak skromne życie prowadził i w jaki sposób na probostwie przyjmował.

Zwykle też i na Wielkanoc święcone ks. Dagiela, o którym w domu nie było komu myśleć, składało się z tego, co parafianie przysłali. Była to najosobliwsza zbieranina najwytworniejszych ciast i najskromniejszego, zakalcowatego pieczywa ubogich szlachcianek.

Prawdziwie — co Bóg dał — ustawiano na stole w miarę jak przychodziło, skromne serki i kukiełki masła, malowane i białe jaja, kielbaski wszelkiego kalibru, a obok mazurki wykwiłtne i baby, co do pułapu niskiego sięgały. Wino ocierało się stare o czystą gorzałkę. Ks. Dagiel się na tem nie znał, i prosił gości, aby używali daru Bożego, jak się komu podobało. — Organista tego dnia stał tu na równi z jaśnie wielmożnym dziedzicem, bo po opłatku na wigilią, po święconem jajku, czuli się wszyscy jednemi dziećmi, krwią Chrystusową odkupionemi. Nie wszystkim to może było w smak, ale każdy się do religijno-narodowego obyczaju akommodował.

Chrystus się nam narodził! i ściskali się wszyscy, a wół i osioł u źłobka Bożego, miały swe znaczenie przy Trzech Królach. Chrystus zmartwychwstał — ściskano się, zapominając uraz, dystynkcyj i stopni.

Zdawało się zapewne ks. Dagielowi, że takiego dnia, zbliżając do siebie zawziętych wrogów, najła-

twiej ich zmusić będzie można, aby sobie ręce podali.

Pierwszy raz od czasu jak był proboszczem, ks. Dagiel, jeżdżąc dla święcenia ciast, wszystkich zapraszał do siebie, na jajko święcone.

— Proszę i obliguję wstąpić do mnie na probostwo — mówił — nie pretenduję, abyście się u mnie nasycili, bo u mnie święcone zbierane i nieparadne, ale, jeśli wam służąc, zasłużył na to, — uczcijcież swemi odwiedzinami na Alleluja!

Niepodobna było odmówić. Czemeryńskiemu na myśl przyszło: a nuż się spotka ze Strukczaszycem? Hojski też wzdrygnął się na to: a nuż mu się sędzia nastreczy? Cóż było robić? Mogli się milcząco pominąć. — Tymczasem ks. Dagiel inaczej to sobie ułożył; chciał mieć świadków wielu i ufał w Bogu, że w dzień uroczysty, po spowiedzi wielkanocnej, gdy do sere przemówi, te mu się otworzą.

Państwo Erazmowstwo też w pomoc przybyć mieli, sędzina i panna Blandyna, choć nieśmiało, obiecywały swą kooperację. Nadszedł ten dzień i po nabożeństwie posypało się, co żyło, na probostwo. Święcone, choć jak zawsze eklektyczne, trochę staranniej jakoś i z pewnym ustawione było smakiem.

Ks. Dagiel z talerzem jaj pokrajanych pełnym, stał u progu.

Zjawił się pierwszy Czemeryński, którego długą przemową i życzeniami tak umiał proboszcz utrzymać przy sobie, aż nadchodzącego Strukczaszyca zobaczył. Ten zwolnił kroku: cofnąć się nie było sposobu; inni goście nadchodzący, może do spisku należący, popychali.

Stało się więc, że Czemeryński, jeszcze trzymając na widelcu jajko, stał, gdy Hojski zmuszony został próg przestąpić. Niepuszczając sędziego, który się zaczerwienił jak burak — ks. Dagiel podał talerz Strukczaszycowi.

— Niech-że ten dzień uroczysty — zawołał — w którym pamiątkę wielkiej tajemnicy wiary naszej obchodzimy, dzień chwalebного Zmartwychwstania Pańskiego, będzie dla nas dniem miłości i zgody! Ufam w miłosierdziu Bożem, że to jaje poświęcone biorąc z jednego talerza, ojcowie, których dzieci u ołtarza sobie przysięgły, dawną niechęć porzucą i — pojedną się. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

To mówiąc, zęgnął obu stojących naprzeciw siebie, a w tem Erazm z żoną zbliżyli się i uklękli między niemi, mnodzy zaś goście huknęli głosy ogromnemi:

— Vivat! zgoda! zgoda!

Leonilla wzięła rękę ojca; Erazm, całując, prawicę Strukczaszyca, pochwyił — i wyciągnęli je ku sobie, tak że się połączyły.



Czemeryński miał łzy na oczach, Strukczaszcyc w końcu się też rozczulił.—Uścisnęli się!

Ks. Dagiel z radości wielkiej obu ich po rękach całował. Z plebanii wprost wszyscy pojechali do Łopatycz na święcone, potem do Sierhina.

---

I — powiecie sobie kochani czytelnicy — że wszystko zapomniane, zatarte, w przepaść rzucone zostało, a sędzia ze Strukczaszcycem żyli jak dwaj bracia rodzeni.

Radbym ja to potwierdził, ale sumienie zmusza wyznać, że, choć między Łopatyczami a Sierhinem panowała harmonia i nawzajem się odwiedzano, a przy chrzeinach i na świętach, spotykali się pięknie z sobą, sędzia i Strukczaszcyc, dowiadując się o zasiewy, o kosowicę i kopy: żeby jednak się zbyt kochać mieli — nie powiem.

Ludzie jesteście. Czemeryński zawsze koso patrzył na Hojskiego, Strukczaszcyc, mówiąc o tamtym, szydersko się uśmiechał.

— Pęcherz nadęty! — szeptał — zawsze mu się śni, że go Pan Bóg z lepszej gliny ulepił.

— To jadowity człęk ten Hojski, — mówił Czemeryński — mruk, nawet przy kieliszku się nie utworzy, chyba gdy do passyi przyjdzie. Nigdy

nie można wiedzieć co on myśli.—Co to za spoj-  
zenie! co za uśmiech!

Najpocieszniej było widzieć ich, gdy z sobą ra-  
zem być musieli, i dla oka ludzkiego konwersować  
poufale. To ten ramionami zżymnął, to drugi splu-  
nął, to się jeden uśmiechał, to przeciwnik mar-  
szył. Siadłszy z sobą do maryasza, bo i to się  
trafiało, znajdowali w kartach i grze mnogie powo-  
dy do przekąsów i sporu; ale się mitygowali.

Czemeryński, którego to zajmowało i było dlań  
niemal zabawką, nie unikał spotkania ze Struk-  
czaszycem; Hojski usuwał się, jak mógł.

Dopiero trzeba było ciężkiej choroby Czemeryń-  
skiego i też pani Erazmowej, z obawy o ojca, aby  
Hojski się poruszył, bo synowę bardzo kochał.

Sam naówczas po doktora pojechał i przywiózł  
go, koło chorego niebezpiecznie, krzątał się i słu-  
żył mu, a Czemeryński, wstawszy szczęśliwie z łóż-  
ka, z nienawiści też został uleczonym. Strukczaszy-  
c, który mu dał dowód pocziwego serca, sam też do  
tego, któremu życie ocalił, przylgnął.

Zmienił się ich stosunek na otwarty i przyjaciel-  
ski na starość do tego stopnia, że sobie dawne swe  
ważnie, śmiejąc się, przypominali.

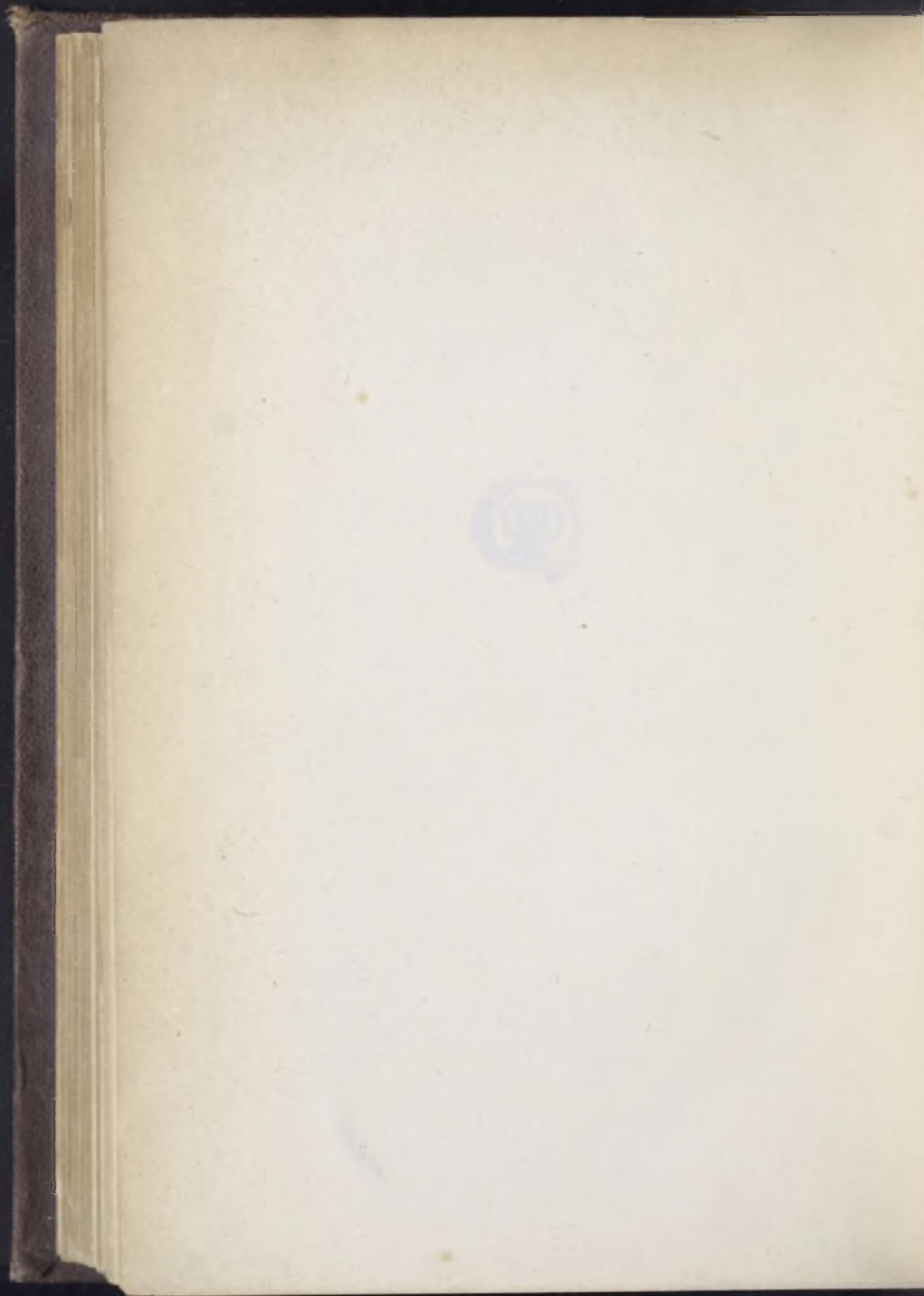
Na tem pojednaniu najgorzej wyszedł komornik  
Kaczor, którego obajo na oczy widzieć nie chcieli.

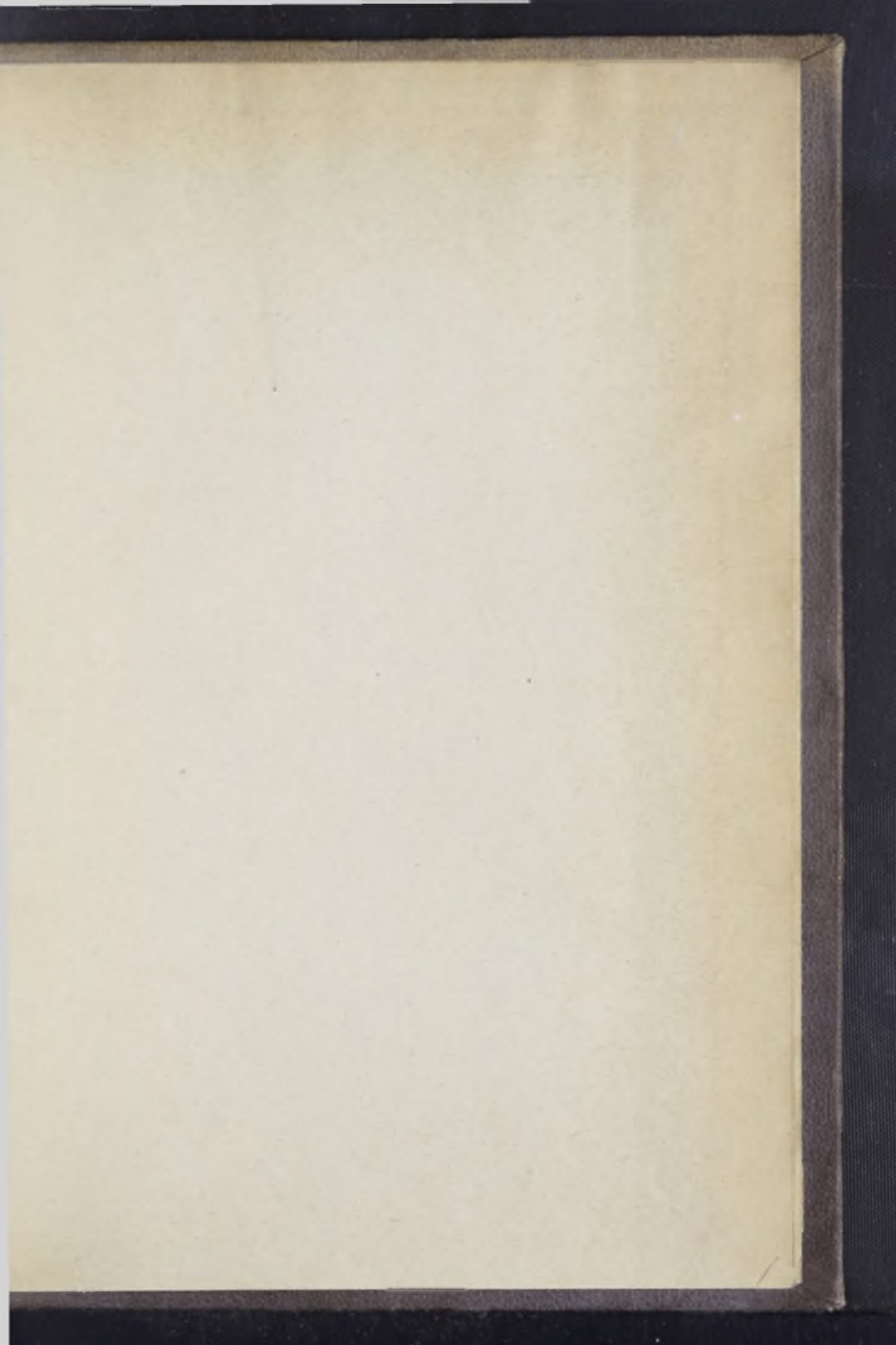
Stracił wszystkie dochodziki, jakie dawniej z nich  
ciągnął, i gdy o nich w sąsiedztwie przy nim ma-  
wiano, głową potrząsał, mruzczał:

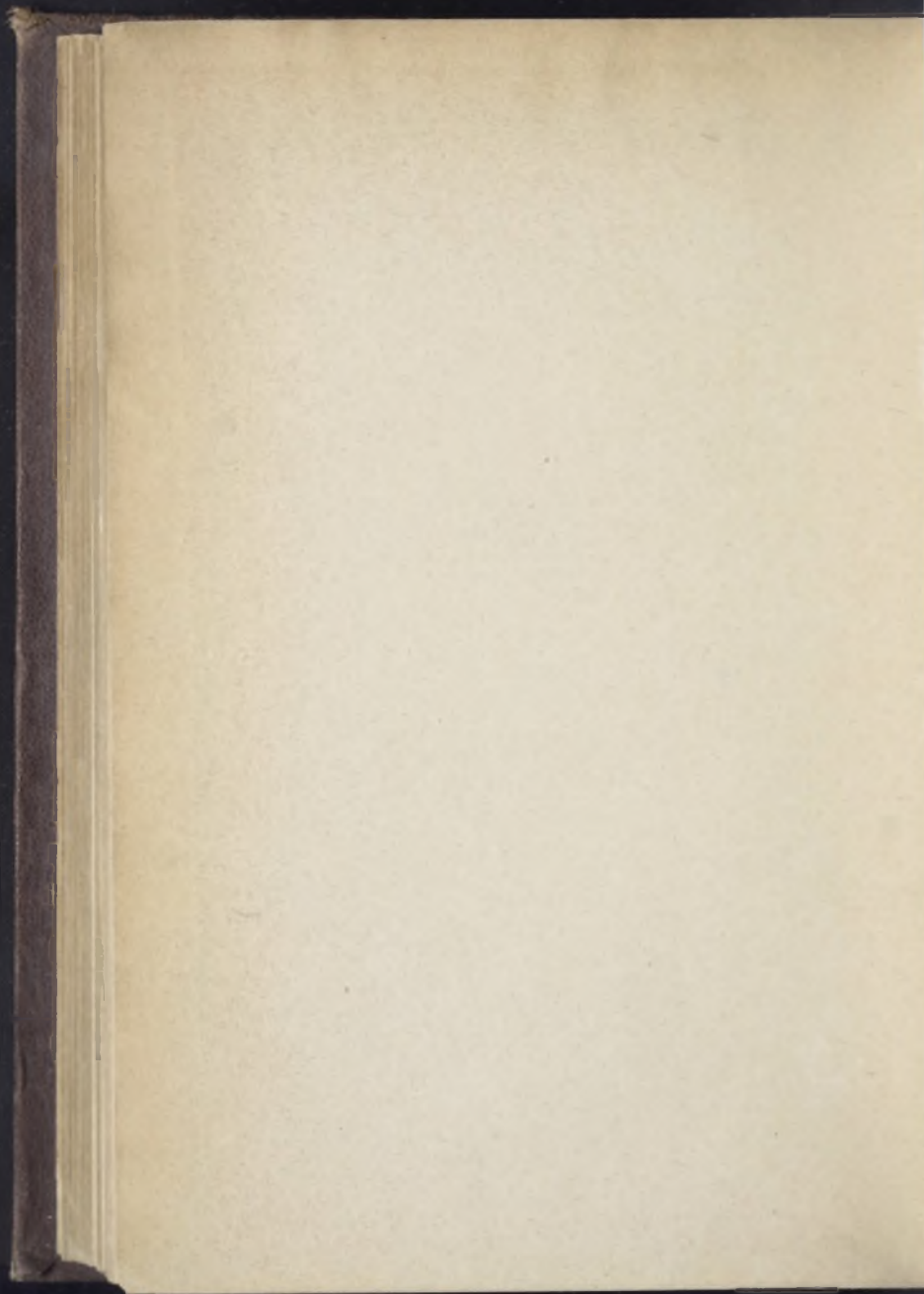
— *Ambo meliores!*

KONIEC.













2008022

---

---

t. 1-2